

**Steve Shagan**

**Akta „Genesis”**  
*The Formula*

Przełożył  
Jacek Mackiewicz



Pieniądze, a nie moralność są najważniejszym dobrem cywilizowanych narodów.

*Thomas Jefferson*

# PROLOG

**Berlin - 3 kwietnia 1945**

## 1.

Stalowe hełmy podskakiwały na ich małych głowach, a niektórzy mieli problemy z utrzymaniem karabinów. Generał major Helmut Kladen pomyślał, że wyglądają jak dzieci bawiące się w wojnę w mundurach ojców. Dowódca drużyny, chłopiec może czternastoletni, podszedł do otwartego samochodu sztabowego naczelnego dowództwa i poprosił szofera Kladena o pokazanie zezwolenia na przejazd. Pozostali zebrali się w milczeniu wokół szarego Mercedesa i wpatrywali w Kladena, który siedział sztywno wyprostowany na luksusowym, obitym skórą tylnym siedzeniu.

Jeden z wyższych chłopców zebrał się na odwagę i zapytał, czy może dotknąć Krzyża Rycerskiego z Liśćmi Dębu, który wisiał na czerwonym fularze. Generał skinął głową. Chłopiec dotknął odznaczenia z ogromnym szacunkiem, po czym szybko się cofnął i szepnął coś do kolegów, którzy przytaknęli z powagą. Nagle most zatrzęsł się od huku radzieckich dział ostrzeliwujących linię obrony w Seelow. Kladen poczuł się nieswojo.

- *Schnell! Schnell!* - krzyknął do chłopca, który sprawdzał ich dokumenty.

Ten uśmiechnął się i machnął ręką, pozwalając im jechać dalej. Kierowca wrzucił pierwszy bieg i powoli ruszył przez most. Kladen obejrzał się na tych chłopców-żołnierzy. Całun szarego dymu z oddalonego o jakieś piętnaście kilometrów płonącego Berlina opadł na most, nadając małym postaciom w za dużych mundurach wygląd zjaw.

Kladen zapalił długiego różowego, rosyjskiego papierosa i pokręcił ze smutkiem głową. Myśl o dzieciach broniących mostu wprawiła go w przygnębienie. Czekali na 12. Armię Wencka, armię, która obroniłaby Berlin przed mongolskimi hordami. Ale nie było żadnej 12. Armii. Przestała istnieć dawno temu. Była jedynie papierowym mitem stworzonym w bunkrze Führera. Za kilka dni dzieci na moście będą martwe.

Nagle Kladena ogarnęła wściekłość. Przypomniał sobie ostatnie słowa Rommla, który na pytanie, dlaczego przyłączył się do spisku przeciwko Hitlerowi, odparł: „Jeśli ktoś wie, jak

rozpocząć wojnę, powinien umieć ją zakończyć”. Ale Rommel już nie żył. Wszyscy wybitni ludzie już nie żyli. Być może jednak los wybrał jego, generała majora Helmuta Kladena, bohatera Rzeszy, genialnego taktyka wojsk pancernych, weterana piasków Afryki i arktycznych zamieci Rosji. Może on będzie w stanie zapobiec totalnej zagładzie narodu niemieckiego.

Wielki samochód przyspieszył, jadąc *Reichstrasse* 96 na północ, w kierunku olbrzymiego słupa dymu, unoszącego się nad sercem zrujnowanego miasta.

Szara pokrywa chmur nad Berlinem jaśniała niesamowitym, pomarańczowym blaskiem. Unoszące się języki ognia przypominały pociągnięcia pędzla szalonego artysty, który postanowił zmienić kolor nieba. Nie gasnące pożary wywoływały gwałtowny wiatr, który gnał przed sobą ogromną ścianę czerwonego pyłu nad opuszczonymi, zasłanymi gruzem ulicami. Niósł też ze sobą swąd spalonych ciał, płonącej gumy i ulatniającego się gazu. Ohydny smród nowoczesnej, metodycznie obracanej w perzynę cywilizacji. Poprzez unoszący się w powietrzu kurz Kladen mógł dostrzec poczerniałe szkielety wysokich biurowców, które górowały nad gruzami jak zadziwieni świadkowie innych czasów.

Mercedes skręcił w *Königstrasse* i wjechał na chodnik. Ulica była nieprzejezdna. Na całej szerokości bulwaru widniały sterty gruzu. Kladen zobaczył, jak dziewczęta w mundurach batalionu przeciwlotniczego usiłują utorować wśród ruin drogę. Starcy z *Volksturm* kierowali ruchem pojazdów wypełnionych oficerami sztabowymi, którzy zgubili drogę. Nocne bombardowania ciągle zmieniały wygląd miasta. Z dnia na dzień znikały coraz to nowe dzielnice.

Skręcili w lewo, w *Kurfürstendamm*. Stopień zniszczenia eleganckiego niegdyś bulwaru zaparł Kladenowi dech w piersiach. Zniknęły wysokie klony. Ekskluzywne sklepy, kina i kawiarnie zmieniły się w sterty pokruszonego betonu, potłuczonego szkła i dymiącego drewna. Wewnątrz jednej z restauracji leżał wywrócony trolejbus. Ciała jego ostatnich pasażerów zwisały z okien. Sfora zdziczałych psów ujadła i podskakiwała wokół, chcąc dostać się do zwęglonych zwłok. Starszy policjant wypróżnił w ich stronę cały magazynek swojego *Schmeissera*. Długa kolejka kobiet czekała przed sklepem na mleko i chleb. Małe dzieci trzymały się kurczowo spódnic swoich matek i spoglądały ze strachem w niebo. Nawet niemowlęta wiedziały, skąd nadchodzi zagłada.

Minęli zburzony kościół u wylotu *Kurfürstendamm*, skręcili w *Budapestenstrasse* i wjechali do *Tiergarten*. Słynny na całym świecie park przypominał jakiś przerażający krajobraz rodem z koszmaru *Picassa*. Czarna trawa, zwęglone kikuty drzew i gazowe latarnie, na których wisały ciała niemieckich żołnierzy z przyczepionymi kartkami „Byłem zdrajcą

narodu niemieckiego”. Na pagórku w pobliżu ogrodu zoologicznego, wśród rozkładających się zwłok kobiet i dzieci, które zaskoczył dzienny nalot, ucztowały stada psów. Przejechali powoli obok zoo, gdzie ośmiuset esesmanów stanowiło obsadę olbrzymiej baterii przeciwlotniczej. 88-milimetrowe działa zwróciły lufy w kierunku północnych krańców miasta, gdzie widać już było błyski artylerii marszałka Koniewa. Kladen wyraźnie słyszał trąbienie słoni, udręczone ryki lwów i tygrysów, zwierzęta, podobnie jak ludzie, były pod ostrzałem od wielu miesięcy.

Wyjechali z Tiergarten i skierowali się na Unter den Linden. Przed sobą mieli Bramę Brandenburską. Kladen spojrzął na szczyt łuku. Nadal znajdował się tam marmurowy rydwan, ale trzy spośród czterech koni z brązu leżały na bruku. Po lewej stronie stały ruiny Reichstagu z ciągle widocznym na poczerniałej ścianie napisem: „Narodowi niemieckiemu”. Na wschodniej ścianie wisiał groteskowo przekrzywiony, olbrzymi portret Hitlera.

Na Unter den Linden ludzie wychodzili z piwnic i przeszukiwali gruzy. Kladenowi przypominali armię owadów szukających resztek jedzenia na olbrzymim śmietniku. Nagle rozległ się straszliwy grzmot. Wielkokalibrowe działa rosyjskiej 1. Armii rozpoczęły ostrzeliwanie niemieckich pozycji w Küstrin. Szkielety zrujnowanych budynków zatrzęsły się, a ludzie przerwali swoje poszukiwania, spoglądając ze strachem na północ. Ostrzegano ich, że ze wschodu nadejdą hordy mordując, gwałcąc i rabując, a teraz można już je było zobaczyć u bram miasta. Geniusz zła z uschniętą ręką i drżącą głową był w martwym mieście ciągle żywy. Nadal nadawał tę samą wiadomość: „Wyjdźcie z ukrycia. Przygotujcie się. Bądźcie gotowi zginąć za honor Rzeszy. Ostatnia wielka bitwa o ocalenie cywilizowanego świata przed mongolską nawałą przypadła w udziale narodowi niemieckiemu...” Kladen nie przypuszczał, żeby ktoś posłuchał. Już nie. Pozostało tylko pytanie, jak uratować naród. Może *Reichsführer* Himmler ma na nie odpowiedź. To on przygotował misję Kladena. Oby Bóg sprawił, żeby miał rację.

Na rogu Pariser Platz i Wilhelmstrasse oślepił go nagły tuman czerwonego pyłu. Zamrugał gwałtownie, żeby oczyścić oczy, po czym przycisnął palcami powieki. Była to sztuczka, której nauczył się wiele lat temu w Afryce. Kiedy odzyskał wzrok, spojrzął z niedowierzaniem na budynek, którego zdobiona fasada cudem pozostała nietknięta. Był to hotel „Adlon”, który zachował się w całej swojej dziewiętnastowiecznej elegancji.

„Adlon” był czymś więcej niż hotelem. Był legendą. Przed wojną cieszył się sławą ulubionego miejsca spotkań koronowanych głów, szefów wielkich karteli przemysłowych, dyplomatów, prezydentów, artystów, kompozytorów, osobistości Rzeszy, osławionych kurtyzan i ich bogatych kochanków. Znajomość z recepcjonistą w „Adlon” świadczyła o

pozycji społecznej. Kladen uśmiechnął się ponuro, myśląc o tych wszystkich zniszczonych budynkach, o wszystkich pomnikach chwały Trzeciej Rzeszy, zamienionych w sterty gruzów. Makabryczną ironię losu stanowiło to, że hotel „Adlon” pozostał nietknięty.

Zaparkowali przed wejściem, pomiędzy dwoma samochodami sztabowymi. Kierowcy, ubrani w szare mundury polowe, stanęli na baczność i energicznie zaszalutowali, kiedy generał major Kladen wysiadał z wozu. Przez moment stał w milczeniu, obserwując fronton hotelu. Okna zaciemniono papą, a ścianę osłonięto workami z piachem aż do wysokości drugiego piętra. Jednak pomimo zaciemnionych okien i worków, stary hotel, jak *grande dame* z przełomu wieków, zachował swoje dostojeństwo.

Kladen zapalił papierosa, głęboko zaciągnął się, po czym podążył za swoim kierowcą do środka.

Olbrzymi hol o marmurowych ścianach przystrojonych piętnastowiecznymi gobelinami tonął w mroku rozświetlonym tylko słabymi żarówkami i gdzieś tam rozmieszczonymi świecami. Z wysokiego, pokrytego freskami stropu zwisał beczenny antyczny żyrandol, udekorowany kaskadą kryształowych ozdób.

Przejście ze światła dziennego do wnętrza, gdzie panowała wieczna noc, było dziwnym uczuciem. Kladen zdjął czarne, skórzane rękawiczki, podczas gdy jego oczy przyzwyczajały się do półmroku. Zwrócił uwagę na grupki mężczyzn i kobiet, niewyraźnych postaci w różnorodnych strojach, stojących w różnych częściach holu. Zobaczył pilotów Lufwaffe w niebieskich mundurach, rozmawiających półgłosem z dziewczętami o blond włosach. Przypuszczał, że są to prostytutki dostarczane pilotom przez ministerstwo lotnictwa. Kilku ubranych na czarno gestapowców z AMT 3 stało razem, w milczeniu obserwując ludzi w holu. Widział też biznesmenów siedzących na kanapach, popijających herbatę i przeglądających przechodzące z rąk do rąk dokumenty. Ciężko ranny kapitan *Wehrmachtu*, wsparty na kulach, gapił się bezmyślnie na biznesmenów. W kierunku gazowych lamp unosiła się chmura niebieskiego dymu. Z radia na górze dochodził gardłowy głos piosenkarza śpiewającego smutną balladę. Kladen zdjął płaszcz, przewiesił go przez ramię i podszedł do recepcji.

Łysiejący recepcjonista rozmawiał przez telefon w języku, który przypominał Kladenowi szwedzki. Nie przerywając rozmowy dał znak, że za chwilę zajmie się gościem.

Po chwili skończył rozmowę i uśmiechnął się do Kladena:

- Czym mogę służyć, generale?

- Generał major Helmut Kladen. Mam się spotkać z generałem SS Schellenbergiem.

Na dźwięk tego nazwiska recepcjonista zeszywniał. Jego ton stał się oficjalny i

energiczny.

- Tak, oczywiście. Oczekiwaliśmy pana, generale. Proszę się udać za chłopcem hotelowym.

Kladen podszedł do małej windy o ażurowej konstrukcji. Chłopiec zaczekał, aż wejdzie do środka, po czym zamknął okratowane, błyszczące drzwi. Jechali w milczeniu i tylko od czasu do czasu chłopiec spoglądał na odznaczenia Kladena. Winda łagodnie zatrzymała się na czwartym piętrze. Chłopiec przepuścił Kladena.

- W prawo, generale.

W połowie korytarza chłopiec przystanął i zastukał w dębowe drzwi.

- Kto tam? - dobiegło z wewnątrz.

- Generał major Kladen.

Drzwi otworzył szczupły, mizerny mężczyzna. Miał niebieskie, łagodne oczy i lśniąco, gładko przylizane czarne włosy z przedziałkiem pośrodku. Ubrany był w czarny mundur kapitana gestapo z wydziału AMT 3.

- Witamy w Berlinie, panie generale.

Kladen dał chłopcu trzy marki i wszedł do dużego, wysokiego pokoju z dwójgim dębowych drzwi prowadzących do sypialni. Duże, złożone z wielu małych szybek okna wychodzące na Unter den Linden były zaciemnione, ale pomimo brzydoty papy, pokój zachował niczym nie zakłóconą atmosferę elegancji. W pobliżu okien, na fotelach w stylu Ludwika XIV, siedziało paląc papierosy i popijając szampana trzech mężczyzn w cywilnych ubraniach. Kladen zauważył szyjkę butelki wystającą ze srebrnego kubelka stojącego na stoliku w pobliżu mężczyzn.

- Szampana, generale? - zapytał kapitan. - Dom Perignon, rocznik trzydziesty siódmy.

- Nie, dziękuję - odmówił Kladen.

Położył płaszcz i rękawiczki na sofie i czekał, aż kapitan zapozna go z pozostałymi gośćmi. Jednak mizernie wyglądający gestapowiec wpatrywał się tylko w Kladena z ironicznym uśmiechem, który ani na chwilę nie opuszczał jego twarzy. Kladen skinął głową w kierunku cywilów, po czym zwrócił się do kapitana.

- Powiedziano mi, że to sprawa najwyższej wagi.

- Tak, oczywiście, panie generale. Jedną chwilę.

Kapitan gestapo podszedł do drzwi prowadzących do sypialni i delikatnie zastukał.

- Co jest? - dobiegło chrapliwe burknięcie.

- Przybył generał Kladen, generale.

- Proszę dać generałowi szampana i zapoznać go ze wszystkimi - padła odpowiedź.

Kapitan ruszył szybkim krokiem w stronę stolika, wyjął wilgotną, zieloną butelkę i napelnił złocistym płynem lampkę. Następnie podszedł do Kladena i podał mu trunek.

- Prezent od *Reichsführera* Himmlera.

- Za naród niemiecki - wznosił toast Kladen.

Z twarzy gestapowca zniknął uśmiech. Podszedł do drzwi wejściowych i stanął do nich plecami. Biznesmeni wpatrywali się w Kladena. Ciszę przerwał wybuch kobiecego śmiechu z sypialni.

Kladen wstał.

- Zdaje się, że generał Schellenberg polecił, abym został zapoznany z pozostałymi, kapitanie.

- Tak, tak. Proszę mi wybaczyć, generale - odparł gestapowiec z nerwowym uśmiechem i przeszedł kołyszając biodrami na środek pokoju. - Proszę pozwolić, że najpierw przedstawię doktora Hansa Luschna, ministra zasobów energetycznych Rzeszy.

W przeciwległym końcu pokoju podniósł się starszy, siwowłosa mężczyzna i uklonił się nisko.

- To dla mnie zaszczyt, generale - powiedział i usiadł.

- Karl Saur, dyrektor generalny przemysłu zbrojeniowego Rzeszy - przedstawił kolejnego gościa kapitan.

Korpulentny mężczyzna o zaczerwienionej twarzy, siedzący obok Luschna, bez słowa skinął głową, nie podnosząc się z miejsca.

- Na koniec doktor Abraham Esau, szef biura badań naukowych Rzeszy.

Doktor Esau był wysokim, przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną po czterdziestce.

- Miło mi, generale - powiedział z uśmiechem wstając z miejsca.

Kladen skinął głową, a kapitan wrócił na swoje miejsce przy drzwiach. W dużym apartamencie zapadła niezręczna cisza. Kladen słyszał cykanie antycznego zegara nad kominkiem. Cisza została nagle przzerwana głośnie brzękiem zaciemnionych okien, po którym nastąpił złowrogi huk rosyjskiej artylerii. Kladen zauważył, że wszyscy skulili się na ten dźwięk. Wiedział, że w umysłach cywilów istnieje wielka różnica między bombardowaniem lotniczym i ostrzałem artyleryjskim. Bomby padały z samolotów, które nad celem przebywały tylko przez krótki czas. Ostrzał artyleryjski zaś świadczył o bezpośredniej bliskości wroga. Nie było już gdzie się ukryć. Wojska radzieckie przebijały sobie drogę do serca miasta.

Pierwszy odezwał się Esau.



- Przyjechał pan prosto z frontu, generale?

- Tak. Byłem razem z 56. Korpusem Pancernym przy 9. Armii marszałka Bussego broniącej Seelow.

- Ale Seelow jest tylko dwadzieścia sześć kilometrów stąd! - wykrzyknął Esau.

- Dwadzieścia dwa - poprawił go Kladen. Odczuwał dziwną satysfakcję, obserwując ich przerażenie.

- Czy 12. Armia Wencka idzie już z odsieczą? - zapytał Luschen.

- Nic mi nie wiadomo na temat Wencka.

To spowodowało pęknięcie tamy.

- Mówią, że 11. Korpus generała Felixa Steinera ma przeprowadzić manewr kleszczy, żeby okrążyć przednie oddziały pancerne Koniewa - powiedział korpulentny, czerwoniczy Saur.

- Nic mi nie wiadomo na temat generała Steinera - odparł krótko Kladen.

Gdy ponownie zapadła cisza, znów dało się słyszeć tykanie antycznego zegara. Po długiej chwili duże dębowe drzwi sypialni otworzyły się.

Generał brygady Walter Schellenberg, szef wywiadu *Reichsführera* Himmlera, wszedł do pokoju. Był krępy męczyzną o jastrzębiej twarzy, z czarnymi oczami i bladą cerą. Miał na sobie świeżo odprasowany czarny mundur z insygniami trupiej czaszki na naramienniku. Na jego piersi widniał Żelazny Krzyż pierwszej klasy. Mały złoty medalion nad Żelaznym Krzyżem wskazywał, że był on członkiem-założycielem SS.

Przyglądał się przez chwilę wszystkim obecnym, po czym podszedł do okna. Odchylił kawałek osłony z papy i wyjrzał na ulicę.

- Zapoznał się pan już ze wszystkimi, generale? - zwrócił się do Kladena.

- Tak.

- To dobrze.

Przyglądał się przez chwilę Kladenowi.

- Proszę siadać - powiedział cicho.

Kladen zajął miejsce na sofie, twarzą w kierunku cywilów siedzących po drugiej stronie pokoju. Kapitan gestapo wciąż stał przy drzwiach.

- Gwoli wyjaśnienia, generale. Zostałem osobiście wybrany przez *Reichsführera* Himmlera do przeprowadzenia tej operacji. Jak panu wiadomo, *Reichsführer* objął dowództwo 15. Korpusu stojącego naprzeciw Mongołów Koniewa. Nasza misja jest nie tylko tajna. Jest święta. Jest ostatnią nadzieją na uchronienie narodu niemieckiego przed azjatycką niewolą.

Kladen odchrząknął.

- Rozumiem.

Schellenberg wypuścił z ust chmurę błękitnego dymu.

- Wiedziałem, że pan zrozumie, generale.

Skinął na kapitana, który natychmiast opuścił swój posterunek przy drzwiach i szybko ruszył do stolika ze srebrnym kubelkiem. Nalał szampana, podał kielich Schellenbergowi i wrócił do drzwi. Generał napił się i podszedł do Kladena.

- Rzesza jest pokonana. Naszym zadaniem więc jest ocalenie narodu niemieckiego.

- Jestem przygotowany do wypełnienia tej misji - odparł Kladen.

Schellenberg przeszedł przez pokój i stanął na środku.

- W Zurychu przebywa teraz generał SS Wolff. Prowadzi tam tajne negocjacje z szefem wywiadu amerykańskiego, Allanem Dullem. Wolff zaproponował oddanie Amerykanom naszych najważniejszych dokumentów wojskowych dotyczących prac nad rozwojem nowych broni. Proponujemy przekazanie tych informacji w zamian za amnestię dla tych z nas, którzy służyli Rzeszy w sposób, który może być uznany za zbrodniczy. Poza tym chcemy uzyskać od Amerykanów gwarancje, że wejdą do Berlina przed Rosjanami. Proszę opisać generałowi materiały, które chcemy przekazać - polecił Esauowi.

- Najważniejsze dokumenty dotyczą: odrzutowego myśliwca *ME-262*, działa przeciwlotniczego z elektronicznym celownikiem Zeissa, rakiet V-1 i V-2, samosterujących pocisków ziemia-powietrze, rakiet dalekiego zasięgu A-4 i A-9, planów okrętu podwodnego o napędzie atomowym i wyników naszych badań nad syntetykami.

Schellenberg podziękował Esauowi.

- Doktor Luschen i *Herr* Saur przygotowali manifest - zwrócił się do Kladena. - Jutro rano stawi się pan w kwaterze operacyjnej w Zossen i przejmie konwój sześciu ciężarówek. Pojedzie pan na południe do wioski Bodensee przy granicy szwajcarskiej. Po dotarciu tam, zaczeka pan na wiadomość o wynikach negocjacji Wolffa. Jeżeli zakończą się pomyślnie, przekroczy pan granicę i podda się wraz z konwojem szwajcarskiej straży granicznej. Czy to jasne?

- Droga na południe jest niepewna. Całe terytorium Rzeszy stanowi teraz korytarz o szerokości dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów. W niektórych miejscach, szczególnie w pobliżu Monachium, odległość między Amerykanami i Rosjanami wynosi zaledwie trzydzieści kilometrów. Poza tym drogi są w dzień patrolowane przez brytyjskie myśliwce.

- Dlatego właśnie wybraliśmy pana. Jest pan przecież słynnym weteranem wojsk pancernych. Będzie pan miał eskortę motocyklową i odpowiednie przepustki. Pojedzie pan za

motocyklistami w wozie opancerzonym. Ciężarówka sformuje za panem konwój. Jeżeli chodzi o brytyjskie samoloty, to mamy szczęście. Prognoza pogody przewiduje mgłę i duże zachmurzenie.

- Jakie są rozkazy na wypadek, gdybym został schwytany?

- Będzie pan zdany na siebie.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie wolno panu wyjawiać charakteru tej misji. Chyba że chce pan nas wszystkich skazać na śmierć. Coś jeszcze, generale?

- Tak. Jaki kryptonim nosi ta operacja.

- Walkiria.

- Ależ to było hasło zamachowców spiskujących przeciw Führerowi - wykrzyknął Kladen.

- Wiem o tym. Wybrałem ten kryptonim, ponieważ spodobała mi się jego ironia. Używamy hasła spiskowców, żeby ocalić naród niemiecki.

- Będą mi potrzebne najnowsze doniesienia o pozycjach wroga i dokładne mapy - powiedział Kladen, biorąc płaszcz.

Twarz Schellenberga poczerwieniała, ale zmusił się do uśmiechu.

- W Zossen otrzyma pan wszystkie istotne informacje. Będzie pan miał całą noc na przygotowanie. Jeszcze raz podkreślam, że misja ta jest ochotnicza. Może pan odmówić i dołączyć do swojej jednostki na froncie, a to spotkanie uznamy za niebyłe. Wszystko zależy od pana, generale.

Kladen aż zatrzęsł się ze złości.

- Jestem tutaj, ponieważ całe życie spędziłem służąc narodowi niemieckiemu. I zamierzam służyć mu do końca. Moje oddanie krajowi jest bezdyskusyjne! - powiedział starając się stłumić narastającą w nim wściekłość.

Schellenberg położył rękę na jego ramieniu.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem kwestionować pańskiej lojalności, a tylko podkreślić ochotniczy charakter misji. W nas ostatnia nadzieja na uratowanie narodu - powiedział raz jeszcze do cywilów, po czym odwrócił się do Kladena. - Z Bogiem, generale.  
*Heil Hitler!*

Kladen zsalutował, a Schellenberg skierował się szybkim krokiem w stronę sypialni i zniknął w środku. Kapitan gestapo otworzył drzwi apartamentu. Kladen zaczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym wyciągnął do cherlawego kapitana rękę.

- *Bon voyage, Herr general* - powiedział gestapowiec z uśmiechem.

Kladen ścisnął jego dłoń, aż w oczach kapitana pojawiły się łzy. Generał zwiększył jeszcze siłę, jakby chciał połamać wszystkie kości w tej wiotkiej ręce. Wreszcie kapitan nie wytrzymał i jęknął z bólu. Kladen puścił jego dłoń.

- Teraz może pan ubiegać się o Żelazny Krzyż, kapitanie. Proszę powiedzieć, że został pan ranny w hotelu „Adlon” - to mówiąc wyszedł i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Na olbrzymim łożu w sypialni apartamentu leżała czytając francuski magazyn kilkunastoletnia blondynka.

- Czy zna pan Maurice'a Chevaliera, generale? - zapytała dzieciennym głosem zdejmującego spodnie Schellenberga.

## 2.

Sześć pokrytych plandekami ciężarówek podążało za jadącym w towarzystwie motocyklowej eskorty wozem opancerzonym. Wyruszyli z Zossen o świcie i byli w drodze już siedem godzin, zatrzymując się tylko raz, aby poczekać, aż jednostka saperów oczyści *Reichstrasse* 96, której pięciokilometrowy odcinek został zablokowany przez wraki pojazdów należących do kolumny opancerzonej. Wielkie, pomalowane na szaro i oznakowane czarnymi krzyżami czołgi zostały zaskoczone przez patrol brytyjskich Mosquitów. Z włazów zwisały spalone ciała załóg pojazdów, a z otwartych wieżyczek wzbijały się kolumny czarnego dymu.

Oficer *Wehrmachtu* zaproponował Kladenowi objazd polną drogą. Pozwoliło im to ominąć zablokowany odcinek autostrady. Droga wiała się wśród wzgórz pokrytych polami uprawnymi. Złowrogi huk amerykańskiej artylerii nie ustawał ani na chwilę. Kladen zarządził postój w małym lasku przy drodze. Ludzie załatwili potrzeby fizjologiczne, po czym szybko zajęli się racjami żywnościowymi złożonymi z parówek w puszkach, sera, czekolady i krakersów. Generał niczego nie jadł, wypalił tylko papierosa i wypił butelkę białego wina. Po odpoczynku ruszyli dalej. Kladen z ulgą spoglądał na szare niebo, niską pokrywą chmur i wypełnione mgłą zagłębienia terenu. Jechali równolegle do *Reichstrasse* 96, na wschód.

Kiedy przejeżdżali przez małą wioskę, Kladen zauważył w oddali unoszący się nad Norymbergą słup dymu. Amerykanie posuwali się bardzo szybko. Ten słup dymu na zachodzie nie zgadzał się z meldunkami z frontu. Kladen zdecydował się jeszcze bardziej oddalić od autostrady, aby ominąć amerykańskie kolumny pancerne. Zatrzymał konwój, zeskoczył z wozu i podszedł do jadącego na motocyklu kaprała. Wyjął mapę i wskazał cienką, niebieską linię.

- To jest boczna droga. Dotrzemy do niej przy słupku oznaczającym piąty kilometr. Będziemy nią jechali przez najbliższe osiemdziesiąt kilometrów.

Kapral przytaknął i zasalutował. Konwój ruszył w dalszą drogę.

Kladen stanął w wieżyczce wozu i podniósł kołnierz płaszcza dla ochrony przed wiatrem. Nieco oszołomiony winem, pobiegł myślami w przeszłość, do wspaniałych lat w Afryce. Tak jak teraz stał w wieżyczce, tylko że wtedy nie dowodził ciężarówkami. Znajdował się w czołgu pędzącym przez pustynię na czele kolumny złożonej z trzystu czołgów, uformowanej w kształcie strzały i wiodącej atak wśród ryku silników i powiewających proporców. Tony stali pędzące w kierunku brytyjskich okopów; człowiek, maszyna i żywioły tworzące olbrzymią, stalową pięść. Wola umysłu i ducha pokonująca strach. Byli pancerniakami. Ludźmi *Blitzkriegu*. Elitą, Ale te dni już minęły, pozostając jedynie we wspomnieniach. Kladen pomyślał, że jest jakaś dziwna, ale słuszna ironia w tym jego ostatnim dowodzeniu dwoma motocyklami i sześcioma ciężarówkami.

Dotarli do wzniesienia, gdzie w poprzek drogi wznosiła się barykada policji. Dowodzący oficer sprawdził przepustkę, po czym pozwolił jechać dalej.

- Zauważono amerykańskie patrole. Niech pan uważa, generale! - krzyknął, kiedy kolumna mijała go.

Kladen skinął głową i zasalutował. Uśmiechnął się słysząc to „niech pan uważa”. Na co miał uważać?

Posuwali się porytą koleinami drogą z prędkością 40 kilometrów na godzinę. Topografia terenu zmieniła się. Pięli się do góry, jadąc przez sosnowy las. Droga stała się bardzo kręta. Musieli zwolnić do niemal żółwiego tempa, ale Kladen nie miał nic przeciwko temu. Niebo zaczęło się chmurzyć i po raz pierwszy uwierzył, że mają szansę.

Sięgnął do obszernej wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął flaszkę francuskiego koniaku. Zdjął nakrętkę i pociągnął duży łyk mocnego trunku. Natychmiast poczuł rozlewające się po żołądku ciepło, które wprowadziło go w stan jeszcze większej euforii. Schował z powrotem butelkę i chwycił się krawędzi wieżyczki.

Powoli wyjeżdżali zza zakrętu, kiedy zauważył wyłaniającego się z lasu dużego, pomalowanego na oliwkowy kolor Shermana. Wpatrywał się z osłupiałą fascynacją, jak wielkie działo kalibru 90 milimetrów obróciło się i wycelowało w nadjeżdżające niemieckie pojazdy. Kopnął kierowcę w ramię, a ten natychmiast nacisnął na hamulec. Następnie obrócił się i kazał stanąć pozostałym ciężarówkom. Jadący w przodzie motocykliści zwolnili, widząc wyłaniającego się z lasu następnego trzy Shermany, które zablokowały przejazd. Kladen uniósł ręce nad głowę. Chwilę później na drogę wybiegła kompania amerykańskiej piechoty. Nagle

zaterkotały karabiny maszynowe czołgów i motocykliści spadli ze swoich maszyn. Motocykle jechały dalej same, aby po chwili zamienić się w jaskrawopomarańczowe kule ognia.

Armaty czterech czołgów były skierowane na konwój Kladena. Generał zeskokczył na ziemię, cały czas trzymając ręce nad głową, po czym rozkazał kierowcom ciężarówek zrobić to samo.

Wysoki, kościsty Amerykanin w stopniu kapitana podszedł do niego. Na jego pagonie widniała biała litera A na niebieskim tle z czerwonym obramowaniem. Kladen znał ten emblemat. Należał do 3. Armii Pattona. W prawym ręku kapitan trzymał pistolet. Obok niego stali sierżant sztabowy i kapral, obydwaj uzbrojeni w karabiny. Pluton piechoty otoczył ciężarówki i kierowców. Amerykański kapitan żuł prymkę, a na jego twarzy widać było kilkudniowy zarost. Stał naprzeciw Kladena i splunął tytoniowym sokiem tuż obok jego błyszczących butów.

- Mówisz po angielsku? - wycedził.

- Jestem generał major Helmut Kladen. Numer służbowy cztery trzy sześć zero pięć - powiedział powoli Kladen.

- Kapitan Jesse Renfro - odparł Amerykanin. - Kompania B, szósty batalion, czternasty regiment, trzecia dywizja, trzecia armia Stanów Zjednoczonych.

Kladen spróbował się uśmiechnąć.

- Czy mogę opuścić ręce, kapitanie?

- Masz nie ruszać swoich cholernych rąk, dopóki ci nie powiem! Spisz nazwiska, stopnie i numery kierowców, potem skuj ich i zawieź do Weiden - rozkazał następnie kapralowi, który skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca.

- Na co, do diabła, czekacie, kapralu?

Głowa kaprała drgnęła.

- Jeszcze nigdy nie widziałem szwabskiego generała. Niech pan spojrzy na te pieprzone medale.

- Tak. Pieprzone SS. Może to on był w Malmedy. Zamordowali tam wszystkich chłopaków ze 101. - mruknął sierżant.

Kladen zachował milczenie.

- Ruszać się, kapralu! - rozkazał Renfro.

Kapral zasalutował i poszedł w stronę ciężarówek. Kapitan spojrzał na Kladena.

- Co jest w tych ciężarówkach? - zapytał.

- Nic nie wiem na temat ładunku. Miałem je tylko konwojować.

- Dokąd?

- Na południe. Do wioski o nazwie Bodensee.
- Sprawdźcie, co tam jest - polecił sierżantowi.
- Tak jest!

Grupa żołnierzy przeprowadziła obok nich kierowców ciężarówek.

- Za co te wszystkie odznaczenia? - zainteresował się Renfro.
- Za kampanie w Afryce i w Rosji.
- W jakiej jednostce?
- Byłem dowódcą jednostki pancерnej. Czy mogę zapalić?

- Coś panu powiem, generale. Ta kompania ma już dość Niemców. Zostałem kapitanem, bo w ciągu ostatnich dwóch tygodni straciliśmy sześciu oficerów liniowych. Niech więc pan trzyma głowę na kłódkę.

- Kapitanie!
- Tak?

- Niech pan lepiej sam na to spojrzysz! - sierżant złapał oddech i kontynuował: - Tam są jakieś dokumenty. Wszystkie ciężarówki są ich pełne.

- Zostań z generałem i patrz mu na ręce.

Renfro podszedł do pierwszej ciężarówki. Dwóch żołnierzy pomogło mu wejść do środka. Było tak, jak powiedział sierżant. Rzędy stalowych szafek z dokumentami. Wszystkie zamknięte. Żadnego oznakowania.

Wyjął z kabury pistolet i strzelił w najbliższą szafkę. Zamek eksplodował. Schował pistolet i wyciągnął szufladę. Było w niej dziesięć pomarańczowych teczek wypchanych dokumentami. Wyjął pierwszą z nich, otworzył i zerknął na pierwszą stronę. Widniał tam nagłówek: „*Kummersdorf Experimentelle Anlage - Brandenburg*” oraz nazwisko Walter Dornberger. Renfro zdołał odcyfrować słowa „batalistyka” i „rakiety A-1 - A-4”. Odłożył teczkę i zamknął szufladę. Następnie zeskoczył na ziemię i zwrócił się do dowódcy plutonu.

- Weź sześciu ludzi, którzy potrafią prowadzić ciężarówki. W każdym wozie ma być ponadto dwuosobowa eskorta do pilnowania tych akt.

Dowódca plutonu zaszalutował, podszedł do swojego oddziału i zaczął wywoływać nazwiska. Renfro włożył do ust kolejny kawałek tytoniu i zbliżył się do Kladena. Sierżant trzymał go na muszce i generał ciągle miał podniesione ręce.

Kapitan splunął i spojrzał na Kladena.

- Ma pan manifest tego konwoju?

Kladen sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Sierżant szturchnął go lufą karabinu. Kladen skrzywił się z bólu i podniósł ręce z powrotem nad głowę.

- Niech pan nie opuszcza rąk bez mojego pozwolenia.
- Chciałem dać panu moje rozkazy. Nie mam manifestu.
- Pieprzę pańskie rozkazy! Prosiłem o manifest. Co jest w tych aktach? - warknął

Renfro.

Nadchodziła noc. Zrobiło się chłodniej i Kladen poczuł ogarniającą go falę rezygnacji. To koniec. Najwyraźniej miał do czynienia z oficerem o niższej pozycji. Miał już wcześniej z takimi do czynienia. Kilka lat temu, na przełęczy Kasserine w Afryce, kiedy okrążyli amerykańską 34. Dywizję i wzięli do niewoli tysiące jeńców. Z uwagi na znajomość angielskiego musiał pomagać oficerom Abwehry i wiedział, że nic nie można poradzić na amerykańską ignorancję i brak wychowania.

- Zapalcie reflektory na czołgach - rozkazał Renfro sierżantowi i ponownie zwrócił się do Kladena: - Jeszcze raz pytam. Co to za dokumenty?

- To są tajne akta wojskowe - westchnął generał.

Reflektory na czołgach zapaliły się i sierżant wrócił.

Kapitan uśmiechnął się. Wiedział, że po raz pierwszy w życiu Jesse Renfro odniósł wielki sukces.

- Sierzancie!

- Tak jest!

- Słuchajcie uważnie. Połączcie się z batalionowym S-2 i pułkowym S-5. Powiedzcie im, że mamy konwój sześciu ciężarówek wyładowanych tajnymi dokumentami, a także generała majora SS obwieszzonego medalami.

- Tak jest! - sierżant zaczął odchodzić.

- Sierzancie! - głos Renfro zatrzymał go. - Powiedzcie im, żeby zawiadomili Kwaterę Główną 1. Armii. Połączcie się też z majorem z G-2 i zawiadomcie sekcję wywiadu SHAEF w Reims.

Sierżant zasalutował i oddalił się biegiem. Kladen i Renfro stanęli w świetle reflektorów.

- A teraz, generale, może pan sięgnąć do kieszeni i dać mi te rozkazy.

Generał opuścił ręce. Żałował, że nie było czasu, aby zaminować konwój. Prawą ręką sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Nie odrywał wzroku od twarzy Renfro. Wyjął rękę, w której znajdował się obły granat zaczepny. Lewą ręką wyciągnął zawleczkę. Zapalnik zaczął działać. Kladen zacisnął dłoń na granacie, skoczył do przodu i przytrzymał osłupiałego Renfro w potężnym uścisku.

Nastąpił złoty błysk, któremu towarzyszył ogłuszający wybuch. W ciągu kilku sekund



kapitan Jesse Renfro i generał major Helmut Kladen zmienili się w mieszaninę krwi i wnątrności, które uformowały ciemną kałużę na suchej, niemieckiej ziemi.

### 3.

Lekki wiosenny deszcz zaskoczył na Rue de Sarge młodego porucznika przydzielonego do wydziału G-2. Pobyt w Reims bardzo mu się podobał. Miasto ze swoimi wąskimi uliczkami i parkami przypominało mu impresjonistyczne obrazy Pissarra. Uśmiechnął się do kilku ubranych na biało-niebiesko uczennic, które podążały za dwiema zakonniceami odzianymi w czarne habity i białe komety. Dziewczęta zachichotały, mijając przystojnego porucznika.

Doszedłszy do rogu, skręcił w wąską uliczkę przebiegającą tuż za stacją kolejową. Powoli skierował się w stronę nowoczesnego, dwupiętrowego budynku, dochodząc do wniosku, że jest coś romantycznego w deszczu. Nad wejściem wisiała tabliczka z napisem „COLLEGE MODERNE ET TECHNIQUE”. Uśmiechnął się na jej widok. Dawne technikum było teraz kwaterą główną alianckiego Korpusu Ekspedycyjnego. Porucznik wiedział, że za nagłym wezwaniem kryje się coś ważnego, gdyż mieścił się tu tylko sztab generała Eisenhowera. Pozostałych 2400 oficerów i szeregowców przydzielonych do G-2 rozlokowano w innych budynkach rozproszonych po całym mieście.

Porucznik pokazał siedzącemu przy biurku żandarmowi swoją przepustkę.

- Pułkownik Hassler oczekuje mnie.

Żandarm skinął głową, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Podał nazwisko porucznika, posłuchał przez chwilę, odwiesił słuchawkę i zwrócił mu przepustkę.

- Ostatnie drzwi na prawo.

Porucznik poszedł korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami, na których widniał napis: „Połączone służby wywiadowcze”. Dwóch żandarmów ponownie sprawdziło jego przepustkę, po czym wpuściło go do środka.

Olbrzymia sala wykładowa została zamieniona w labirynt przegrodzonych szybami pomieszczeń. Przy wejściu do każdego z nich widniała karteczka z nazwiskami oficerów operacyjnych i szefów sekcji. Wszędzie słychać było stukot maszyn do pisania i dzwonki telefonów, a nad grupą dwudziestu osób zajmujących pomieszczenie unosiła się chmura papierosowego dymu. Porucznik podszedł do biura z karteczką: „Wydział Operacyjny. Pułkownik Herbert Hassler”.

Pułkownik był szczupłym, godnie wyglądającym mężczyzną, odzianym w wygniecioną koszulę i czarny krawat. Na nosie miał okulary o grubych szklach. Jego biurko zalegały równe sterty różnokolorowych teczek z napisami „tajne”. Porucznik przedstawił się. Pułkownik zdjął okulary i przetarł oczy.

- Witam, poruczniku.

- Dzień dobry, panie pułkowniku.

- Sądzę, że wie pan o konwoju, który zdołaliśmy przechwycić kilka tygodni temu.

- Tak, panie pułkowniku. To wyjątkowa zdobycz. Właśnie tłumaczyłem niektóre dokumenty na użytek cywilnych naukowców z grupy „ALSO”.

- Zdaje więc pan sobie sprawę, że niektóre z tych materiałów zostały sklasyfikowane jako „czarne”, czyli najwyższej wagi, a inne jako „szare” - mniej ważne.

- Tak.

Pułkownik zapalił papierosa.

- W jednej z ciężarówek znajdowały się dokumenty zawierające chemiczne formuły mające związek z syntetykami. Są one oznaczone niemieckimi kryptonimami. - Pułkownik zaciągnął się głęboko i wypuścił kłęb dymu. - Od imion greckich bogów do rozdziałów Biblii. Na przykład „Genesis”. Dla naszych ekspertów nie przedstawiają żadnej wartości, ale nasi brytyjscy sojusznicy są nimi zainteresowani.

- Dlaczego?

Pułkownik zgasił papierosa.

- Proszę samemu ich zapytać. Ma pan rozkaz przetransportować te dokumenty i akta do Hamburga. Dostanie pan uzbrojoną eskortę. Trasa została już wytyczona, a wszystkie posterunki powiadomione - pułkownik wręczył mu zapieczętowaną kopertę. - Kiedy dotrze pan do brytyjskiej kwatery głównej, zgłosi się pan do majora Anthony’ego Carlina. Pozostanie pan do jego dyspozycji i pomoże w tłumaczeniu oraz deszyfrowaniu tych materiałów.

- Kiedy mam wyruszyć?

- Dziś o 13.00. Sprawdzi pan osobiście manifest, weźmie pokwitowanie i zapieczętuje ciężarówkę.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Coś jeszcze, poruczniku?

- Mam pytanie.

- Jakie?

- Czy ustalono rzeczywisty cel tego konwoju?

- Nie - odpowiedział pułkownik - ale zidentyfikowaliśmy jego dowódcę, wielokrotnie odznaczonego generała wojsk pancernych.

- Dlaczego generał wojsk pancernych został obarczony transportem tajnych dokumentów?

Głos pułkownika stwardniał.

- To chyba nie leży w sferze pańskich zainteresowań, poruczniku.

- Nie, panie pułkowniku.

- Kiedy przybędzie pan na miejsce, proszę do mnie zatelefonować. To wszystko.

Porucznik zasalutował energicznie i wyszedł.

\*

Lekki deszcz zmienił się w ulewę. Ciężarówka parkowała na skrzyżowaniu Rue St-Genevieve i Avenue d'Epemay. W przodzie znajdowały się cztery łaziki. Z tyłu stało dwóch czarnoskórych żandarmów w pelerynach i hełmach. Stalowe drzwi ciężarówki były otwarte i z wnętrza wyszedł młody porucznik trzymając w ręku gruby manifest. Towarzyszył mu podoficer w stopniu sierżanta sztabowego. Porucznik skinął głową na żandarma, który zamknął stalowe drzwi.

- Chyba wszystko w porządku - stwierdził.

Sierżant skinął głową, a z jego hełmu pociekła struga wody.

Porucznik podpisał manifest i podał go do pokwitowania sierżantowi. Następnie wyjął z kieszeni peleryny dużą kłódkę i zamknął dokładnie drzwi.

Dwudziestosześcioletni porucznik, stojący późną wiosną 1945 roku w smaganym deszczem Reims, nie mógł wiedzieć, że właśnie zapieczętował akta, których wartość nie będzie miała porównania z czymkolwiek innym w ludzkiej historii.

# CZEŚĆ I

**Los Angeles - marzec 1978**

## 4.

Thomas Neeley odsunął ciężkie zasłony, a następnie pociągnął za klamkę wielkich oszklonych drzwi, które przesunęły się gładko po stalowych rostkach. Zmrużył oczy przed jasnym światłem poranka i wyszedł na duży, okrągły taras. Z błękitnej tafli wody podgrzewanego basenu unosiły się obłoki białej pary.

Taras otaczała żelazna balustrada osłonięta krzewami winorośli. Neeley dokładniej owinął się szlafrokiem, chroniąc się przed porannym chłodem. Niebo było jasne i tylko kilka nisko zawieszonych chmur stanowiło przeszkodę dla promieni słonecznych. Podszedł do balustrady i spojrzał na rozciągającą się przed nim panoramę miasta.

Taras wychodził na południową stronę i można było z niego zobaczyć Hollywood, Culver City, a dalej wody Pacyfiku. Murowany, piętrowy dom Neeleya był usytuowany na najwyższym ze wzgórz otaczających Sunset Boulevard. Stanowił część eleganckiego osiedla, gdzie ceny posiadłości były mocno wygórowane. Neeley wiedział, że dużo ryzykuje, kupując go jakieś pięć lat temu. Człowieka z jego zawodem nie powinno być stać na taką rozrzutność. Ale wtedy podejmował większe ryzyko niż kupno domu.

Widok z tarasu zawsze działał na niego odprężająco. Szczególnie w nocy, kiedy miasto zmieniało się w błyszczący dywan różnokolorowych świateł. Nawet teraz, o świcie, był urok i siła w tym widoku. Ale to tylko iluzja. Neeley wiedział, jak naprawdę wygląda życie w tych wysadzanych palmami alejach i wykończonych na różowo gettach. Wiedział o przemocy, która rządziła na pięknych, krętych drogach.

Przeżywszy sześćdziesiąt lat Thomas Francis Neeley widział już w życiu wszystko. 22 maja 1946 roku zaczął pracę w Wydziale Policji w Los Angeles. Szybko piął się do góry: od posterunkowego, przez stopień sierżanta w obyczajówce, porucznika w wydziale zabójstw, aż do stopnia inspektora w wydziale operacyjno-wywiadowczym. Po latach wzorowej służby opuścił Wydział w Los Angeles, aby objąć stanowisko szefa policji w Beverly Hills.

Znał swoją robotę od podszewki. Rozumiał działanie systemu sprawiedliwości. Wiedział, że szala zawsze przechyla się na stronę silniejszego i to, że ktoś ma rację, nie gwarantuje mu sprawiedliwego werdyktu. W ciągu swojej kariery spotykał zawodowych zabójców i morderców amatorów, oszustów, handlarzy narkotyków, alfonsów. Jednak najbardziej fascynowali go nieskazitelni wirtuozi pieniądza. Ci utalentowani magicy byli w stanie zaplanować oszustwo z geniuszem równym geniuszowi Einsteina. Ścigał ich, wchodził z nimi w układy i, co najważniejsze, rozumiał ich." Nigdy nie posłał do więzienia człowieka, który na to nie zasługiwał. Nigdy nie brał łapówek. Nie bał się nikogo. Ale to były dawne czasy.

Zmrużył oczy, kiedy przez chmury przedarło się słońce. Poczul przez szlafrok ciepło. Zapowiadał się duszny i gorący dzień, mimo że był to środek marca. Dobry dzień na pozostanie w pobliżu basenu i załatwienie kilku drobnych spraw. Rozwiązał szlafrok i poklepał się po płaskim brzuchu. Nieźle jak na człowieka w moim wieku, pomyślał. Niewątpliwie w zachowaniu szczupłej sylwetki pomagał mu tenis, ale głównie przyczyniało się do tego jego obecne zajęcie. Zdrada fatalnie wpływała na jego apetyt. Nie pamiętał już dokładnie momentu, w którym przekroczył linię i stanął po drugiej stronie prawa. Podejrzewał, że nie było żadnego konkretnego momentu. Był tylko splot okoliczności, odpowiednia chwila, poczucie strachu i nieprawdopodobny kontrast między jego statusem a olbrzymim bogactwem i władzą tych, których miał ochraniać, a którzy mieszkali w tym małym, magicznym trójkącie nazywanym Beverly Hills.

Uderzyło to w niego po rozwodzie z Kay. Miał pięćdziesiąt pięć lat i zmieniał się w domatora oczekującego emerytury i życia w samotności. Samotność mógł znieść, ale nie samotność i brak pieniędzy. Był to ten moment w życiu człowieka, kiedy jest on najbardziej podatny na niebezpieczne perswazje. Kiedy zaczyna zdawać sobie sprawę z własnej śmiertelności. Moment, kiedy będąc na pogrzebie przyjaciela zaczyna odnosić do siebie słowa wygłaszane przez księdza. Neeley odkrył w sobie rosnącą potrzebę posiadania. Co więcej, potrzebę stania się niezbędnym. Tak. To z pewnością udało mu się osiągnąć.

Podszedł do basenu, zdjął szlafrok i nagi wskoczył do parującej wody. Powoli przepłynął kraulem szesnaście długości.

Wyszedł z wody, złapał oddech, podniósł ręcznik i wytarł się dokładnie. Rzucił okiem na białą karteczkę leżącą na szklanym blacie stojącego niedaleko stolika. Znajdowały się na niej trzy nazwiska, ale było jeszcze za wcześnie na telefon. Rozciągnął się na tarasie twarzą do słońca i zamknął oczy, pozwalając ciepłu przeniknąć w głąb ciała. Słońce jednak nie potrafiło usunąć uczucia strachu, który tkwił w jego podświadomości.

Wszystko przez tę niemiecką sprawę. Przeraziła go. Bał się jej od samego początku. Sprawa stulecia. Do diabła, sprawa wszechczasów. Kiedyś miał to w zasięgu ręki. Ale skąd mógł wiedzieć? Nawet eksperci nie zdawali sobie sprawy. Dlaczego powiedział o tym Clementsowi? Doświadczony glina, który siedział w Neeleyu wiedział, że Clementsowi nie można ufać. Jednak w pojedynkę niczego nie można było zdziałać. Poza tym, być może, jego obawy są bezpodstawne. Arthur Clements był nieskazitelnym biznesmenem o szerokich koneksjach. Zasiadał w zarządach pół tuzina wielkich korporacji, między innymi Tidal Oil. Oprócz tego Clements skontaktował go ze starcem, Adamem Steiffelem. Zwrócenie się do Clementsa z tą sprawą wydawało się zupełnie naturalne. Mimo to tkwiło w nim coś, co niepokoiło Neeleya. Niestety, nie mógł już się wycofać.

Starzał się skupić na dzisiejszym przyjęciu u Lea, ale niemiecka sprawa nie dawała mu spokoju. Chryste, nawet gdyby to znalazł, nawet gdyby mu się udało, to jaką miałby z tego korzyść? Pieniądze? Miał ich wystarczająco dużo. Zyski z kokainy stale zwiększały stan jego konta w szwajcarskim banku. Miał tam już ponad dwieście tysięcy wolnych od podatku dolarów i nie istniała możliwość, aby ktoś mógł dowiedzieć się, że to on jest właścicielem tego konta. Tak, kokaina była w porządku. Dlaczego więc wplątał się w tę niemiecką aferę? Było to bardzo niebezpieczne, a mimo to nie mógł się oprzeć. Przypuśćmy, że Clements powiedział Steiffelowi? Pomimo ciepła promieni słonecznych myśl o ogromnej władzy tego starca wywoływała u niego gęsią skórę.

Wycie silnika małego samochodu pnącego się pod górę zwróciło jego myśli w innym kierunku. Wiedział, kto jest w tym samochodzie. Dziewczyna. Jak zwykle punktualna. Na myśl o niej poczuł falę gorąca. Nie była zbyt rozmowna. Nie musiała być. Dostarczała osiemdziesięciosiedmioprocentowej kokainy. Co za dziewczyna!

Wstał, włożył szlafrok, zapalił cygaro i podszedł do balustrady. Szary Datsun wyglądał jak mały żuk, kiedy tak piął się po stromym zboczach.

Dziewczyna fascynowała go. Nigdy nie spał z nią, ale myślał o tym. Często. Nie chodziło o jej urodę. W tej dziewczynie było coś więcej. Coś wyjątkowego i niespotykanego. Miała w sobie coś z drapieżnika. Efekt był wprost hipnotyczny. Sposób, w jaki jej palce dotykały przedmiotów, w jaki jej usta jakby owijały się wokół każdego wypowiedzanego przez nią słowa. To, jak jej długie, ciemne włosy całkowicie naturalnie opadały na ramiona. Nie malowała się, ale pachniała perfumami, których woń zapierała dech w piersiach. Na przegubach pobrękiwały bransolety z kości słoniowej, a francuskie dżinsy podkreślały wszystkie jej krągłości. Jej uśmiech był jak wspomnienie dawnego romansu.

Zobaczył, że samochód wjeżdża na podjazd i szybko wrócił do salonu, zasuważąc za

sobą drzwi i zaciągając zasłony. Przekręcił mały reostat, przyciemniając światła. Podszedł do lustra nad kominkiem i zmierzwił nieco włosy.

Dziewczyna zatrzymała Datsuna obok zaparkowanego Mercedesa i zgasiła silnik. Otworzyła dużą torbę i wyjęła z niej lalkę voodoo, w której znajdowało się pół kilograma prawie czystej kokainy. Przejrzała się w lusterku wstecznym i powoli przejechała językiem po wargach. Jeszcze raz zerknęła w lusterko, po czym otworzyła drzwiczki i wysiadła z samochodu.

Rozległ się dźwięk gongu. Neeley podszedł do drzwi, spojrział przez wizjer i zobaczył jej twarz... Co za dziewczyna!

## 5.

Doheny-Palms to wysoki blok mieszkalny na ostrym zakręcie ulicy Doheny, która pnie się od Wilshire Boulevard w kierunku Sunset Boulevard. Mieszkańcy bloku stanowili mieszkankę podstarzałych aktorów, poślednich menedżerów, prostytutek, które miały już za sobą lata świetności, oraz emerytów żyjących ze swoich skromnych rent i tego, co dostaną od tych swoich potomków, którym bardziej powiodło się w życiu. Wszystkich lokatorów łączyło poczucie przejściowości. Wszyscy byli weteranami rozbitych małżeństw, zerwanych związków i wyblakłych marzeń.

Barney Caine stał na oświetlonym słońcem tarasie swojego apartamentu na dwunastym piętrze, dopijając trzecią filiżankę kawy. Wyprostował się nieco, tak aby krótki Smith and Wesson kaliber 0.38 cala, umieszczony w kaburze pod lewą pachą, nie wypychał marynarki. Odstawił kawę, wciągnął głęboko w płuca powietrze i spojrział na śliczną dziewczynę opalającą się na leżaku.

Kathy Barnes poruszała ustami, czytając kalendarium niedzielnego „Timesa”. Miała na sobie czerwone bikini, które z trudem zakrywało jej różowe sutki i ciemne włosy na podbrzuszu. Była wysoka, o jasnych włosach nie bardzo pasujących do jej czarnych oczu. Barney pomyślał, że lepiej by wyglądała w swoim naturalnym, ciemnym kolorze. Ale Kathy była stewardessą, która ciągle wierzyła w to, że na wysokości dziesięciu tysięcy metrów blondynki działają kojąco. Poza tym uważała, że jej blond kucyk bardziej pasował do znaku firmowego linii lotniczej, dla której pracowała. Nie miała rewelacyjnej figury, ale była zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach i kiedy znajdowała się na ziemi, dbała o to, żeby zachować sylwetkę. Grała w tenisa, uprawiała jogging, tańczyła i kochała się tak często,

jak to tylko możliwe, często zmieniając przy tym partnerów, a nie stroniła też od kobiet.

Poznali się trzy miesiące temu w czasie lotu z Chicago do Los Angeles. Barney poleciał do Chicago, aby zeznawać przeciw pewnemu członkowi mafii, który swego czasu działał w Los Angeles. Zeznania Barneya były potrzebne do ustalenia niektórych detali z życia gangstera. Była to przyjemna podróż. W czasie lotu powrotnego dostał miejsce w pierwszej klasie i tam właśnie spotkał Kathy, uśmiechniętą blondynkę w czerwonym mundurze, w którym wyglądała jak rajski ptak.

Po wylądowaniu na lotnisku w Los Angeles, Barney zaczekał, aż wyjdzie, po czym zawiózł ją do restauracji „La Dolce Vita” w Beverly Hills. Kathy miała ogromny apetyt i sprawiało mu przyjemność patrzeć, jak je. Przypominała mu aktorkę, z którą kiedyś się spotykał. Zjadała wszystko, co było w zasięgu wzroku, nawet pieczywo z sąsiednich stolików. Kathy jadła z takim samym zapałem. Wyjaśniła mu pomiędzy kolejnymi daniami, że jedzenie w samolocie jest nie tylko niejadalne, ale wręcz szkodliwe.

- Chryste - powiedziała z ustami pełnymi chleba i pasty czosnkowej - tyle tam środków konserwujących, że koń by padł.

Po paście przyszła kolej na cielęcinę. Barney zamówił *zuppa di clams* oraz dwie butelki wina. Po obiedzie napili się wermutu, a Kathy zaczęła opowiadać anegdoty o dziwactwach pasażerów, których obsługiwała w ciągu swoich dziesięciu lat latania. Opowieści były doprawione żywymi opisami jej przygód miłosnych. Zafascynowała go jej bezpośredniość. Nigdy dotąd nie spotkał dziewczyny, która w ten sposób opowiadałaby o swoich doświadczeniach seksualnych. Wyszli z restauracji i pojechali do jego mieszkania. Nie do końca wywiązała się ze swoich obietnic, ale nie wskutek braku entuzjazmu. Dopiero pierwsze poranne promienie słońca skłoniły ją do zaśnięcia.

Od tego czasu wszystkie weekendy spędzali razem, a przynajmniej te, kiedy on nie był na służbie, a ona nie miała lotu. Barney wiedział, że ich związek dobiega końca. Tak naprawdę to nie mieli żadnych wspólnych tematów do rozmowy. W łóżku było im dobrze i nie sprawiała mu żadnych kłopotów. Mimo to zaczął rozglądać się za nowymi twarzami. Potrzebował kogoś. Potrzebował kogoś od czasu, kiedy rozpadło się jego małżeństwo.

Zapalił cygaretkę, podszedł do leżaka i usiadł obok na ziemi. Kathy opuściła gazetę i spojrzała w jego łagodne, piwne oczy.

- Grają nowy film ze De Niro - powiedziała.
- De Niro to świetny aktor - odparł.
- Chcesz pójść? Grają go w „Avco”.
- Jeżeli tylko zdążę ze spotkania z Timmym.



- To zabawne - uśmiechnęła się - jesteś trzecim niedzielny tatusiem, którego znam. - Odpędziła muchę, która usiadła jej na twarzy. - Perspektywa spędzenia niedzieli w samotności jest paskudna, ale rozumiem cię. To chyba dobrze, że rozumiem, nie sądzisz?

- Tak. To godne pochwały. Tak samo ja rozumiem, kiedy tobie w niedzielę wypada lot.

Wstał, odwrócił się do niej plecami i spojrzał na miasto. Z tarasu rozciągał się wspaniały widok. Z tej wysokości nawet najpodlejsze uliczki nie wyglądały tak nędznie.

Kathy podniosła się z leżaka i powoli podeszła do niego. Objęła go i przytuliła się. Była prawie takiego samego wzrostu. Spojrzała na półokrągłą bliznę na jego prawym policzku i na wypukłość na prostym nosie. Wargami musnęła jego usta.

- Musisz już iść? Zaraz? - zamruczała.

- Tak.

Pocałował ją delikatnie.

Biały aparat telefoniczny stojący na okrągłym stoliku nagle zadzwonił ostro. Podeszedł i podniósł słuchawkę. Był to Charlie McKeever z Centrali. Barney mógł wyobrazić sobie rumianego, mającego kłopoty z nadwagą Irlandczyka, siedzącego na obrotowym krześle przed konsolą. Z upływem czasu jego nastrój będzie stawał się coraz bardziej ponury, a butelka whisky w biurku będzie coraz lżejsza.

- Wyłaź z łóżka i rusz tyłek do Nolana z operacyjnego - warknął McKeever.

- Do operacyjnego? Po co? - zapytał Barney.

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

- Czyj to pomysł?

- Komisarza - odburknął McKeever.

Kathy włączyła radio. Rozległa się cikliwa i melodyjna piosenka Carol Simon. Obserwowała, jak mięśnie na jego twarzy twardnieją.

- Dłaczego ja, Mac?

- Nie wiem - McKeever czknął i zachichotał. - Może dlatego, że jesteś taki sprytny. Zapytaj komisarza. Ja jestem tylko durnym gliną pracującym w niedziele, wpatrującym się w ściany koloru moczu i czekającym na emeryturę. A teraz bierz tyłek w troki, mój drogi.

McKeever wyłączył się.

Barney nie odłożył słuchawki, tylko wcisnął widelki, przerywając połączenie.

Kathy spojrzała na niego.

- Nici ze spotkania z Timmym?

- Tak - potwierdził.

Zdjął rękę z widełek, poczekał na sygnał i wykręcił numer. Miał nadzieję, że to nie Alice odbierze. Usłyszałyby tylko znajome: „Jak możesz robić coś takiego własnemu synowi. Był tak podniecony, że nie spał całą noc”. Rozdrapywałaby ranę, mimo iż wiedziała, że sprzeczka i tak zakończy się tym samym co zawsze - stwierdzeniem, że na pierwszym miejscu jest praca. To zniszczyło ich małżeństwo.

Alice podobały się lata jego pracy w CIA. Znajdowała coś fascynującego w tym etapie kariery Barneya. Jako członkowie korpusu dyplomatycznego Departamentu Stanu byli w Madrycie, Rio, Meksyku, San Salvador i w końcu w Santiago de Chile. I chociaż nigdy nie opowiadał o swojej pracy, to jednak czuła pewne podniecenie, któremu towarzyszyło poczucie dostatniego życia bez potrzeby martwienia się o rachunki. Nigdy nie myślała, że z jego pracą może być związane jakieś niebezpieczeństwo. CIA była po prostu szczególną częścią korpusu dyplomatycznego. Ale kiedy Barney zrezygnował i postanowił wstąpić do policji w Los Angeles, wszystko się zmieniło. Zniknęło podniecenie. Praca była żmudna, a ona czuła skrępowanie, kiedy na pytania o pracę Barneya, musiała odpowiadać, że jest policjantem. Małżeństwo rozpadło się i zdecydowali, że wezmą rozwód. Alice wkrótce wyszła za znanego neurochirurga i zamieszkała w dużej hiszpańskiej posiadłości w zalesionej części Bel Air.

Barney miał szczęście. Telefon odebrał Timmy. Wyjaśnił mu dokładnie sprawę, starając się nie urazić jego uczuć. Obiecał, że zadzwoni, jak tylko będzie wolny, i może uda im się pójść na wcześniejszy seans, a potem na kolację do McDonalda. Timmy przyjął to bardzo mężnie.

- W porządku, tato. Uważaj na siebie.

Kathy odprowadziła Barneya do drzwi. Powiedział jej, że zadzwoni, ale jeżeli ma jakieś inne plany, to niech się nie krępuje. Skinęła głową i zamknęła za nim drzwi. Wyszła z powrotem na taras, podeszła do telefonu i wykręciła numer pewnego interesującego mężczyzny, którego poznała w czasie piątkowego lotu z Nowego Jorku.

## 6.

Kwatera główna Wydziału Operacyjnego mieściła się w wysokim budynku na rogu Berendo i Wilshire. Przed wejściem stały dwa wysokie, choć trochę przywidłe kaktusy. Na środku przeszklonego holu znajdowała się fontanna z marmurowym posągami bogini Diany. Jej kamienna twarz miała nieco zdziwiony wyraz, tak jakby zastanawiała się, dlaczego z jej

ust bez przerwy tryska strumień zielonkawej wody.

Szefem Wydziału Operacyjnego był John Nolan. Jego biuro zadowoliloby niejednego szefa dużej korporacji. Trzy ściany były wyłożone boazerią, a czwarta stanowiła olbrzymie okno wychodzące na miasto. Nolan siedział za biurkiem, czytając długi teleks i nerwowo żując zgasłe cygaro.

Był krępy, rumianym mężczyzną o twarzy pokrytej fałdami skóry. Miał pięćdziesiąt trzy lata, ale obwisła twarz i duża nadwaga zdawały się dodawać mu dziesięć lat. Urodził się w południowej dzielnicy Bostonu i chociaż większość życia spędził w Kalifornii, kiedy był zdenerwowany dawał się słyszeć jego bostoński akcent. Nie sprawiał wrażenia zbyt bystrego człowieka, miał opinię solidnego biurokraty, który znał reguły gry politycznej i zawsze postępował według zasady „Wydział ponad wszystko”.

Wydział Operacyjny miał status niezależnej jednostki policyjnej, której podstawowym zadaniem była koordynacja przepływu materiałów dowodowych i informacji pomiędzy trzydziestoma sześcioma wydziałami dochodzeniowymi rozproszonymi po całym mieście.

Nolan objął funkcję szefa tego wydziału piętnaście lat temu. Przetrzymał sześciu kolejnych komisarzy. Zawsze mówił cicho, ale znał wiele sekretów. Wiedział, gdzie pogrzebano duże skandale. Jako prawdziwy człowiek swoich czasów, opanował do perfekcji sztukę przetrwania.

Przez wielkie okno obserwował w milczeniu miasto sierżant Louis Yosuta. Był *Nisei*, japońskim Amerykaninem, i trudno by znaleźć autentyczniejszego Kalifornijczyka od niego. Urodził się w 1943 na terenach toru wyścigowego Santa Anita, kiedy służył on jako obóz internowania kalifornijskich Japończyków, z których większość miała synów, którzy na ochotnika zgłosili się do armii i mężnie walczyli z Niemcami we Włoszech. Brat Louisa, James, zginął, kiedy 442. Batalion złożony z Nisei prowadził 34. Dywizję w samobójczym forsowaniu rzeki Rapido. Louis był wzorowym studentem i otrzymał stypendium do UCIA. Służył w 1. Dywizji Zwiadu Kawalerii Powietrznej od 1962 do 1965 roku. Jesienią 1966 roku wstąpił do Wydziału Policji w Los Angeles, gdzie otrzymał wiele wyróżnień.

Nolan wybrał Louisa do Wydziału Operacyjnego spośród dwustu kandydatów i nie pomylił się. Louis był inteligentny i miał niezachwiane poczucie obowiązku. Nolan przydzielał mu niektóre bardzo delikatne, polityczne sprawy i szczupły, przystojny Japończyk przechodził jego najśmielsze oczekiwania. Louis był najważniejszym podwładnym Nolana.

Nolan położył teleks na biurku i spojrzał na Louisa.

- Usiądź, na miłość boską.

Louis odwrócił się w jego stronę.

- Wzywasz mnie w niedzielę, mówisz, że to pilne, a od piętnastu minut nie odezwałeś się ani słowem.

- Czekałem, aż przyjdzie Caine. Nie będę wtedy musiał się powtarzać. A teraz usiądź.

Louis przeszedł po grubym, ciemnym dywanie i usiadł na krześle naprzeciw biurka Nolana.

- Nie potrafię zrozumieć - powiedział - dlaczego musimy zwracać się do Wydziału Spraw Wewnętrznych i Wywiadu, kiedy możemy użyć naszych chłopców: Kuppera, Stillmana, Greene'a, Fitzsimonsa i całej reszty. Po co nam ten Caine?

- Zostałem tak poinstruowany przez jego wysokość komisarza. Wystarczy ci to, Louis?

- Kim jest ten Caine? - zapytał Louis.

Nolan podał Louisowi teleks z informacjami z Centrali.

CAINE, BARNEY

URODZONY: 8.11.1942, w szpitalu Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w Langley Field, Wirginia.

OJCIEC: HARRY LAWSON CAINE: zmarł: 13.01.1943 podczas nalotu na Kolonię. Pułkownik 36 misji. DFC. Purpurowe Serce.

MATKA: JANET FLORENCE: zmarła: 23.05.1962. Rak.

WYKSZTAŁCENIE: Akademia Wojskowa Hawthorne'a w Los Angeles, Uniwersytet w Chicago.

STOPNIE NAUKOWE: Magister: filozofia, kryminologia.

JĘZYKI OBCE: hiszpański - płynnie.

PRZEBIEG SŁUŻBY: Zwerbowany do CIA: 30.03.1965.

PRZYDZIAŁY: Meksyk, Madryt, Rio de Janeiro, San Salvador, Santiago.

ZREZYGNOWAŁ: 05.09.1970: POWÓD NIE PODANY.

\*Zob. *komentarz FED*, str. 23.

WYDZIAŁ POLICJI W LOS ANGELES: 04.03.1971.

OFICER WPROWADZAJĄCY: Inspektor Thomas Neeley.

PRZYDZIAŁY: 06.04.1971 - OBYCZAJÓWKA.

02.07.1972 do 25.08.1974 - WYDZIAŁ ZABÓJSTW.

26.08.1976 do 12.09.1976 - WYDZIAŁ METRO\*. [METRO - Metropolitan Police]

---

\* METRO - Metropolitan Police

14.09.1976 do teraz - SPRAWY WEWNĘTRZNE I WYWIAD-OPERACYJNY.

WYRÓŻNIENIA: WYDZIAŁ d/s NARKOTYKÓW (2) za działania wykraczające poza obowiązki służbowe.

WYDZIAŁ ZABÓJSTW (1) za doskonałe wyniki.

STAN CYWILNY: ROZWIEDZIONY - ALICE SPENCER 15.05.1973.

RODZINA NA UTRZYMANIU: syn, Timothy William Caine: Urodzony: 18.10.1968.

UWAGI: Zdolny. Pomysłowy. Czasami działa wbrew obowiązującym procedurom. Szanowany przez kolegów. Nie ma bliskich przyjaciół w policji. Brak w ostatnim czasie kontaktów z wprowadzającym, T. NEELEYEM. Utrzymuje kontakty z niektórymi kolegami z CIA. Ocena WYDZIAŁU SPRAW WEWNĘTRZNYCH: Ponadprzeciętna Zainteresowania polityczne: zarejestrowany jako niezależny.

PROŚBA O INFORMACJE: GODZ. 11:26 15.03.1978

KOMISARZ POLICJI: MO: PERSONALNE NUMER AKT: AR6743-LAPD:DUO

Louis oddał teleks.

- Wywiera wrażenie - powiedział.

Nolan włożył teleks do szuflady biurka.

- Bardzo mi miło, że wywarło to na tobie wrażenie, Louis. Komisarzowi też jest na pewno przyjemnie z tego powodu.

Rozległ się brzęczyk i Nolan przycisnął mały perłowy guzik z boku biurka, otwierając drzwi biura.

Wszedł Barney. Nolan nie wstał, lecz zdołał lekko się uśmiechnąć.

- Cześć, Caine.

Barney skinął głową. Nolan machnął ręką w kierunku Louisa.

- To jest sierżant Louis Yosuta.

Louis wstał, Barney podszedł i uścisnął mu rękę.

- Siadaj, Caine. Siadaj - powiedział Nolan jowialnie.

Barney usiadł w głębokim obitym skórą fotelu.

- Zostałeś osobiście wybrany przez komisarza. Rozmawiał z Adamsonem w ISI prosząc, żebyś został czasowo przydzielony do Wydziału Operacyjnego. Adamson zgodził się - powiedział, używając cygara dla podkreślenia swoich słów. - Następnie komisarz zadzwonił do mnie. Będę uczciwy z tobą, Barney. Powiedziałem komisarzowi, że mamy kompetentnych ludzi w wydziale, ale komisarz nalegał. Stwierdził, że ta sprawa może mieć związek z tobą.

Poza tym, z uwagi na twoją służbę w wywiadzie jesteś świadomy potrzeby chronienia w niektórych przypadkach dobrego imienia policji. To jest właśnie taka wyjątkowa sytuacja. Dlatego zajmuje się nią Wydział Operacyjny. Dlatego też ty jesteś tutaj. Zostałeś oddelegowany do mnie. Ale to ty prowadzisz sprawę. Louis jest twoim partnerem. Meldunki będziesz składał bezpośrednio mnie. Jasne?

Barney wziął cygaretkę i użył onyksowej zapalniczki Nolana.

- Zapytałem, czy to jest jasne, poruczniku? - powtórzył Nolan.

- Kto komu podlega, jest jasne. Ale co to jest za sprawa?

Nolan pochylił się.

- Niewiele ponad godzinę temu zostały znalezione zwłoki kapitana Thomasa Neeleya.

Jak się dowiedziałem, Tom Neeley był twoim opiekunem.

Barney wymienił z Louisem szybkie spojrzenie.

- Gdzie znaleziono Neeleya? - zapytał.

- W łóżku w jego własnym domu na wzgórzu.

- Jest już tam koroner?

- Zbudzili do tego Torresa - potwierdził Nolan.

- Kto go znalazł?

- Szofer Leo Mirella.

Nolan podał Barneyowi jakąś kartkę.

- Kto to jest Leo Mirell?

- Leo Mirell prowadzi największą w mieście agencję teatralną. Na razie wstrzymaj się z pytaniami. Na miejscu są policjanci Cauthen i Meyer. Wszystko jest tak, jak było. Nic nie zostało ruszone. Tutaj jest adres. Czekają tam na was.

Louis i Barney wstali.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

- zapytał Barney.

- Tak. Wszyscy słyszeliśmy pogłoski, że Neeley jest wplątany w handel kokainą. Znamy też pogłoski, że zajmował się praniem brudnych pieniędzy. Wiemy, że żył z czegoś więcej niż gołej emerytury. Wiemy, że zadawał się z niebezpiecznymi ludźmi. Ty znałeś Neeleya. Pracował wzorowo przez wiele lat, zanim objął Beverly Hills. Tom Neeley to nazwisko znane w całym mieście. Wydział już nas naciska.

Nolan wstał, obszedł biurko i podszedł do Barneya.

- Prowadzimy dochodzenia w sprawach czterdziestu trzech nie uzbrojonych podejrzanych zastrzelonych przez policjantów. Mamy na karku tego sukinsyna z Kanału

Siódmego i ta cholerna gazeta „New West”, która nazywa nas gestapowcami - kontynuował.

- Wiem o tym. Prowadzę dochodzenie w sprawie ostatniego zabójstwa dokonanego przez policjanta - odparł Barney.

- W sprawie tego faceta, który nagi wyskoczył z piekarni? - zapytał Louis.

- Zgadza się. Policjanci twierdzą, że denat miał ukrytą broń.

- Gdzie? W tyłku? - spytał Nolan.

- Policjant, który go zastrzelił, twierdzi, że broń miał ukrytą w papierowej torbie.

Okazało się, że miał tam banana.

- Właśnie przez takie sprawy siedzimy po uszy w gównie. I na dodatek mamy zastrzelonego emerytowanego gliniarza, zajmującego się Bóg wie czym. Nie wiem, kto go załatwił. Mam tylko nadzieję, że nie jest to powiązane z jego wcześniejszą działalnością w policji. Dostałeś tę sprawę, żeby obronić Wydział przed gwałtowną reakcją opinii publicznej. To jest nasza wewnętrzna sprawa.

- Czy prasa już o tym wie?

- Nie. Nie powiedzieliśmy nawet jego byłej żonie.

- Dobrze. Zajmę się tym osobiście.

- To twoja sprawa, Barney.

- A co, jeżeli dowiemy się, że to ma związek z jego byłymi informatorami? - zapytał Louis.

- To proste, chłopcy. Wszystko, czego się dowiecie, trafia do mnie. A teraz jedźcie już tam.

Louis otworzył drzwi Barneyowi i wyszedł za nim. Nolan wrócił do biurka i wykręcił numer komisarza.

\*

Południowe słońce świeciło złotym, mglistym światłem. Smog był ciężki i oczy Barneya piekły, kiedy prowadził swojego odrestaurowanego dziesięcioletniego złotego Pontiac GTO zatłoczoną autostradą. Z magnetofonu płynęły piosenki Bee Gees z najnowszego filmu. Jechali na zachód, mijając po drodze ostatnie budynki w stylu Art Deco z lat trzydziestych.

- Ładny samochód. Przypuszczam, że jeżeli trzyma się coś wystarczająco długo, to potem można nieźle na tym zarobić - zauważył Louis.

- Tak. To już jest okaz dla kolekcjonerów. Nie jestem co prawda zwariowany na punkcie samochodów, ale ciężko mi się rozstawać ze starymi rzeczami - odparł Barney.

Minęli Robertson i skręcili w Doheny. Mijali właśnie Doheny-Palms i Barney

pomyślał o Kathy. Zastanawiał się, czy uda jej się wytrzymać do wieczora. Nie przypuszczał.

- Jak poznałeś Neeleya? - zapytał Louis.

- Neeley był przyjacielem mojego ojca. Spotkali się w lotnictwie w 1942 lub 43. Neeley wyleciał ze szkoły pilotów. Przeniósł się do armii. Po wojnie utrzymywał kontakty z moją matką aż do jej śmierci.

- Neeley był dobrym gliną - stwierdził Louis, wyglądając przez okno.

- Tak - zgodził się Barney.

Przecięli Sunset i pojechali na północ w stronę wzgórz.

Minęli dużą posiadłość kupioną ostatnio przez dwudziestoletniego szejka z Arabii Saudyjskiej. Szejk postawił na szczycie muru okalającego posiadłość posągi greckich cherubinów. Odznaczały się one jedną unikatową innowacją. Wszystkie miały włosy łonowe.

- Jak się chcesz do tego zabrać, Barney?

- Zgodnie z regulaminem.

- Regulaminem Nolana?

- Myślę, że musimy pójść na żywioł i chronić dobre imię Wydziału, jeśli się uda.

- Byłeś w CIA?

Barney wiedział, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Każdy gliniarz, z którym pracował, zadawał to pytanie.

- Zgadza się. Pracowałem w Agencji.

- Dlaczego zrezygnowałeś?

- Dobry agent ślepo wypełnia wszystkie polecenia. Ja tego nie potrafiłem.

Zatrzymali się na światłach obok rudzielca w Mercedesie 450 SL. Magnetofon w jego samochodzie grał ogłuszająco głośno. Kierowca miał na sobie koszulkę z myszką Miki, a w lewym uchu kolczyk. Kiedy zmieniły się światła, mrugnął do Louisa i nacisnął na gaz.

Barney skręcił w lewo na Canyon Estates i rozpoczął długą wspinaczkę na szczyt. Mijali wzgórzka zabudowane domami za pół miliona dolarów, usytuowanymi na stokach i po obu stronach szosy. Te same domy warte były mniej niż 200 000 dolarów zaledwie pięć lat temu.

- Myślisz, że Neeley handlował kokainą?

- Takie chodzą słuchy - odparł Louis.

- A co z brudnymi pieniędzmi?

- Kiedy raz przekroczy się linię, wszystko jest możliwe.



## 7.

Minęli ostatni zakręt i zatrzymali się przy krawężniku, w odległości dziesięciu metrów od posiadłości Neeleya. Przy podjeździe po obu stronach ulicy stała zaparkowana mała kawalkada pojazdów. Ambulans z kostnicy, dwa czarno-białe wozy Metro, furgonetka koronera i nieoznakowany wóz z Centrali. Barney pomyślał, że mieli szczęście, iż dom stoi na uboczu, gdyż w przeciwnym razie kłębiłoby się tu od gapiów i kamer telewizyjnych. Sępów, które pojawiały się w przypadku gwałtownej śmierci.

Do Barneya i Louisa podszedł niski, krępy mężczyzna ze spłaszczonym nosem i zapadniętymi oczami. Na wyświechtanej niebieskiej kurtce miał przyczepioną odznakę. Uśmiechnął się i Barney doszedł do wniosku, że - wzięwszy pod uwagę wygląd jego twarzy, niemal pozbawionej warg i o pożółkłych zębach - ten grymas jest wszystkim na co go stać.

- Sierżant Espinosa z Centrali - przedstawił się.

- Barney Caine i Louis Yosuta z Operacyjnego.

Uścisnęli sobie ręce. Espinosa splunął i wytarł sobie usta rękawem.

- Oczekiwaliśmy pana, poruczniku.

Skierowali się w stronę schodków prowadzących do domu. Barney zauważył otwarty garaż.

- Chcę rzucić okiem na samochody.

- Proszę bardzo - powiedział Espinosa.

Weszli do wnętrza. Obok Mercedesa Neeleya stał Rolls-Royce Silver Shadow.

- Angielska bryka należy do Mirella, a ten szwabski do Neeleya - poinformował ich sierżant.

- Gdzie jest szofer Mirella?

- Na górze. Siedzi na tarasie.

- Ktoś już go wypytywał?

- Tak, ale o nic ważnego. Zapytaliśmy go o nazwisko, dokumenty, kiedy przyjechał.

Rutynowe pytania. Resztę zostawiliśmy panu, poruczniku - odparł Espinosa i znowu splunął.

Barney uznał, że musi szybko ukrócić jego arogancję.

- Świetnie. Prowadzę tę sprawę z polecenia komisarza i jeżeli ktoś coś spieprzy, to może szukać sobie innej pracy.

Espinosa rzucił mu wściekle spojrzenie, ale zaraz na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Dlatego niczego nie dotykaliśmy i nie zadawaliśmy zbyt wielu pytań. To pan tu

dowodzi.

Barney przez chwilę wpatrywał się w Espinosę, po czym odwrócił się od niego.

- Zajmij się Rollsem - polecił Louisowi, który podszedł do samochodu i otworzył drzwi po stronie pasażera. Rolls był w wersji angielskiej i kierowca siedział z prawej strony. Barney wsiadł do Mercedesa. Espinosa przyglądał się, jak obydwaj detektywi przeszukują samochody.

Barney otworzył schowek. Znajdował się tam plik kopert opasanych gumką. Zaczął je przeglądać. Oprócz dowodu rejestracyjnego wystawionego 3 marca 1977 i polisy ubezpieczeniowej na pięć lat lub 50 000 mil znalazł przewodnik Michelina po Republice Federalnej Niemiec, mapę okolic Berlina i Hamburga, trzy mapy drogowe Kalifornii oraz dwa rachunki: jeden z hotelu „Hassler” w Rzymie, a drugi z hotelu „Kempinski” w Berlinie Zachodnim.

Odłożył koperty i ponownie zajrzał do schowka. Znajdował się tam jeszcze program wyścigów na torze Santa Anita sprzed tygodnia, z wypisanym na okładce numerem łoża. Schował mapę Niemiec, rachunki i program do kieszeni. Następnie spojrzął na tylne siedzenie. Było nieskazitelnie czyste.

- Rolls jest zarejestrowany na nazwisko Leo Mirellego - powiedział Louis podchodząc do niego. - W środku znalazłem damski grzebień i program z koncertu Zubina Mehty w Musie Center. A ty masz coś ciekawego?

- Może. Zobaczymy.

Barney kiwnął na Espinosę i wspięli się po schodach. Stojący przy drzwiach umundurowany policjant zaszalutował, kiedy wchodzili do domu.

Salon wyglądał, jakby przejechał po nim buldożer. Po podłodze wałały się książki z przewróconego regału, na ścianach smętnie wisiały powyrywane z ram obrazy, a dwie sofy zostały pocięte i rozprute. Podłogę pokrywał biały puch, który wyglądał jak pozostałość po stryżeniu owiec. Barek na kółkach był roztrzaskany, a trzy obite skórą fotele nosiły ślady brzytwy. Pokrywająca podłogę wykładzina została zerwana, odsłaniając drewnianą klepkę. Krążący po pokoju policyjny fotograf co chwila błyskał fleszem. Dwaj specjaliści od odcisków palców dokładnie obsypywali specjalnym proszkiem książki i półki. Prowadzące na taras rozsuwane drzwi były otwarte. Na leżaku przy basenie siedział mężczyzna w uniformie szofera. Obok niego stało, paląc papierosy i rozmawiając, dwóch umundurowanych policjantów.

- Jak nazywają się ci policjanci? - zapytał Espinosę.

- Cauthen i Meyer. Przybyli tu jako pierwsi.

- Czy oni zawsze palą na służbie?

- A skąd niby ja mam wiedzieć? Ja jestem z Centrali, a oni z West Hollywood. Kto ich tam wie.

Louis podniósł skórzaną poduszkę i przejechał palcem po rozciętej krawędzi.

- Cięcie brzytwy. Zbyt równe, żeby mogło to być coś innego.

- Sprowadź tego szofera - polecił Barney.

Louis skinął głową, odłożył poduszkę i wyszedł na taras.

- Gdzie jest ciało?

- Proszę za mną, poruczniku.

Sypialnia była dużym pomieszczeniem, w którym dominowało olbrzymie łóżko. Miała swój własny niewielki taras. Otwarte drzwi prowadziły do łazienki. W ścianę naprzeciw łóżka, dokładnie na wysokości oczu, był wbudowany kolorowy telewizor. Na nocnym stoliku stała kulista lampa i włoski telefon. Podłogę pokrywał puszysty dywan.

Zwinięta kołdra odsłaniała poplamione krwią prześcieradło, na którym leżało w Chrystusowej pozycji nagie, sztywniejące już ciało Thomasa Neeleya. Wzdłuż całej jego długości widniały, poczynając od krocza, a kończąc na czole, ślady po kulach. Na zakrwawionym brzuchu spoczywała wykonana z hebanu lalka voodoo. Miała około 30 centymetrów długości i jakieś 7 centymetrów szerokości. Nad ciałem Neeleya pochylał się krępy, łysy mężczyzna o śniadej cerze. Był to koroner Gabriel Torres. Właśnie pobierał próbki tkanki, krwi, płynów ustrojowych i paznokci. Podawał je swojemu asystentowi, który umieszczał je w specjalnych kopertach.

- *Buenos dias, teniente* - przywitał Barneya, prostując się.

- Jak się masz, Gabby?

- *Muy bien. Como siempre.*

Pracowali już razem i Barney wiedział, czego można się po Torresie spodziewać. Wiedział, że koroner był nieufny wobec współpracowników, którzy nie pochodzili z Meksyku. Potrafił jednak zamaskować swój brak zaufania zwodniczą jowialnością.

- Nie ma to jak praca w niedzielę, Gabby.

- Ostatnio był nagi facet rozwalony przez chłopaków z Metro. Ten z bananem.

- Tak. Nagi facet z bananem - westchnął ciężko Barney.

Wyciągnął paczkę cygaretek i poczęstował Torresa.

- Nie, dziękuję. Rzuciłem palenie.

- I co o tym powiesz, *amigo!* - zapytał Barney wypuszczając z ust kłęb dymu.

Torres spojrzął na okaleczone ciało na łóżku.

- Został zabity jakieś cztery godziny temu. Wystrzelono do niego siedem razy z pistoletu kaliber .22. Znaleźliśmy łuski. Spece z balistyki już się nimi zajmują. Śmierć spowodował strzał między oczy. Z uwagi na moją sympatię do Neeleya, mam nadzieję, że był to pierwszy strzał. Biorąc jednak pod uwagę ilość krwi, jest to wątpliwe. Na członku są ślady spermy. Wziąłem próbkę.

- To znaczy, że przed śmiercią miał stosunek, tak?

- Potem byłoby to raczej niemożliwe, *amigo*. Znalazłem na poduszce dwa czarne włosy i... podaj mi tę poduszkę, Jack - zwrócił się do asystenta.

Ten podniósł głowę Neeleya i rzucił zakrwawioną poduszkę Torresowi, który złapał ją i podał Barneyowi.

- Powąchaj, *amigo*.

Barney podniósł ją do nosa. Poczłł słodkawy zapach intensywnych perfum.

- Czy to coś wyjaśnia?

- Może.

- Co oprócz tego?

- Trudno powiedzieć. Muszę mieć wyniki badań toksykologicznych i hematologicznych. Chcę mu wyjąć mózg. Poza tym jest jeszcze ta lalka.

- Zdjęli już z niej odciski palców?

- Tak. Została też obfotografowana ze wszystkich stron.

- Dobrze. Pracuj dalej.

Torres dał asystentowi znak i ten wyszedł.

Barney odwrócił się do stojącego w milczeniu przy drzwiach Espinosy.

- Teraz porozmawiam z Louistem, a potem chcę, żeby wszyscy się stąd ulotnili. Niech zostanie jeden mundurowy przy drzwiach. Dom ma być pilnowany dzień i noc. Teraz przynieś mi koperty na dowody rzeczowe.

- Robi się, szefie.

Barneyowi niezbyt podobał się ten „szef”, ale postanowił niczego nie mówić. Takich jak Espinosa było wielu i nic ich nie ruszało. Starzy wyjadacze z wydziału zabójstw dużo w życiu widzieli i słyszeli. Ich kariery utknęły w miejscu i teraz czekali tylko na emeryturę.

Torres zaczął pakować swój sprzęt. Barney podszedł do łóżka i ostrożnie podniósł lalkę. Spojrzał na podstawkę i zauważył napis „Port-au-Prince, Haiti”.

Weszło dwóch ludzi z noszami. Podnieśli ciało, włożyli do czarnego worka i wynieśli. Torres wziął tacę z instrumentami i spojrzał na Barneya.

- Jutro po południu będę miał wyniki.

- Dzięki, Gabby.

- *De nada, senior.* Powinieneś przestać palić te cygaretki. To trucizna.

Poklepał go po ramieniu i wyszedł.

Barney postawił lalkę na bambusowym stoliku i wpatrywał się w nią przez chwilę. Następnie obszedł łóżko i skierował się do łazienki. Było to duże pomieszczenie ze ścianami wyłożonymi niebieskimi kafelkami. Znajdowała się tam kabina prysznicowa i wmurowana w podłogę wanna w stylu rzymskim. Z prysznicowa kapła jeszcze woda. W powietrzu unosił się zapach mocnych perfum. Podszedł do umywalki i otworzył wiszącą nad nią szafkę. Znalazł tam normalną mieszankę lekarstw, odżywek, dezodorantów oraz krem do golenia. Jedyną rzeczą, która nie pasowała do tej kolekcji męskich kosmetyków, była para sztucznych rzęs. Barney dotknął ręczników wiszących nad wanną. Jeden z nich był wilgotny, tak samo jak leżąca obok kostka różowego mydła.

Wyszedł z łazienki, przemierzył sypialnię i znalazł się w salonie. Pracowali tam jeszcze faceci od daktyloskopii. Fotograf już się ulotnił. Rozejrzał się po pokoju, po czym wyszedł na taras.

Smog ograniczał widoczność do niespełna kilometra. Barney podszedł do Louisa i razem zapatrzyli się na spowite dymem miasto.

- Cholerny smog - mruknął Louis.

- Tak.

- Coś mi nie gra u tego szofera.

- Powiedział coś podejrzanego? - zapytał Barney.

- Nie. Po prostu przecucie. Mówi, że jego szef polecił mu zabrać Neeleya o 12.15. Podszedł do drzwi, kilkakrotnie zadzwonił, poruszył klamką i wszedł. Zobaczył ten bałagan, przestraszył się i wrócił do samochodu. Zadzwonił na posterunek w Beverly Hills, gdzie powiedzieli mu, żeby zgłosił to w West Hollywood. Twierdzi, że nic więcej nie wie.

- Ale coś tu nie pasuje?

- Sądzę, że on wie znacznie więcej.

- Do Neeleya strzelano siedem razy. Przed śmiercią miał stosunek. Na poduszce znaleziono dwa czarne włosy. Poza tym na piersi leżała mu lalka voodoo.

- Z kokainą?

- Prawdopodobnie. W ten sposób przemycali ją przez granicę. Zostawiając lalkę chcieli dać do zrozumienia, że to odwet na oszukującym handlarzu. Później się nią zajmiemy.

- A ty co o tym sądzisz? - zapytał Louis.

- Nie wiem. Są jeszcze rzeczy, które znalazłem w jego samochodzie.

- Jakie rzeczy?

- Niemieckie mapy drogowe. Przewodnik Michelin po Niemczech. Rachunki hotelowe z Rzymu i Berlina.

- Podróże łapówkarskie?

- Wygląda na to, że Neeley woził nielegalnie dla kogoś pieniądze.

Odwrócili się i podeszli do policjantów.

- Jak się nazywasz? - zapytał Barney wysokiego, chudego policjanta.

- Posterunkowy Meyer. To jest mój partner, Jack Cauthen.

- O której tu byliście?

- Zgłoszenie dostaliśmy o 12.34. Na miejscu znaleźliśmy się o 12.46. Ten tu na nas czekał - powiedział Meyer, wskazując na szofera.

- Gdzie?

- Koło garażu - odparł niższy z policjantów, Cauthen.

- Co jeszcze?

- Nic ciekawego. Wiemy tylko tyle, co tu widać. Niczego nie dotykaliśmy.

- Dobra. Sporządźcie raport i zostawcie go w Metro. Dopilnujcie, żeby Operacyjny dostał kopię. To wszystko, chłopcy. Idźcie coś zjeść.

Policjanci zaszalutowali i wyszli.

Barney przysunął do leżaka krzesło i usiadł naprzeciw szofera. Rozpiął guzik przy koszuli i zwrócił się do Louisa.

- Idź i znajdź tego dupka, Espinosę.

Wyjął paczkę cygaretek i spojrzał na mężczyznę na leżaku.

- Nie będzie ci przeszkadzało?

Szofer pokręcił głową. Miał bladą twarz i rozbiegane oczy.

- Porucznik Barney Caine. Wydział Operacyjny. Prowadzę tę sprawę.

- Powiem panu wszystko, co wiem, poruczniku.

- To dobrze. Zacznijmy od nazwiska.

- Herbert Glenn.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem szoferem pana Mirella.

- Mój partner, sierżant Yosuta, powiedział mi, że to ty natknąłeś się na ten bałagan.

- Strasznie się przestraszyłem - odparł przytakując. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- Wchodziłeś do sypialni?

- Tak. Razem z policjantami. Jezu Chryste, ale go załatwili.
- Powiedz mi, Herbercie, po co tu przyjechałeś.
- Miałem zabrać pana Neeleya kwadrans po dwunastej.
- Dokąd?
- Do domu pana Mirella.
- Gdzie jest ten dom?
- W Bel-Air. Chalon Road 2209.
- Co to była za okazja?
- Co pan ma na myśli?

Barney pochylił się, a w jego głosie zabrzmiała twardsza nuta.

- Mam na myśli to, że w garażu stoi piękny Mercedes SL należący do Toma Neeleya.

Po co był mu szofer? Co to była za okazja? Co miało odbyć się w domu Mirella?

Szofer zamrugał gwałtownie, a jego głos zaczął drżeć.

- Pan Mirell lubi posyłać Rollsa po swoich przyjaciół. Nic poza tym. Każdej niedzieli zaprasza znajomych. Grają w tenisa, wie pan, takie zwykłe spotkanie towarzyskie.

Na taras wszedł Louis w towarzystwie Espinosa, trzymającego dużą kopertę z dowodami rzeczowymi i stanął obok Barneya. Espinosa zajął miejsce za szoferem. Mężczyzna spojrział nerwowo na nowo przybyłych.

- Powiedz mi, Herbercie, co rozumiesz przez „zwykłe spotkanie towarzyskie”? - głos Barneya nieco złagodniał.

Szofer zaczął w zdenerwowaniu przygryzać wargę.

- Czy to zostanie między nami? Mam na myśli... muszę... - wyjąkał.

- Porucznik wie, o co ci chodzi - powiedział ostro Louis.

- Tak, tak. Wiem. Opowiedz mi o spotkaniach.

- No więc, w każdą niedzielę pan Mirell zaprasza kilku przyjaciół. Trochę grają w tenisa, potem wszyscy się trochę podładowują, no i przychodzą cizie.

- Kim są ci przyjaciele?

- No, różni. Przeważnie Neeley, facet o nazwisku Clements i jeden makaroniarz, Maldonado. Czasami lepsi klienci pana Mirella.

- Mówiłeś, że się podładowują. Czym? Gorzałą? Trawką? Heroiną? Amfetaminą? Barbituratami?

- Kokainą.

To słowo zawisło w powietrzu. Magiczne. Tajemnicze. Dziwnie eleganckie.

- Kto załatwiał kokainę?

- Nie wiem.

- Wierzę ci, Glenn. A wiesz dlaczego?

Szofer pokręcił głową.

- Bo sprzedałbyś własną matkę, żeby tylko zostawiono cię w spokoju. Masz jakieś pytania? - zwrócił się do Louisa.

- Tak. O czym rozmawiałeś z Neeleyem, kiedy go wozileś?

- O niczym szczególnym. Głównie o koniach. Lubił rozmawiać o koniach.

- Koniach wyścigowych?

- Tak. Czyste krwi. Ostatniej niedzieli dał mi cynk, że jeden z koni Arthura Clementsa to pewniak.

- Kto to jest Arthur Clements?

- Biznesmen, playboy. Wycofał się z interesów i zajął się hodowlą. To jego hobby.

- I co, wygrałeś coś?

- Nie. Koń przyszedł piąty.

- Brak ci szczęścia, Herbercie.

Na chwilę zapanowała cisza, kiedy trzech detektywi przyglądali się przestraszonemu szoferowi.

- Kim były te niedzielne cizie? - zapytał Barney, wrzucając niedopałek cygaretki do basenu.

- Modelki. Od Laury Gregson.

- prostytutki?

- Chyba tak. Wydaje mi się, że dostawały za to pieniądze.

- No dobrze, Herbercie. Mieszkasz u Mirella?

- Tak. W małym domku za kortem tenisowym.

Barney wstał i spojrzał na Espinosę.

- Zabierz pana Glenna do Centrali. Zatrzymaj go w areszcie śledczym jako ważnego świadka, przeczytaj mu jego prawa. Sprawdź go też w komputerze.

Espinosa podszedł do szofera, chwycił go za kłapy marynarki i postawił na nogi.

- Idziemy.

- Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? - wykrzyknął.

- Nic. Zupełnie nic - odparł Barney.

- To dlaczego chcecie mnie wsadzić?

- Nie słuchałeś mnie, Herbercie. Nie chcemy cię wsadzić. Zatrzymujemy cię jako świadka. Dla twojego własnego dobra.



- A czego, niby, mam się bać?

- Na przykład tego, że wymieniłeś nazwisko Maldonado. Wiesz, kim on jest?

- Makaroniarz, przyjaciel pana Mirella.

Espinosa zachichotał, a Louis uśmiechnął się.

- Ten makaroniarz jest szefem mafii w Los Angeles. Będziesz mi dziękował, Glenn, za to, że zadbałem o twoje bezpieczeństwo. To tylko kilka dni. Będziesz wolny, jak tylko dowiemy się czegoś więcej - powiedział Barney.

Espinosa podał mu kopertę z dowodami i wyprowadził pobladłego szofera.

- Będziemy go musieli zwolnić w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin - stwierdził Louis.

- Wiem. Ale to da nam szansę zobaczenia się z Mirellem, zanim zrobi to Glenn.

Podeszli do basenu i spojrzeli w kryształowo czystą wodę.

- Neeley nieźle sobie mieszkał.

- Już nie.

\*

Spece od daktyloskopii zdążyli już pójść. Przy otwartych frontowych drzwiach stał pilnujący domu policjant. Oprócz niego, Barneya i Louisa nie było już nikogo. Weszli do sypialni.

- Dobra. Zaczniemy od szuflad, potem biurka, a na końcu szafy - powiedział Barney.

- A co z lalką?

- Może zaczekać.

- Sprawdziłeś łazienkę?

- Tak, ale jeszcze raz tam zajrzemy. Znalazłem jakieś sztuczne rzęsy.

- Ciekawe czyje.

- Z pewnością nie należały do Neeleya.

Przez pół godziny metodycznie przeszukiwali dom. Barney znowu poczuł zapach perfum. Zastanawiał się, kim była dziewczyna, która dzieliła z Neeleyem jego ostatni orgazm. Czy to ona go zabiła, czy tylko wystawiła go zabójcy? Dlaczego tylko salon został zdemolowany? Pytania kłębiły mu się w głowie, kiedy przeglądał szufladę za szufladą. Otworzyli duże szafy i przeszukali kieszenie wszystkich garniturów. Znaleźli mały czarny notes pełen nazwisk byłych informatorów Neeleya. Oprócz tego pudełko zapalek z hotelu „Olofson” na Haiti i zdjęcie pornograficzne z lokalu o nazwie „Sexporium” w Hamburgu. W wewnętrznej kieszeni aksamitnego smokingu natknęli się na kawałek papieru ze słowami „Obermann - Genesis”. W dolnej szufladzie biurka leżał album fotograficzny ze zdjęciami

nagich modelek i napisem „Laura Gregson”.

Wszystko włożyli do koperty. Barney podszedł do stolika i wziął do rąk lalkę. Zaniósł ją do kuchni. Louis rozłożył na blacie stołu gazetę, położył na niej lalkę i uderzył znalezionym w szufladzie tłuczkiem do mięsa. Po trzecim uderzeniu odpadła jej głowa. Odwrócił lalkę do góry nogami i na zdjęcie Johna Travolty posypał się biały proszek.

Kiedy opuszczali dom, Barney polecił policjantowi zapieczętować go. Nikt nie powinien mieć tam wstępu bez pisemnej zgody z Operacyjnego.

- A co z nimi? - zapytał policjant, wskazując stojącą po drugiej stronie ulicy telewizyjną furgonetkę.

Z wysoką dziewczyną, którą Barney natychmiast rozpoznał, rozmawiali dźwiękowiec i kamerzysta. Dziewczyna była korespondentką lokalnej stacji telewizyjnej.

- Barrakuda - westchnął. - Jak ona to robi, że jest zawsze pierwsza?

- Mówią, że jest niesamowita w łóżku.

- No cóż, to jeden ze sposobów zdobywania informacji.

Podeszli do Pontiac, nie zwracając uwagi na ludzi z telewizji. Niestety, dziewczyna wyprzedziła ich.

- Pamięta mnie pan, poruczniku? - zapytała słodkim głosem.

- Jasne. Jak się masz, Gloria?

- Nieźle.

Powoli przesunęła językiem po dolnej wardze.

- Powiedziano mi, że były szef policji, Thomas Neeley, został dziś rano zamordowany.

- Zgadza się. Został znaleziony martwy.

- Pan jest z Operacyjnego, prawda? - zapytała.

- Tak.

- To dlaczego zajmuje się pan tą sprawą? Thomas Neeley był już cywilem. To sprawa dla Metro.

- Proszę zapytać komisarza.

- Zrobię to. Komisarz jest moim osobistym przyjacielem.

- Jednym z wielu, jak słyszałem.

Uśmiechnęła się.

- Czy ta sprawa ma jakiś związek z dochodzeniem w sprawie zabójstw dokonanych przez policjantów?

- Absolutnie nie.

Barney usłyszał szum pracującej kamery.

- A jeżeli jednak śmierć Toma Neeleya jest powiązana z tamtą sprawą, to czy zostanie to podane do publicznej wiadomości?

- Wydział policji w Los Angeles nie jest tajną organizacją. Podlega władzom cywilnym.

- A jak wyjaśni pan fakt zniszczenia w biurze prokuratora okręgowego dokumentów dotyczących tamtych zabójstw?

- Proszę zapytać prokuratora okręgowego - odparł podchodząc do Pontiac.

Z drugiej strony wsiadł Louis. Dziewczyna i ciągle filmujący kamerzysta szybko podążyli za nimi.

- Proszę mi powiedzieć, poruczniku, czy Neeley był związany z przekazywaniem przez koncerny naftowe łąpówek za granicę?

- Bez komentarza.

- Czy Neeley prowadził jakieś interesy z Victorem Maldonado?

- Proszę zapytać Maldonado.

- Pytam pana.

- Tom Neeley był dobrym policjantem, który poświęcił całe swoje życie służbie obywatelom tego miasta. Dziś rano został zamordowany. Uważam, że jesteśmy winni temu człowiekowi chociaż kilka dni spokoju, zanim zaszargamy jego opinię.

- Ale moi widzowie mają prawo znać prawdę.

Barney poczuł, jak wzbiera w nim złość.

- Pieprzę twoich widzów, skarbie. Nie będzie dzisiaj zdobywania popularności kosztem martwego policjanta.

Odepchnął ją i wsiadł do samochodu.

Reporterka nachyliła się do okna.

- Powinien pan być dla mnie miły, ponieważ ja chciałabym być miła dla pana. Poza tym będę miała swój reportaż. Obiecuję to panu - powiedziała lekko zachrypniętym głosem.

- Jestem tego pewien, Glorio. Rozdmuchałaś w tym mieście już niejedną sprawę - to mówiąc wrzucił wsteczny bieg, zawrócił i odjechał.

## 8.

Dziewczyna wyglądała przez okno swojego apartamentu w Beverly Wilshire.

Obserwowało ją dwóch mężczyzn. Młodszy z nich wyobrażał ją sobie nago, starszy rozmyślał o Neeleyu.

- To było okropne. Nie miało końca - wyszeptała dziewczyna.

- Miał szansę. Po każdym strzale mógł zacząć mówić - powiedział młodszy mężczyzna.

- Neeley był zawodowcem. Zdawał sobie sprawę, że i tak go zabijesz - odparł starszy.

- Może nie wiedział o Szwajcarze? Może nie skojarzył z nim tej sprawy? - wtrąciła dziewczyna.

- Jeżeli jednak to zrobił, to „Genesis” groziło niebezpieczeństwo - zareplikował starszy z mężczyzn.

Jego towarzysz wstał i przeciągnął się.

- Jedno muszę mu przyznać. Był twardy. Bardzo twardy. Po tym, jak strzeliłem do niego trzeci raz, w odpowiedzi na pytania usłyszałem tylko: „pieprz się!”

Dziewczyna w dalszym ciągu wyglądała przez okno.

- Pozostaje pytanie, czy nie przedobrzyliśmy z tą kokainą - powiedziała.

- To pasuje do amerykańskiego wzorca zabójstw związanych z narkotykami. Poza tym wypełnialiśmy tylko rozkazy.

- To jest szyte zbyt grubymi nićmi. Nie podobał mi się ten pomysł.

- Pomoże zdemolowanie salonu. Znakomita zasłona dymna.

Starszy mężczyzna wstał i przeciągnął dłonią po siwych włosach.

- Musisz uzyskać od Clementsa pozwolenie na to, żebyśmy mogli spotkać się z żoną Neeleya - powiedział do dziewczyny.

- Będziecie musieli ją zabić.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Może. Ale nie ma innego wyjścia.

- Nie lubię zabijania.

- Nikt nie lubi - wtrącił ostro młodszy.

- Z wyjątkiem ciebie. Przeżywasz orgazm, kiedy pociągasz za spust - odparła chłodno dziewczyna.

- W takich momentach myślę o tobie - uśmiechnął się.

- Kiedy wyjeżdżasz? - przerwał im starszy.

- Jutro - powiedziała. - Najpierw do Miami, a potem Pan American do Port-au-Prince.

- Nie powiedziałaś nam, jak Neeley spisał się w swoim ostatnim akcie miłosnym - zapytał młodszy, odsłaniając w szyderym uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

Niebieskie oczy dziewczyny rozbliły. Powiedziała coś szybko po niemiecku i odwróciła się do swojego rozmówcy plecami.

Ten odpowiedział łamaną niemczyzną. Wyglądało to na przeprosiny. Mimo to dziewczyna nawet na niego nie spojrzała, wobec czego, nic już więcej nie mówiąc, wyszedł z pokoju. Starszy z mężczyzn siedział w ciszy na kanapie przez kilka minut. Potem wstał i spojrzał na dziewczynę.

- Porozmawiasz z Clementsem?

Skinęła głową i on też opuścił mieszkanie.

Pozostała przy oknie, spoglądając na Wilshire Boulevard, potarła dłońmi ramiona, ale nadal na wspomnienie Neeleya ogarniały ją dreszcze. Przypomniła sobie ich splecione ciała i jego okrzyki: „Jezu Chryste... Chryste... Chryste przenajświętszy!”

Zobaczyła dwoje starszych ludzi przechodzących przez ulicę. „Żydzi” - pomyślała i zaraz przypomniała sobie, że nie mieli już nazywać ich Żydami. Używano określenia „syjoniści”. Zastąpiło ono słowo „Żyd” we wszystkich formach propagandy.

Szybko podeszła do telefonu, zadzwoniła do recepcji i zamówiła pastę z krewetek, stek, szparagi i butelkę Dom Perignon. Poszła do sypialni i wyjęła z torebki skręta z czystego marokańskiego haszyszu. Pozwoliła opaść szlafrokowi na ziemię i położyła się na łóżku. Zaciągnęła się mocnym, słodkavo pachnącym haszem. Jej ciało tęskniło do młodego mężczyzny, który dzielił z nią apartament w Siódmej Dzielnicy w Paryżu.

## 9.

Pojechali Sunset Boulevard w kierunku autostrady Pacific Coast. Na obiad zatrzymali się w małej meksykańskiej restauracji w Brentwood. Zamówili margerity, pieczonego kurczaka, *chile relleos* i smażoną fasolkę. Barney poszedł do telefonu, zabierając ze sobą margeritę. Wrzucił dziesięć centów i wykręcił numer w Malibu. Czekał na połączenie, sączył powoli orzeźwiający trunek. Nagle wrzucona moneta wypadła i znudzony, chłodny damski głos poinformował go, że pierwsze trzy minuty kosztują dwadzieścia centów. Wrzucił ćwierć dolara i usłyszał, że ma dodatkową minutę. Po czwartym sygnale chciał odwiesić słuchawkę, ale przypomniał sobie, że dom w Malibu ma duży taras i jeżeli Kay opala się, to trochę potrwa, zanim podejdzie do telefonu. W chwilę później w słuchawce odezwał się zdyszany głos.

- Halo?

- Czy to Kay Raines? - zapytał, używając jej panińskiego nazwiska.
  - Tak. Kto mówi?
  - Porucznik Barney Caine z Wydziału Operacyjnego policji w Los Angeles. Może mnie sobie przypominasz. Tom Neeley był przyjacielem moich rodziców.
- Zapadła długa cisza.
- Pamiętam. Przychodziłeś kiedyś do nas ze swoją matką. O co chodzi, Barney?
- Łyknął margerity i wziął głęboki oddech.
- Tom został dzisiaj zastrzelony - wyrzucił z siebie.
- Znowu zapadła cisza, zakończona przez ciche „Och...”
- Prowadzę tę sprawę. Chciałbym wpaść do ciebie i zadać kilka pytań.
  - Proszę wrzucić dziesięć centów - wtrącił się głos telefonistki.
- Barney przeszukał kieszenie i znalazł kolejne ćwierć dolara i jednocentówkę.
- Wrzucam dwadzieścia pięć centów.
  - Dziękuję. Ma pan trzy minuty - głos telefonistki miał w sobie tyle ciepła, co woda spływająca z lodowca.
  - Halo?... Kay?
  - Tak. Jestem.
  - Czy możemy z moim partnerem przyjechać teraz?
  - Za ile będziecie?
  - Jesteśmy teraz w Brentwood. Powiedzmy, za pół godziny.
  - Znasz adres?
  - Malibu Colony Road 2245.
  - Czekam.

\*

Późnopołudniowe słońce odbijało się w błękitnej wodzie Pacyfiku. Na załamujących się falach kilku surferów walczyło o zachowanie równowagi. Za nimi sunęła, wykonując zgrabne zwroty, flotylla różnokolorowych żaglówek, niczym baleriny przygotowujące się do występu.

Barney skręcił z nadmorskiej autostrady w lewo i wjechał na prywatną drogę prowadzącą wzdłuż plaży Malibu Colony. Przy wjeździe na drogę stał strażnik, który sprawdził ich nazwiska z listą gości.

Zobaczyli pomalowany na biało i kryty brązową dachówką dwupiętrowy dom. Wjechali do otwartego garażu i stanęli obok błękitnego Lincolna. Wysiedli z samochodu i podeszli do drzwi. Barney nacisnął mały guzik i usłyszeli dźwięk gongu, po którym rozległo

się szczekanie psa.

Kay Neeley, obecnie Kay Raines, otworzyła i poprowadziła ich do salonu. Powiedziała coś do wielkiego policyjnego psa i ten posłusznie wyszedł na taras.

Miała już ponad pięćdziesiąt lat, ale nadal zachowała szczupłą sylwetkę, a twarz i bystre, niebieskie oczy zadawały kłam jej wiekowi. Była jedną z tych szczęśliwych kobiet, których naturalnej urody czas nie zniszczył.

Umeblowanie salonu tchnęło dobrym smakiem i bezpretensjonalnością. Drewnianą podłogę pokrywały indiańskie chodniki. Rozsuwane drzwi prowadziły na drewniany taras, z którego roztaczał się wspaniały widok na ocean. Naprzeciw tarasu znajdowały się drzwi do kuchni i kręcone schody prowadzące na piętro. Pomiędzy dwiema kanapami leżała olbrzymia kłoda służąca za stół.

Barney przedstawił Louisa i Kay zapytała, czy chcą się czegoś napić. Barney odmówił, a Louis poprosił o piwo.

Patrzyli, jak idzie do kuchni. Jej biodra poruszały się uwodzicielsko, a obcisłe spodnie i biała bluzka podkreślały zgrabną figurę. Pełen gracji i stylu sposób poruszania się sprawiał wrażenie wyuczonego, ale Barney wiedział, że tak nie jest. Niektóre kobiety po prostu się z tym rodziły. Nie miało to nic wspólnego z bogactwem. Louis usiadł na kanapie i podniósł świeży numer „Vogue”. Barney podszedł do drzwi na taras. Zobaczył gryzącego gumową kość psa, a widoczna na horyzoncie smuga dymu wskazywała na powolny ruch tankowca. Zastanawiał się, czy płynie z Dubaju, Arabii Saudyjskiej lub Alaski. Pomyślał, że niezależnie od miejsca startu jego ładunek był najbardziej poszukiwanym towarem świata. Pamiętał embargo z 1973. Długie kolejki samochodów przed stacjami benzynowymi i kierowców przeklinających zarówno Izraelczyków, jak i Arabów.

Kay wyszła z kuchni i podała Louisowi butelkę importowanego Becka i dużą szklankę.

- Dziękuję - powiedział Louis z uśmiechem.

Zapaliła papierosa i przez chwilę panowała cisza przerywana tylko szumem rozbijających się na plaży fal. Kay usiadła naprzeciw Louisa i nerwowo zaciągnęła się dymem. Barney zajął miejsce w głębokim, skórzanym fotelu, plecami do szklanych drzwi.

- Jesteś pewien, że nie chcesz nic do picia?

- Nie. Dziękuję, Kay.

Znowu zapadła niezręczna cisza.

- Wiesz, że Tom i ja rozwiedliśmy się pięć lat temu?

- Ale nadal pozostałaś najbliższą mu osobą. To znaczy ty i twój syn.

- Roger jest w Afryce Południowej. Prowadzi jakieś badania górnicze. Pisze do mnie regularnie, ale on i Tom... - zamilkła na moment i zgmiotła papierosa - ...nic ich nie łączyło.

- Posłuchaj, Kay. Zanim wszystko ci opowiem, chcę coś wyjaśnić. Moim zadaniem jest poinformować cię o śmierci Toma. Nic więcej. Ale chciałbym zadać ci też kilka pytań. Nie musisz na nie odpowiadać bez twojego adwokata. Wiesz, że w sprawach tego typu najważniejszy jest czas. Albo rozwiązuje się je w ciągu pierwszych siedemdziesięciu dwóch godzin, albo zaczynają ciągnąć się miesiącami, a nawet latami. Odpowiadając na pytania teraz, bardzo byś mi pomogła.

Zapaliła nowego papierosa i zaciągnęła się głęboko.

- Możesz pytać.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli Louis będzie robił notatki?

- Nie.

Barney skinął głową i Louis wyciągnął z kieszeni mały notes i czarne pióro.

- Kiedy widziałas Toma po raz ostatni?

- Jakieś czternaście miesięcy temu - powiedziała strzepując dłonią wyimaginowany pyłek z koszuli.

- Gdzie?

- W jego domu.

- Był tam ktoś jeszcze?

- Człowiek o nazwisku Arthur Clements.

- Czy pamiętasz, o czym rozmawiali?

- To było bardzo dawno. Chyba o koniach.

- A kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Tomem?

- Właśnie wtedy. Posłuchaj, Barney. Wiem o tych plotkach o kokainie.

Nagle wstała i weszła po schodach na piętro. Usłyszeli odgłos zamykanych drzwi.

- Czy widzisz to samo co ja? - zapytał Louis.

- Tak. Ona czegoś się boi.

Dobiegł ich odgłos spuszczonej wody i trzask zamykanych drzwi. Kay zeszła powoli, spojrzała na Barney a i uśmiechnęła się blado. Podeszła do barku i naląła sobie szkockiej. Wypiła łyk i zapaliła następnego papierosa. Nerwowo poruszała trzymaną w ręku szklaneczką.

Barney obserwował jej ruchy.

- Czy kontaktował się z tobą Victor Maldonado?

- Nie - pokręciła głową.



- Czy wiesz coś na jego temat?

- Tak, ale nie jestem pewna, czy to coś ważnego.

- Wszystko, co wiesz, może być ważne, Kay.

- Maldonado jest właścicielem agencji artystycznej Leo Mirella poprzez spółkę o nazwie „Seneca”.

- Skąd masz te informacje?

- Tom wspominał o tym.

- Wspominał o czymś jeszcze?

- Podobno Maldonado pomógł Mirellemu wywinąć się z nieudanego małżeństwa.

- W jaki sposób?

- Przypuszczam, że zagroził czymś kobiecie. Nie wiem. Maldonado ma reputację złego człowieka. Ale ty doskonale o tym wiesz.

- Czy wiadomo ci coś o podróżach Toma do Niemiec?

- Nie.

- A na Haiti?

- Nie.

- Do Włoch?

- Nie.

Zaciągnęła się papierosem.

- Zaczekaj! - wykrzyknęła. - To nieprawda. Tom zadzwonił do mnie jakieś osiem miesięcy temu. Był podniecony. Mówił, że jedzie do Rzymu.

- Chwileczkę, Kay. Powiedziałaś, że ostatni raz rozmawiałaś z Tomem przed czternastoma miesiącami, a teraz twierdzisz, że dzwonił do ciebie osiem miesięcy temu.

- Zgadza się. Zapomniałam o tym telefonie - odparła strzepując popiół do popielniczki.

- W porządku - powiedział Barney i spojrzał na Louisa. Obydwaj wiedzieli, że Kay kłamie.

- Tom powiedział, że jedzie do Rzymu i że znajomość z Arthurem Clementsem otwiera przed nim nowe horyzonty.

- Jakie horyzonty?

Kay wyszła z baru i usiadła na kanapie. Wypiła łyk szkockiej i zamieszała lód w szklaneczce.

- Jakie horyzonty, Kay? - powtórzył pytanie Barney.

- Powiedział, że zawarł znajomość z Adamem Steiffelem.

- Prezesem „Tidal Oil”?

- Tom ostrzegł mnie, żebym nikomu tego nie powtarzała.

- Wyjaśnił dlaczego?

- Nie. A ja nie pytałam.

Barney wstał i spojrzał przez okno na Pacyfik.

- Czy wspominał kiedyś nazwisko Laura Gregson? - zapytał przerywając chwilową ciszę.

- Tak. Mówił, że jest protegowaną Maldonado, a jej modelki są profesjonalnymi prostytutkami na telefon.

- Dobrze, Kay. To na razie wszystko. Wiem, że to nie było dla ciebie łatwe.

Louis dopił piwo, schował notes i wstał.

- Przeczuwałam, że coś takiego się stanie. Wiedziałam, że wcześniej czy później wplączę się w jakąś aferę. Nie kochałam go, ale spędziliśmy ze sobą tyle lat - stwierdziła ze smutkiem.

- Nie musisz identyfikować zwłok, chyba że chcesz.

- Wołałabym go nie widzieć, ale zajmę się pogrzebem. Mój adwokat załatwi wszelkie formalności.

Wstała powoli i odprowadziła ich do drzwi.

- Może wiesz, czy Tom spotykał się z kimś? Mam na myśli kobietę. Jakąś stałą dziewczynę - zapytał jeszcze Barney.

- Zwykłam widywać jego nazwisko w towarzystwie nazwisk różnych kobiet w kronice towarzyskiej, ale nie pamiętam, żeby któreś powtarzało się zbyt często.

- Wiesz, kto urządzał jego dom?

- Tak. Ja - powiedziała, uśmiechając się.

- Więc zostaliście przyjaciółmi?

- Zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi. Małżeństwo nam nie wyszło.

- Trzymasz w domu broń?

- Nie. Broń mnie przeraża.

- Gdzie byłaś dziś rano?

- Na tarasie. Czytałam.

- Czy ktoś to może potwierdzić?

- Tylko mój pies. Bawił się na plaży ganiając ptaki.

- Jeszcze raz dziękuję, Kay.

Louis otworzył drzwi.

- Myślisz, że miałam z tym coś wspólnego? - zapytała podchodząc do Barneya.
- Nie. Ale wiem, że czegoś się obawiasz.
- A czegoż miałabym się bać?
- To ty mi powiedz.
- Nie mam nic do powiedzenia.

\*

Barney zatrzymał samochód przed budynkiem Operacyjnego. Poprosił Louisa, żeby włożył kopertę z dowodami rzeczowymi do sejfu.

- Chcesz, żebym podzielił się z tobą moim gabinetem? - zapytał z uśmiechem Louis.
- Co to, to nie.
- Wiedziałem, że tak powiesz. Możesz zająć pokój Stillmana. On wyjechał do San Diego.
- Uważasz, że powinniśmy mieć Kay Neeley na oku?
- To twoja sprawa, Barney. Ale ona jest czymś przerażona. - To powiedziawszy, Louis wysiadł.

Barney patrzył przez moment za nim, po czym wrzucił wsteczny bieg, zawrócił i wjechał na prowadzące w kierunku zachodnim pasmo Wilshire Boulevard.

## 10.

Barney jechał ostrożnie wijącą się drogą. Chalon Road była tylko o kilka minut jazdy od Sunset Boulevard, jednak panowała tu już niemal wiejska atmosfera. Pomiędzy sosnowymi lasami rosły kępy dzikich palm, ocieniając olbrzymie hiszpańskie posiadłości. Bel-Air pachniało starym kalifornijskim bogactwem hiszpańskich osadników. Jasno oświetlone domy wylaniały się jak zjawy z wieczornej mgły. Dostępu do nich broniły elektronicznie otwierane bramy i skomplikowane systemy alarmowe. Dojechał do Chalon Road i skręcił w prywatny podjazd. W odległości dziesięciu metrów stała olbrzymia brama. Na wysokiej podporze wisiał głośnik. Barney sięgnął ręką i przycisnął czerwony guzik. Spojrzał w górę i zobaczył dwie małe kamery, które zwróciły się w stronę jego samochodu. W głośniku odezwał się jakiś głos. Barney przedstawił się i olbrzymie wrota otworzyły się powoli.

Ruszył w stronę hiszpańskiego budynku usytuowanego na szczycie wzgórza. Zatrzymał się w pobliżu garażu, w którym stał szary Mercedes i rzadki okaz Bentleya. Nie

zdążył dojść do drzwi, kiedy stanęła w nich Alice.

Pomyślał, że na swój dziewczęcy sposób jego żona nadal jest bardzo atrakcyjna. Miała drobną twarz, duże, szare oczy, długie, jasne, opadające na ramiona włosy i szczupłą, niemal chłopięcą figurę. Była niezwykle piękna, a przy tym inteligentna.

Ubrana była w lawendową sukienkę, a w jej uszach błyszcząły diamentowe kolczyki.

- Timmy zaraz zejdzie. Wejdz, proszę - powiedziała z uśmiechem.

Zaprowadziła go do olbrzymiego salonu.

- Drinka? - zapytała.

- Nie, dziękuję. Musimy się spieszyć, żeby zdążyć do kina.

- Wolałabym, żebyście darowali sobie to kino i poszli tylko na kolację. Timmy musi jutro wstać o wpół do siódmej - powiedziała nalewając sobie drinka.

- Przywiozę go przed dziesiątą.

Podniosła szklaneczkę do ust.

- Twoje zdrowie, Barney.

- Dziękuję.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Nagle ich uwagę odwrócił dźwięk otwieranych drzwi. Do salonu wszedł wysoki, ubrany w aksamitny smoking, szpakowaty mężczyzna, trzymający za rękę małego chłopca.

- Przywitaj się z tatą, Tim - powiedział uśmiechając się szeroko.

Timmy podbiegł do Barneya, który nachylił się nad nim i pocałował go w policzek.

- Mam nadzieję, że masz ochotę na coś do zjedzenia, Tim - powiedział.

- Tak. Na hamburgera u McDonalda.

- Niech będzie McDonald.

Barney wyprostował się i uściskał rękę doktora.

- Wybieramy się na kolację wydaną przez Fundację Raka w Beverly Wilshire.

Wolałbym pójść do McDonalda - westchnął Leon.

Barney wziął Timmy'ego za rękę i Alice odprowadziła ich do drzwi. Pochyliła się, pocałowała chłopca, po czym wyprostowała się i spojrzała w oczy Barneyowi.

- Będzie na was czekała pokojówka.

\*

Barneyowi film podobał się tak samo jak chłopcu. Wciągnęły go niezwykle efekty specjalne i poczuł się, jakby sam przemierzał galaktykę, szukając przyjaciół, którzy pomogą mu ją ocalić.

Po seansie poszli na Westwood Boulevard do McDonalda. Bar pełen był nastolatków i

studentów z pobliskiego uniwersytetu. Kilku starszych siedziało samotnie przy stolikach. Timmy zamówił hamburgera, a Barney frytki i dwie Cole.

Rozejrzył się wokół, patrząc na długowłosych młodzieńców, ubranych w powycierane dzinsy i mimo woli wrócił myślami do swoich dni w CIA, kiedy też tak się musiał ubierać, żeby przeniknąć do jakiejś grupy. Jego zadanie najczęściej polegało na zbieraniu informacji, ale czasami musiał też przekazywać fałszywe wiadomości. Zerknął na stojący na stole pojemnik na serwetki i przypomniał sobie podobne serwetniczki w Santiago, do których wraz z serwetkami wkładano urządzenia podsłuchowe. Przypomniały mu się wszystkie brudne sztuczki. Ale nie miał ich Agencji za złe. Wiedział, że metody KGB były dużo gorsze. Pomyślał, że w radzieckiej polityce nastąpiła gwałtowna zmiana. Rosjanie już nie kryli się tak, jak w latach sześćdziesiątych. Grasujące z ich rozkazu po całej Afryce lotne grupy kubańskich zamachowców były dawniej nie do pomyślenia.

- Co dzisiaj robiłeś, tato? - zapytał Timmy z buzią pełną hamburgera.
- Nic szczególnego - odparł Barney wracając do rzeczywistości.
- Złapałeś jakichś bandytów?
- Nie. Był tylko jeden facet, który wpakował się w kłopoty.
- Jakie kłopoty?
- Przypuszczam, że za bardzo ryzykowałem.
- Jak?
- Zadawałem się z nieodpowiednimi ludźmi. Skończ jeść, nie mówię z pełną buzią.

Timmy zajął się butelką Coli, a Barney złapał się na rozmyślaniach o Tomie Neeleyu. Przypomniał sobie, jak Tom pomógł mu dostać się do policji. Przypomniał sobie, jak podczas jednego z ich wspólnych obiadów Tom opowiadał mu o wszystkim. Czego i od kogo można oczekiwać, na co uważać. Pamiętał, jak Tom mówił mu, jakim wspaniałym facetem był jego ojciec i jak bardzo zmartwił się, kiedy dotarła do niego wiadomość, że ojciec Barneya został zestrzelony.

W pierwszych latach pracy Barneya w policji Tom niemal po ojcowsku interesował się jego postępami. Czas i okoliczności sprawiły, że ich związek rozluźnił się. Mimo to nigdy nie zapomniał o jego dobroci. Zmartwił go brak godności w jego śmierci. Nafaszerowane kulami ciało, ślady spermy, lalka voodoo i duszący zapach perfum.

\*

W drodze powrotnej do Bel-Air Timmy zapytał go czy ma kogoś, czy też nadal kocha mamę. Postanowił być uczciwy wobec chłopca. Wyjaśnił mu, że zawsze będzie ją kochał, ale czasami nawet ludzie, którzy bardzo się kochają, nie potrafią ze sobą żyć. Pomimo

nieudanego małżeństwa, utrzymywał z Alice stosunki przyjacielskie. Powiedział też, że nie ma nikogo na stałe. Timmy zaczął się nad tym zastanawiać i reszta drogi minęła w ciszy. Dopiero kiedy dojeżdżali do domu, Timmy zapytał o spływ rzeką Kolorado. Barney kiedyś wspomniał, że taka wyprawa jest możliwa. Obiecał chłopcu, że zrobi wszystko, żeby mogli wybrać się tam w lecie.

## 11.

Kathy spała na swojej połowie olbrzymiego łóża. Odwinięta kołdra odsłaniała jej pełne piersi, unoszące się łagodnie wraz z oddechem. Barney rozebrał się po cichu i włożył szlafrok. Poszedł do łazienki, umył twarz, wyczyścił zęby i połknął trzy aspiryny. Kiedy wrócił do sypialni, Kathy obróciła się i mógł podziwiać zmysłowy łuk jej pleców, jędrność pośladków i zgrabną linię nóg. Zastanawiał się, czy jej nie obudzić, ale odstąpił od tego zamiaru. Poszedł do salonu, nalał sobie wódki z lodem i wyszedł na taras. Noc była bardzo spokojna i tylko gorący wiatr poruszał rosnącymi wzdłuż bulwaru palmami. Na niespotykane czystym niebie migotały tysiące gwiazd. Pomyślał, że to doskonała noc dla robiących zdjęcia radzieckich satelitów szpiegowskich. Ciepłe i przejrzyste powietrze oznaczało, że nadchodził wiatr od pustyni. Gdzieś tam nad oświetlonym neonami Vegas uniosły się masy gorącego powietrza i napotkały front atmosferyczny, przez co jeszcze bardziej się nagrzały. Całe to gorące powietrze przesunęło się na zachód, powoli przechodząc nad górami, a następnie schodząc kanionami i zatrzymując się nad miastem. Instytut meteorologii określał wtedy wiatr mianem Santana. Wywierał on na wszystkich dziwny wpływ. Wzrastała wtedy liczba morderstw. Spokojni, nie wadzący nikomu ludzie zmieniali się w szaleńców, zabijając swoich bliskich. Obcy sobie mężczyźni i kobiety spotykali się w łóżku. Ten pustynny wiatr zdawał się ze sobą nieść samą esencję gwałtu i zmysłowości.

Barney napił się zimnej wódki i włączył radio. Z głośnika dobiegły dźwięki starej melodii Bacharacha. Rozciągnął się na leżaku i spojrzał w niebo. Pomyślał, jak tu, na dole, wszystko jest skomplikowane. Pomyślał o Timmy, o Alice i o dziwnej dziewczynie, która spała w jego łóżku, o martwym Tomie Neeley, którego właśnie poddawano autopsji. Tok jego myśli zatrzymał się jak igła gramofonu na rowku zdartej płyty. Tom Neeley. Po głowie zaczęły mu krążyć pytania i odpowiedzi. Zastanawiający był związek z kokainą. Podejrzeni: Leo Mirell, Victor Maldonado, jakiś były informator, jedna z dziewcząt Laury Gregson, sama Laura. Nie można zapomnieć o Arthurze Clementsie. A może Tom zwał komuś pieniądze?

Albo w jakiś sposób obraził Adama Steiffela?

Ten człowiek był niebezpiecznym przeciwnikiem. I jeszcze Kay. Kłamiąca i przerażona. Czym? Czego szukali zabójcy? Zatrzymał się na chwilę. Użył słowa „zabójcy”. Skąd wiedział, że było ich kilku? Przecież dziewczyna, z którą Tom miał stosunek, mogła spokojnie się z nim kochać, pójść do łazienki, wziąć prysznic, wrócić do sypialni, uśmiechnąć się i wyjąć z torebki pistolet równie łatwo jak na przykład grzebień. Ale w takim razie dlaczego aż siedem kul? Dlaczego w równej linii od genitaliów do głowy?

Jedynie, co nie budziło wątpliwości, to użyta do zabójstwa broń. Pistolet automatyczny kalibru .22. Broń zawodowca. Ulubione narzędzie mordu mafiii, KGB i arabskich terrorystów. Jej użycie wskazywało na robotę profesjonalnego mordercy. Lub morderczyni. Ale stopień zdemolowania salonu wskazywał na udział kilku ludzi. Z drugiej strony, mogło to zostać upozorowane. Morderca naumyślnie mógł podzucić lalkę. Barney spojrział na bezchmurne niebo i spróbował wyrzucić z głowy tę sprawę. Starał się myśleć o swoim synu, o leżącej w sypialni Kathy, ale komputer w jego głowie nadal pracował. Niemcy: zdjęcie porno z Hamburga. Miał je przed oczami. Pracując w obyczajówce widział już niezłe pornosy, ale to, co wyprawiły te dziewczyny na fotografii, było dla niego zaskoczeniem. Co Neeley robił w Berlinie i Hamburgu? Co to, do diabła, jest „Genesis”? A „Obermann”? W zamyśleniu zaczął ssać nie rozpuszczoną kostkę lodu.

Gdyby miał teraz zgadywać, to skłoniłby się ku hipotezie, że Neeley zginął z powodu narkotyków. Przypomnił sobie, co powiedział Louis: „Kiedy człowiek przekroczy pewną granicę, to potem wszystko jest możliwe”. To prawda. Niezaprzeczalna prawda. Nie ma ludzi niezdolnych do popełnienia przestępstwa. Nawet prezydenci mieli wpadki. Senatorowie, gubernatorzy, ludzie na wysokich stanowiskach padali ofiarą kombinacji seksu, chciwości i żądzdy władzy. On sam kilkakrotnie odczuwał pokusę. Jakaś na pozór nieistotna informacja przekazana wschodnioniemieckiemu konsulowi. Mógł, za to dostać kupę pieniędzy. Wszystko, czego chcieli, to nazwisko pewnego oficera wywiadu Brazylii. Dlaczego odmówił? Chyba coś takiego nie było w jego stylu, pewnej granicy nie mógł przekroczyć. Ale nie potępiał tych, którzy ją przekroczyli. Po prostu ten świat jest tak, a nie inaczej urządony. Motywy jego działania były ponad sofistyką psychologicznych testów. Odpowiadała za to tajemnicza siła wewnętrzna, która w jakiś sposób potęgowała poczucie własnej godności. Istnieją ludzie zwichrowani, nieudacznicy, samolubni egocentrycy, których nie można kupić. Nie każdy ma swoją cenę.

Melodia Bacharacha przeszła w skróconą wersję piosenki „Mackie-Majcher”. Santana mierzwił mu włosy. Niósł ze sobą odgłos jadących samochodów. Wyczuł raczej, niż usłyszał

Kathy.

Stała naga przy drzwiach prowadzących na taras. Uśmiechnęła się do niego i uniosła rękę, jakby chciała sięgnąć gwiazd. Jej całe ciało wygięło się w łuk, po czym opuściła rękę, podeszła powoli do leżaka i usiadła na brzegu. Patrzyła na niego nieprzytomnymi oczami nimfomanki. Rozwiązała jego szlafrok i pochyliła się. Odgarnęła swoje długie włosy, aby Barney mógł zobaczyć, co robią jej usta.

## 12.

Chłodny front znad Pacyfiku przegnał Santanę z powrotem nad pustynię. Kay drżała nieco, ubrana jedynie w dżinsową kurtkę i spodnie. Spacerowała po plaży z Arthurem Clementsem. Przed nimi biegł pies, z zapalem goniąc ptaki.

Arthur Clements przypominał mężczyzn w średnim wieku, których fotografie ukazywały się na reklamach w „Playboyu”. Reklamach, na których srebrnowłosy, nie mający żadnych trosk i kłopotów facet siedział w towarzystwie roześmianego króliczka w sportowym Ferrari, stanowiąc afirmację bezproblemowego życia.

Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i widać było, że bardzo stara się zachować młodzieńczą sylwetkę. Łagodną twarz o szarych oczach przysłaniała fala siwych włosów. Jedynym defektem tej przystojnej twarzy, była pajęczynka purpurowych żyłek po obu stronach patrycjuszowskiego nosa. Z upływem czasu, żyłki te stawały się coraz bardziej wyraźne i sprawiały, że czynność porannego golenia była coraz bardziej nieprzyjemna.

Kay pochyliła się, żeby podnieść mały kawałek drzewa, który ocean wyrzucił na brzeg. Poglądziła jego gładką powierzchnię i wrzuciła do wody. Spacerowali w milczeniu, obserwując załamujące się fale. Oprócz nich na opustoszałej plaży widać jeszcze było dwóch trenujących biegaczy. Kay postawiła kołnierz kurtki, żeby trochę ochronić się przed idącym od wody chłodem.

- Jeszcze wczoraj był lipiec - powiedziała.

- Tak - zgodził się Clements. - Na torze było cudownie. Mieliśmy wspaniały widok na góry.

Spojrzelili na przelatujące nad ich głowami mewy.

- Przykro mi z powodu Toma.

- To się musiało tak skończyć - westchnęła.

Minęli kupę wodorostów, w której widać było dwie martwe ryby.



- Mówiłaś, że ten detektyw, Caine, znał Toma.  
- Tak - odparła Kay, zacierając z zimna ręce. - Tom znał jego ojca. Służyli razem w wojsku.

- Jakie było zachowanie Caine'a?

- Profesjonalne. Grzeczne. Nic szczególnego.

- Pytał o „Genesis”?

- Nie.

- O Tedesco?

- Nie.

- A o mnie?

- Tak. Powiedziałaś mu, że spotkaliśmy się dawno temu na przyjęciu u Toma.

- Co mu jeszcze powiedziałaś?

- Nic.

- Czy wspominał nazwisko Adama Steiffela?

- Nie pamiętam. Możliwe. Arthurze, kto zabił Toma? - zapytała, patrząc Clementsowi prosto w oczy.

Clements dotknął purpurowych śladów koło nosa i wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Czy Tom pojechał z Niemiec do Lozanny? - zapytał kładąc ręce na ramionach Kay.

- Zostawiłam go w Berlinie. Nie wiem, co później robił.

Clements mocniej zacisnął ręce.

- Kay, tutaj w grę wchodzi interes o wartości trzystu miliardów dolarów. Czy Tom spotkał się ze szwajcarskim bankierem?

- Powiedziałaś ci wszystko, co wiem o tej podróży - jej głos drżał nieco - musisz mi uwierzyć.

- Wierzę ci - powiedział Clements, powoli opuszczając ręce.

Powiódł palcem po jej policzku.

- Nigdy bym cię nie okłamała.

Długo jej się przyglądał. Znowu ruszyli wzdłuż brzegu.

- Pojechałam z Tomem do Niemiec, bo powiedział, że mnie potrzebuje, a ty zgodziłaś się. - Na chwilę zamilkła. - Powiedziałeś, że to dobry pomysł.

- To prawda. Tak właśnie powiedziałem.

- To skąd te pytania?

- Przykro mi, Kay - odparł łagodnie. - Śmierć Toma wyprowadziła mnie z równowagi.

Nie chciałem sugerować, że kłamiesz. Przyjechałem, bo mnie o to poprosiłaś.

- Boję się, Arthurze.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Od dawna byli kochankami, ale ciągle ją podziwiał. Żałował, że jej los był już przesądzony.

## 13.

Agencja Laury Gregson mieściła się w dwupiętrowym budynku na rogu Sunset i Holloway, wybudowanym w 1932 roku w stylu Art Deco, w czasach kiedy Sunset Strip jaśniał zamożną elegancją. Jakimś cudem budynek oparł się degeneracji Sunset Strip. Nie chciał skapitulować przed salonami masażu, klubami punk-rocka, kinami porno i podejrzanymi spelunkami.

Barney i Louis weszli do dużego holu. Jego ściany udekorowane były czarno-białymi powiększeniami modelek na tle egzotycznych pejzaży. Z ukrytych głośników sączyła się łagodna muzyka. Przy olbrzymim biurku siedziała, pisząc coś na maszynie, bardzo ładna Murzynka.

- Czym mogę służyć? - zapytała odwracając się w ich stronę.

Louis podał jej swoją wizytówkę, podczas gdy Barney przyglądał się zdjęciom.

- A tak, sierzancie. Panna Gregson oczekuje panów. Proszę za mną.

Pomimo działającej klimatyzacji pomieszczenie zdawał się wypełniać słodkawy zapach perfum. Laura Gregson siedziała przy stole, na którym centralną pozycję zajmował pulpit komunikacyjny.

Pokój oświetlały lampy punktowe, co stwarzało dziwną atmosferę. Wąskie smugi światła rozjaśniały jedynie niektóre miejsca, resztę pozostawiając w prawie całkowitej ciemności. Przypominało to scenierię czarno-białego filmu z Bogartem.

Laura rozmawiała właśnie przez telefon. Skinęła głową i dała znak, że za chwilę się nimi zajmie. Wskazała im krzesła, ale nie skorzystali z zaproszenia.

Barney był zaskoczony jej młodym wiekiem i niezwykłą urodą. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Spodziewał się kogoś starszego. Miała długie, jasne, opadające na ramiona włosy, mały, prosty nos, duże, pełne usta i zadziwiająco zielone oczy. Ubrana była w męską koszulę i jej duże, jędrne piersi zdawały się protestować przeciw takiemu ograniczeniu ich przestrzeni. Wypychały przód koszuli i przez materiał można było zobaczyć wystające sutki.

Mówiła niskim, gardłowym, niemal konspiracyjnym głosem. Zapewniała kogoś, że

wybrał znakomitą modelkę. Skończyła zdanie i odłożyła słuchawkę.

- Laura Gregson. Czym mogę służyć? - przedstawiła się.

- Chcielibyśmy zadać kilka pytań - odparł z uśmiechem Barney.

- Oczywiście. Proszę usiąść.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Toma Neeleya. Zdaje się, że był pani znajomym?

Przesunęła czubkiem języka po dolnej wardze i uśmiechnęła się.

- Czy nie uważa pan, poruczniku, że powinien tu być obecny mój adwokat?

Barney poczuł, jak narasta w nim fala gniewu. Może spowodowało go wspomnienie widoku ciała Toma, może alfonsowaty szofer, a może utrata kontaktu z własną przeszłością, z synem, z żoną. Nakładały się na to jeszcze czterdzieści trzy policyjne zabójstwa, nagi facet z bananem. Nie rozumiał, skąd wzięło się w nim tyle złości, ale czuł, że traci panowanie, mimo że usiłował się powstrzymać.

- Oczywiście, że może pani zeznawać w obecności adwokata - powiedział. - A my możemy zabrać panią na posterunek, co oznacza zamknięcie w areszcie. Proszę pomyśleć o zimnym prysznicu, palcach przeszukujących intymne części ciała i o nocy spędzonej w stalowej klatce w towarzystwie ulicznych lesbijek. Następnego dnia będzie pani miała swojego adwokata.

Louis zauważył, jak blizna na policzku Barneya zaczyna stawać się coraz bardziej czerwona. Zastanawiał się, dlaczego jest taki brutalny już na samym początku.

Z twarzy Laury zniknął uśmiech.

- Nie jest pan zbyt subtelny, panie Caine.

- Zabójca Toma też nie był zbyt delikatny.

- W porządku. Proszę zadawać te swoje pytania.

- Mój partner będzie wszystko notował.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Louis wyjął notatnik.

- Znała pani Toma, zgadza się?

- Spotykaliśmy się dość często. Przeważnie u Leo Mirella.

- Na kokainowych przyjęciach?

- Niektórzy się szprycowali - odparła ze spokojem.

- Czy zna pani Arthura Clementsa?

- Widziałam go kilka razy, ale nie jestem jego znajomą.

- Czy posyłała pani Neeleyowi i Mirelli dziewczynki?

- Nie rozumiem - powiedziała, nalewając sobie z karafki wody.
- Czy wynajmowała im pani dziewczęta za pieniądze?
- Ja prowadzę agencję modelek, panie Caine - w jej oczach zaigrały dziwne światelka.
- Czy zna pani Victora Maldonado?
- Spotkałam go.
- Czy dostarczała mu pani tych „modelek”?
- Aż tak dobrze go nie znam.

Nagle przypomniał sobie coś, co powiedziała Kay, i postanowił strzelić w ciemno.

- To dziwne, Lauro, ponieważ Victor Maldonado jest właścicielem tej agencji.

Jej usta drgnęły nerwowo.

- To absurd.
- Chce mi pani powiedzieć, że korporacja „Seneca” nie jest właścicielem agencji?

Jej twarz stała się bardzo blada. Wypiła łyk wody i spojrzała Barneyowi prosto w oczy. Wyglądało to, jakby zaglądała mu w głąb duszy, szukając tam jakiegoś sekretu czy też wskazówki, która pomogłaby jej dowiedzieć się czegoś na temat przesłuchującego ją człowieka. Poczul się nieswojo.

- Nie mam pojęcia, czyją własnością jest korporacja „Seneca” - stwierdziła. - Moja agencja połączyła się z „Seneką” za dużą sumę pieniędzy. Nie ma w tym nic nielegalnego.

- Nie. Ale stręczycielstwo jest karalne.
- Jeżeli uważa pan, że popełniłam przestępstwo, to proszę mnie aresztować.
- Gdybym to zrobił, to musiałbym też wsadzić Maldonado. To mogłoby go zdenerwować.

Zaczęła stukać długimi paznokciami w blat biurka. Jej głos stał się płaski i niemal mechaniczny.

- Prowadzę ogólnokrajową agencję modelek. Od moich klientów otrzymuję tylko prowizję. Nie obchodzi mnie, co dziewczęta robią w swoim wolnym czasie.

- Czy Tom Neeley korzystał z usług którejs z pani modelek?
- Tak. Miał swoją ulubioną. Azjatkę.
- Nazwisko?
- Musiałabym sprawdzić - powiedziała wzruszając ramionami.
- Czy kobietom też pani dostarcza swoje modelki?
- Czasami. Proszę posłuchać. Wynajmuję modelki za pieniądze. Jaśniej już nie mogę tego wyjaśnić.
- Nie mam więcej pytań, a pan, sierzancie?

- Jedno lub dwa.
- Proszę pytać - zgodziła się.
- Gdzie była pani wczoraj między dziesiątą a jedenastą?
- W domu.
- Czy może pani to udowodnić?
- Tak - odpowiedziała przygryzając nerwowo wargi. - Byłam z kimś.
- Z kim?

Przez chwilę zdawało się, że straci swoją pozę. Precyzyjny rytm jej wypowiedzi stał się nierówny.

- On jest żonaty. Jest też znaną osobą. Czy koniecznie trzeba go w to mieszać?
- Nie jesteśmy Armią Zbawienia - odparł Barney - ale nie chcemy też nikogo skrzywdzić. Chcemy tylko znać jego nazwisko, żeby sprawdzić pani alibi. Nie będziemy go mieszać w tę sprawę.

- Nazywa się Paul Isella - westchnęła.
  - Ten kierowca rajdowy? - zapytał Louis.
  - Tak. Jest tutaj jako dubler czy kaskader w jakimś filmie.
  - Czy Isella znał Toma Neeleya?
  - Tak. Spotkali się u Mirella.
  - Gdzie możemy go znaleźć?
  - Na torze Ontario.
  - Będziemy musieli przejrzeć pani książki - powiedział Barney podnosząc się z krzesła.
  - Dlaczego?
  - Żeby sprawdzić tę Azjatkę, z którą zabawiał się Neeley.
  - Możecie przyjść jutro o dziesiątej.
- Odchyliła się w fotelu, a jej sterczące piersi skierowały się w sufit.
- A propos, czy posiada pani broń? - zapytał Barney.
  - Nie, poruczniku. Jestem staroświecka i wierzę, że w razie czego obroni mnie policja.

## 14.

Barney wyjrzał przez okno swojego tymczasowego biura. Szara mgła znad Pacyfiku zmieniła się w mżawkę. Było późne popołudnie i na Wilshire Boulevard paliły się już neony, a samochody poruszały się z włączonymi światłami. Odwrócił się od okna, podszedł do

stojącej w rogu tablicy i przyjrzał się narysowanemu przez siebie diagramowi.

TOM NEELEY

KAY NEELEY

(była żona Toma)

LEO MIRELL

(agent teatralny)

(własność Seneca)

VICTOR MALDONADO

(szef mafii w Los Angeles)

(Seneca)

ADAM STEIFFEL (?)

(prezes Tidal Oil)

ARTHUR CLEMENTS

(hodowca koni)

(członek zarządu wielu firm)

LAURA GREGSON

(agencja modelek)

(własność Seneca)

PAUL ISELLA (?)

(kierowca wyścigowy)

(kochanek Gregson)

Pod diagramem znajdowały się dane dotyczące korporacji Seneca. Swoją siedzibę miała w New Jersey i sprawowała kontrolę nad agencją Laury Gregson, agencją Leo Mirella, hotelem w Las Vegas, cyrkiem, dwoma hotelami w Atlantic City, trzema torami wyścigów konnych na wschodnim wybrzeżu, drużyną koszykarską i piętnastoma nocnymi klubami na terenie całego kraju.

Osobny fragment tablicy zajmowała rubryka zatytułowana: „Część zagraniczna”. Wypisane tam były:

Przewodnik Michelina - Niemcy

Mapa drogowa - Berlin-Hamburg

Zdjęcie porno - Hamburg

Hotel „Kempinski”, Berlin - rachunek

Hotel „Hassler”, Rzym - rachunek

Hotel „Oloffson”, Haiti - pudełko zapalek

Poniżej widniały dwa słowa opatrzone znakami zapytania:

Obermann?

Genesis?

Studiując je, przypomniał sobie, że zapomniał zapytać o nie Kay. Pochylił się nad zdezelowanym biurkiem, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer w Malibu. Odebrała już po trzecim sygnale.

- Cześć, Kay. Tu Barney Caine.

- Tak?

Postanowił rozegrać to powoli.

- Na jutro rano powinny być gotowe wszystkie papierki.

- Papierki?

- Żebyś mogła odebrać ciało Toma.

- A, tak - powiedziała jakby nieobecny głosem. - Zajmie się tym mój adwokat, Bernard Seeger. On będzie kontaktował się z biurem koronera. Coś jeszcze?

- Tak. Wczoraj zapomniałem o pewnej sprawie. Czy mówi ci coś słowo „Genesis”?

- Nie.

- Nigdy nie słyszałaś go od Toma?

- Nie przypominam sobie.

Barney żałował, że nie może zadać jej tych pytań osobiście, co pozwoliłoby mu obserwować jej twarz. Wiele można poznać po oczach.

- Dobrze, Kay. A teraz dobrze się zastanów. Czy znajome jest ci słowo „Obermann”?

Zapadła cisza i Barneyowi zdawało się, że słyszy gwałtowny wydech.

- Nie.

- Tom nie wspominał go?

- Nigdy nie słyszałam tego nazwiska.

- Skąd wiesz, że to nazwisko? Określiłem to jako „słowo”.

- Po prostu wydawało mi się, że to nazwisko - odparła niepewnie.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Louis. Barney dał mu znak, żeby był cicho. Louis podszedł do tablicy i zaczął przyglądać się diagramowi.

- Czy jesteś absolutnie pewna, że nigdy nie słyszałaś tych dwóch słów?

- Tak. Czytałam o Genesis w Biblii, ale to wszystko. Nieznane jest też mi słowo czy nazwisko Obermann.

- Wyjeżdżałaś gdzieś w ciągu ostatnich dwóch miesięcy?

- Zrobiłam sobie tylko wypad na pustynię.

- Chodzi mi o podróż do Europy.

- Nie.

- Myślę, że kłamiesz, Kay.

To stwierdzenie pozostało bez odpowiedzi, więc Barney postanowił przykręcić śrubę.

- Przykro mi to mówić, ale tak uważam. Wiem, że czegoś się boisz. Mogę ci pomóc, jeśli tylko mi na to pozwolisz.

Usłyszał stuk odkładanej słuchawki.

- Oni wszyscy coś ukrywają - powiedział Louis.

- Najgorsze jest to, że nie ma żadnych motywów.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z Mirellem, Clementsem i Maldonado - powiedział Louis, wskazując na tablicę.

- Wiem. Ale nie sądzę, żeby te rozmowy coś zmieniły. Wygląda na to, że kryją się wzajemnie.

- Konspiracja?

- Może. Albo przypadek. Tak czy inaczej, oni wszyscy są w jakiś sposób ze sobą powiązani.

Rozległ się grzmot i odgłos bijącego o szyby deszczu stał się głośniejszy.

- Dostałeś już raport koronera? - zapytał Louis, siadając naprzeciw Barneya.

- Gabby dzwonił pół godziny temu. Zidentyfikował broń. Siedmiostrzałowy Walther PPK .22 produkcji niemieckiej - zamilkł na chwilę. - Ci dranie torturowali go. Gabby mówi, że zabił go ostatni strzał. W głowę. Upływ krwi nastąpił w wyniku pozostałych ran.

- Chryste... - mruknął Louis.

- Resztę mam tutaj.

Podniósł notatnik i zaczął czytać. „Na poduszce znaleziono ślady substancji o nazwie ambra. Produkuje się ją z wątroby wieloryba. Jest stosowana w produkcji drogich perfum”.

- Interesujące.

- „Dwa włosy na poduszce należą do osoby rasy orientalnej. Są na nich ślady chemicznego barwnika i środków dezynfekujących”.

Opuścił notatnik i spojrzał na Louisa.

- Gabby widział już takie włosy na perukach produkowanych na Tajwanie - powiedział.

- Tak więc mamy dziewczynę, która nosi perukę i używa drogich perfum - stwierdził Louis.

- Poza tym dostarcza dziewięćdziesięcioprocentowej kokainy w lalkach voodoo



produkowanych na Haiti - dodał Barney.

- To daje nam niezły obraz sytuacji.

Obydwaj na chwilę zamilkli, wsłuchując się w odgłos walącego o szyby deszczu.

- I co o tym myślisz, Barney?

- Sądzę, że kokaina stanowi przykrywkę dla czegoś innego.

- Czego?

- Nie wiem.

Barney wstał i spojrzał na diagram. Zatrzymał wzrok na słowie „Genesis”, po czym odwrócił się do Louisa.

- Czy faceci od daktyloskopii mają coś?

- Nic.

- Kiedy idziemy do Nolana?

- Za dwadzieścia minut - odparł Louis, spoglądając na zegarek.

- No to chodź. Napijemy się kawy.

## 15.

Dziewczyna patrzyła, jak po szybie spływają krople deszczu. Długie, ciemne włosy opadały na ramiona jej jedwabnej beżowej garsonki. Kiedy podnosiła do ust rękę z papierosem, rozlegał się cichy grzechot bransolet z kości słoniowej.

Ruch na Wilshire Boulevard odbywał się w żółtim tempie: kierowcy walczyli ze śliską nawierzchnią. Zauważyła, jak z lokalu wychodzi grupka dobrze ubranych kobiet i biegnie, aby schronić się pod najbliższym daszkiem. Bawiły ją te kobiety z Beverly Hills. Wcześniej tego dnia spacerowała po Rodeo Drive, oglądając luksusowe, zagraniczne butiki. Yassir nazwał to miejsce najbogatszym trójkątem świata. I chociaż nie planował tam jeszcze akcji, to niedługo znajdzie się tam. „Ich czas jeszcze nadejdzie” - powiedział. Mimo to dziewczyna nie czuła do tych kobiet nienawiści. Niby z jakiej racji? Cóż one wiedziały? Co czuły? Czego chciały? Nowej sukienki? Nowego diamentu? Nowego kochanka? Nie można nienawidzić ludzi, którzy zostawiają swoje sumienie na tylnym siedzeniu Mercedesa. Te zamożne damy stanowiły świadectwo niesprawiedliwości obecnych czasów. Rosyjscy imperialiści pili za dużo wódki, amerykańscy kapitaliści jedli za dużo bekonu, a brazylijskie dzieci umierały z głodu na eleganckich plażach Rio. Interes zawsze górował nad moralnością.

Dziewczyna westchnęła i pomyślała, że pomimo rosnących w niej wątpliwości na

temat stosowania przemocy, pomimo wypełnionych koszmarami nocy, pomimo samotności i degradacji, jedna rzecz pozostała czysta: była członkiem ruchu politycznego i reprezentowała sobą ostatnią nadzieję ludzkości na przetrwanie. Nadejdzie jeszcze dzień, kiedy zwykli ludzie zjednoczą się w idei światowego braterstwa. Wierzyła w to desperacko. Musiała. To było wszystko, co jej pozostało.

Odwróciła się od okna i podeszła do stolika. Stało na nim srebrne wiaderko z butelką szampana. Nalała sobie kieliszek i usiadła na sofie. Pomyślała o niestosowności picia drogiego szampana i myśleniu w tym samym czasie o zwykłym człowieku. Ale to była droga do celu. W ten sposób załatwiała się interesy.

Czuła się trochę nieswojo. Zbyt długo przebywała w tym mieście. Z każdym mijającym dniem rosło prawdopodobieństwo wpadki. Wiedziała, że do tej sprawy został przydzielony jeden z najlepszych detektywów w mieście. Należało się tego spodziewać, niemniej jednak poczucie zagrożenia rosło. Tęskniła za Paryżem. Tęskniła za Raoulem. Ta misja była wyjątkowo brutalna. Neeley okazał się trudnym orzechem do zgryzienia. Musiała użyć wszystkich swoich sztuczek. Było to okropne, ale przyniosło rezultaty.

Rozległ się dźwięk dzwonka przy drzwiach. Wstała, poprawiła czarne włosy, odpięła guzik bluzki, odsłaniając gładką skórę szyi, aż do miejsca, gdzie zaczynał się łagodny łuk piersi. Podeszła do drzwi, spojrzała przez wizjer i zdjęła łańcuch.

Arthur Clements położył swój beżowy płaszcz na krześle i przyglądał dłonią włosy. Spojrzał na doskonały owal twarzy dziewczyny i błyszczące, niebieskie oczy. Jej uśmiech był dziwnie sugestywny. Zupełnie, jakby już kiedyś się spotkali.

- Spóźniłeś się - powiedziała.

Clements nie mógł się zdecydować, czy jej akcent jest duński, norweski czy niemiecki.

- Przepraszam. Nie dało się tego uniknąć.

Zauważył szampana i spojrział na etykietę.

- Dom Perignon. Dobrze ci się powodzi.

- A dlaczegóżby nie? - zapytała podając mu kieliszek.

- Zdrowie.

- Zdrowie.

Przyglądał się jej figurze, błędząc oczami po białej skórze i zatrzymując wzrok na jędrnych, stromych piersiach.

- Zawsze myślałem o terrorystach, jako o brodatych, spoconych mężczyznach i potrzebujących kąpieli kobietach.

- Czyżbym cię rozczarowała?

- Ależ skąd!

Wyjął z kieszeni papierośnicę i poczęstował ją.

- Nie, dziękuję.

Zapalił i usiadł na kanapie. Dziewczyna pozostała w pozycji stojącej, spoglądając na niego z góry. Zaczął odczuwać zmysłowe podniecenie. Znał jej przeszłość. Za tym ujmującym uśmiechem i śliczną buzią kryła się doświadczona zabójczyni, zawodowy morderca z kilkoma wyjątkowymi osiągnięciami na swoim koncie. Jemu to jednak nie sprawiało różnicy.

- Twój przyjaciele sknócili sprawę Neeleya - powiedział.

- Wykonywaliśmy twoje instrukcje.

- Nie moje. Ja je tylko przekazuję.

- Wychodzi na to samo. Nie uciekniesz w ten sposób od odpowiedzialności za czyjąś śmierć.

- Nie zleciłem wykonania tej roboty. Po prostu zgodziłem się, że jest to konieczne - upierał się.

Zaczął odczuwać lekkie zdenerwowanie.

- Domyślam się, że Neeley niczego nie powiedział.

Podeszła do fotela i rozsiadła się wygodnie, przypatrując mu się z zainteresowaniem. Zupełnie, jakby oglądała jakiś ciekawy okaz w muzeum. Odchyliła się nieco do tyłu i szerzej rozłożyła nogi. Nadszedł czas rozpoczęcia gry.

- Przyznał się jedynie do spotkania z Obermannem w Berlinie - powiedziała. - To był twardy człowiek. I lojalny. Słowem nie wspomniał o znajomości z tobą.

- Mówił coś o formule?

- Wyszłam przed końcem. Dowiedziałam się, że nie.

Odchyliła się do tyłu, wypinając do przodu piersi, i powiodła powoli palcem po krawędzi kieliszka, jednocześnie przysuwając językiem po wargach. Obserwowała go, jak przygląda się każdemu jej ruchowi. Nadszedł czas. Mogła już wyłuszczyć swoją sprawę.

- Moi przyjaciele chcieliby spotkać się z Kay Neeley.

Clements czuł się jak zahipnotyzowany. Sposób, w jaki jej wargi owijały się wokół każdego słowa, tak jakby rzeźbiła je w powietrzu, zmysłowy ruch palca po krawędzi kieliszka i te dziwne światełka błyskające w jej oczach. Wszystko to dziwnie na niego oddziaływało.

- Ona nic nie wie.

Wzruszyła ramionami i ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu.

- Może, ale musimy z nią porozmawiać.
- Nie pozwolę, aby stała jej się krzywda.
- Czy to twoja kochanka?
- Nie.
- Wobec tego jesteś sentymentalny.
- Jestem rozsądny.
- Nikt nie chce robić jej krzywdy.
- Ona nic nie wie - powtórzył.
- A o szwajcarskim bankierze?
- Pytałem ją o to. Nic nie wie na jego temat.

- Może nie zdawać sobie z tego sprawy. Neeley mógł jej coś powiedzieć. Jakieś przypadkowe stwierdzenie, które może pomóc nam stwierdzić, czy spotkał się ze Szwajcarem i czego dowiedział się o „Genesis”.

Clements pokręcił głową.

- Nie mogę sam decydować. Muszę otrzymać na to zgodę.

Dziewczyna podniosła się z fotela.

- Ale twoja opinia bardzo się liczy. Możesz zarekomendować taką wizytę.
- Sam nie wiem - powiedział.

Ani na chwilę nie odwracała od niego wzroku. Nawet wtedy kiedy podnosiła do ust kielich z szampanem. Zbliżyła się do sofy i usiadła na poręczy. Znalazła się bardzo blisko niego. Nadeszła pora zagrania karty atutowej.

- Mam dziewięćdziesięcioprocentową kokainę - wyszeptała. - Absolutny dynamit.

Clements spojrział na nią. Jej sterczące piersi znajdowały się tuż przy jego ustach. Poczł gwałtowne bicie serca i pulsowanie w skroniach.

- Daj - powiedział chrapliwym głosem.
- Najpierw musisz zadzwonić.

Przez moment wpatrywał się w nią.

- Nie chodzi mi tylko o kokainę.
- Rozumiem.

Wstał i podszedł do telefonu. Dziewczyna patrzyła, jak wykręca miejscowy numer. Przyciszonym głosem poprosił o zgodę na odwiedzenie Kay Neeley. Posłuchał przez chwilę.

- Jutro - odparł.

Odłożył słuchawkę i skinął głową w kierunku dziewczyny, która wstała i uśmiechnęła się.

- Rozbierz się.

- Tak po prostu? - zapytał.

- Dlaczego nie? Nie jesteś mężczyzną, który potrzebuje długich wstępów. Słyszałam, że nieźle sobie radzisz z profesjonalistkami.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Clements zbliżył się do okna. Burza stawała się coraz gwałtowniejsza.

Nie czuł się najlepiej, pozwalając im dobrać się do Kay. Jej śmierć była już przesądzona. Gdyby tylko ten cholerny Szwajcar nie natknął się na „Genesis”. Gdyby tylko nie skontaktował się z Obermannem, Tom Neeley żyłby teraz. Nie miałby żadnych kłopotów, a formuła „Genesis” pozostałaby bezpiecznie ukryta w nazistowskiej przeszłości. Ale szwajcarski bankier wszystko zmienił. Reprezentował konsorcjum dysponujące wystarczającymi środkami i technologią, aby odtworzyć projekt i podjąć się produkcji według formuły.

Clements nie kwestionował decyzji, którą podjął. Po prostu nie znosił przemocy. Jednak niczego nie mógł już zrobić. Wyboru dokonał wiele lat temu.

Westchnął ciężko i zwrócił myśli ku kobiecie i prawie czystej kokainie. Zdjął marynarkę i zaczął rozpinąć koszulę. Powoli ogarniało go podniecenie. Synapsy jego nerwów już oczekiwały pierwszego cudownego wdechu, kiedy białe proszek popędzi kanałami nosowymi do mózgu, wywołując eksplozję światła i uwalniając umysł, przenosząc go na odległą planetę, na której jedyną wartością jest miłość.

## 16.

Louis stał przed oknem obserwując, jak mrok spowija miasto. Późnowiosenna burza smagała ulice deszczem. Barney siedział naprzeciw biurka Nolana. Zanedbana kobieta, długoletnia sekretarka Nolana, podała im kawę, wyjaśniając, że szef jest w łazience. Poinformowała ich, że nie czuje się najlepiej, dając im do zrozumienia, żeby go zbytnio nie denerwowali. Strzepnęła z kołnierza płatki łupieżu, uśmiechnęła się niewyraźnie i wyszła.

Dźwięk tłukącego o szyby deszczu zakłócił odgłos spuszczonej w toalecie wody.

- Hej, partnerze - zawołał Louis. - Jak myślisz? Doczekasz się kiedyś biura z prywatnym kiblem?

- Miałem takie kiedyś. Osiem lat temu.

- Gdzie?

- W Madrycie. Duży gabinet w eleganckim budynku przy Plaza de Espana, z własną łazienką i prysznicem. Oprócz własnego kibla miałem jeszcze fundusz na dziwki.

- Dziwki?

- Tak. Sprowadzałem panienki z Anglii i podsuwałem je członkom radzieckiej misji handlowej.

- Wyciągały coś z nich?

- Żadnych sekretów. Ale jedna z nich złapała ciężki przypadek syberyjskiego trypra.

- Ryzyko zawodowe - uśmiechnął się Louis.

Drzwi łazienki otworzyły się i do gabinetu wszedł Nolan. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur, niebieską koszulę i niebieski krawat. Na mankietach pobłyskiwały złote spinki, a eleganckie buty były wypastowane na wysoki połysk. Jednak pomimo nieskazitelnego stroju wyglądał na zmęczonego. Wrażenie to podkreślały podkrążone oczy i wystający brzuch. Ubranie nie mogło zamaskować zniszczonego ciała. Podszedł powoli do biurka i usiadł na obrotowym krześle z wysokim oparciem.

Louis zajął miejsce obok Barneya. Nolan zapatrzył się na spływające po szybach strużki wody.

- Miałem bilety na dzisiejszy mecz - powiedział, nie przerywając obserwacji widoku za oknem. - No dobra. Co tam masz? - zapytał Barneya.

- Na początek nie ma żadnych wątpliwości, że Tom handlował kokainą.

- Skurwysyn - wyszeptał Nolan i spojrzał na Louisa.

- Zgadza się - potwierdził sierżant.

- Co jeszcze?

- Neeley był pośrednikiem Leo Mirella, który przekazywał towar swoim klientom i przyjaciółom.

- Mirell też jest handlarzem?

- Nie. Tylko dostarczycielem.

- Skąd Neeley brał to świństwo?

- Nie mogę tego udowodnić, ale przypuszczam, że dostarczał je poprzez kuriera Victor Maldonado. Nie był to żaden z miejscowych.

- Dlaczego?

- Neeley był zawodowcem. Wiedział, że lokalni handlarze w większości sami ćpają i nie można im ufać. Albo dają się złapać i sypią, albo ogarnia ich chciwość i próbują szantażu. Tom był za sprytny, żeby wiązać się z lokalną mafią meksykańską lub jakimś wolnym strzelcem. Nie ruszyłyby towaru, chyba że kurier był z zewnątrz.

- Z Kolumbii?

- Lalka voodoo pochodzi z Haiti. Dziewczyna, z którą się pieprzył, to prawdopodobnie ten kurier. Mogła być każdej narodowości.

- Więc to zabójstwo ma związek z Haiti?

- Nie wiem - odparł Barney. - Mój nos mówi mi, że Tom nie zginął z powodu kokainy.

- Skąd wiesz?

- Załatwili go zawodowcy. *Modus operandi*, sposób wejścia do domu, stosunek przed śmiercią, użyta broń, bałagan, pozostawiona przy nim lalka - wszystko wskazuje na to, że został wystawiony przez profesjonalistów.

- Dlaczego mówisz „wystawiony”? Chyba jest oczywiste, że chodziło o narkotyki?

- W tej sprawie nie ma nic oczywistego. Wiele przesłanek wskazuje na inny motyw.

Nolan odchylił się, a jego twarz wykrzywił grymas bólu. Otworzył szufladę biurka, wyjął słoik Gelusilu i łyknął dwie tabletki.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał Louisa.

- Rzeczywiście, morderstwo wygląda na związane z handlem narkotykami, ale z drugiej strony Barney może mieć rację.

- Dlaczego?

- Mamy kilku podejrzanych z kręgu przyjaciół i współników Toma, ale nie możemy znaleźć żadnego motywu.

- Kim są ci podejrzani?

- Barney prowadzi tę sprawę - odparł Louis.

Nolan westchnął i spojrzał na detektywa.

- Dobra. Ty mi powiedz.

- *Numero uno* to Maldonado. Brak motywu.

- Skąd wiesz? Przypuśćmy, że pokłócili się o kokainę.

- Maldonado nigdy nie wydałby rozkazu sprzątnięcia byłego szefa policji. Jego szefowie ze wschodniego wybrzeża nie zgodziliby się na coś takiego. Gdyby okazało się, że Neeley ich oszukuje lub sprawia inne kłopoty, to Maldonado przerwałby dostawy towaru i znalazł innego pośrednika. Drugi podejrzany to Leo Mirell. Superagent. Trzyma w garści czołowe talenty w show-biznesie. Aktorów, gwiazdy rocka, kompozytorów. Jest właścicielem studiów nagrań, agencji koncertowych. Poza tym jest uzależniony od kokainy. Tom był jego dostawcą. Znowu brak motywu.

- Na to wygląda. Ale jeśli Neeley postanowił podwyższyć cenę?

- On nie ustalał ceny. Robił to Maldonado. Tom dostawał tylko prowizję. Leo nie miał powodu go zabijać. Poza tym przyjaźnili się. Przecież wysłał po niego szofera.

Nolan wyjrzał przez okno na pogrążone w ciemnościach miasto. Po chwili odwrócił się do Barneya.

- No dobrze. Leo Mirell jest czysty.

- Pozostaje nam Laura Gregson. Jej firma to przykrywką dla organizacji dostarczającej pod szyldem agencji reklamowej panienek klientom w całym kraju. Gregson jest sprytna, wyszczekana i ma bliski kontakt z Maldonado. Poprzez Senekę kupił jej firmę, a także agencję Mirella.

- Co to jest ta Seneca?

- Mafijna korporacja. Spółka holdingowa. Hotele, kasyna, banki na Bahamach, drużyny futbolowe, tory wyścigowe, agencja Laury Gregson, agencja Mirella. Prezesem jest Maldonado.

- A dyrektorzy?

- Tego jeszcze nie wiem. Collins ze spraw wewnętrznych pracuje nad tym, jednak, opierając się na posiadanych przez nas informacjach, Laura Gregson też nie miała motywu, aby chcieć śmierci Toma.

- Ale prowadzi ekskluzywny burdelik?

- To chyba retoryczne pytanie, John?

- Co?

- Nieważne.

- Czy de Lucca z obyczajówki wie o tej Gregson?

- Nie mam pojęcia.

- Nie ufam temu kutasowi - powiedział Nolan. - Ale to inna sprawa. Kontynuuj.

- Kay Neeley. Rozwiodła się z Tomem, ale pozostali przyjaciółmi. Ona czegoś się boi.

- Jakież hipotezy?

- Mam niczym nie poparte przeczucia, że ona i Tom byli zamieszani w coś, co wiązało się z jego łapówkarskimi podrózkami do Europy.

Twarz Nolana nagle poczerwieniała.

- Jakimi łapówkarskimi podrózkami?

- Zaraz wyjaśnię. Kay jest przerażona. Coś ukrywa. Ale nie miała motywu, aby pragnąć śmierci Toma. Byli bardzo sobie bliscy.

Nolan głośno czknął. Lewą ręką złapał się za brzuch, a prawą sięgnął po słoik z Gelusilem. Louis szybko nalał mu z karafki wody. Nolan podziękował skinieniem głowy,



włożył do ust trzy pigułki i popił. Usiadł prosto i otarł pot z czoła.

- Powinieneś pójść do domu, John - powiedział Louis.

- Nie. To zaraz przejdzie. Lekarz powiedział mi, że zanim się poprawi, to najpierw może się pogorszyć. Namawiał mnie na wyjazd na ryby. Opowiedz mi o tych podróżach - zwrócił się do Barneya.

- Już mówię. Arthur Clements. Przeszedł niedawno na emeryturę. Jest w zarządzie co najmniej pół tuzina wielkich korporacji. Hodowca koni i właściciel jednej z największych stajni koni wyścigowych na zachodnim wybrzeżu. Kawaler, typ spokojnego playboya. Uczestniczył w przyjęciach u Leo Mirella. Był przyjacielem Toma i Kay. Korzystał z dziewczynek Laury Gregson i koki Neeleya. Brak motywu, ale... tutaj sprawy się komplikują. Clements organizował Tomowi podróże do Europy. Skontaktował go z Adamem Steiffelem.

Nolan spojrział na Barneya, jakby nagle zobaczył ducha.

- Powiedziałeś Adam Steiffel? - zapytał chrapliwym głosem.

- Tak - odparł spokojnie Barney.

Nolan zerwał się z krzesła, obszedł biurko i stanął nad Barneyem.

- Teraz słuchaj uważnie - jego głos drżał i pojawiła się w nim nuta groźby. - Nie waż się wspominać tego nazwiska! Los Angeles to Adam Steiffel. To Centrum Muzyki. To Muzeum Sztuki i Osiągnięć naukowych. Jeden z największych pracodawców w tym stanie. Z jego pieniędzy jest finansowana działalność obu partii. Nie ma w tym mieście urzędnika państwowego, który nie miałby wobec niego długu wdzięczności - przerwał na chwilę dla nabrania oddechu. - Ani się waż zbliżać do niego bez mojego pozwolenia. Masz nie wspominać jego nazwiska prasie ani nikomu poza tym pokojem. Zrozumiałeś, Caine?

Louis spojrział w kierunku Barneya i zobaczył, jak w jego łagodnych, brązowych oczach zapalają się błyskawice, a blizna na policzku staje się purpurowa. Miał nadzieję, że Barney opanuje się. Znał Nolana i lubił go. Wiedział, że wszystko, czego chce ten człowiek, to dotrzeć do emerytury.

Barney wstał i stanął tuż przed szefem Wydziału Operacyjnego. W jego głosie był spokój, jaki można znaleźć jedynie w oku cyklonu.

- Powiem to tylko dlatego, że mnie nie znasz. Nigdy przedtem nie miałeś ze mną do czynienia, więc słuchaj uważnie. Nie mam żadnego życia prywatnego. Zero. Ważne dla mnie są tylko dwie rzeczy: moja praca i mój syn, nic poza tym. Zostałem oddelegowany do tej sprawy, ponieważ w pewnym sensie jest ona dla mnie osobista. Tom Neeley był przyjacielem mojego ojca i to on wciągnął mnie do policji. Zawsze okazywał mi przyjaźń. Kimkolwiek stał się później, to zapłacił za to straszliwą cenę. Zamierzam znaleźć jego mordercę, nawet jeżeli

ślad będzie prowadził do pieprzonego Białego Domu. Tak samo dopadnę tych czterech gliniarzy, którzy zabili nieuzbrojonych cywilów. Nigdy nie wyjdzie to poza Wydział. Tak samo jak nigdy nie powiem ani nie napiszę nic, co mogłoby zaszkodzić CIA. Ale sprawę doprowadzę do końca. Takie mam zasady. Przykro mi, że masz wrzody, i przykro mi, że przeze mnie nie poszedłeś na mecz. Ale gównu mnie obchodzą twoje polityczne czy osobiste problemy. Spotkam się z Adamem Steiffelem i z kimkolwiek będę chciał. A teraz możesz powiedzieć komisarzowi, że jeżeli sobie życzy, to mogę oddać odznakę. Ale pamiętaj, że na dole czekają dziennikarze z siedmiu stacji telewizyjnych, gazet i agencji informacyjnych. Chcą wiedzieć, co eks-szef policji miał wspólnego z kokainą, dziewczynkami i przemytem pieniędzy. Na razie jeszcze nie było żadnego przecieku, ale kiedy zwrócę odznakę, zaraz zaczną pytać, dlaczego personalnie wybrany przez komisarza zapaleniec z Operacyjnego wystąpił z policji w trakcie prowadzenia dochodzenia. Czy tego chcesz?

Nolan długo patrzył na Barneya, po czym wrócił na swoje krzesło, wyjął z pudełka długie hawańskie cygaro, odgryzł końcówkę i zapalił. Spojrzał na niego przez kłąb dymu.

- Dobra, dawaj resztę - jego głos brzmiał, jakby nic się nie stało.

Barney zaczął mówić monotonnym, pozbawionym wyrazu głosem.

- Neeley został wynajęty przez Steiffela. Powiedział Kay, że otworzyły się przed nim nowe możliwości. Jego zadanie polegało na przewożeniu pieniędzy do Rzymu. W czasie jednej z tych podróży znalazł się w Niemczech. Sądzę, że Kay pojechała razem z nim. Przypuszczam, że wie, co oznaczają słowa Genesis i Obermann.

Nolan nic nie powiedział. Barney wstał i podszedł do okna. W gabinecie zapanowała cisza.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze z Maldonado, Mirellem i Clementsem - odezwał się Louis.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę zebrać jak największą ilość informacji, zanim odkryję swoje karty przed którymś z głównych podejrzanych. Poza tym mam przecucie, że niezależnie od tego, z kim będziemy rozmawiać, to znajdziemy się w punkcie wyjścia. Będziemy mieli grupę ludzi powiązanych przez seks, narkotyki i korporację Seneca, którzy mają doskonałe alibi. Znalezienie motywu też okaże się niemożliwe.

- Jest jeszcze kilka mniej ważnych osób - wtrącił Louis.

- Azjatka Neeleya i Paul Isella, kierowca wyścigowy mający romans z Laurą Gregson.

- To wszystko?

- Jak na razie.

Nolan pociągnął cygaro w zamyśleniu.

- A co z szoferem Mirella? - zapytał.

- Można go puścić.

- Zostaw nas samych, Louis - polecił Nolan.

Louis poszedł w kierunku drzwi.

- Będę w swoim biurze - powiedział przechodząc obok Barneya.

- Zapoznam ze wszystkim komisarza - stwierdził Nolan. - Ale chcę, żebyś coś wiedział. Nie jestem twoim wrogiem. Wierzę, że jesteś jednym z tych rzadkich okazów, którym zależy jedynie na znalezieniu prawdy i niech się dzieje, co chce. Takim rodzajem patrioty. Nie mogę cię za to winić. Ale to nie jest czas na patriotyzm. Przez długi czas żyłem w tym systemie, a to nie udaje się bez szczypty zdrowego rozsądku. Dlatego dam ci radę. Wsadzisz rękę w świat Adama Steiffela i możesz już jej nie wyjąć.

- Zapamiętam to, John. Dobranoc - powiedział i wyszedł z pokoju.

Nolan wrócił za biurko i zagłębił się w fotelu. Zaciągnął się dymem z cygara i spojrzał na ciągle padający deszcz. Rozległ się huk pioruna.

- Pieprzona burza - mruknął.

## 17.

Kiedy Barney dojechał do podziemnego garażu w Doheny Palms, już nie padało.

Zaparkował na przeznaczonym dla niego miejscu. Zauważył, że miejsce, w którym zwykle stał samochód Kathy, było puste, co oznaczało, że zaparkowała swojego Firebirda na parkingu obok terminalu lotniska i znajdowała się na pokładzie samolotu albo w czyjejs sypialni w Pittsburghu, Cleveland, Chicago lub Albuquerque.

Przywitał się z nocnym portierem, sprawdził, czy nie ma dla niego żadnych wiadomości, i skierował się w stronę windy.

Wyjął z lodówki kurczaka i włożył do kuchenki mikrofalowej. Poszedł do łazienki, odsunął zasłonę prysznica, odkręcił oba kurki i ustawił przełącznik w pozycji „masaż”. Rozebrał się i przyjrzał swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Zauważył, że blizna na prawym policzku staje się coraz bardziej szkarłatna.

Wszedł pod prysznic i pozwolił silnemu strumieniowi smagać się po szyi i plecach. Przypomniał sobie narkomana, który zostawił mu tę pamiątkę na policzku. Miło wyglądający blondyn, który handlował wszelkiego rodzaju narkotykami w koledżu w Fairfax. Zabrał go do

pustej klasy i starał się w łagodny sposób przekonać, że jeżeli poda mu nazwisko dostawcy, to pójdzie z nim na ugodę. Chłopak rozplakał się i wyglądało na to, że będzie współpracował. Jednak kiedy wyszli z klasy, nagle wyjął brzytwę i rzucił się na Barneya. Celował w krtań, ale nie trafił i chlasnął go po policzku. Na pomoc rzucił się umundurowany policjant i z całej siły uderzył chłopaka w głowę pałąk.

Niedoszły zabójca leżał nieprzytomny w szpitalu przez kilka tygodni. Jego rodzice nigdy niczego nie powiedzieli Barneyowi, ale ich wzrok wyrażał wszystko. Ich syn padł ofiarą brutalności policji. Barney odwiedzał go codziennie i dbał, żeby miał zapewnioną najlepszą opiekę. Chłopiec nigdy nie odzyskał pełni władz umysłowych i został skierowany do szpitala psychiatrycznego dla kryminalistów w Atascadero z objawami częściowego autyzmu. Jedna sekunda przemocy i ludzka istota zostaje zredukowana do poziomu rośliny. Barneya nigdy nie opuściło poczucie winy. Powinien był posłuchać Joe Rudolpha, który był starym wyjadaczem z Wydziału Narkotyków. Joe nigdy nie popierał prywatnych konferencji z podejrzanymi. Ostrzegał Barneya, żeby najpierw skuł chłopaka kajdankami. Barney odmówił, a co więcej, nie obszukał podejrzanego. Tak więc poczucie winy pozostało.

Takie samo poczucie winy pozostało mu po zamachu na Velasqueza w Chile. Co prawda nie mógł wiedzieć, że jego wspólny obiad z ministrem, w restauracji na rogu Julio i Gutierrez, był w rzeczywistości zasadzką. Barney jedynie wykonywał rozkazy. Mimo to odrobina logicznego myślenia zamiast ślepego posłuszeństwa pozwoliłaby mu wszystkiego się domyślić. Wiedział, że CIA uważa Velasqueza za finansową siłę stojącą za Allende. Powinien był to przewidzieć. Powinien też był skuć tamtego chłopaka. Poczucie winy, wyrzuty sumienia, złe wspomnienia - wszystko to spływało z niego wraz ze strugami wody. Powinien był włożyć więcej wysiłku w ratowanie rozlatującego się małżeństwa. Powinien częściej widywać się z synem. Ale zawsze przedkładał poczucie obowiązku w sprawach zawodowych nad życie osobiste. Kiedy nie mógł już pozostać lojalny, odszedł. Ale nigdy nie zdradził. Był też szczery z Nolanem. Detektyw prowadząc sprawę był jak pilot lecący według wskazań radaru. Elektroniczne ramię logiki wirowało w mózgu samolotu, przekazując wszystkie dane pilotowi. Należało tylko wiedzieć, jak te dane zinterpretować i jak według nich działać.

Barney odwrócił się i strugi wody zaczęły bić go po twarzy. Czuł dziwną mieszankę zmęczenia i podniecenia. Ta sprawa wyzwoliła w nim wszystkie talenty. Był zdecydowany doprowadzić ją do końca. Być może nie uda mu się postawić zabójców Toma przed sądem, ale dowie się, kto go zabił i dlaczego. Właśnie to „dlaczego” było najważniejszym pytaniem. Tutaj krył się motyw. Trzeba kierować się logiką. Prawdziwe uczucie dokonania czegoś

pochodzi z procesu odkrywania tajemnicy.

Wyszedł z łazienki, włożył szlafrok, skierował się do kuchni i wyjął z kuchenki obiad. Postawił go na tacy, nalał sobie wódki z lodem, zaniósł do sypialni i postawił wszystko na nocnym stoliku. Usiadł na łóżku, opierając się o wezglówek, i włączył telewizor. Właśnie szedł dziennik i spiker opowiadał o szczegółach izraelskiego ataku na południowy Liban.

Barney czuł podziw dla tego malutkiego kraju. Kiedyś spotkał agenta Mosadu. Przypomniał sobie jego nazwisko. Zwi Barzani. Wysoki, szeroki w barach były spadochroniarz, który walczył w wojnach 1956 i 1967 roku oraz w niezliczonych potyczkach w okresie pomiędzy tymi datami. Barzani przekazał mu dokumenty dotyczące radzieckich pocisków klasy powietrze-ziemia. Izraelczycy przejęli je nietknięte na Synaju w 1967. W końcu trafiły do CIA, Pentagonu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Barney pozostawał pod wrażeniem spokojnego, pełnego skromności Barzaniego. Miał on tę swoistą cechę, to charyzmatyczne poczucie własnej siły, które powodowało, że jego ludzie gotowi byli iść za nim w ogień. Słuchając wiadomości o ataku, zastanawiał się, czy Izraelczyk bierze w nim udział i czy jeszcze żyje. Relację kończył widok jasnowłosej reporterki kulającej się odruchowo na odgłos wybuchów pocisków z wielkich dział.

Znowu pojawiła się twarz spikera, który melodramatycznym głosem donosił, że „doborowy zespół Wydziału Operacyjnego nadal usiłuje rozwiązać sprawę brutalnego mordu popełnionego na osobie byłego szefa policji w Beverly Hills, Thomasa Neeleya, który, jak się dowiadujemy, był zamieszany w handel...” Barney wyłączył telewizor. Następnie wszedł do salonu i puścił starą płytę z bossa novami Stana Getza. Te rytmiczne dźwięki pozostaną na zawsze wpisane w jego pamięć. Pierwszy raz usłyszał je podczas pobytu w Rio. Melodia „Girl from Ipanema” Jobima przywoływała na myśl chwile spędzone z Alice.

Nagle zabrzączał telefon. Ten dźwięk oznaczał, że ktoś dzwoni z recepcji. Podniósł słuchawkę. Portier poinformował go, że przyszła niejaka Laura Gregson i że chciałaby się z nim spotkać.

- Jest sama?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze. Proszę ją przysłać na górę.

Odłożył słuchawkę i wrócił do sypialni. Zdjął szlafrok, włożył parę wytartych dżinsów i niebieską koszulkę polo z wyszytym na prawej kieszeni napisem „Ischia”. Nie zaprzętał sobie głowy kapturami, przeszedł boso po grubym dywanie.

Kiedy otworzył drzwi, w nozdrza uderzył go zapach słodko pachnących perfum, co przypomniało mu perfumy z poduszki Neeleya. Ten jednak nie był tak intensywny. Na

pełnych ustach Laury pojawił się lekki uśmiech, ale największe wrażenie sprawiały błyszczące, szmaragdowe oczy i chrypliwy głos. Barney pomógł jej zdjąć płaszcz i nogą zamknął drzwi.

- Musiałam zobaczyć się z panem - powiedziała wchodząc do salonu.

Miała na sobie czarne welwetowe spodnie, czerwoną jedwabną bluzkę, a na nogach czarne pantofelki ze złotymi sprzączkami. Z biżuterii rzucały się w oczy złote kolczyki z rubinami i szeroka złota bransoleta na prawym przegubie. Jej długie, piaskowe włosy swobodnie opadały na ramiona.

- Drinka? - zaproponował.

- Chętnie.

Usiadła na stołku barowym i obserwowała, jak nalewa jej brandy.

- Przepraszam za najście o tak późnej porze, poruczniku.

- Nie jestem na służbie. Możesz mówić mi Barney.

Postawił przed nią szklaneczkę.

- Jak mnie znalazłaś?

- Dzięki twojemu japońskiemu partnerowi - odparła wyjmując z torebki paczkę Gauloisów.

- Co mu powiedziałaś? - zapytał, przypalając jej papierosa.

- Że muszę z tobą porozmawiać. Dał mi numer twojego telefonu. To znaczy numer na portiernię. Nietrudno było znaleźć adres i postanowiłam przyjść.

- Dlaczego nie skorzystałaś z telefonu?

- Nie ufam telefonom.

- Czyżbyś miała powody przypuszczać, że twój telefon jest na podsłuchu?

- W mojej branży trzeba się z tym liczyć.

- Ale chyba musisz mieć niezłe kontakty w obyczajówce.

- Najlepsze - pochwaliła się - ale są też inni, przed którymi chciałabym zachować kilka sekretów. Niebezpieczni ludzie. Wiesz, o kogo mi chodzi, Barney.

Po raz pierwszy użyła jego imienia. Dawała mu do zrozumienia, że wszystko to, co powiedziała, jest tylko pretekstem, a prawdziwym powodem jej wizyty jest przekonanie go, że jest osiągalna.

Zaciągnęła się dymem z papierosa, obserwując go, jak podchodzi do sofy i siada. Płyta z bossa novami skończyła się i włączyli się Bee Gees. Oboje przez chwilę słuchali muzyki.

- Miło tu - powiedziała w końcu.

- Nie muszę słać łóżka ani prać. Te usługi wliczone są w cenę.

Zaciągnęła się głęboko i wypuściła z ust kłąb dymu.

- Nie wiedziałam, że jesteś kawalerem - powiedziała z niewinnym wyrazem twarzy.

- Daj spokój, Lauro. Twój przyjaciel Maldonado na pewno sprawdził mój życiorys od dnia urodzenia.

- Żadnej przyjaciółki? - uśmiechnęła się.

- Jest pewna dziewczyna.

Podniecała go. Co gorsza, wiedziała o tym. Była naprawdę piękna, a jej ruchy emanowały naturalną zmysłowością.

- O co ci chodzi, Lauro?

Spojrzała na niego swoimi zielonymi oczami.

- Jest coś... coś, co powinnam była powiedzieć po południu. Ale za bardzo się bałam. Nie miałam czasu na zastanowienie się. Nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać.

- A teraz już wiesz?

- Nie do końca. Jednak wyczuwam pewne - zamilkła na moment - pewne zrozumienie.

Poza tym jesteśmy sami. Nikt nie robi notatek.

Zsunęła się z taboretu i zrobiła w jego kierunku kilka kroków. Zatrzymała się i stanęła w pozycji zawodowej modelki pozującej do zdjęcia. Palcami lewej dłoni musnęła końce swoich długich, jedwabistych włosów. Duże, krągłe piersi wypychały jedwabną, czerwoną bluzkę, przez którą wyraźnie odznaczały się twarde sutki. Zwilżyła językiem wargi.

\*

- To, o czym nie wspomniałam - zaciągnęła się papierosem - to Arthur Clements.

- To znaczy?

- Rozmawiałeś już z nim?

- Wybieram się do niego jutro rano.

- W takim razie zapytaj, po co wysłał Toma do Niemiec.

- Zdawało mi się, że Clements załatwił mu poprzez Adama Steiffela jakąś robotę w Rzymie.

- Być może to ma jakiś związek, ale Clements wysłał Toma do Niemiec.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem. Tylko domyślam się.

Podeszła do fotela naprzeciw Barneya i usiadła. Obserwował ją, mając nadzieję, że to, co mu powiedziała, okaże się prawdą. Jeżeli tak się stanie, to znajdzie brakujące ogniwo: to niemiecka sprawa przeraziła Kay.

- Skąd te przypuszczenia, Lauro?

- Tom wspomniał o tym jednej z moich dziewcząt.

- Której?

- Wietnamce. Tej, którą chcecie znaleźć w moich księgach. Tom czegoś szukał w Niemczech.

- Powiedział to tej dziewczynie?

- Przyznał się jej, że jest na tropie czegoś niezwykle wartościowego. Stwierdził, że stawka jest wręcz fantastyczna.

- Czy użył dokładnie tych słów? - Barney starał się nie zdradzić podniecenia, jakie go ogarnęło.

- Tak powiedziała moja dziewczyna.

- Czy zdradził, co to jest?

- Nie.

- Czy powiedział, że to Clements prosił go, aby pojechał do Niemiec?

- Nie. To tylko moje przeczucie.

- Jesteś bystrą dziewczyną, Lauro. Wyjaśnij mi coś. Jeżeli Clements ufał Tomowi na tyle, żeby naprowadzić go na ślad czegoś cennego w Niemczech, to po co miałby go zabijać?

- No cóż, ludzka natura. Może kiedy Tom zbliżył się do tego wystarczająco, Clements przestał potrzebować wspólnika?

- Chcesz powiedzieć, że użył Toma do wytropienia tej mitycznej rzeczy, a potem upozorował zabójstwo na tle narkotycznym?

- Coś w tym stylu - odparła, przesuwając powoli palcem po policzku.

- Czy Clements wie, że posiadasz te informacje?

- Tak.

- Skąd?

- Od Wietnamki.

- Operatywna z niej dziewczyna.

Laura uśmiechnęła się.

- Jest bardzo dobra. Klienci ją rozchwytyją.

- Czy Kay Neeley wie o tej podróży Toma?

- Możliwe - odparła, dopijając brandy.

- Co skłoniło cię do przyścia i opowiedzenia mi tego wszystkiego?

- Boję się.

- Czego?



- Clementsa.

- Dlaczego? - zapytał Barney.

- Trudno to wyjaśnić, bo sama dobrze nie wiem. Po prostu przecucie.

- Przecież jesteś pod ochroną Victora Maldonado. Nie masz się czego obawiać.

Prawdziwym powodem twojej wizyty jest zdenerwowanie Maldonado. Nie wie, kto i dlaczego załatwił Neeleya i to go niepokoi. Więc wysłał ciebie, żebyś zorientowała się, co ja wiem na ten temat. Zgadza się?

Popatrzyła na niego przez chwilę, po czym otworzyła torebkę.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeżeli zapalę sobie skręta?

- Absolutnie - odparł z uśmiechem. - Zgodnie z tutejszym prawem to tylko lekkie wykroczenie.

Zapaliła skręta i wciągnęła dym głęboko w płuca.

- Wspaniała trawka - wyszeptała. - Chcesz spróbować?

- Dlaczego nie? Jesteśmy sami. Nikt nie notuje.

Podniosła się z fotela i wolnym krokiem podeszła do niego. Wziął skręta, głęboko się zaciągnął i popił szybko zimną wódką. Natychmiast ogarnęło go uczucie unoszenia się w powietrzu, co spowodowało, że rozluźnił się. Ponownie pociągnął skręta. Trochę popiołu spadło na puszysty dywan, ale nie przejął się tym.

Spojrzał na stojącą przed nim piękną dziewczynę.

- Usiądź, Lauro.

Zajęła miejsce na dywanie między jego nogami. Podał jej żarzącego się skręta.

- Niezły towar - powiedział dotykając jej włosów.

- Kolumbijski - mruknęła. Położyła mu rękę na lewym udzie. Nie poruszała nią. Trzymała ją w jednym miejscu czując narastające ciepło.

- Kto cię przysłał, Lauro?

Nie odpowiedziała, przyklękła, pochyliła się nad nim i wrzuciła skręta do stojącej na stoliku popielniczki. Następnie położyła mu obie ręce na udach. Ich twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów od siebie.

- To Victor Maldonado, tak? - zapytał.

- Co za różnica? - zamruczała jak kotka.

Barney pochylił się i musnął wargami jej usta.

- Żadna.

Wszystkie ruchy zdawał się wykonywać jakby w zwolnionym tempie. Chwycił ją za ramiona i podniósł do góry. Przyciągnął ją do siebie obejmując obiema rękami. Poczul jej

piersi przyciśnięte do swojego ciała, a słodkawy zapach perfum zaatakował zmysły. Przywarł ustami do jej szyi, wtulając twarz w długie włosy. Wzięła w ręce jego twarz i pocałowała bliznę na prawym policzku. Raz, drugi, trzeci. Jej usta powędrowały do jego ust. Przesuwała językiem po jego górnej wardze, lgnąc do niego coraz bardziej całym ciałem. Przesunęła usta na dolną wargę, lekko ją szczypiąc. Objęła go rękami za szyję, a ich usta zwarły się w pełnym pocałunku. Stali w szaleńczym, podsycanym haszem uścisku. Byli przypadkowymi partnerami reagującymi w ten sposób na brutalne morderstwo.

\*

Przez szczelinę pomiędzy zaciągniętymi w sypialni zasłonami wpadł snop światła z zewnątrz, oblewając ich ciała bladą luminescencją. Klęczała na nim, a końce jej włosów ocierały się o wewnętrzną stronę jego ud. Zsuwała się, kiedy jej usta wędrowały po jego skórze, jej ręce pozostawały w ciągłym ruchu dotykając go, ściskając, pieścąc.

Kiedy patrzył spod na wpół przymkniętych powiek na ich ciała, przypominały mu się surrealistyczne postacie z jakiegoś obrazu. Nie mógł pozbyć się wrażenia bycia gdzieś obok, jak widz, który obserwuje dwa nagie ciała w pornograficznym filmie.

Cały płonął jakby w wysokiej gorącości. Ogarnęła go fala rozkoszy i pragnął się poddać temu cudownemu uczuciu, ale nie był w stanie zapanować nad swoim umysłem. W jego podświadomości zaczęły pojawiać się obrazy. Niewyraźne światło... błyszcząca, obracająca się kula, rzucająca plamy światła, które najpierw rozbiegły się na wszystkie strony i nagle zmieniły się w stare, znajome wizerunki. Twarz Jorge Velasqueza popijającego w kawiarence kawę. Pisk hamulców, stukot pistoletu maszynowego, wrzask i krew spływająca z głowy Velasqueza do filizanki. Pojawiały się coraz to nowe obrazy, zmagając się z uczuciem wywoływanym tym, co robiły usta Laury, przesuwające się rytmicznie w górę i w dół. Zwiększyła tempo, jakby będąc świadoma tego, że walczy z fantomami. Ale te wizerunki były zbyt silne. Barney zobaczył szeroko otwarte, niewinne oczy Timmy'ego, wpatrzone w ekran kinowy. Następnie dociekliwe, czarne oczy Louisa Yosuty, poszarzałą skórę Nolana. Nagi mężczyzna z szesnastoma kulami w ciele. Zdjęcie porno z Hamburga z uśmiechniętymi dziewczętami. I szofer Mirella z oczami alfonsa. Obrazy pojawiały się i znikwały jak w kalejdoskopie. Ujrzał Toma Neeleya, który usiłuje coś powiedzieć tym, co pozostało z jego ust. Barney nie wytrzymał i krzyknął. Laura spojrzała na niego i przylgnęła całym ciałem, ogrzewając go. Zaczęła całować i ssać jego sutki, po czym przykryła jego wargi ustami.

Podniosła się i spojrzała w dół. Jej włosy rozsypały się na jego ramiona. Otworzył oczy i popatrzył na nią. Zdawała się unosić nad nim w powietrzu. Jej niebieskie oczy rzucały mu wyzwanie. Chciała wiedzieć, co go do niej przyciągnęło. Chciała, żeby jej to powiedział,

żeby sprawił, aby wzbudziło się w niej uczucie. Wziął ją za ramiona i odwrócił na plecy. Jej serce, jej dusza, jej zapach oszalał go. Przycisnął ją swoim ciężarem i ułożył na poduszce jej włosy w podobny do skrzydeł kształt. Zaczął całować jej szyję, gardło, a następnie twarde, sterczące, długie sutki. Przesunął ustami po jej płaskim brzuchu i natychmiast rozsunęła nogi. Przyłgął wargami do wewnętrznej strony jej ud, po czym przesunął wargi na to zaróżowione miejsce, które zdawało się łączyć w sobie całe zło i całe podniecenie.

To już przestało być zmysłowością. Stało się ceremoniałem, niemal religijną wyprawą do samego jej wnętrza. Kotka. Obracał to słowo w myślach, nie przerywając ani na chwilę. Kotka. Królowa matka. A ona jęczała, ponaglała go. Szukał rozgrzeszenia. W jej wnętrzu mógł pozbyć się nękających go obrazów. W coraz szybszym tempie unosiła do góry biodra. Przymknęła oczy i rozwarła lekko usta. Na jej czole pojawiły się zmarszczki wielkiego skupienia. Objęła go za szyję przyciskając do siebie jego wargi.

- Tutaj... teraz... o tutaj... o Boże... tak - jęczała. - Tutaj... tak...

Nie wiedział, ile upłynęło czasu, kiedy tak leżeli w ciszy. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia czy słowa wstała i poszła do łazienki. Usłyszał szum prysznic. Nie odezwał się, pozostając w bezruchu. Zastanawiał się, jak to było z Neeleyem. Czy po kochaniu się z wystrzałową dziewczyną czekał zrelaksowany, aż wróci spod prysznic i wskoczy z powrotem do łóżka, a ona zamiast tego stanęła w drzwiach, sięgnęła ręką do torebki, wyjęła pistolet i wpakowała w niego siedem kul? W tym momencie nie było mu trudno wyobrazić sobie tę scenę.

Laura wyszła z łazienki i uśmiechnęła się. Włożyła swoje czarne welwetowe spodnie, wyjęła z torebki buteleczkę i spryskała piersi i pachy słodko pachnącymi perfumami. Następnie zapięła bluzkę i włożyła biżuterię. Wzięła szczotkę i energicznymi ruchami rozczesała włosy. Podeszła do łóżka, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Muszę już iść - powiedziała. - Paul Isella. Jestem z nim umówiona.

Ruszyła w stronę drzwi. Stojąc już przed nimi odwróciła się jeszcze.

- Chcę, żebyś wiedział, że było mi dobrze. Ale to był tylko interes. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

Spojrzał na fosforyzujące wskazówki budzika. Trzecia piętnaście. W chwilę później usłyszał jak otwierają się i zamykają za nią drzwi wejściowe.

Czerwone promienie słońca rozpraszały poranną mgłę, a liście drzew zaczynały rzucać cień. Zielone zadaszenia żółtych budynków stajni zostały zdjęte, odsłaniając labirynt wybiegów, gdzie śliczne, młode dziewczęta w towarzystwie krępych i wąsatych meksykańskich stajennych wyprowadzały konie, spacerując powoli wokół podobnego do karuzeli koła.

Barney przyglądał się, jak dziewczęta przemawiały do spłoszonych wierzchowców, usiłując je uspokoić. W stajniach wyczuwało się ciepłą, przyjacielską atmosferę, tak jakby między właścicielami, trenerami, stajennymi i ich pomocnikami nie było żadnej rywalizacji i jakby wszyscy mieli przed sobą wspólny cel. W rzeczywistości jednak cała ich energia i umiejętności były skupione na osiągnięciu zwycięstwa, a w wyścigu mógł być tylko jeden zwycięzca.

Przechadzając się wśród zabudowań Barney chłonał cudowny zapach końskiego nawozu, siana i gliniastej ziemi. Doszedł do końca terenu zajmowanego przez stajnie i wszedł do tunelu, który prowadził bezpośrednio na główny tor. Tunel miał niecałe 60 metrów długości i w jego wylocie mógł dostrzec sylwetki koni galopujących podczas rozgrzewki.

Stojący przy linii startu spiker anonsował przez mikrofon imiona koni widzom, którym zezwolono na oglądanie porannych treningów na torze Santa Anita. Trenerzy i właściciele stali przy końcu prostej ze stoperami w rękach i mierzyli czasy swoim koniom i ich rywalom. Po obu bokach toru parkowały dwie karetki.

Pod wpływem słońca łańcuch gór San Gabriel zaczynał zmieniać swój kolor z różowego na szkarłatny. Potężne szczyty górowały nad torem i w czystym, zimowym powietrzu wyraźnie uwidaczniał się cały urok ich śnieżnych czap.

Głos spikera stał się donośniejszy, kierując uwagę wszystkich na przeciwległą stronę toru, gdzie prawie nieskazitelnie biały koń pędził, zbliżając się do zakrętu. Barney rozpoznał go. Nazywał się Snowball i sływał z długiego kroku i zapierającego dech w piersiach finiszu. Należał do Arthura Clementsa.

Zauważył eleganckiego, siwowłosego mężczyznę, który stał po drugiej stronie. Miał na sobie brązowe spodnie, rozpiętą sportową koszulę i tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Na jego szyi wisiała potężna lornetka. Całą uwagę skupiał na pędzącym koniu. Kiedy Snowball zbliżał się do zakrętu, wszyscy zamilkli. Barney stanął przy ogrodzeniu i też obserwował konia.

Snowball dobiegł do słupka wyznaczającego dystans pięciu ósmych toru i zwolnił. Nagle dżokej dwukrotnie uderzył konia batem i przyłgnął do jego szyi. Z piersi widzów wyrwał się okrzyk, kiedy koń rzucił się do przodu. Jeszcze jedno uderzenie bata i wielki,

biały koń jeszcze przyspieszył, wpadł w zakręt i zaczął wychodzić z łuku. Barney słyszał wyraźnie tętent kopyt wyrzucających w powietrze fontanny ziemi. Koń zdawał się wprost pożerać dystans.

Clements patrzył z satysfakcją, jak Snowball wypada na trzystumetrową prostą.

- Chryste, on przebiegnie ostatnią ćwiartkę w dwadzieścia jeden sekund! - wykrzyknął jeden z trenerów.

Clements opuścił lornetkę i pomachał ręką w kierunku krępego, potężnie zbudowanego mężczyzny, który pospieszył z gratulacjami. Kiedy Barney też skierował się w jego stronę, uśmiech na jego twarzy powoli zniknął.

- Ładny koń - powiedział Barney ściskając mu rękę.

- To cudowny koń - odparł Clements. - Miał wspaniałych rodziców. Rodowód to dziewięćdziesiąt procent sukcesu w tej grze.

Snowball zrobił nawrót i zaczął biec w ich stronę.

- Proszę mi wybaczyć, poruczniku.

Jeździec ściągnął wodze, zatrzymując się tuż obok Barneya i Clementsa. Barney rozpoznał go. Był to znany panamski dżokej.

- Nie mogłem go utrzymać - powiedział do Clementsa z wyraźnym hiszpańskim akcentem.

- Weź go na trzykilometrowy spacer - zasugerował Clements.

- Na pewno wygra w niedzielę. Nikt go nie pokona - powiedział pokazując w uśmiechu dwa złote zęby i poklepał konia po szyi. Następnie ściągnął wodze i poprowadził go poboczem toru, żeby nie przeszkadzać innym koniom w treningu.

- Czasami za szybko biegają rano. Liczy się to, jak wypadną po południu - stwierdził Clements.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i Barney czuł strużki potu ściekające mu spod pach.

- Czy pan jest właścicielem Snowballa? - zapytał.

- Nie. Jedynie jednym z właścicieli. Utworzyliśmy syndykat zrzeszający pięć lub sześć osób.

- A czy ten syndykat nie jest przypadkiem częścią korporacji Seneca?

To pytanie zdawało się nie robić na Clementsie żadnego wrażenia. Jediną reakcją było potarcie zaczerwienienia na nosie.

- Prawdę mówiąc ma pan rację. Moje udziały w wyścigach są kontrolowane przez Senekę - powiedział, rzucając na gliniastą ziemię niedopałek cygara. - A co pan powie na filizankę kawy? - zapytał.

- Chętnie - odparł Barney.

Kafeteria znajdowała się na terenie stajni i była wypełniona trenerami, dżokejami i ich agentami, właścicielami koni, dziennikarzami, weterynarzami i ochroniarzami kończącymi nocną zmianę.

Usiedli przy oknie w końcu sali.

- Jestem tutaj od wpół do szóstej i ostatniej nocy nie spałem zbyt dobrze - powiedział Clements popijając kawę.

- Przypuszczam, że śmierć Toma była dla pana szokiem.

- Tom Neeley był moim bliskim przyjacielem - odparł poważnie Clements. - Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

- Czy zna pan kogoś, kto mógłby chcieć jego śmierci?

- Przykro mi, poruczniku. Nie mogę panu pomóc.

Barney doszedł do wniosku, że czas skończyć uwerturę.

Teraz należało podnieść kurtynę.

- Wiem wszystko o kokainie, o panienkach Laury Gregson i łapówkarskich podróżach.

Na wzmiankę o łapówkarskich podróżach oczy Clementsa jakby trochę zmatowiały.

- Tom chciał prowadzić interesy, więc wprowadziłem go w pewne sprawy.

- Nie ma w tym nic złego - uspokoił go Barney. - Jest pan w zarządzie korporacji Seneca, zgadza się?

- Tak. I ośmiu innych firm.

- Włączając Tidal Oil?

- Jestem jednym z dyrektorów Tidal Oil od czternastu lat.

Barney przyjrzał się temu przystojnemu, eleganckiemu mężczyźnie. Wiedział, że Clements to zagadka. Żył w dwóch całkowicie różnych światach. W świecie poważanych bankierów, wielkich korporacji, dyrektorów firm ubezpieczeniowych, właścicieli i hodowców koni wyścigowych. Z drugiej strony jawił się jako dziwkarz, członek zarządu spółki będącej własnością mafii i narkoman. Barney starał się uporządkować myśli. Musi być ostrożny z pytaniami, bo odejdzie z pustymi rękami. Kawa trochę mu pomogła, ale nadal czuł się rozkojarzony po przeżyciach ostatniej nocy z Laurą. Była wobec niego uczciwa. Przyznała, że jest oczami i uszami Maldonado. Nadal czuł smak jej warg, a zapach perfum był ciągle żywy w jego pamięci.

Zauważył bardzo ładną blondynkę z włosami uczesanymi w kucyk, rozmawiającą ze znanym dżokejem, siedzącym przy sąsiednim stoliku.

- Ładniutka - zauważył Clements.

- Nawet bardzo - zgodził się Barney. - Czy Tom dostarczał kokainę?

- Na przyjęciach u Leo nigdy nie brakowało dobrej kokainy - odparł bez skrępowania Clements. - Nie wiem, kto ją dostarczał. Wszyscy sądziliśmy, że Tom.

- Czy Tom dostawał towar od Victora Maldonado?

- Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.

- Ale na to chyba pan umie: czy Victor Maldonado jest pańskim partnerem w korporacji Seneca?

- Ależ, poruczniku, chyba nie oczekuje pan, abym brał na siebie odpowiedzialność za wszystkich, którzy należą do korporacji, w których mam udziały.

W głowie Barneya rozległy się dzwonki alarmowe, ostrzegające przed nadchodzącą falą gniewu. Tego samego gniewu, który odczuwał podczas rozmów z szoferem, Laurą i Nolanem. Gniewu zrodzonego z frustracji. Nie mógł sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą w obecności Clementsa. Musiał zburzyć tę jego chłodną fasadę za pomocą faktów, a nie gróźb. Nie miał nic oprócz wyznania Laury, że Clements mógł mieć coś wspólnego z podróżami Neeleya do Niemiec. Ale było jeszcze za wcześnie na zagranie tą kartą.

- Czy uczestniczył pan w narkotykowych seks-party z Leo Mirellem i Victorem Maldonado?

- Bywałem w domu Mirella, kiedy niektórzy z gości zażywali kokainę, a inni korzystali z sypialni. Ale co to ma wspólnego z zamordowaniem Toma?

- Dowodzi to, że jest pan kimś więcej niż znajomym Maldonado i że, być może, jest pan w stanie oddzielić pogłoski od prawdy.

- Poruczniku, rozumiem pański problem. Były policjant zostaje brutalnie zamordowany. Wiem też, że jest to w pewnym sensie sprawa osobista dla pana, ale...

- Skąd pan to wie? - przerwał Barney.

- Po prostu plotki.

- Dobrze, skoro więc przeszliśmy do plotek, to czy Maldonado dostarczał kokainę Tomowi?

- Możliwe. Nie wiem.

- Czy Tom miał jakąś orientalną przyjaciółkę?

- Tak. Nieraz widywałem go w jej towarzystwie.

- Kiedy widział ich pan po raz ostami?

- Kilka tygodni temu.

- Czy zna ją pan?

- Przelotnie.

- Czy miał pan z nią stosunki seksualne?

- Raz czy dwa.

Piękna dziewczyna z blond kucykiem, ubrana w ciasne dzinsy podeszła do ich stolika i dotknęła ramienia Clementsa. Ten uśmiechnął się do niej.

- Przywitaj się z panem Caine, Glorio.

- Cześć - miała szeroki uśmiech i kpiący głos.

- Cześć - odpowiedział Barney.

Dziewczyna spojrzała na Clementsa.

- Czy chce pan, żebym popracowała jutro z klaczą?

- Tak. Wyprowadź ją, żeby się przewietrzyła, tylko nie przemęcz jej.

- W porządku. Miło było cię poznać - powiedziała z uśmiechem do Barneya, po czym odeszła. Patrzyli za nią przez moment.

- Czy może mi pan powiedzieć coś na temat Kay Neeley? - zapytał po chwili Barney.

- To wspaniała kobieta.

- Kiedy po raz ostami widział pan Toma i Kay razem?

- Jakiś rok temu byliśmy razem na obiedzie i wtedy... - chciał jeszcze coś dodać, ale zrezygnował z tego. - Nie warto powtarzać.

Była to stara sztuczka. Chciał mu w ten sposób dać coś do zrozumienia.

- Proszę pozwolić mi ocenić, co jest ważne.

Clements ponownie dotknął czerwonej plamki na nosie i jego głos nabrał bardziej konfidenckiego charakteru.

- Nie lubię stawiać moich przyjaciół w kompromitującej sytuacji.

- Sytuacja, w jakiej go znaleziono, jest wystarczająco kompromitująca. Tak kompromitująca, jak to tylko możliwe. - Ton Barneya stał się twardy i oficjalny. - I ma pan rację. Mam w tym swój osobisty interes.

Oczy Clementsa zwęziły się, a w ich kącikach pojawiły się drobne zmarszczki.

- To może nie mieć znaczenia, ale słyszałem, że Tom szukał czegoś w Niemczech. Czegoś o wyjątkowej wartości.

- Kiedy Tom pojechał do Niemiec?

- Jakies dwa miesiące temu.

- Skąd pan się o tym dowiedział?

- Powiedziała mi o tym jego przyjaciółka.

- Kiedy?

- Kilka tygodni temu.



- I wtedy po raz pierwszy usłyszał pan o podróży Toma?

- Tak.

- To dziwne.

- Co pan ma na myśli, poruczniku?

- Powiedziałem, że to dziwne, bo przecież to pan wysłał Toma do Niemiec.

Clements popatrzył na niego, po czym wyjrzał przez okno. Grał na zwłokę. Czekał, aż Barney zmieni temat. To pozwoliłoby mu zrobić unik. Ale Barney milczał. Pytanie zawisło w powietrzu i w miarę upływu sekund zamieniało się w oskarżenie.

- Czy to Kay Neeley powiedziała panu o tym? - zapytał Clements przyciszonym głosem.

Barney osiągnął to, czego chciał. Wzmianka o Kay była brakującym ogniwem. Wszyscy troje byli zamieszani w tę niemiecką sprawę.

- To nie była Kay - odparł spokojnie.

Clements spojrzał na niego, jakby zobaczył go po raz pierwszy. Został wyprowadzony w pole. To nie był zwykły glina. Będzie musiał być bardzo ostrożny.

- Pan się ze mną bawi, poruczniku.

- Bawię się jedynie z przyjaciółmi. - odparł Barney. - A tak a propos, to pan poznał Toma z Adamem Steiffelem, czyż nie?

- Zgadza się. Pan Steiffel potrzebował kogoś z taką przeszłością, jaką miał Tom. O nic nie pytałem. Po prostu skontaktowałem ich ze sobą.

- Gdzie pan był w niedzielę między godziną dziesiątą i jedenastą rano?

- Tutaj. Co najmniej piętnaście osób może to potwierdzić.

- To niepotrzebne. Wierzę panu.

Clements spojrzał na swój kosztowny zegarek.

- Czy słyszał pan, aby Tom wymawiał kiedykolwiek słowo „Genesis”? - zapytał Barney.

Oczy Clementsa nagle błysnęły.

- Genesis - mruknął, jakby słyszał to słowo po raz pierwszy, po czym pokręcił głową.

- Nie. Nie przypominam sobie.

- A „Obermann”?

- Nie. - Tym razem odpowiedź padła natychmiast.

- Czy kojarzy się panu z czymś hotel „Oloffson” na Haiti?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Czy zna pan niemiecki?

- Nie.

Barney wstał. Martwił się o Kay. Rozmowa z Clementsem utwierdziła go w przekonaniu, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Dziękuję za poświęcenie mi tyle czasu, panie Clements.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jeżeli będzie pan chciał przyjść na wyścigi, to moja łoża jest do pańskiej dyspozycji. Jest tuż przy linii mety.

- Czy Tom był tu w przedostatnią niedzielę?

- Tak. Tom uwielbiał wyścigi.

- Tom uwielbiał wiele rzeczy - przytaknął Barney.

## 19.

Barney machnął odznaką strażnikowi, który nacisnął dźwignię i podniósł drewniany szlaban, zagradzający wjazd na prywatną drogę.

Na skąpanej w słońcu ulicy panował spokój, zmącony tylko przez małego chłopca na rowerze i dwie meksykańskie gosposie pchające wózki z zakupami i rozmawiające głośno po hiszpańsku.

Barney skręcił z Malibu Colony Road i wjechał w ulicę biegnącą równoległe do plaży. U wylotów alejek oddzielających nadmorskie posiadłości migotały błyszczące fale Pacyfiku. Żwirowa ulica była pusta, a dobiegające z plaży krzyki mew podkreślały panujący tu spokój. Dojeżdżając do ulicy, przy której stał dom Kay, poczuł rosnący niepokój. Żałował, że nie ma z nim Louisa. Zaczął zastanawiać się, czy nie popełnił błędu przyjeżdżając tu samemu. Nie miał wyboru. Czas działał na jego niekorzyść, a sprzyjał zabójcom.

Dojechał do końca ulicy, zawrócił i zaparkował w pobliżu otwartego garażu, w którym stał wielki, błękitny Lincoln. Wyglądało na to, że nie był ruszany od niedzieli.

Podchodząc do drzwi frontowych poczuł, jak słońce i zmęczenie zaczynają dawać mu się we znaki. Nacisnął mały perłowy guzik przy drzwiach i natychmiast usłyszał gong. Spojrzał na ulicę, ale nikogo nie dostrzegł. Pomyślał o zapaleniu cygaretki, ale zrezygnował w tego pomysłu. Jeszcze raz nacisnął guzik gongu, zdając sobie sprawę, że Kay może być na tarasie. Ale gdzie, do cholery, podział się pies? Kiedy był tu w niedzielę z Louistem, pies zaczął szczekać, jak tylko się zbliżyli. Barney odszedł od drzwi.

Poczuł rosnącą falę niepokoju. Pomyślał jeszcze, że Kay mogła pójść z psem na plażę, ale to nie trzymało się kupy. Kiedy dzwonił do niej z toru, powiedziała, że będzie czekać.

Sięgnął pod marynarkę i wyciągnął z kabury pod pachą rewolwer. Otworzył bębenek, sprawdził, że wszystkie sześć komór jest pełnych, zamknął go z powrotem i włożył rewolwer za pasek spodni.

Żwir głośno chrzęścił mu pod nogami, kiedy szedł powoli od drzwi frontowych do garażu. Wszedł do środka i zdjął tenisówki i skarpetki. Cicho skierował się w stronę alejki oddzielającej dom Kay od drewnianej posiadłości z prawej strony. Było to bolesne doświadczenie. Alejka była wysypana żwirem i biegła wzdłuż domu aż do plaży.

Wszedł na plażę i zmrużył oczy przed blaskiem słońca odbijającego się w wodach Pacyfiku. Drewniany taras domu Kay wychodził jakieś sześć metrów w głąb plaży. Szybko wśliznął się pod niego. Słońce, świecące przez szpary między deskami, tworzyło na ciemnym piasku pasiasty wzór. Plaża była opustoszała z wyjątkiem grupy nastoletnich surfiarzy próbujących swoich sił na małych falach. Jeszcze dalej zobaczył dwóch mężczyzn w czarnych kombinezonach do nurkowania, zmagających się z silnikiem pontonu.

Barney stał cicho w cieniu tarasu, nasłuchując odgłosów z góry. Ale wokół panowała cisza. Żadnego odgłosu kroków, żadnego radia, telewizji, żadnych dzwonek telefonu, głosów i żadnego warczenia czy szczekania. Jedynie rytmiczny, natarczywy, łopoczący dźwięk.

Jeszcze raz rzucił okiem na plażę, po czym wyszedł spod tarasu i wszedł po schodach na górę.

Na kanapie leżał „Los Angeles Times”, a na podłodze tubka kremu ochronnego i para okularów przeciwsłonecznych. Miska z wodą dla psa była pełna, a obok leżała jego gumowa kość. Rozsuwane drzwi prowadzące do salonu były częściowo otwarte i kawałek zasłony wystawał na zewnątrz, łopocząc na wietrze.

Barney wyjął rewolwer, chwycił go mocno i ostrożnie ruszył w kierunku drzwi. Lewą stopą otworzył je do końca, uwalniając hałasującą zasłonę...

Pies leżał na boku na jednym z kolorowych chodniczków. Tam gdzie powinien mieć głowę, były tylko strzępy kości, ciała i sierści. Barney długo przypatrywał się martwemu zwierzęciu. Szok i przerażenie wywołane widokiem skrwawionych zwłok sprawiły, że w pierwszym momencie nie usłyszał odgłosu kapania. Oderwał wzrok od martwego psa i spojrzał w głąb mrocznego pokoju.

Nagie ciało Kay Neeley zwisało głową w dół z poręczy schodów prowadzących na piętro. Jej ręce wisały bezwładnie, a włosy zasłaniały twarz. Strumień krwi spływał jej z czoła, wsiąkał we włosy i skapywał na drewnianą podłogę.

Zaczął gorączkowo myśleć, oceniając sytuację. Zabójcy nie mogli wjechać główną

drogą, chyba że Kay znała ich i oczekiwała. Ale duża ilość krwi z ciała psa i jej ciało bezwładnie przewieszane przez poręcz, wskazywało, że śmierć nastąpiła kilka minut temu. Gdyby mordercy przejechali obok strażnika, Barney widziałby ich po drodze. Logika mówiła, że przyszli od strony plaży.

Odbezpieczył broń i wyszedł powoli na taras. Znowu musiał zmrużyć oczy. Zaczynał ogarniać go stan szoku wywołanego widokiem Kay. Nie mógł zmusić się, aby wejść na górę. Nie mógł na nią patrzeć. Po czole spływały mu krople potu. Zaczął czuć się nieswojo. Intensywny, słodki zapach krwi, kości i sierści psa oraz odgłos skapującej krwi Kay sprawiły, że w żołądku poczuł chłód. Spojrzał na morze i wciągnął głęboko świeże powietrze. Zauważył pływające na deskach dzieciaki i ciągle zmagającego się z silnikiem pontonu jednego z nurków. Zaczął zastanawiać się, gdzie jest drugi, kiedy obok ucha poczuł falę gorącego powietrza, a za sobą usłyszał brzęk tłuczonej szyby.

Padł na płask na drewnianą podłogę i podczołgał się do poręczy tarasu. Nie słyszał odgłosu wystrzałów, ale barierka nad jego głową eksplodowała w trzech miejscach. Wyjrzał na plażę, ale nie zobaczył strzelca. Ścisnął rewolwer w prawej dłoni, podtrzymując go lewą. Wydało mu się, że usłyszał ciche kasznięcie z broni krótkiej z tłumikiem i następny pocisk świsnął mu nad głową, rozbijając kolejną szybę. Nagle, jakieś trzydzieści metrów od tarasu, pojawił się mężczyzna w stroju pływaka z pistoletem w dłoni. Zaczął cofać się w kierunku kolegi przy pontonie, nie spuszczać wzroku z tarasu.

Barney podniósł rewolwer i wziął czarną sylwetkę na muszkę. Prowadził lufą mężczyznę, starając się gorączkowo przypomnieć sobie, jaką należy wziąć poprawkę. Od ośmiu lat nie użył broni w akcji. Powoli zwiększał nacisk na spust i nagle rozległ się głośny wybuch. Przedramię podskoczyło mu do góry. Zaskoczony mężczyzna zatrzymał się na moment, po czym zaczął biec. Barney jeszcze raz wycelował i wystrzelił dwukrotnie. Mężczyzna wyrzucił ręce do góry i upadł ciężko na piasek. Przez sekundę leżał bez ruchu, poczym zaczął powoli czołgać się w kierunku pontonu. Barney przeskoczył przez barierkę i biegł, nisko pochylony. Zraniony odwrócił się, zobaczył biegnącego Barneya i wycelował w niego coś, co wyglądało na Magnum 357. Barney zauważył odbłysek słońca na długiej lufie i padł na piach.

Rozpłaszczył się, usiłując zakopać się w piasku. Usłyszał cichy odgłos wystrzału i obok jego prawego oka wzbila się chmura piachu obsypując mu czoło kłującymi igielkami. Podniósł rewolwer, dla pewności trzymając go oburącz. Wycelował w leżącą postać i wystrzelił dwukrotnie. Pierwsza kula trafiła mężczyznę w prawe ramię, wytrącając mu broń z ręki. Drugi pocisk ugodził go w czoło, z którego trysnęła fontanna krwi. W tym momencie

silnik pontonu zaskoczył i ryknął pełną mocą. Mała, szara gumowa łódka zatoczyła szeroki łuk i wypłynęła w morze.

Barney spojrzął na szybko oddalający się ponton, po czym odwrócił się do leżącego na piasku mężczyzny. Nie opuszczając broni, podniósł się ostrożnie na jedno kolano. Nie widząc żadnych oznak życia wstał i podszedł powoli do nieruchomej postaci.

## 20.

Mały prostokąt plaży został odgradzony linami, ale i tak sześciu policjantów z patrolu drogowego musiało wyteńczyć wszystkie siły, żeby powstrzymać napór gapiów.

Policyjni fotografowie z Metro zrobili ostatnie zdjęcia martwego mężczyzny. Po drewnianej rampie zjechał na plażę ambulans z kostnicy. Jego błyskające czerwone światła zdawały się nadawać całemu miejscu teatralną atmosferę. Hałaśliwy tłum ucichł, kiedy pracownicy kostnicy wkładali ciało płetwonurka do czarnego worka, zasunęli go i wnieśli do ambulansu. Następnie zatrzasnęli drzwi, wsiedli do kabiny i ruszyli z powrotem w kierunku drewnianej rampy.

Przed domem Kay zebrała się cała armia. Umundurowani policjanci z Malibu, drogówka, pięć radiowozów, wóz transmisyjny, kamerzyści i wysoka, czarna reporterka, która jako jedyna przedstawicielka prasy pojawiła się w zeszłą sobotę pod domem Toma. Za garażem ustawiono laboratorium koronera, a dwóch specjalistów zdejmowało odciski palców z błękitnego Lincolna Kay.

Barney, popijając brandy i paląc cygaretkę, wpatrywał się przez rozbite drzwi w morze. Za nim, na sofie w salonie, leżało owinięte w prześcieradło nagie ciało Kay. Louis obserwował Torresę, który, żując zgasłe cygareto, ostrożnie pobrał próbkę tkanki z ogromnej dziury, w miejscu jej prawego policzka.

Następnie włożył próbkę do przezroczystej torebki, którą dokładnie zamknął. Jego asystenci czekali cierpliwie, podczas gdy on pochylił się i zamknął jej powieki, po czym energicznie docisnął opuszczoną żuchwę, wypełniając przedtem usta watą. Wyprostował się i jeszcze raz spojrzął na ciało. Na całej powierzchni bladej skóry widoczne były ślady oparzeń, a na nadgarstkach odznaczały się dwa purpurowe ślady. Skinął na asystentów, którzy podnieśli zwłoki z sofy, położyli je na noszach i ruszyli z nimi w kierunku drzwi. Torres zdjął plastikowe rękawiczki i zapalił cygareto.

- Przez tę cholerną sprawę znowu zacząłem palić - powiedział.

- Może łyk brandy? - zapytał Louis.

- Chętnie - zgodził się.

Spojrzał na Barneya. Wiedział, że ten obwinia siebie za jej śmierć. Współczuł mu, ale nie mógł zrozumieć, jak gliniarz może być tak sentymentalny wobec ofiary. Ofiary były częścią tej profesji. Louis przyniósł brandy i podszedł do Barneya.

- Gabby już skończył.

Barney wylał resztę brandy, odwrócił się, a jego oczy machinalnie zatrzymały się na ciemnej plamie w miejscu, gdzie przedtem leżał pies.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Louis.

Barney skinął głową, podszedł do krzesła i usiadł naprzeciw Torresa. Do salonu wszedł policjant z patrolu drogowego, o posturze zawodowego futbolisty.

- Znaleźli ponton dryfujący w pobliżu plaży w Santa Monica. Pusty. Żadnych świadków.

- Dzięki - powiedział Barney, a policjant zsalutował i wyszedł.

- Kilku palantów z Metro sprawdza wszystkie sklepy, które sprzedają takie pontony. Mówią, że jest ich piętnaście, czy dwadzieścia w okolicy - poinformował go Louis.

- To nic nie da. Mogli kupić ją w San Diego i przywieźć furgonetką.

- Tak, to możliwe - zgodził się Louis i dodał: - Ta wysoka dama z telewizji jest tutaj. Chce, żebyś coś powiedział. Wie, że brałeś udział w strzelaninie.

- Zajmij się nią - westchnął Barney.

Louis wyszedł i na moment zapanowała cisza, przerywana tylko rytmicznym odgłosem rozbijających się fal. Zbliżał się przyływ i fale uderzały coraz mocniej.

- Mów - powiedział do Torresa.

- Zacznę od faceta na plaży. Pierwsza kula trafiła go w kość udową prawej nogi, roztrzaskując ją zupełnie. Niesamowity strzał, biorąc pod uwagę fakt, że byłeś na tarasie, a on biegł w odległości pięćdziesięciu metrów.

- Sam wszedł na linię strzału. Pierwsze dwa były chybione.

- Mimo wszystko niesamowity strzał. Jeden na sto. Następny pocisk trafił go w prawe ramię i strzaskał obojczyk. Trzeci spowodował natychmiastową śmierć. Przeszedł przez czaszkę na wylot. Na plecach są ślady płynu rdzeniowego. - Gabby zaciągnął się cygarem i wykrzywił twarz. - Wiesz, jakiej używał broni. Walther PPK. Pistolet z długą lufą, wyposażony w tłumik. Z tej samej broni zabito Toma.

- Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

Torres wzruszył ramionami.

- Wiek około trzydziestu lat. Pochodzenie latynoskie, ale nie meksykańskie. Raczej południowoamerykańskie. Może Argentyńczyk. Miał domieszkę krwi europejskiej. Nie był Indianinem czystej krwi. Nie tak jak ja. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Był nagi pod kombinezonem. - Torres zatrzymał się na chwilę. - Chcesz jeszcze brandy?

- Nie.

- Kiepsko wyglądasz, *amigo*. Pozwól, że ci jednak naleję.

Wstał i podszedł do baru. Do Barneya zbliżył się okularnik w błyszczącym, niebieskim garniturze.

- Zdjęliśmy odciski palców. Faceta w stroju płetwonurka, Kay Neeley i te z sypialni.

- Chcę, żeby odciski tego nieboszczyka trafiły do FBI, CIA i Interpolu.

- Prześlemy je, jak tylko dotrzemy do biura - zapewnił go mężczyzna.

Torres podał Barneyowi szklaneczkę pełną najlepszej brandy z zapasów Kay i usiadł.

- Pies został postrzelony raz, w prawe oko, i upadł na lewą stronę. Zdechł prawdopodobnie w ciągu trzech, czterech minut. Nie znalazłem na pazurach ani na zębach nic, co wskazywałoby na jakąś walkę. Sądzę, że został zastrzelony natychmiast po wejściu. Z bliska. Na futrze są ślady prochu. Nie miał żadnej szansy przeżycia.

Barney poczuł, jak brandy rozgrzewa go.

- Kay była torturowana - kontynuował Torres. - Przypalano ją papierosami. Naliczyliśmy pięćdziesiąt osiem śladów. W pochwie, na sutkach, w odbycie, na ustach i powiekach. Oddano do niej jeden strzał. W prawy policzek, tuż pod skronią.

- W jaki sposób znalazła się na schodach?

- Torturowano i zastrzelono ją w sypialni. Pocisk nie spowodował natychmiastowego zgonu. Uszkodził tylko arterię. Zdołała wyczołgać się z sypialni. Prawdopodobnie usiłowała wstać, po czym zawisła na poręczy i wykrwawiła się na śmierć.

- Od jak dawna nie żyła, kiedy ja pojawiłem się?

- Mogła jeszcze żyć, kiedy przyjechałeś. - Gabby wypił łyk brandy. - Zdążyli wyjść kilka minut przed twoim pojawieniem się.

- Dobrze - powiedział Barney. - Więc przyплыnęli pontonem. Weszli do domu. Zabili psa. Złapali Kay, zaciągnęli ją na górę i związali. Rozebrali ją. Torturowali. Nie wiemy, jak długo. Potem zastrzelili ją i poszli z powrotem na plażę; powiedzmy trzyminutowy spacer do pontonu. W tym czasie Kay wyczołguje się z sypialni i wykrwawia na śmierć.

- Dokładnie tak - potwierdził Torres. - Przypuszczam, że rozminąłeś się z nimi o jakieś dziesięć minut. Może nawet mniej. Miałeś szczęście, *amigo*. Któryś z nich mógł cię zabić. - Wstał, podszedł do Barneya i dotknął jego ramienia. - Nie możesz mieć do siebie

pretensji.

Barney pokręcił głową.

- Od samego początku powinienem był dać jej ochronę. Wiedziałem, że czegoś się bała. Należało pilnować jej domu.

- Posłuchaj, Barney. Jeżeli to byli zawodowcy, to i tak by ją dostali. Na miłość boską! Tacy ludzie zabili byłego premiera Włoch. W biały dzień zastrzelili Kennedy'ego. Nie możesz powstrzymać zawodowców.

- Bzdura, Gabby. Zawsze można coś zrobić.

- Nie. Nic, kurwa, nie można zrobić. A teraz zejź z tego swojego krzyża. Zostaw go Chrystusowi. Wszystko, co możesz zrobić, to dorwać tych drani, którzy ją zabili.

Torres zebrał swoje narzędzia medyczne.

- Jutro o dziesiątej będziesz miał pisemny raport.

Barney wypił do końca brandy, skrzywił się i otarł usta rękawem. Wstał i wyszedł na taras.

Gapie zniknęli, a ogrodzenie zostało zlikwidowane. Zza chmur co chwila wyglądało popołudniowe słońce, zmieniając kolor morza z niebieskiego na szary. W oddali, na linii horyzontu, duży okręt wyglądający na lotniskowiec rozpoczynał swoją długą podróż z San Diego do Pearl Harbor. Barney odetchnął morskim powietrzem. Czuł, jak jego system nerwowy powoli się uspokaja. Przyływ adrenaliny spowodowany strzelaniną zmroził go na długi czas, powodując drzenie rąk i uczucie chłodu w piersi. Ale czas, brandy i morskie powietrze przywróciły mu pewną dozę spokoju.

Pomyślał o martwym mężczyźnie na plaży. Ostami raz strzelał do człowieka osiem lat temu, kiedy przez krótki czas pracował w Narkotykach. Wtedy było inaczej. Nie widział, do kogo strzela. Celował w kierunku odgłosu kroków w alejce. Tym razem stanął z ofiarą twarzą w twarz. Widział, jak na jej czole wykwitł czerwony kwiat. Mózg wypłynął na piasek. Mimo to nie czuł żadnego współczucia. Tylko żał, że przybył za późno, żeby ocalić Kay.

Na taras wyszedł Louis.

- Damulka z telewizji już sobie poszła.

- Gabby powiedział, że spóźniłem się dziesięć minut.

- Co za różnica? - westchnął Louis. - Wyrok na nią i tak był podpisany.

- Powinienem był przyjechać do niej wczoraj. Może udałoby mi się skłonić ją do mówienia. Zamiast tego naćpałem się z Laurą Gregson i spędziłem noc na pieprzeniu.

Barney zamilkł i Louis przyglądał mu się przez chwilę.

- Ta wietnamska prostytutka potwierdziła informacje Laury. Tom Neeley czegoś



szukał w Niemczech.

- Clements też to potwierdził - odparł Barney. - Zapytał mnie, czy Kay wspominała coś o podróży do Niemiec.

- Skąd mu przyszło do głowy, że to Kay ci powiedziała?

- Widocznie wiedział, że Kay była w to wplątana razem z Tomem.

- Wietnamka powiedziała mi, że Tom wspominał o „Genesis”. Nazywał to „początkiem”.

Barney spojrzał na Louisa.

- Sądzisz, że mówi prawdę?

- Absolutnie. Ta dziewczyna ssala kutasy w Sajgonie, odkąd miała sześć lat. Nic nie jest w stanie zmusić ją do kłamstwa. Już nie.

Barney westchnął i spojrzał w stalowoszare wody Pacyfiku.

- Wsadziliśmy kij w mrowisko. Zastanawiam się nad granicami ludzkiej chciwości. Chryste, czy istnieje coś, co jest warte tego, żeby skończyć jak Neeleyowie?

Louis szepnął coś po japońsku.

- Co to znaczy?

- Stare przysłowie szintoistyczne: „Gniazdo szerszeni nie jest tak niebezpieczne jak chciwość jednego człowieka”.

- No cóż, czymkolwiek byłoby to, czego pragnęli, to zapłacili cholerną cenę.

- Mówisz o nich obojgu.

- Jak już powiedziałem, jestem pewien, że Kay była w to wmieszana. Myślę, że wiedziała, co oznacza „Genesis” i kim jest Obermann.

- Skąd ta pewność?

- W przeciwnym razie nie zabiliby jej - odparł Barney. - To morderstwo nie miało nic wspólnego z kokainą.

\*

Wszystko w malej, skromnie umeblowanej sypialni było przesiąknięte obecnością Kay. Na biurku i nocnych stolikach przy łóżku stały zdjęcia jej i Toma. W pootwieranych szafach wisiały w równych rzędach jej ubrania. W róg lustra była wetknięta stara fotografia Toma w mundurze.

Zdjęli marynarki i bez słowa, metodycznie, zaczęli przeszukiwać szuflady, szafy, ubrania, pudełka po kapeluszach i po butach, walizki, torby, torebki, łazienkę i szafkę z lekarstwami. Odwrócili zakrwawiony materac i zajrzeli pod łóżko. W powietrzu czuć było zapach lekkich perfum i słodkawego odór krzepnącej krwi.

Po dwudziestu minutach z Barneya zaczął spływać pot. Czuł, jak formujące się na czole krople spływają po policzkach i plamią koszulę. Wszedł do łazienki i spryskał twarz zimną wodą. Po chwili wszedł tam Louis. Barney zobaczył jego odbicie w lustrze. Potrząsnął głową.

- Nic.

Wyszli na pokryty śladami krwi korytarz i weszli do małego pokoiku na końcu.

Był on, jak i cały dom, urządzone w nieco surowym stylu. Dwa duże okna wychodziły na ocean. Na podłodze z sekwojowej klepki stały równolegle do zastawionych półkami z książkami ścian, dwie wielkie sofy. Naprzeciwko jednej z nich stał kolorowy telewizor. Pod oknami znajdowało się duże biurko i krzesło.

Louis zaczął przeglądać książki, wyciągając je z półek i odwracając do góry grzbietem. Barney usiadł przy biurku. Z lewej strony leżał stos dokumentów i rachunków. Przeglądając je, znalazł rachunki z kart kredytowych, polisy ubezpieczeniowe, kwity na prenumeratę czasopism, rachunki za benzynę i list od jej syna Rogera, wysłany z Johannesburga trzy tygodnie temu.

Otworzył górną szufladę i znalazł jej książeczkę czekową i osobistą papeterię. Wyjął książeczkę, położył na blacie biurka, po czym otworzył małą szufladę z lewej strony. Leżał tam paszport wydany z okazji dwóchsetlecia USA, a pod nim dwa dokumenty. Jednym z nich był folder hotelu „Oloffson” na Haiti z nazwiskiem Frank Tedesco zapisanym dużymi literami na górze. Od razu skojarzył to sobie ze znaleziskiem u Toma. Barney wiedział, kim jest Frank Tedesco. Międzynarodowy gangster uciekający przed ekstradycją do Stanów i mieszkający na dobrowolnym zesłaniu na Haiti. Człowiek, którego powiązania sięgały niegdyś do Gabinetu Ovalnego.

Drugim dokumentem był bilet lotniczy na trasę Los Angeles - Nowy Jork - Kolonia z przesiadką do Berlina.

Data niemieckiego odcinka podróży pokrywała się z datą na rachunku z hotelu „Kempinski”, znalezionym w sypialni Toma. Barney zacisnął powieki i otarł rękawem pot zbierający mu się na czole. Czuł rosnące zdenerwowanie i rozgorączkowanie.

Wrzucił oba dokumenty do kieszeni i wziął do ręki paszport. Datowniki zaczynały się na stronie czwartej. Widniała tam pieczęć kontroli granicznej w Kolonii. Na następnej stronie pieczęć wjazdowa na Haiti z datą o dwa tygodnie późniejszą niż ta niemiecka. Tuż pod nią była pieczęć amerykańskiej kontroli. Ta z kolei miała datę o trzy dni późniejszą niż haitańska. Miejscem wjazdu było Miami.

- Zostaw te książki. Znalazłem to, czego szukaliśmy - powiedział do Louisa.

Wstał, podał mu dokumenty, a następnie podszedł do okna i spojrzął na ocean.

Coś, czego nie dostrzegł, jakaś wskazówka, pytanie, którego nie zadał, coś, co powinien zrobić, zaczynało nabierać w jego umyśle kształtu. To było coś z przeszłości Toma, coś, co niedawno zobaczył. I nagle, jak przygasające światło, które gwałtownie rozbłyskuje, brakujący kawałek stał się dla niego jasny. Fotografia Toma w mundurze.

- Lou. - Louis podniósł oczy znad paszportu Kay. - Musimy zdobyć odpis akt wojskowych Toma z czasów wojny.

## 21.

Olbrzymia szklana ściana hali odlotów zatrzęsła się pod naporem tropikalnej ulewy.

Dziewczyna stała przy oknie, wpatrując się w burzę. Oddalone o kilometr palmy, rosnące wzdłuż autostrady prowadzącej z lotniska, były ledwo widoczne. Front burzowy nadszedł znad Karaibów, dodając czerwonej poświaty nocnemu niebu Miami. Ta pogoda sprawiła, że dziewczyna miała problem. Jej lot z Miami do Port-au-Prince został odwołany, ale za to za dwie godziny odlatywał bezpośredni samolot do Paryża. Zaczęła rozważać plusy i minusy. Poranna podróż z Los Angeles nie była zbyt męcząca i perspektywa dalszych jedenastu godzin do Paryża nie martwiła jej. Gdyby zdecydowała się nie lecieć do Paryża, musiałaby przenocować w mieście i spróbować dostać się na Haiti rano. Nienawidziła Haiti, a Frank Tedesco zawsze wywoływał w niej uczucie niepokoju. Pod jego niewymuszoną elegancją kryło się niebezpieczeństwo. Sposobność znalezienia się w Paryżu była aż nazbyt doskonała, żeby z niej zrezygnować. Mogłaby tam być o dziewiątej rano miejscowego czasu. O dziesiątej byłaby już z Raulem. Ale czekał na nią Tedesco.

Odeszła od okna i ruszyła powoli w stronę baru. Po raz kolejny przyjrzała się ludziom wokół. Było tu kilku studentów, jacyś biznesmeni, trzy starsze pary i grupka głośno rozmawiających i porównujących swoje aparaty fotograficzne Japończyków. Była pewna, że w hali nie siedzieli żadni „zawodowcy” i że nikt nie podążał za nią z Los Angeles.

Nad barem unosiła się chmura papierosowego dymu, którą wciągały wywietrzniki w suficie. Przy barze siedziało dwóch otyłych i na wpół pijanych amerykańskich biznesmenów, a z szafy grającej dobiegała piosenka Franka Sinatry.

Usiadła na stołku naprzeciw biznesmenów i zamówiła wódkę z lodem. Ze złotej papierośnicy wyjęła papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się dymem z algierskiego tytoniu. Trochę popiołu spadło na jej białą garsonkę od Cardina. Strzepnęła go delikatnie, nie brudząc

drogiego materiału.

Biznesmeni zaczęli spoglądać w jej stronę i wymieniać szeptem uwagi.

Ale ona myślami była daleko od biznesmenów, od baru i od obecnej chwili. Myślała o Haiti, o Port-au-Prince, o zaśmieconych ulicach i o żebrzących dzieciach siedzących we własnych fekaliach. Upalne, cuchnące piekło, gdzie już pozostanie przy życiu było aktem zemsty. Smród tego miasta przyprawiał ją o mdłości. Dokuczliwa mieszanka ludzkich odpadków i tlenku węgla, która wisiała, jak przegniły koc nad niekończącymi się rzędami baraków o blaszanych dachach i symbolach voodoo na drzwiach.

Wypiła łyk zimnej wódki. Hotel „Oloffson” nie był w sumie zły - pomyślała. Miał swój charakter. Położony nad morzem, pozwalał trzymać się z daleka od nędzy i brudu. Jednakże pobyt tam i spotkanie z Tedesco, kiedy zamiast tego mogła polecieć do Paryża... Okropność. Czowała, jak wódka przepływa przez jej gardło i rozlewa się ciepłem w brzuchu. Zaczynało jej się kręcić w głowie. Domyślała się, że to efekt zmieszania trunku z marokańskim haszem, który wypaliła w toalecie Jumbo-Jeta.

Nagle do jej świadomości wdarł się obraz pokaleczonego ciała Toma Neeleya. Wstrząsnęła się na wspomnienie, jak jęczał w ekstazie, a w dwadzieścia minut później krzyczał w przedśmiertnych drgawkach, kiedy Primo metodycznie pakował w niego kulę po kuli. Szybko opróżniła szklankę i kazała barmanowi ponownie ją napełnić. Pomyślała o czerwonych żyłkach wokół nosa Clementsa i jego łzawiących oczach, kiedy zaciągał się kokainą. O odrzynie, jaką odczuwała biorąc go w usta i doprowadzając do orgazmu. Zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma. Wiedziała, że nigdy nie będzie wolna. Tej rozświetlonej pochodniami nocy, w obozie niedaleko Sydonu nad Morzem Śródziemnym, poświęciła swoje życie dla sprawy. Ale to było dawno temu. Przed zwątpieniem, przed zjawami, przed koszmarami.

Podniosła szklankę i popatrzyła na wirującą wokół kostek lodu wódkę. To będzie się musiało wkrótce skończyć - pomyślała. Kiedy osiągnie punkt krytyczny, pójdzie do Yasira i poprosi o zwolnienie z pracy w terenie. Yasir jest rozsądny.

On zrozumie. Poza tym, jeżeli pomyślnie zakończy tę sprawę, to już wystarczy. Przecież to jest najważniejsza akcja w historii organizacji. Jeżeli coś się nie uda, to zasoby organizacji przepadną. Przystanie istnieć finansowa podpora. Ostateczna broń - ropa naftowa, nie będzie miała znaczenia.

Kiedy wezwali ją do Bejrutu, podjęła się tego zadania bez żadnych obiekcji. Czowała przyływ odwagi i dumy. Od początku, od Monachium, zrobiła więcej, niż można było od niej oczekiwać.

Zadzwoni do Tedesco i poinformuje go, że lot został odwołany, powie, że pogoda w Los Angeles jest pochmurna, ale możliwe jest przejaśnienie, i że leci do Paryża, gdzie złoży pełny raport na miejscu.

Dwóch handlarzy tarcicą obserwowało, jak zsunęła się ze stołka i podeszła powoli do budki telefonicznej. Pograżyli się w marzeniach o tym, co zrobiliby z tą ciemnowłosą pięknoską w drogiej, białej garsonce.

## 22.

Autostrada San Bernardino była dziesięciopasmową rzeką betonu, przepływającą pomiędzy niekończącym się łańcuchem posępnych centrów handlowych. Było wczesne popołudnie. Louis jechał pustą autostradą z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Barney rozparł się na tylnym siedzeniu. Oczy miał zamknięte, ale nie spał. Usiłował ustawić wydarzenia ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w jakimś logicznym porządku. Myślał z gorzką ironią o Kay i Tomie Neeleyach, rozwiedzionych za życia i połączonych po śmierci. Pochowano ich razem w katolickiej części cmentarza w Forest Lawn.

Ich adwokat, Bernard Seeger, zajął się, zgodnie z testamentem Kay, ich pogrzebem. On również zawiadomił ich syna Rogera w Johannesburgu i otrzymał telegram z podziękowaniami za zajęcie się formalnościami.

Pogrzeb stał się sporym wydarzeniem. Wszystkie lokalne stacje telewizyjne przysłały reporterów relacjonujących przebieg uroczystości. Przybyli też dziennikarze z „Herald Examiner” i „Los Angeles Times”. Pojawiło się też radio.

W dziwny sposób wszystko to przypomniało Barneyowi jego matkę. Umarła mniej więcej w tym samym wieku co Kay. Była też podobnie zbudowana i miała podobne rysy twarzy. Urodę, która opierała się upływowi czasu. Jego matka była cichą, spokojną kobietą o nieco staroświeckich zasadach. Kiedy Barney stał, słuchając słów księdza nad grobem Neeleyów, poczuł głęboki smutek z powodu śmierci Kay.

Poszli na pogrzeb, żeby przypatrzeć się tam obecnym. Jednak nie było żadnych niespodzianek. Nie pojawiła się żadna z głównych postaci w tej sprawie. Tylko kilkoro członków grupy religijnej Kay i kilku starszych policjantów, którzy kiedyś pracowali razem z Tomem.

Usłyszał klakson i samochód nagle skręcił.

- Sukinsyn - mruknął Louis.

Barney domyślił się, że ktoś nieoczekiwanie zmienił pasmo. Uśmiechnął się na myśl o tym, co zrobiłaby prasa, gdyby dowiedzieli się, że on i Louis zginęli na autostradzie. Dziennikarze nigdy nie uwierzyliby, że dwaj policjanci prowadzący ważną sprawę zginęli w zwykłym wypadku samochodowym.

Gazety traktowały śmierć Neeleyów jako początek mafijnej wojny narkotycznej. Wysoka reporterka telewizyjna, mająca dobre kontakty w policji, poszła nawet dalej. Powiązała morderstwa z zakrojoną na szeroką skalę operacją dotyczącą prostytucji. Obiecała widzom kilka znanych nazwisk w następnych programach.

Na przygarbione barki Johna Nolana spadły wszystkie naciski ze strony prasy, komisarza i biura prokuratora okręgowego. Barney czuł cień współczucia dla tego biurokraty, który pomimo nacisków nie poddał się naleganiom prokuratora, aby przydzielić do tej sprawy duży zespół z Metro. Dotrzymał umowy z Barneyem.

Na wykresie na tablicy w biurze Barneya przybyło nowe odgałęzienie - Frank Tedesco. Tedesco był sławnym przestępcą - przekształcił mały bank na Bahamach w ogromną spółkę holdingową, która ukradła swoim naiwnym udziałowcom ponad trzysta milionów dolarów. Ile z tego trafiło na prywatne szwajcarskie konto Tedesco, było przedmiotem dociekań władz w ośmiu europejskich krajach, gdzie spółka działała. Tedesco był także kluczową postacią w praniu brudnych pieniędzy, co wyszło na jaw podczas afery Watergate. Tedesco mieszkał w luksusowej willi w górach Petionville, niedaleko Port-au-Prince. Jeżeli rzeczywiście plan zabicia Toma Neeleya zrodził się na Haiti, to było pewne, że Tedesco maczał w tym palce.

Barney przetarł oczy i popatrzył poprzez siną mgłę na wyblakłe osiedla położone na wysokich grzbietach nad dzielnicami handlowymi. Zastanawiał się, co nazwisko Tedesco robiło na folderze w biurku Kay. Po co pojechała na Haiti? Dlaczego towarzyszyła Tomowi w Niemczech? Dlaczego Tom nie pojechał z nią na Haiti? Czego, do diabła, szukali w Niemczech?

- Chryste - wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

- Co? - zapytał Louis.

- Nic takiego. Po prostu usiłuję znaleźć odpowiedź na te cholerne pytania.

- Jeżeli dowiemy się, kim jest ten facet w stroju pletwonurka, to będziemy nieco mądrzejsi.

- Co z aktami wojskowymi Toma?

- Są w drodze z Narodowego Centrum Dokumentacyjnego w St. Louis. Rozmawiałem z pułkownikiem Frankiem Merlo. Traktują to jako sprawę priorytetową.

Barney skinął głową, pochylił się i włączył radio. Stacja informacyjna nadawała lokalne wiadomości: Władze w Sacramento odrzuciły ustawę zezwalającą na budowę olbrzymiej elektrowni atomowej Sun Desert. Elektrownia miałaby zaspokoić pięć procent stanowych potrzeb energetycznych. Ustawie przeciwstawiało się silne lobby działaczy na rzecz ochrony środowiska. Zwolennicy ustawy ostrzegali, że Kalifornii grozi do 1985 roku niedobór energetyczny, ale gubernator stwierdził, że stan może liczyć na energię słoneczną, która będzie w stanie zaspokoić przyszłe potrzeby.

Jechali przez moment w milczeniu, słuchając radia, po czym Louis wyłączył je.

- Ostatniej nocy powiedziałem żonie, że chyba nie dotrwam do emerytury.

- Dotrwasz. Masz już z górki, tak jak i ja. To tylko ta pieprzona sprawa.

- Może. Nie wiem. Mój wuj ma winnicę w Salinas. Interes kwitnie. To może być dobre dla mnie. I dla mojego syna. Nie jestem pewien, czy będąc gliną robię coś pożytecznego. Może to przez to, że jestem w Operacyjnym. Zbyt wiele tu polityki. Kiedy byłem na ulicy, kiedy pracowałem w Małym Tokio, wiedziałem, że robię coś dobrego. Teraz, cholera, nie wiem.

- To przez tę sprawę, Lou. Zwariowałbyś wyciskając winogrona w Salinas.

Przełączył radio na jakąś małą stację, która nadawała muzykę z czasów big-bandów. Popłynęła „Woodchopper’s Bali” Woody Hermana. Ta era skończyła się jeszcze przed jego urodzeniem, ale tego rodzaju muzyka działała na niego czasami kojąco. Podobał mu się sposób, w jaki orkiestra trzymała się głównej linii melodycznej. Nawet kiedy włączał się ktoś z solówką, to zawsze potem następował powrót do głównej melodii. Przypominało mu to pracę w policji. Pomimo wariacji i kaprysów - zawsze wraca się do lejtmotywu.

## 23.

Paul Isella stał w boksie obok błyszczącego, czerwonego Ferrari. Dwóch mechaników poprawiało coś przy tylnym spoilerze. Trzeci stał pochylony z czymś, co wyglądało na kompresor, nad przednim wlotem powietrza. W różnych miejscach wokół toru stał sprzęt telewizyjny, a potężne lampy wspomagały przebijające się przez mgłę światło słońca.

Isella rozmawiał z brodatym mężczyzną ubranym w kurtkę polową i spodnie khaki. Za nim wznosiła się piętnastometrowa wieża dla ekipy telewizyjnej i sześciu operatorów czekało w pogotowiu. Wokół owalnego toru stało jeszcze sześć podobnych konstrukcji. Przy każdej z nich czekał człowiek, który miał za zadanie przekazywać polecenia reżysera operatorom

kamer.

Czerwono-żółty Lotus minął przeciwnie zakręt i wypadł na prostą, mknąc w kierunku Iselli i stojącego obok reżysera. Obaj wyprostowali się, czekając, aż samochód ich minie. Nie sposób było przekrzyczeć ogłuszający ryk silnika. Barney i Louis stali tuż za stanowiskami serwisowymi. Poczuli podmuch gorąca i lekki wstrząs, kiedy nisko zawieszony samochód mijał ich z szaleńczą prędkością. Siedzący w środku kierowca wyglądał jak plastikowa figurka.

Szczupły młody mężczyzna w dżinsach, który przedstawił się jako pierwszy asystent kierownika, podszedł do toru i przekazał Pulowi Iselli wiadomość od Barneya.

Isella skinął głową, powiedział coś do reżysera i ruszył w kierunku Barneya i Louisa.

Był krępym mężczyzną z typowymi dla mieszkańca strefy śródziemnomorskiej rysami twarzy. W miarę jego zbliżania się, Barney mógł dokładnie mu się przyjrzeć. Miał duży, gruby i spłaszczony nos zawodowego boksera, wąskie usta i ciemne, głęboko osadzone oczy. Był prawie łysy, tylko po bokach sterczały mu kępki włosów. Miał duże ręce, ale jego palce były długie i smukłe. Szedł sztywno, z głową lekko przechyloną na prawo.

Nie raczył się z nimi przywitać ani nawet uśmiechnąć. Louis przedstawił siebie i Barneya i obaj pokazali swoje legitymacje. Isella tylko mruknął coś, wyraźnie poirytowany.

- Próbują teraz Lotusa. Ja jestem następny. Macie dziesięć minut - powiedział.

- To nie zajmie dużo czasu - odparł Louis. - Laura Gregson powiedziała nam, że była z panem tego ranka, kiedy zamordowano Toma Neeleya.

- Zgadza się.

- Czy znał pan Toma?

- Spotkałem go raz czy dwa na przyjęciu u Mirella.

- Czy pamięta pan dziewczynę, z którą przychodził?

- Nie. Tam zawsze było dużo dup.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Kilka tygodni temu. Przyszedł tutaj. Zadał kilka pytań i poszedł sobie.

- Co to były za pytania?

Isella popatrzył na Lotusa pokonującego kolejny zakręt.

- Popatrzcie na tego kutasa - powiedział. - Kręci piętnaście tysięcy obrotów na zakręcie. Nigdy nie uda mu się to w czasie wyścigu. Nie ze strugami powietrza bijącymi mu w twarz.

- Proszę nam powiedzieć, o co pytał Neeley - naciskał Louis.

- Chciał wiedzieć, jakiego używamy paliwa.



Barney i Louis popatrzyli na siebie.

- To wszystko? - zapytał Louis

- Mniej więcej. Słuchajcie. Muszę już wracać. Ta ciota, kierownik, płaci mi trzy tysiące dziennie.

- Jakiego paliwa używacie? - zapytał Barney.

- A co to, do diabła, ma wspólnego z jego śmiercią?

- Niech pan odpowie na pytanie!

- Metanolu. To jest mieszanka alkoholu i metanu.

- Czym się to różni od zwykłej benzyny?

- Metanol chłodzi wnętrze silnika. Gdybyśmy używali normalnej benzyny, to silniki paliłyby się w ciągu kilku minut - odparł spluwając na trybuny. - Czy mogę wrócić do roboty?

- Za chwilę - powstrzymał go Barney. - O co jeszcze pytał Tom?

- Chciał jeszcze wiedzieć, czy można używać metanolu w zwykłych samochodach pasażerskich. Powiedziałem mu, że każda palna mieszanka może zostać użyta w silniku spalinowym. To tylko sprawa świec, zawartości ołowiu i liczby oktanowej. Paliwo można wyprodukować z alkoholu, ciekłego tlenu, a nawet z gówna.

- Z gówna? - zapytał Barney.

- Tak. Na przykład śmieci, ułożone warstwami jedna na drugiej, wytwarzają metan. Dlatego właśnie na wysypiskach i w elewatorach zbożowych dochodzi czasami do eksplozji.

- Czy wie pan, dlaczego Tom interesował się paliwami?

- Nie - pokręcił głową.

- Paul, jesteś tu potrzebny! - zahuczał w głośnikach głos kierownika.

Isella odwrócił się, pomachał w jego stronę ręką, po czym spojrział na Barneya.

- To już wszystko?

- Czy Tom wspominał kiedyś słowo „Genesis”?

- Nie.

- A „Obermann”?

- Nie. Nic o Genesis i nic o Obermannie.

Ciemne policzki Iselli poczerwieniały, a jego zapadnięte oczy zabłysły wrogością.

- A teraz może byście sobie poszli na spacer? Może wy nie macie nic lepszego do roboty, ale ja tu pracuję. Odpieprzcie się.

- Nie jest pan zbyt miły - stwierdził Louis.

- Pocałuj mnie w dupę, żółtku - powiedział szyderczo, odwrócił się i zrobił dwa kroki,

kiedy nagle Louis chwycił go za ramię, obrócił i uderzył dwa razy w splot słoneczny. Isella chwycił się za brzuch i upadł na kolana, usiłując złapać oddech. Patrzył na Louisa, jak zranione zwierzę zastanawiające się, czy zaatakować.

Skośne oczy Louisa nie zdradzały żadnych emocji.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu - zwrócił się Barney do Iselli.

Ten wstał powoli, masując brzuch.

- Pieprzone, gówno warte gliny.

Odwrócił się i pokuśtykał w stronę czekających kamerzystów.

- Nie powinienem był go uderzyć - stwierdził Louis.

- Dlaczego?

- Kierowcy rajdowi nie żyją zbyt długo.

- To nie ma nic do rzeczy.

Louis pokręcił głową.

- Nie powinienem go uderzyć. Źle zrobiłem.

- Chodź, bo utkniemy w korku.

## 24.

Zaciągnięte zasłony przykrywały przeszklone ściany biura agenta. Leo Mirell siedział przy długim stole w kształcie litery L. Cały blat pokryty był papierami, a jego środek zajmowała duża zielona konsola. Mirell był bez krawata, w rozpiętej pod szyją koszuli. W ceramicznej popielniczce dopalał się papieros.

Wyglądał na zmęczonego i rozkojarzonego. Wyblakłe, szare oczy kontrastowały z regularnymi rysami twarzy. Wstał, wyciągnął do Barneya rękę i wskazał na stojące przy stole krzesło.

- Proszę usiąść, poruczniku.

Podszedł do okna, odsunął zasłonę i przez moment wyglądał na miasto.

- Chryste. Co za paskudna sprawa. Kay i Tom.

- Tak - zgodził się Barney.

Leo usiadł na krześle z wysokim oparciem, spojrzął na sufit, następnie pochylił się, wziął palącego się papierosa i zaciągnął się głęboko.

- Przepraszam, jeżeli będę zbyt bezpośredni - powiedział - ale wiem, że rozmawiał pan o niektórych aspektach tej sprawy z moim szoferem.

- O, tak. Herbert był bardzo pomocny.

- Powiedział panu prawdę - stwierdził Leo. - Tom dostarczał kokainę, Laura dostarczała dziewczynki. Przyjęcia były u mnie. Lubilem Toma. Lubilem Kay. Nie mam pojęcia, kto ich zabił, a tym bardziej dlaczego.

- Może pan wiedzieć więcej, niż się panu wydaje.

- Wątpię.

- Spróbujmy. Wie pan, że to Victor dostarczał Tomowi kokainę?

- Takie chodziły plotki.

- Czy dostarczał pan znajomym kokainę?

- Czy naprawdę oczekuje pan, że odpowiem na to pytanie twierdząco? - uśmiechnął się Leo.

- Niech pan posłucha. Nie jestem z Wydziału Narkotyków. Gdyby tak było, to mógłbym każdego podejrzanego w tej sprawie przymknąć za używanie narkotyków lub za ich posiadanie. Będę z tobą szczery, Leo. Chcę tylko odnaleźć mordercę lub morderców Toma i Kay.

Mirell potarł oczy.

- No dobrze. Powiedzmy, że na moich przyjęciach była kokaina. Powiedzmy, że są pewni ludzie, którzy zwracają się do mnie, kiedy potrzebują czegoś mocniejszego. Ale ja nie sprzedaję kokainy. Jestem bardzo bogatym człowiekiem. Nie handluję narkotykami.

- Czy Arthur Clements zażywał kokainę?

Leo wypuścił z ust chmurę dymu i zgasił papierosa.

- To pytanie powinno być skierowane do Clementsa, nie sądzi pan?

- Boi się pan go?

- Nie mogę szkodzić ludziom na podstawie pomówień i plotek.

- Dobra. Proste pytanie. Czy Clements organizował Tomowi wyjazdy? Łapówki?

Przerzuty brudnych pieniędzy?

Leo spojrział na Barneya i nalał sobie z karafki wody.

- Mówiło się o tym. Słyszałem takie pogłoski. Nie wiem, czy są one prawdziwe.

- Czy Tom wspominał kiedyś słowo „Genesis”?

- Nie.

- A Kay?

- Nic o tym nie wiem.

- Może „Obermann”?

- Nie. Nigdy niczego takiego nie słyszałem.

- Jest pan pewien?

- Niech pan da spokój, poruczniku - westchnął Leo. - Bądźmy uczciwi. Dokładnie mnie pan sprawdził. Gdyby miał pan coś na mnie, to już dawno złożyłby mi pan wizytę. Wie pan, że nie mam nic wspólnego z tymi zabójstwami. Wie pan też, że nie mogę wplątywać w to innych osób.

Barney spojrział mu w oczy, skinął głową i wstał.

- Ma pan rację. Ale może być tak, że ten kto zabił Neeleyów, zajmie się następnymi ze swojej listy.

Leo zapalił kolejnego papierosa. Barney zauważył ciemne plamy potu na jego niebieskiej koszuli.

- Sądzi pan, że on ma jakąś listę?

- Czy to pana niepokoi? Pan przecież nie ma wrogów. Nie ma pan niczego na sumieniu.

Leo wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem wzdłuż ściany. Nagle zatrzymał się i podszedł do Barneya.

- Najbezpieczniejsze dla mnie jest trzymanie gęby na kłódkę. Przepraszam, ale tak to widzę. A teraz w Londynie jest trzecia nad ranem i pewien reżyser, któremu płacę milion dolarów, czeka w hotelu „Dorchester” na mój telefon. Więc jeżeli to już wszystko...

- Jeszcze jedna rzecz - przerwał mu Barney. - Frank Tedesco.

Leo nerwowo zaciągnął się i Barney zauważył u niego lekkie drzenie palców.

- Co z nim?

- Czy słyszał pan, żeby Neeley lub Victor Maldonado mówili coś na jego temat?

Leo wyraźnie pobladł. Podszedł szybko do biurka, nalał sobie wody, wypił ją i opadł na krzesło.

- Sądzę, że nasze spotkanie jest już skończone, poruczniku.

- W porządku - powiedział Barney. - Ale to, co pana przestraszyło, prawdopodobnie przeraziło też Kay. Gdyby była ze mną szczerą, to może byłbym w stanie ją uratować. Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

Odwrócił się i skierował w stronę drzwi. Chwytał za klamkę, kiedy zatrzymał go okrzyk Leo.

- Chwilę!

Barney spojrział na niego. Leo wyjął z szuflady chusteczkę i zaczął ocierać z czoła krople potu. Znowu wypił potężny łyk wody.

- Tedesco dostarczał przez kuriera kokainę Tomowi.

- Skąd pan to wie?
- Tom mi powiedział.
- Czy Maldonado zgadzał się na to, czy sam to zorganizował?
- Nie wiem.
- Czy gdyby był pan na moim miejscu, to wysnułby pan taki wniosek?

Leo przełknął ślinę i przygryzł dolną wargę.

- Tak - przytaknął. - Gdybym był na pana miejscu, to doszedłbym do wniosku, że Victor był z tym związany.

- Czy spotkał pan tego kuriera?
- Nie.
- Czy Tom kiedykolwiek o nim wspominał?
- Tak.

Barney poczuł napływającą adrenalinę.

- To bardzo ważne, Leo. Niech pan postara się przypomnieć sobie, co dokładnie mówił Tom.

- Powiedział, że była nieziemską.
- Była?
- Tak. Kurierem była dziewczyna.
- I mówił, że jest nieziemską?
- Tak. Określał ją jako fantastyczną.
- Czy opisał ją?
- Nie.
- W porządku, Leo. Jeszcze porozmawiamy.
- Poruczniku!

Barney ponownie spojrzał na spoconego Mirella.

- Czy sądzi pan, że nic mi nie grozi?

- Nikt nie jest bezpieczny. To powiązana ze sobą grupa ludzi. Jakby jeden organizm. Nagle jedna komórka wpada w szal. Ludzie zaczynają umierać. Tom Neeley, zachłanny eks-gлина, dostaje siedem kulek, jedna za drugą, od fiuta aż do mózgu. Jego żona ma całe ciało poprzypalane papierosami, a następnie odstrzeliwują jej połowę twarzy. Ktoś czegoś szuka. Czegoś, co Neeleyowie chcieli znaleźć w Niemczech. Czegoś, co nosi nazwę „Genesis”. Dopóki nie dowiem się, co to jest, nikt nie będzie bezpieczny.

## 25.

Barney przejrzał akta, które przesłał z wewnętrznego Ray Collins. Pierwsza strona zawierała nazwiska członków zarządu Seneca Corporation. Był tam Frank Tedesco, Clements, Maldonado i dwunastu innych, o których dział spraw wewnętrznych niczego nie wiedział. Przypuszczał, że te nazwiska należały do kobiet i mężczyzn, których firmy były związane z Seneką legalnymi interesami.

Następne strony były odbitkami kserograficznymi różnych artykułów prasowych na temat Adama Steiffela: biografia z „Who's Who”, napisany w 1963 roku artykuł z „Los Angeles Times”, artykuły z „Time'a”, „Newsweeka”, „Forbesa”, „Business Week”, „Fortune”, „Esquire” oraz artykuły z dwóch gazet brytyjskich: „Observera” i „Guardiana”. Barney szybko je przejrzał i schował do koperty.

Wstał i podszedł do stalowej szafki. Otworzył górną szufladę i włożył tam akta. Następnie wyjął butelkę whisky, nalał sobie szklaneczkę i stanął przy oknie. Popołudniowe słońce świeciło żółtawym blaskiem poprzez pełną chemikaliów mgłę wiszącą nad miastem.

Pomyślał o Paulu Iselli i zastanawiających pytaniach, które zadał mu Neeley. Dlaczego interesował się składem chemicznym paliwa do samochodów wyścigowych? Ten problem zwrócił jego myśli w stronę Laury Gregson. Ciągłe widział jej twarz z półprzymkniętymi oczami na poduszce. I ten jej niski, chrypliwy nagłący szept: O tak. Tak!

Chciał ją znów zobaczyć. Wiedział, że dla niej był tylko klientem. Dla niej to była praca. Ale dla niego nie miało to znaczenia.

Otworzyły się drzwi i wszedł Louis. Wyglądał na zmęczonego.

- Drinka? - zaproponował Barney.

Louis skinął głową.

Barney nalał mu whisky.

- Mam dane o Senece. Frank Tedesco jest jednym z dyrektorów - powiedział podając Louisowi szklaneczkę.

- To wiąże go z mafią.

- Zgadza się. Nawet senacka podkomisja do spraw zorganizowanej przestępczości nie mogła tego udowodnić.

Obydwaj mężczyźni posmakowali złocistego trunku.

- Mirell jest przerażony. Tak jak Kay. Potwierdził, że to Tedesco dostarczał kokainy.

Barney dopił whisky, podszedł do diagramu na tablicy i czerwoną kredą narysował

linię, łączącą nazwiska Tedesco, Clementsa i Steiffela.

- Co o tym sądzisz, Lou?

- Nie możesz ich ze sobą łączyć.

- Dlaczego?

- Adam Steiffel to magnat przemysłowy. Jest cholernym wcieleniem amerykańskiego mitu. Jak możesz wiązać go z mafią?

- Oni wszyscy są częścią tego samego mitu. Pamiętasz te pogłoski o prokuratorze generalnym, który posłużył się CIA do zwerbowania Giancany i Rosellego w celu zabicia Castro?

- I co z tego?

- Jeżeli sądownictwo, CIA i mafia mają ze sobą kontakty, to dlaczego nie mogą być powiązani z potęgami amerykańskiego przemysłu? Pamiętaj, że w Chile w rzeczywistości rządziło ITT. Wszyscy wiemy o świecie przestępczym. A co z tymi praworządnyimi? Wielki przemysł. Rząd. Wielkie banki. Wielka nafta. Komunikacja. Ubezpieczenia. Mafia. OPEC. Tutaj - Barney postukał w tablicę - widać te związki. Wierz mi, Lou. Ja to wiem. Już w Langley robiliśmy takie diagramy.

- Co z tego wynika?

- Clements, Steiffel i Tedesco mają jakieś wspólne interesy. Neeleyowie zostali zabici, bo im zagrażali.

- To wszystko tylko przypuszczenia. Może jest to siła, która za tym stoi, ale gdzie dowody? Wciąż mamy różne kawałki układanki, które nie pasują do siebie.

Barney usiadł na krześle i zaczął stukać żółtym ołówkiem w blat biurka.

- Dlaczego Tom interesował się paliwem do samochodów wyścigowych?

- Przypuśćmy, że był na tropie nowego typu silnika. Silnika, który mógłby pracować na metanolu?

- Dlaczego Tom miałby się tym interesować?

- Przypomnij sobie, co powiedział Isella - odparł Louis.

- Paliwo oparte na alkoholu chłodzi silnik. To znaczy, że części silnika mniej by się zużywały. Samochód osobowy z silnikiem na metanolu byłby rewelacyjnym odkryciem.

- Ale skąd Tom w tej sprawie?

- Może natknął się na to w Niemczech?

- Tom nie zajmował się nowymi paliwami ani samochodami rajdowymi. Preferował panienki i narkotyki.

- Oraz pieniądze.

- Tak. Pieniądze - zgodził się Barney.

Znowu otworzyły się drzwi i wszedł umundurowany policjant. Był to Pete Schroeder, który pracował w sekcji komunikacyjnej.

- Jest coś na teleksie. To może być o tym nieboszczyku w stroju płetwonurka.

Sekcja łączności Wydziału Operacyjnego mieściła się w pozbawionym okien pokoju. Znajdowała się tam olbrzymia konsola i dwa dalekopisy. Barney, Louis i Schroeder stali wokół oficera obsługującego teleks. Wpatrywali się niecierpliwie, jak poruszające się nieregularnie klawisze powodowały wydruk niezrozumiałych słów. Nagle klawisze stanęły. Maszyna stuknęła i szumiała, ale nic się nie działo.

- Kłopoty? - zapytał operator Barney.

- Możliwe. Nadałem „gotowy do odbioru”, ale nie odpowiedzieli.

- Nadaj jeszcze raz - polecił Barney.

Operator zaczął wciskać klawisze i na papierze pojawił się tekst:

LAWP-OPERACYJNY-LA-TELEX 1674B2 do INTERPOL PARYŻ - 333878:  
OTRZYMALIŚMY SYGNAŁ GOTOWOŚCI I CZEKAMY. PROSZĘ POTWIERDZIĆ.  
CZY LINIA JEST W PORZĄDKU?

Maszyna znowu zaszumiała i zastuknęła, ale na białym papierze nic się nie pojawiło.

- Czasami połączenie nagle zostaje przerwane - wyjaśnił operator, nie odrywając wzroku od urządzenia.

- I co robimy? - zapytał Louis.

- Czekamy - odparł operator.

Sierżant Schroeder podszedł do automatu z kawą.

- Ktoś chce kawy? Świeża.

- Nie, dziękuję - odmówił Barney, a Louis tylko pokręcił głową.

Stali w milczeniu, wpatrując się w wydającą ciche dźwięki maszynę. Po prawie trzech minutach teleks ożył, wystukując wiadomość:

INTER-PARYŻ DO 167432 LAWP-OPERACYJNY. GOTOWY DO  
NADAWANIA. POTWIERDZIĆ.

Operator wcisnął przycisk nadawania i wystukał: LA 167432 GOTOWY”. Następnie wcisnął klawisz odbioru. Szum maszyny stał się głośniejszy, a w chwilę potem rozległ się



szybki stukot wywołany drukiem depeszy.

PODEJRZANY ZIDENTYFIKOWANY NA WASZĄ PROŚBĘ 3/16. ODCISKI NALEŻĄ DO PRIMO SANTIAGO. WIEK 34, ZAMIESZKAŁY W CALI, KOLUMBIA. PASZPORT NO. 666222. ZNANY POD PSEUDONIMEM PRIMO SANCHEZ DE OBREGON. POSŁUGIWAŁ SIĘ TEŻ HAITAŃSKIM PASZPORTEM NO. 98657. ARESZTOWANY NA LOTNISKU ORLY 6/8/75 POD ZARZUTEM PRZEMYTU KOKAINY. ZWOLNIONY I PODDANY EKSTRADYJCJI DO KOLUMBII NA PROŚBĘ AMBASADORA W PARYŻU: PODEJRZANY POSZUKIWANY W CELU PRZESŁUCHANIA W SPRAWIE O ZABÓJSTWO. CZEKAĆ.

Teleks przestał na moment drukować. Wszyscy wpatrywali się w maszynę z podziwem, jakby była ona najcudowniejszym wynalazkiem od czasów, kiedy człowiek z Cro-Magnon potarł o siebie dwa kamienie i wykrzesał iskrę.

Nagle klawisze zaczęły znowu coś wystukiwać.

INFORMACJA Z NASZEGO DEUXIEME BUREAU:

PODEJRZANY BYŁ ZWIĄZANY Z ANTONELLĄ CRIMALDI, CZŁONKINIĄ WŁOSKICH CZERWONYCH BRYGAD. KONIEC. PROSZĘ POTWIERDZIĆ.

Ponownie zapanowała cisza. Operator przycisnął klawisz nadawczy i wystukał:

LA POTWIERDZA. OTRZYMALIŚMY I ZROZUMIELIŚMY. PROSZĘ CZEKAĆ.

Oficer spojrział na Barneya.

- Coś jeszcze? - zapytał.

- Zapytaj go, czy zna miejsce pobytu Antonelli Grimaldi.

Operator wystukał pytanie i wcisnął klawisz odbioru. Po około minucie przyszła odpowiedź.

ANTONELLA GRIMALDI ZGINEŁA PODCZAS PRÓBY DOKONANIA ZAMACHU BOMBOWEGO NA FABRYKĘ FIATA - MEDIOLAN - 5/6/77.

Maszyna zamilkła.

- Przekaż im podziękowania - powiedział Barney.

Operator wymienił ze swoim niewidocznym kolegą pozdrowienia, po czym otworzył

szklaną osłonę, oddał wiadomość i przekazał ją Barneyowi.

Wróciwszy do biura, Barney wpisał do diagramu nazwisko Primo Santiago. Następnie cofnął się i przyjrzał wpisanym tam nazwiskom.

TOM NEELEY

KAY NEELEY

LEO MIRELL

ARTHUR CLEMENTS

ADAM STEIFFEL

LAURA GREGSON

VICTOR MALDONADO

PAUL ISELLA

PRIMO SANTIAGO

FRANK TEDESCO

Miał dziesięć nazwisk. Wszedł Louis i powiedział, że rozmawiał z kolumbijskim konsulem generalnym w San Francisco i poinformował go, iż w okręgowej kostnicy mają ciało obywatela Kolumbii.

Barney skinął głową i wziął do ręki akta Adama Steiffela. Za oknem żółte światło słońca zaczynało przygasać.

- Dane z Interpolu zdają się potwierdzać związek z kokainą. Ten facet był znanym przemytnikiem kokainy - powiedział Louis.

- Tak. Neeleyowie mogli kogoś zdenerwować. Kogoś związanego z przemytem kokainy.

- Nie wierzysz w to, prawda? - uśmiechnął się Louis.

- Nie. Ten martwy facet miał powiązania z terrorystami - odparł Barney. - „Genesis” może być nazwą jakiejś operacji terrorystycznej. Może to ma jakiś związek z łapówkarskimi podróżami Toma. Porwania są specjalnością Europejczyków.

- Wysznuwasz zbyt pochopne wnioski, Barney. To chyba jest kokainowa sprawa.

- Może masz rację, Lou. Może chodzi tu tylko o kokainę.

## 26.

Dziewczyna wyjechała ze stacji metra Louvre schodami ruchomymi i wyszła w tę specyficzną, błękitną poświatę właściwą paryskiemu zmierzchowi. Uwielbiała to miasto. Paryż zawsze był jej ulubionym miejscem. Uczucie, jakim go obdarzała, nie miało nic wspólnego z Raulem czy z którymkolwiek z jej poprzednich kochanków. To była miłość do miasta. W tym skądinąd aseptycznym, brzydkim świecie stali i szkła, Paryż pozostał piękny,

wieczny i niezniszczalny.

Przeszła obok hotelu „Meurice”, a stojący przed wejściem portier w liberii uklonił jej się lekko. Była zadowolona, że na miejsce spotkania został wybrany „Hotel du Bac”, ponieważ pozwalało jej to na spacer utrzymaną w stylu *fin de siecle* Rue de Rivoli. Doszła do rogu i weszła w wymuskane piękno ogrodów Tuileries. Właśnie zapaliły się latarnie, oświetlając wysadzone kwiatami alejki.

Wieczór był spokojny i dziewczyna przechadzała się powoli wśród jaskrawoczerwonych róż i lawendowych lili. Minęła grupkę dzieci puszcających łądeczki w fontannie. Towarzyszące im opiekunki były Niemkami. Dziewczyna nie miała żadnych trudności z rozpoznaniem ich hamburskiego akcentu.

Wyszła z parku i podążyła w stronę mostu Pont Royal. Zauważyła kilku starszych mężczyzn łowiących ryby w rzece. Nie przeszkadzały im jasno rozświetlone łodzie, które dostojnie sunęły w górę rzeki. Widok starych rybaków przypominał jej płótno Sisleya eksponowane w muzeum Jeu de Paume.

Od strony Sekwany dochodził słony zapach. Wciągnęła powietrze głęboko w płuca. Czowała się wspaniale. Wypoczęła już po podróży. Na lotnisku odebrał ją Raoul i odwiózł do domu. Spała siedem godzin i obudziła się potwornie głodna. Raoul usmażył jej stek z frytkami, do którego wypili dwie butelki Mouton-Cadet, rocznik 1974. Wypalili dwa skrzyty tajlandzkiego haszysz, a potem kochali się przez większą część nocy.

Ale zaszło coś niepokojącego. Nie osiągnęła orgazmu. Coś takiego zdarzyło się jej po raz pierwszy, odkąd poznała Raoula. Z początku pomyślała, że to wina zmęczenia, ale kiedy była już wypoczęta, znowu spróbowali. Raoul robił wszystko, co mogło sprawić jej przyjemność. Wszystko to, co nauczyła go robić z pasją i bez żadnych zahamowań. Nic nie pomogło. Udawała, że coś przeżywa. Nie chciała, aby zorientował się, że niczego nie czuje. Może to były tylko przejściowe kłopoty?

Sama w to nie wierzyła. Znała już te objawy. To zaczęło się po pierwszym zabójstwie. W Kopenhadze. Zastrzelili wtedy izraelskiego attaché wojskowego w kawiarence przy placu Helmstrom. Wszystko zaczęło się, kiedy zobaczyła, jak ich ofiara pada, brocząc krwią. Wtedy sypiała z Klausem i tamtej nocy, nocy zabójstwa, też niczego nie czuła.

Spróbuje jeszcze raz dzisiaj z Raulem. Wszystko będzie w porządku. Raoul był dla niej kimś szczególnym. Był piękny, utalentowany i nigdy nie zadawał pytań. Wierzył jej, a przynajmniej chciał wierzyć, kiedy powiedziała mu, że pracuje dla pewnej firmy kosmetycznej. Raoul studiował medycynę na Sorbonie. I do tej chwili było im razem bardzo dobrze.

Nagle wspomnienie śmierci Toma Neeleya przebiło się do jej świadomości, zmuszając do przystąpienia na chwilę. Oparła się łokciami o balustradę mostu i odetchnęła gwałtownie świeżym powietrzem znad Sekwany.

Rue du Bac była spokojną ulicą, przy której znajdowało się kilka małych hotelików prowadzonych przez rodziny. Ruch był mały i tylko kilkoro pieszych czekało cierpliwie na autobus.

Weszła po stopniach prowadzących do „Hotel du Bac” i wkroczyła do małego holu. Uśmiechnęła się do młodego Algierczyka siedzącego w recepcji i skrzyła w stronę baru.

Przy stoliku w głębi sali siedział mężczyzna, którego знаła pod imieniem Antonio. Miał wydatny, cienki nos, z którego wydobywały się smugi papierosowego dymu. Czytał „Le Figaro” i popijał kawę. Spojrzał na wchodzącą dziewczynę i jego usta rozciągnęły się w coś na podobieństwo uśmiechu. Wstał i pocałował ją w policzki. Usiadła obok niego i poprosiła barmana o kawę.

Rozmawiali o nowym filmie, czekając, aż barman przyniesie do stolika kawę i wróci za kontuar. Antonio mówił po angielsku z ciężkim akcentem z północy Włoch.

- Towarzysz Tedesco jest niezadowolony z ciebie - stwierdził bez cienia emocji w głosie.

Napiła się kawy i wzruszyła ramionami.

- Podjęłam decyzję, którą uważałam za słuszną. Pomyślałam, że bezpieczniej będzie przylecieć do Paryża, niż spędzać noc w Miami.

- Nie możesz sama myśleć. Terroryzm wymaga wyrzeczenia się wszelkich indywidualnych myśli.

Brzmiało to jak cytaty z doktora Habasha. Miała do czynienia z robotem. Chłodnym teoretykiem. Nie znosiła tego typu rewolucjonistów.

- Oszczędź mi tych filozoficznych bzdur - powiedziała ze złością. - Chcesz, żebym złożyła raport czy nie?

- Prawdę mówiąc, to nie - odparł lodowatym tonem. - Wiemy wszystko o wydarzeniach w Los Angeles.

Nie była tym zdziwiona, ale niepokoiło ją, że ten człowiek wie więcej od niej.

- Czy byli u tej Kay Neeley? - zapytała zapalając papierosa.

- Tak. Została wyeliminowana. Nic nie wiedziała. Po prostu towarzyszyła byłemu mężowi.

- Skąd ta pewność?

- Tortury zastosowane przez Prima nie były zbyt skomplikowane. Gdyby wiedziała o

kontaktach swojego byłego męża ze Szwajcarami, to na pewno by powiedziała. Przyznała, że jej mąż nawiązał kontakt z Obermannem. Nic poza tym.

Podniósł filiżankę z kawą i zauważyła bardzo kobiecy ruch jego nadgarstka. Zastanawiała się, dlaczego tak wielu z nich było homoseksualistami. To odnosiło się też do kobiet. Przypomniała sobie dziewczynę z Czechosłowacji, która towarzyszyła jej w Trypolisie i jej prośby w nocy.

Mężczyzna skruszył w palcach papierosa.

- Primo nie żyje - powiedział jak gdyby nigdy nic.

- Kiedy to się stało?

- Tydzień temu. U tej Kay Neeley. Mieli problemy z pontonem. Zobaczyli, jak ktoś wchodzi do jej domu w kilka minut po robocie. Primo poszedł za nim. Tamten mężczyzna był detektywem z Los Angeles. Zabił Prima na plaży.

- A Kerem?

- Uciekł.

- Dzięki Bogu - westchnęła.

Podziwiała starszego mężczyznę i wierzyła w szczerość jego zaangażowania w sprawę.

- Gdzie jest Kerem? - zapytała.

- Został wczoraj wyeliminowany w Port-au-Prince.

- Wyeliminowany? - zapytała z przerażeniem. - Dlaczego? Przez kogo?

- W opinii Tedesco towarzysz Kerem stał się zbędny.

Wszystko już zostało powiedziane. Teraz czekała tylko na nowe rozkazy.

Antonio dał barmanowi znać, że chce zapłacić, ten podszedł i Antonio dał mu banknot dziesięciofrankowy. Barman podziękował i odszedł. Jej towarzysz odwrócił się do niej. Jego oddech niósł ze sobą ostry zapach tytoniu.

- Przez jakiś czas pozostaniesz w Paryżu.

Wstał i lekko pocałował ją w czubek głowy.

- Uważaj na siebie, *cherie*.

Nocne niebo zmieniło kolor na jaskrawoniebieski. Mimo to dziewczyna nie zwracała uwagi na piękno miasta. Myślała o Franku Tedesco, a przed jej oczami pojawiały się wizerunki czarnych, wzdętych brzuchów haitańskich dzieci siedzących na ulicach, po których swobodnie płynęły rzeki ścieków. Zastanawiała się, czy rewolucja i terror są w stanie to zmienić, czy ludzie jak Tedesco i Yasir w Bejrucie naprawdę chcieli zmienić los tych dzieci czy też chodziło im tylko o władzę? Czy wszyscy byli do siebie podobni: zabijani i ci, którzy

wydają rozkazy zabijania? Radzieccy imperialiści. Castro. Jej własny bohater z Monachium, Klaus. Czy wszyscy byli tacy sami? Czy w rezultacie wszystko zostanie po staremu? Kiedyś wierzyła w wolność, ale oni mówili, że zwycięstwo rewolucji może zostać osiągnięte jedynie poprzez ślepe posłuszeństwo. Wtedy nastąpi dzień powszechnego braterstwa. Ten cel był najważniejszy i należało dążyć do niego za wszelką cenę. Tak. O to chodziło. Teraz, w tym momencie historii, jedyną filozofią wartą praktykowania był terroryzm. Terror powodował chaos, a wraz z chaosem przychodzi próżnia. Tę próżnię wypełni rewolucja. Przemoc i tymczasowa utrata wolności były małą ceną za dojście do powszechnego braterstwa.

## 27.

Ubrany w szare spodnie i jasnoniebieski golf Barney popijał wódkę z lodem i czytał akta Adama Steiffela. Na biurku leżała kartka od Kathy. Poleciała do Denver.

Nie miał jej za złe. Od śmierci Kay zaczęły drażnić go opowiadki Kathy o przygodach w czasie lotów, a ich aktywność seksualna spadła do wymiarów symbolicznych. Oboje wiedzieli, że ich związek ma się ku końcowi.

Wczytał się w artykuł z „Forbesa” z czerwca 1973 roku. Ojciec Adama Steiffela przepłynął Wielką Wodę i ruszył na zachód z karawaną osadników, walcząc z przyrodą i Indianami, przedzierając się w kierunku Oklahomy. Jako pierwszy w całym stanie wywiercił szyb naftowy i zorganizował innych nafciarzy w oddziały paramilitarne, aby zapewnić sobie ochronę przed wynajętymi przez Johna D. Rockefellera zbirami. Ojciec Steiffela miał też instynkt polityczny i wspierał swoimi pieniędzmi właściwych kandydatów. Utrzymywał przyjacielskie stosunki z gubernatorem i obydwoma senatorami nowopowstałego stanu.

Młody Steiffel został wysłany do szkoły wojskowej na wschodzie kraju i po jej ukończeniu został, dzięki politycznym koneksjom swojego ojca, jednym z dwóch studentów ubiegających się o przyjęcie do akademii wojskowej West Point. Adam Steiffel ukończył akademię w roku 1922 z trzecią lokatą. Wyjechał na dwa lata za granicę, a po powrocie rozpoczął studia na uniwersytecie Harvarda, gdzie uzyskał tytuł magistra ekonomii.

Barney zagłębił się następnie w artykuł z „Timesa”. Latem 1935 roku w samym szczycie Wielkiego Kryzysu, ojciec Adama zginął w wypadku lotniczym w Midland, w Teksasie. Jego prywatny samolot usiłował wylądować w czasie szalejącej burzy piaskowej i uderzył w blaszany dach hangaru. Nie pozostały nawet szczątki, które można by pochować. Postawiono jedynie tablicę pamiątkową na luterskim cmentarzu w pobliżu Tulsy.

Kontrolę nad Tidal Oil przejął Adam. Dokładnie przeanalizował wszystkie sfery działalności firmy. Zaangażował geologów do zbadania opłacalności pierwszego pola naftowego w Red Sands. Raport był pesymistyczny. Geologowie stwierdzili, że przy obecnej skali wydobywania tereny zostaną wyeksploatowane w ciągu piętnastu lat. Adam zaczął przestawiać firmę z działalności wydobywczej na badawczą. Skoncentrował wysiłki na zdobyciu kontroli nad transportem ropy i jej przetwórstwem. Zakupił flotyllę tankowców i zbudował sieć stacji benzynowych od wybrzeża do wybrzeża. Ta nowa działalność pochłaniała wszystkie dochody z wierceń i wymagała pokaźnej pożyczki od starego kumpla z Harvardu, który zajmował wysokie stanowisko w Chase Manhattan Bank.

Z biegiem lat firma zdobyła udziały w rafineriach, zakładach nawozów sztucznych, kopalniach węgla, zakładach farmaceutycznych, stacjach rozplodowych bydła, gruntach rolnych.

Dochody Tidal Oil wzrosły z osiemnastu milionów w 1935 roku do trzech miliardów w 1975. Firma zatrudniała ponad sto trzydzieści sześć tysięcy pracowników i miała ponad sześć milionów akcjonariuszy. Regularnie wypłacała dywidendy i na giełdzie była uważana za jednego z największych pewniaków.

Adam Steiffel był jednym z pierwszych wielkich amerykańskich przemysłowców, który zaczął prowadzić interesy z komunistycznymi Chinami. Kiedy reporter „Time” zapytał go, czy nie ma żadnych skrupułów wchodząc w związki z tym olbrzymim krajem komunistycznym, odpowiedział sloganem, który szybko stał się sławny: „Kiedy przemawiają pieniądze, ludzie słuchają”.

Barney zaczął odczuwać odprężające działanie wódki.

Zamknął oczy i zobaczył Kay Neeley z tym dziwnym grymasem, który pozostał na jej twarzy, po tym jak Torres zamknął jej usta.

Potrząsnął głową, aby pozbyć się tego koszmarne widoku, napił się jeszcze wódki i wrócił do lektury artykułu.

Obecna żona Steiffela była jego czwartą z kolei. Pobrali się w 1950 roku. Loretta Steiffel, o trzydzieści lat młodsza od męża, była, jeżeli wierzyć fotografii zamieszczonej w gazecie, ładną kobietą. Aktywna społecznie, uczestniczyła w życiu kulturalnym miasta. Zaproszenie na prywatny obiad do Loretty Steiffel świadczyło o wysokiej pozycji towarzyskiej i finansowej w lokalnej społeczności.

Sam Steiffel był człowiekiem z wielką klasą, odznaczał się smakiem i chłodną inteligencją. Według autora artykułu Steiffel osobiście znalazł Hoovera, Roosevelta, Rockefellerów, Henry’ego Fondę, Johna L. Lewisa, Adolfa Hitlera, Benito Mussoliniego,

Eisenhowera, Trumana, Kennedych, Nixona, Kissingera, Fajsala i szacha Iranu. Popierał finansowo kandydatów obu partii, a jego osobistymi przyjaciółmi byli najbardziej znani senatorowie i kongresmeni.

Zimą 1973 roku, podczas arabskiego embarga na ropę, Steiffel został jednogłośnie wybrany prezesem Rady do Spraw Ropy Naftowej. „Time” nazywał go „ojcem chrzestnym” amerykańskiego przemysłu naftowego. Był kolekcjonerem malarstwa epoki impresjonizmu, a National Gallery w Nowym Jorku przeznaczyła całe skrzydło na eksponowanie jego darów. Instytut Sloan-Kettering otrzymał od niego olbrzymi fundusz na rozwój badań nad rakiem. Dzięki jego pomocy trzy główne uniwersytety w Kalifornii mogły utworzyć specjalny program stypendialny dla najbiedniejszych studentów.

Barney wstał, wszedł do kuchni, zrobił sobie gorącej herbaty i zjadł kawałek kanapki. Jednak nie czuł zbyt dużego apetytu.

Nagle odezwał się stojący na barku telefon. Dzwonił Louis.

- Victor Maldonado, trzech jego goryle i szofer pół godziny temu wylecieli w powietrze.

Barney gwałtownie wciągnął powietrze.

- Gdzie to się stało?

- Na parkingu hotelu „Stardust” w Las Vegas.

- Chryste - mruknął Barney.

- Co o tym sądzisz? - przerwał ciszę Louis.

- Myślę, że to nie ma związku z naszą sprawą. Ale to tylko przypuszczenie - odparł Barney. - Posłuchaj, Lou. Z samego rana zadzwoń do St. Louis i dowiedz się, co się, do diabła, dzieje z aktami wojskowymi Neeleya.

- W porządku.

Barney odłożył słuchawkę, poszedł do łazienki, rozebrał się i wziął gorący prysznic. Potem wyszedł, wytarł się dokładnie, włożył szlafrok i wrócił do pokoju. Nalał sobie kolejną szklaneczkę wódki i wrzucił kilka kostek lodu.

Zaczął zastanawiać się nad brakiem inwencji zabójców Maldonado. Ich metoda była bardzo stara, ale dalej cieszyła się dużym powodzeniem. Dwie laski TNT podłączone do stacyjki.

Znowu zadzwonił telefon. Tym razem była to Laura Gregson.

- Obudziłam cię? - zapytała.

- Nie. O co chodzi?

- Przypuszczam, że słyszałeś już o Victorze? - jej głos był bezbarwny i spokojny.

- Tak. Kilka minut temu.



- Czy sądzisz, że ktoś zabija przyjaciół i krewnych Toma według listy?

- Nie. Nie przypuszczam, aby śmierć Victora miała związek z zabójstwem Toma.

Prawdopodobnie wziął pieniądze, które nie należały do niego. Gdzie teraz jesteś?

- W łóżku - zamruczała.

- Sama?

- Sama. I nic na sobie nie mam.

Poczuł narastające podniecenie. Wiedział jednak, że nic z tego nie będzie.

- Czego chciałaś ode mnie?

- Chciałam usłyszeć twoje zdanie na temat śmierci Victora.

- No to już je znasz. Oczywiście, mogę się mylić.

- Chciałabym się z tobą zobaczyć.

- Kiedy?

- Kiedy zechcesz.

- Zadzwoń do ciebie.

- Zrób to.

Przerwał połączenie, zastanawiając się, po co do niego zadzwoniła, co się stało z jej romanssem z Paulem Isellą i co wiedziała o śmierci Maldonado.

Śmierć Maldonado spowoduje jedno: kolejne nazwisko na diagramie, już czwarte z kolei, zostanie opatrzone komentarzem „nie żyje”: Tom Neeley, Kay Neeley, Primo Santiago i Victor Maldonado.

Barney dopił wódkę, położył się na sofie i ponownie zagłębił się w materiałach dotyczących Adama Steiffela.

## 28.

Budynek Tidal Oil znajdował się zaledwie o pięć przecznic na wschód od siedziby Wydziału Operacyjnego. Był swoistym cudem architektury. Przypominał olbrzymią, szklaną falę, załamującą się nad Wilshire Boulevard. Lustrzane szyby w oknach odbijały niebo, przez co chwilami miało się wrażenie, jakby górne piętra budynku sięgały chmur. To złudzenie nadawało budowli aurę nierealności.

Hol był gigantycznym atrium ze szklanym sufitem na wysokości piątego piętra. Po obu stronach szybu, w którym poruszało się sześć wind, rosły palmy kokosowe. Po marmurowej ścianie spływała kaskada wody, chłodząc powietrze w tym olśniewającym

wnętrzu. Barney pomyślał, że hol został tak zaprojektowany, aby wywoływać u przybyszów uczucie podziwu i podkreślać władzę dyrektorów rezydujących na wyższych kondygnacjach.

Podszedł do windy oznaczonej jako „Ekspress - 18 piętro”. W środku stały dwie młode kobiety, trzymające kubki z kawą i rozmawiające o dolegliwościach swoich dzieci. Podróż na osiemnaste piętro zajęła niecałe dziesięć sekund.

Trzy ściany sekretariatu Adama Steiffela wyłożone były zielonym marmurem sprowadzonym z Włoch, a czwartą stanowiło duże okno z przyciemnionego szkła. Pożółkła fotografia, przedstawiająca piaszczyste wzgórze pokryte staromodnymi wieżami wiertniczymi, służyła jako jedyny element dekoracyjny. Pod drewnianą ramą widniał podpis: „RED SANDS - 1923”.

Sekretarką okazała się sympatycznie wyglądającą kobietą w średnim wieku. Siedziała za olbrzymim mahoniowym biurkiem.

- Pan jest detektywem Caine, który dzwonił do nas?
- Zgadza się.
- Czy mogę zobaczyć jakiś dokument?

Barney podał jej swój portfel z odznaką. Zapisała na kartce numer odznaki i zwróciła mu wszystko.

- Dziękuję - powiedziała i podniosła słuchawkę telefonu z konsoli komunikacyjnej. Przytrzymała ją przez chwilę przy uchu. Po chwili odłożyła ją, spojrzała na Barneya i wskazała na dębowe, jasne drzwi po lewej stronie.

- Może pan wejść, panie Caine.

Wcisnęła guzik na biurku i dał się słyszeć dźwięk odblokowanego zamka. Barney podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do gabinetu. Był duży i skąpo oświetlony. Zaciągnięte zasłony powodowały, że był pogrążony w półmroku. Barney stanął tuż za drzwiami, pozwalając oczom przyzwyczać się do mroku. Pokój bardziej przypominał pracownię niż biuro. Na przeciwległej ścianie wisiała drewniana tabliczka z inskrypcją: „Kiedy przemawiają pieniądze, ludzie słuchają”. Całe pomieszczenie było wyciszone i panująca cisza była prawie namacalna. Przypominała ciszę grobowca.

Barney zauważył siedzącą na sofie szczupłą postać. Adam Steiffel przyglądał mu się uważnie, popijając jogurt. Barney stał w milczeniu. Stary mężczyzna postawił puste opakowania po jogurcie na stoliku i delikatnie wytarł usta chusteczką.

- Podobno był pan w CIA - dobiegł Barneya poważny głos.
- Tak jest.

Starzec zamilkł na chwilę, w dalszym ciągu wpatrując się w niego.

- Proszę spocząć, panie Caine.

Barney przeszedł po czerwonym dywanie i usiadł naprzeciwko Adama Steiffela.

Przymknięte oczy ponownie zwróciły się w jego stronę.

- Proszę mi wybaczyć to oświetlenie, ale jaskrawe światło przeszkadza mi.

Barney mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Skóra jego twarzy była napięta i pokryta zmarszczkami. Przypominała kawałek mokrej tektury, którą ktoś zostawił, aby wyschła na słońcu. Małe niebieskie oczy sprawiały wrażenie, jakby czaił się w nich jakiś wyrzut. Miał cienki, wystający nos i małe zaokrąglone usta, przypominające usta dziecka. W tej twarzy widać było dysharmonię, którą łagodziły błyszczące niebieskie oczy. Jednak tym, co nadawało starcowi aurę majestatu i siły, była gęsta grzywa siwych włosów. Okalały one jego twarz jak biała aureola. Skórę dłoni pokrywały brązowe plamy, a zdeformowany kłykiec prawej ręki przyciągał wzrok. Mimo to jego długie i smukłe palce przypominały palce skrzypka.

- Cygaro, panie Caine?

- Nie, dziękuję.

Chrapliwy i przyciszony sposób mówienia Steiffela był zaraźliwy: Barney złapał się na tym, że sam mówi szeptem.

Starzec usunął złotą obcinarką koniec cygara i przypalił je oprawioną w skórę zapalniczką.

- Czy to prawda, że mówi pan po hiszpańsku?

- Tak - odparł Barney.

- Zawsze podziwiam Amerykanów, którzy nauczyli się obcych języków. Jesteśmy narodem, który często nie dostrzega faktu, że na tej planecie mówi się też w innych językach.

Barney zachował milczenie, a stary człowiek wpatrywał się w niego uważnie.

- Podczas służby w CIA stacjonował pan w hiszpańskojęzycznych krajach.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Tak.

Steiffel odchylił się w fotelu. Przez dłuższy czas panowała cisza. Oskarżycielski wyraz niebieskich oczu sprawiał, że Barney zaczął się czuć nieswojo. Starzec strzepnął popiół z cygara do dużej czarnej popielniczki.

- Powiedziano mi, że jest pan rozwiedziony i że ma pan syna.

- Co jeszcze panu powiedziano?

- Że chce się pan dowiedzieć czegoś o pewnych zleceniach, które wykonywał dla mnie Tom Neeley.

- Można tak powiedzieć.

Steiffel wstał. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i błękitny garnitur doskonale leżał na jego wąskich ramionach. Przycisnął umieszczony na ścianie guzik, rozsuwając zasłony i ukazując ścianę przyciemnionego szkła, przez które rozciągał się widok na całe miasto. Światło, które wpadło do pokoju było błękitnawe i nadało ich twarzom lekko silny odcień.

Starszy z mężczyzn spojrzał na miasto.

- Pięćdziesiąt lat temu Kalifornia była wspaniałym miejscem. Od North Valley do Pacyfiku wszędzie pomarańczowe gaje.

Odwrócił się od okna i podszedł do Barneya.

- Wie pan, kiedy wykonano w tym kraju pierwsze wiercenie? - zapytał i nie czekając na odpowiedź kontynuował: - Pierwszy szyb powstał w Pensylwanii w 1859 roku. J. D. Rockefeller i jego szajka szybko się tym zajęli. W 1905 produkcja dziesięciu procent energii w kraju bazowała na ropie. Mój ojciec wywiercił pierwszy szyb w Oklahomie, między Red River i granicą stanu Kansas. Do diabła, wtedy we wschodniej Oklahomie ropa sama wypływała z ziemi. Potem dołączył Teksas i Kalifornia. W 1925 Stany Zjednoczone produkowały siedemdziesiąt procent światowej ropy. Czy ma pan pojęcie, ile wtedy kosztowała baryłka?

Barney pokręcił przecząco głową i starzec uśmiechnął się.

- Dziesięć centów. Tak było. Baryłka kosztowała marnego dziesiątaka. Aż do 1953 dostarczyliśmy połowę światowej produkcji. A teraz - westchnął ciężko - nasza produkcja zaspokaja ledwie dwadzieścia pięć procent naszych własnych potrzeb.

Przerwał na chwilę, aby po chwili ciągnąć dalej:

- Kłopot z Amerykanami polega na ich bezkrytycznej wierze w technologię. W 1995 cena arabskiej ropy zwiększy się trzykrotnie. Stopa życiowa Amerykanów spadnie na łeb, na szyję. Kraje przemysłowe będą toczyły bezwzględna walkę o pozostałe zasoby. Rozpadną się dotychczasowe sojusze. Każdy będzie pilnował swoich interesów. Był pan w CIA. Na pewno słyszał pan o ich raporcie z 1975, który przewiduje totalny chaos jeszcze przed końcem stulecia. Szalejąca inflacja, załamanie przemysłu, katastrofalne bezrobocie, bezwartościowe papierowe pieniądze. Zupełnie jak w Niemczech w 1930. Wszyscy wiemy, co tam się zdarzyło. Pustkę zawsze wypełnia człowiek na białym koniu. Nastąpi koniec zachodniej demokracji. - Starzec odgarnął srebrne włosy. - Powoli zgasną światła, opustoszeją farmy, znikną szkoły. W niedogrzanych szpitalach będą umierali chorzy. Staną bez ruchu samochody i samoloty. Miliony znajdą się bez środków do życia.

Zaciągnął się dymem z cygara i zrobił kilka kroków w stronę Barneya.

- Ja i moi koledzy stoimy na granicy między zbawieniem a totalnym zniszczeniem. Nasza odpowiedzialność jest ogromna. Jeżeli w 1995 nie dostarczymy energii dwustu pięćdziesięciu milionom Amerykanów, to co stanie się z nimi i z tym wielkim republikańskim krajem?

- Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Barney.

- Ale musi pan mieć jakąś opinię - powiedział Steiffel siadając naprzeciw niego. - Musi panu zależeć. Nie wykonywałby pan tej niebezpiecznej pracy, gdyby nie miał pan jakiegoś celu.

Barney zdał sobie sprawę, że ten starzec ustawił go w pozycji człowieka niższego umysłowo i moralnie, niezdolnego pojąć ogromu jego odpowiedzialności.

- Nie zajmuję się geopolitycznymi problemami energetycznymi. Jestem zwykłym gliniarzem, panie Steiffel.

- Zawsze trzeba być dumnym z tego, co się robi. Zawód policjanta jest wspaniały i szlachetny. Może maluję zbyt pesymistycznie obraz. Proszę zapamiętać jedno: kiedy przemawiają pieniądze, ludzie słuchają. Jeszcze mamy w zanadrzu kilka dobrych kart.

- Jacy „my”?

- Ja i moi koledzy. OPEC to sztylet wymierzony w serce wolnego świata, ale jak dotąd udaje nam się wymanewrować tych narwanych Arabów. Ich zasoby pieniężne to osiemdziesiąt miliardów dolarów. Jeżeli my pójdziemy na dno, to te pieniądze staną się bezwartościowym papierem. Można powiedzieć, że w pewnym sensie OPEC to nasz wynalazek. Muszą brać pod uwagę przyszłość Stanów Zjednoczonych. Wydobycie ropy kosztuje ich trzydzieści centów za baryłkę, a nam każą płacić od czternastu do dwudziestu dolarów. To ponad czterdzieści razy więcej, ale za to muszą brać nasze dolary. Poza tym wysyłamy im sprzęt wojskowy. Oczywiście, musimy przystawać na ich warunki. Jesteśmy zmuszeni przekupywać ich pośredników.

- I tu dochodzimy do osoby Toma Neeleya.

- Na to wygląda.

- Skąd zna pan Toma?

- Dzięki mojemu przyjacielowi Arthurowi Clementsowi. Potrzebowałem kogoś takiego jak Tom. Kogoś, komu mógłbym zaufać. Kogoś, kto był głodny, ale nie umierający. Kogoś znającego metody działania policji.

- Domyślam się, że Tom był doskonałym kandydatem na kuriera.

- Nie podoba mi się to określenie - powiedział Steiffel. - Określiłbym go jako

pragmatyka. Sądę, że Tom wiedział, że życie to walka cywilizowanych, pragnących przetrwać ludzi przeciw siłom ateizmu i tyranii.

Barney wstał, podszedł do stolika i nalał sobie wody z karafki. Wypił ją i odwrócił się do Steiffela. Błękitne oczy były utkwione w jego twarzy. Zdał sobie sprawę, że w pseudopatriotycznych wywodach starego człowieka, niemal na każdym kroku kryła się zawołana groźba. To opowiadanie o bezwartościowym dolarze, o braku ropy, o odpowiedzialności za miliony, o globalnym kataklizmie. i to, jak odrażające, ale niezbędne było przekupywanie Arabów w imię przetrwania Ameryki. Barney zdecydował, że nadszedł czas próby.

- Muszę przyznać - powiedział - że nie wszystko pojąłem, ale nie rozumiem, jak przekupywanie arabskich pośredników ma pomóc zanikającemu poczuciu moralności. Albo w jaki sposób utrzymywanie ceny ropy na poziomie czterystu procent jej wartości chroni nas przed ateizmem. Uważam, że wszyscy jesteście opryszkami, panie Steiffel.

Starzec popatrzył na niego z furią i odłożył cygaro do popielniczki.

- Jesteś patriotą, synu. Prawdziwym patriotą. Wiem o tobie wszystko, więc wybaczam ci twoją ignorancję - powiedział powoli, nieco drżącym głosem. - Ale nigdy więcej nie nazywaj mnie opryszkami.

Barney wyraźnie odczuł aurę zła. Zła, które towarzyszy olbrzymiej władzy. Wiedział, że popełnił błąd. Nie powinien był kwestionować zaangażowania i uczciwości Steiffela.

- Nie jestem pańskim wrogiem - powiedział łagodnie. - Proszę zrozumieć moją sytuację. Jestem tutaj tylko dlatego, że pan może rzucić trochę światła na dwa brutalne morderstwa.

- Ja to rozumiem, synu. A teraz usiądź. Nie lubię patrzeć do góry. Nie wpływa to zbyt dobrze na mój nerw kulszowy. Odpowiem na twoje pytania.

Barney podszedł i usiadł naprzeciw Steiffela.

- Kiedy ostatni raz Tom przewoził dla pana pieniądze?

- Dwa miesiące temu. Zawiózł do Rzymu pół miliona dolarów dla Yussufa Kaladięgo.

- Kim jest ten Kaladi?

- Moim saudyjskim kontaktem.

- Przebywa teraz w Rzymie?

- Tam mieszka. Tam Tom zawiózł mu pieniądze.

- Nigdy nie wysyłał pan Toma do Niemiec?

- Nie.

- Czy Tom wspominał kiedyś słowo „Genesis”?

Steiffel zamrugnął oczami i pokręcił głową.

- Nie.

- A „Obermann”?

- Nie.

- Co pana łączy z Arthurem Clementsem?

- Interesy. Jest jednym z moich dyrektorów.

- Czy zna pan lub kiedykolwiek spotkał Franka Tedesco?

- Ma pan na myśli tego gangstera na wygnaniu?

- Tak.

- Nigdy.

- Czy zna pan lub kiedykolwiek spotkał Victora Maldonado?

- Ma pan niezłych znajomych. Nie, nigdy nie spotkałem świętej pamięci Victora Maldonado.

- Czy wiedział pan, że Clements, Tedesco i Maldonado byli dyrektorami kontrolowanej przez mafię spółki znanej jako korporacja Seneca?

Steiffel wzruszył ramionami.

- W radzie nadzorczej Tidal Oil zasiada pięćdziesięciu sześciu ludzi. Są oni dyrektorami innych firm. Nie mogę znać ich wszystkich powiązań, nieprawdaż?

- Chyba nie - zgodził się Barney. - Czy Tom wyrażał kiedyś zainteresowanie pewnymi paliwami lub niekonwencjonalnymi źródłami energii?

- Nie rozumiem tego pytania.

- Czy interesował się składem chemicznym paliw?

- Tom nigdy nie zadawał pytań. Był tylko posłańcem. I to dobrym. Wykonywał zadania i trzymał gębę na kłódkę.

- Kto teraz przewozi trefne pieniądze?

Oczy Steiffela znowu zabłysły gniewem, ale po chwili jego wzrok złagodniał.

- Dlaczego pan pyta?

- Jestem po prostu ciekawy.

- Któregoś dnia łapówki się skończą. W zeszłą niedzielę leciałem prywatnym Jumbo-Jetem Kaladiego. Jedliśmy irański kawior, popijaliśmy szampana. Obserwowałem, jak on i jego kumple zabawiali się z młodymi chłopcami i angielskimi dziwkami. Palili haszysz i zabawiali się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Patrzyłem na nich z uśmiechem, ale w duchu obiecałem sobie, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, to zniszczę tego człowieka i jemu podobnych. Zobaczą te jego szatańskie, muzułmańskie szaty płonące w piekle. Czas

łapówek i Arabów skończy się.

Jego ręka dotknęła ramienia Barneya, a smukłe palce zacisnęły się ze zdumiewającą siłą.

- Pewnego dnia ich pola naftowe spłoną. Nie będziemy potrzebowali ropy. Będziemy... - nagle przerwał i ściszył głos. - Rozmowa skończona, panie Caine.

Poprowadził go w kierunku drzwi i zapukał. W chwilę później rozległ się dźwięk otwieranego zamka.

- Życzę panu powodzenia, panie Caine. Mam nadzieję, że znajdzie pan mordercę Toma.

Barney otworzył drzwi.

- Dziękuję za poświęcenie mi czasu, panie Steiffel.

Uścisnęli sobie ręce.

- Proszę dbać o swojego syna. Dorastający chłopiec potrzebuje ojca.

## 29.

Barney spotkał się z Louistem w Operacyjnym i opisał mu przebieg spotkania ze Steiffelem, nie pomijając nawet końcowej aluzji do swojego syna.

- Czy to wyglądało jak groźba? - zapytał Louis.

- Każde jego słowo brzmi jak groźba. Łatwo zrozumieć, czym jest władza, kiedy przebywa się w jego obecności. Mimo to, w tym, co mówi, jest jakaś racja.

- Może Nolan ma rację. Może nie należy zadzierać z takimi ludźmi jak Steiffel.

Otworzyły się drzwi i wszedł umundurowany policjant z Metro.

- Który to Caine? - zapytał.

- To ja.

- Właśnie przyszło coś z komunikacyjnego - powiedział wręczając Barneyowi dużą, zapieczętowaną kopertę. Ten spojrział na adres. „Narodowe Archiwum Akt: Wydział Wojskowy. 9700 Page Boulevard, St. Louis”. Obok znajdowała się czerwona pieczęć: „Odbiorca - Wydział Policji w Los Angeles, za zgodą płk Franka Merlo”.

- Dzięki - powiedział Barney.

Policjant zsalutował i wyszedł. Louis obserwował, jak Barney otworzył kopertę, wyjął stamtąd pojedynczą kartkę papieru i zaczął czytać.



*Thomas Neeley. Data wstąpienia do USAF: 14 marca 1941. Przeszkolenie wojskowe: Fort Jackson, Karolina Południowa, kompania D, 4. batalion, 2. brygada, 27. Dywizja Piechoty. 23 sierpnia 1941: przeniesiony do OCS, Ft. Monmouth, N.J. 4 lutego 1942: przeniesiony do szkoły treningowej USAF: 8. Skrzydło Bombowców, dowództwo sił powietrznych, Langley Field, Va.*

*UWAGI: Nie zdołał zakwalifikować się do służby lotniczej. 17 maja 1942 przeniesiony do wydziału G-2 wywiadu wojskowego, Rockeby, Anglia. Z uwagi na znajomość języka niemieckiego oddelegowany do dowództwa SHAEF, wydział wywiadu, Reims, Francja, 3 listopada 1944.*

*OSTATNIE ZADANIE: 26 kwietnia 1945. Eskortowanie konwoju ciężarówek zawierających przechwycone dokumenty niemieckie. Miejsce przeznaczenia konwoju: wydział M-1 wywiadu brytyjskiego, Hamburg. Pozostawał odkomenderowany u Brytyjczyków do 23 sierpnia 1945. Kryptonim niemieckich dokumentów: GENESIS.*

Louis zobaczył, jak twarz Barneya blednie.

- Co się stało? - zapytał.

- Przeczytaj ostatni fragment.

Louis usiadł i przestudiował końcowy paragraf. Zapadła cisza. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na Barneya.

- Jezu Chryste.

- Czułem to - powiedział Barney. - Wiedziałem, że klucz do tej sprawy leży w przeszłości Toma.

- Ale dalej nie wiemy, co to jest Genesis - odparł Louis.

- Muszę się zobaczyć z Nolanem. Odpowiedzi są w Niemczech. Muszę przekonać go, żeby mnie tam wysłał.

- Niczego tam nie zdasz. Nie możesz nikogo aresztować. Nie możesz mieć broni. Nie masz uprawnień do prowadzenia tam śledztwa.

- Mam swoje kontakty - odparł Barney. - Szefem policji w Berlinie Zachodnim jest Hans Lehman. Poznałem go podczas wizyty Willy Brandta. Byliśmy odpowiedzialni za jego bezpieczeństwo.

- Będziesz tam pracował jak prywatny detektyw. Po omacku. Poza tym nawet nie wiesz, czego szukać.

- Może. Ale czymkolwiek jest „Genesis”, to wciąż znajduje się w Niemczech.

- Skąd to wiesz?

- Bo gdyby tak nie było, to Tom i Kay żyliby dzisiaj.

## 30.

John Nolan wypił łyk maślanki i skrzywił się.

- Wszystko, co masz, to grupę ludzi powiązanych luźno seksem i kokainą.

- I „Genesis” - dodał Barney.

- W porządku. Więc trzydzieści trzy lata temu Tom Neeley eskortował do Anglików konwój tajnych niemieckich dokumentów. Co to, do diabła, ma wspólnego z naszą sprawą? Posłuchaj. Pozwoliłem ci prowadzić to śledztwo, i to mimo dużych nacisków. Staralem się pomóc ci, Barney.

- Wiem, John.

- Co ty wiesz? - machnął ręką z niesmakiem. - Nie masz zielonego pojęcia, co ja tu przeżywam. Prasa ukrzyżowała Neeleya i cały wydział. Były policjant zamieszany po uszy w narkotyki i prostytutkę. Jego eks-zona torturowana i zabita. Maldonado ginie od bomby. Komisarz spadł na mnie jak sęp. „W jaki sposób mamy bronić dobrego imienia Wydziału?” I co ja na to mam odpowiedzieć?

- Możesz mu powiedzieć, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z seksem i kokainą.

- To tylko pieprzona teoria! - krzyknął Nolan. - Ta sprawa jest oczywista: skorumpowany policjant handlujący kokainą, dziwki na telefon, cwany mafioso i narwany agent rozrywkowy. Dzięki temu gazety będą się lepiej sprzedawać i więcej ludzi zacznie oglądać dziennik. W Wydziale każdy dzień jest teraz piekłem. Poza tym ta zdzira z telewizji wie, że przedtem prowadziłeś sprawę policyjnych zabójstw i wiąże z nimi śmierć Neeleya. Tak więc te brudy też zostały wyciągnięte. Potrzebujemy podejrzanego, a ty chcesz jechać do Niemiec, żeby szukać jakiegoś mitycznego „Genesis”. To wszystko nie trzyma się kupy, Barney. Nic nie masz!

Nolan wrócił za biurko i napił się maślanki.

- Nie mam dowodów - powiedział cierpliwie Barney - ale mogę podać kilka faktów, których nie da się wyjaśnić. Kilka pytań, na które brak odpowiedzi. Pytań, które, według mnie, eliminują powiązania z narkotykami. Pytań, które dowodzą, że Tom był na tropie czegoś tak cennego i niebezpiecznego, że spowodowało to śmierć czworga ludzi w ciągu niespełna dwóch tygodni.

- Jakich czworga?

- Neeleyowie, Maldonado i ten facet na plaży.

- Chcesz powiedzieć, że Maldonado i tamten na plaży mają coś wspólnego z tym „Genesis”?

- Maldonado mógł nie wiedzieć wszystkiego, ale na pewno w tym siedział. Tak samo ten Kolumbijczyk, którego załatwiłem.

- Ten facet był znanym przemytnikiem kokainy.

- Między innymi - odparł Barney.

Nolan usiadł i dopił maślanekę.

- Posłuchaj, Barney. Wiem, że chodzi ci po głowie teoria o udziale w tej sprawie ludzi interesu. Może masz rację, ale to jest domena polityki międzynarodowej. Nie mogę powiązać faktów z twoją teorią. Wiem, że ty i Louis podeszliście do sprawy fachowo. Niczego nie przegapiliście. Sprawdziliście wszystkie ślady, niektóre z nich fałszywe. Ale nie mogę podjąć decyzji o wysłaniu cię do Niemiec na podstawie tego co mi powiedziałeś.

- Nie zgadzam się z tobą. Myślę, że mamy wystarczająco dużo, żeby pójść z tym do komisarza. Pozwól, że ci przedstawię swoje racje. Tak samo, jak zrobię to przed komisarzem.

Nolan wziął do ręki długie, ciemne cygaro i odgryzł koniec.

- Dobra.

- Zacznijmy od Toma, wystawionego zabójcom przez jakąś kobietę. Prawdopodobnie nie jest Amerykanką i prawdopodobnie zajmuje się przemytem kokainy. Na pewno była kimś, kogo Neeley znał i komu ufał. Znajdujemy lalkę voodoo i kokainę. Typowy mafijny sposób rozprawienia się z oszukującym handlarzem. Zbyt typowy. Dowiadujemy się, że Tom był w Niemczech. Znajdujemy u niego kartkę ze słowami „Obermann” i „Genesis”. Na tydzień przed śmiercią mówi jakiejś skośnookiej kurewce, że „Genesis” to duża sprawa. Kay Neeley bała się powiedzieć mi, że towarzyszyła Tomowi do Niemiec. Dlaczego? Kay Neeley pojechała na Haiti. Lalka voodoo pochodzi z Haiti. Na Haiti przebywa Frank Tedesco. Kay jest torturowana i zostaje zabita przez dwóch obcych morderców. Dlaczego? Świętej pamięci mafioso, Victor Maldonado, zaopatruje Neeleya w kokainę i jest prezesem Seneki, gdzie jakimś trafem pojawiają się nazwiska Clementsa i Tedesco. Clements poznaje Toma z Adamem Steiffelem, który zatrudnia go jako kuriera. Tom przewozi łapówki dla jakiegoś Araba w Rzymie nazwiskiem Yussuf Kaladi. Steffel siedzi w przemyśle naftowym.

Barney podszedł do biurka Nolana.

- Tom wypytuje Paula Isellę o paliwo do samochodów wyścigowych. Dlaczego?

- A skąd, do diabła, ja mam wiedzieć?

- Czyż nie jest prawdopodobne, że „Genesis” to hitlerowski kryptonim jakiegoś

niekonwencjonalnego źródła energii wynalezionego przez Niemców?

- I Neeley wpadł na to po raz drugi trzydzieści trzy lata później?

- Tak.

Barney oparł dłonie na blacie biurka i spojrzał w zmęczone oczy Nolana.

- Czy masz pojęcie, ile to by było warte? - zapytał. - Czy wiesz, jaki wpływ nowe źródło energii miałyby na geopolityczną strukturę świata? Cokolwiek Tom Neeley odkrył, stanowi to dla kogoś cholerne zagrożenie.

Barney podszedł do okna i zapalił cygaretkę. Nolan usiadł wygodniej i spojrzał w sufit. W zamyśleniu pociągnął cygaro. Zapanowała cisza przerywana tylko przytłumionymi dzwonekami telefonów w sekretariacie.

- No i co ty na to? - zapytał Barney, odwracając się od okna.

- Myślę.

- Co masz do stracenia, John?

- Moją emeryturę.

- No dobrze. Rozpatrzmy moją prośbę z czysto politycznego punktu widzenia. Jeśli się mylę i niczego nie znajdę w Niemczech, to stracimy tylko mój czas i trochę pieniędzy. A kiedy ja będę tam, to Louis dalej może pracować nad tutejszymi podejrzanymi. Ale jeżeli mam rację i potrafię udowodnić, że Tom został zabity z powodów nie mających nic wspólnego z jego dawniejszą działalnością w policji, to Wydział będzie miał chwilę oddechu. Wszyscy będą oczyszczeni z zarzutów. I czy ci się to podoba, czy nie, to nie uda się tego osiągnąć w żaden inny sposób.

Nolan wpatrywał się przez chwilę w Barneya, po czym wstał, podszedł do małej lodówki wbudowanej w ścianę i nalał sobie maślanki.

- Chodźmy do komisarza - powiedział, opróżniając szklanę jednym haustem.

\*

Francis X. Lambert był uważany za swego rodzaju intelektualistę, a jego biuro bardziej przypominało gabinet sędziego niż biuro komisarza policji. Wszystkie meble były eleganckie i kosztowne, ale nie rzucające się w oczy. Wszędzie pachniało skórą. Ściany zastawiały półki z książkami prawniczymi i dziełami poświęconymi największym strategom wojskowym, poczynając od Aleksandra Wielkiego, przez Mao, Rommla, Pattona, MacArthura, aż do Giapa i Dajana.

Zdążyli opróżnić większą część butelki whisky, zanim Barney podsumował sprawę. Czynił to powoli, nie opuszczając żadnego szczegółu. Skrupulatnie przeanalizował wszystkie jej aspekty. Komisarz ani razu nie przerwał, o nic nie zapytał, a jego twarz nie zdradzała

żadnych emocji. Słuchał z uprzejmą uwagą, jak profesor swojego studenta.

Barney zakończył stwierdzeniem, że wszelkie powiązania wskazywały na istnienie czegoś w rodzaju „legalnej konspiracji”. Komisarz skinął głową i Barney zamilkł.

Nolan przez cały czas nie powiedział ani słowa, tylko nerwowo przeżuwał zgasłe cygaro. Barney usiadł wygodniej w fotelu i czekał.

Komisarz zaczął stukać palcami w blat biurka. Po dłuższej chwili odchrząknął.

- Nie przedstawił pan żadnego dowodu związku tej sprawy z Niemcami. Co prawda w każdym skomplikowanym dochodzeniu pojawiają się okoliczności wymagające wyjaśnienia. Ale wysyłanie pana do Niemiec bez żadnych uprawnień i bez jasno określonego celu wydaje się ryzykiem przewyższającym ewentualne korzyści.

Nolan spojrzał na Barneya i spostrzegł u niego oznaki narastającego gniewu. Blizna na policzku zaczęła stawać się bardziej czerwona. Nastąpiła chwila ciszy i Barney wstał.

- Dobrze. Mogłem zrezygnować z pracy w CIA i mogę zrezygnować z tej sprawy.

Komisarz spojrzał w jego pełne gniewu brązowe oczy.

- Proszę usiąść, poruczniku - rozkazał spokojnym tonem.

Barney powoli usiadł w głębokim, skórzanym fotelu, a palce komisarza znowu zaczęły wystukiwać jakiś rytm na blacie.

- Powiedziałem, że ryzyko zdaje się przewyższać korzyści. Chodzi o to przecucie, że rozwiązanie tej sprawy leży gdzieś w Niemczech. Kiedy stało się to dla pana jasne?

- Od samego początku - odparł Barney bez chwili wahania. - Od tamtej niedzieli w domu Neeleya. Kiedy znalazłem mapy drogowe Niemiec i rachunki hotelowe, przewodnik Michelina po Berlinie Zachodnim, karteczkę ze słowami „Genesis” i „Obermann” oraz zdjęcia pornograficzne z Hamburga. Zabójstwo Kay Neeley tylko potwierdziło moje przecucia. Przecucia, że odpowiedź leży w przeszłości Toma, że oboje zostali zabici z powodu czegoś dużo bardziej cennego i ważnego niż handel narkotykami. A teraz jeszcze dowiedziałem się, że Tom Neeley dowodził konwojem przewożącym tajne dokumenty niemieckie o kryptonimie „Genesis”.

- A Obermann? - zapytał komisarz.

- Nie wiem, ale przypuszczam, że Obermann to nazwisko Niemca, z którym Neeley się skontaktował.

Komisarz wpatrywał się w Barneya przez dłuższą chwilę, po czym wstał i powoli podszedł do ściany. Nolan czuł zbierające się w jego jelitach gazy. Chciał sobie pofolgować, ale powstrzymał się siłą woli. Coraz bardziej bolał go brzuch. Żałował, że w ogóle tu przyszedł. Modlił się, żeby ten przystojny, siwiejący mężczyzna zdecydował coś i pozwolił

im odejść. Barney obserwował spokojnie komisarza. Zrobił wszystko, co było w jego mocy. Niczego więcej nie mógł dodać.

Komisarz odwrócił się do Nolana. Ten, ponaglany bólem i zdenerwowaniem, postanowił zakończyć sprawę.

- Przykro mi, że zabraliśmy ci tyle czasu, Francis, ale biorąc pod uwagę ostrzał, pod jakim znajduje się Wydział, pomyślałem... to znaczy stwierdziłem, że skoro utrzymujemy tę sprawę w tajemnicy, to ty powinieneś podjąć decyzję. Czułem, że muszę przyjść do ciebie.

- Nie mogłeś zrobić nic innego. Doceniam to.

Nolan wyraźnie odprężył się, ale nic nie powiedział.

- Podobno ma pan kontakty z niemiecką policją - komisarz zwrócił się do Barneya.

- Tak. Prefektem policji w Berlinie Zachodnim jest Hans Lehmanns. Jestem pewien, że mając odpowiednią podkładkę z Wydziału, zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby mi pomóc.

- Nie na wiele może się to przydać.

- Wiem.

- Będzie pan działał samotnie.

- Nie po raz pierwszy.

Komisarz przytaknął ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy i utkwiał swoje szare oczy w twarzy Barneya.

- Proszę jechać. Jak najszybciej - ton jego głosu dalej był łagodny, ale sposób wypowiedzi uczynił z niej rozkaz.

- Chcę, żeby koszty biletów i wszelkie wydatki pokrył Wydział Operacyjny - zwrócił się do Nolana. - Proszę kontaktować się z nami przez sierżanta Yosutę. Dzwonić tylko z bezpiecznego telefonu. Ograniczyć kontakt do minimum. Proszę przestrzegać tamtejszych praw. Ma pan działać według ich zasad. Zrozumiano? - powiedział na koniec do Barneya.

- Tak jest.

- Jeszcze jedno, Barney. Jeżeli ma pan rację, jeżeli „Genesis” rzeczywiście dotyczy nowych źródeł energii, to wie pan lepiej niż ja, że o im większą stawkę idzie gra, tym bardziej wzrasta ryzyko.

- Rozumiem - odparł Barney.

Komisarz położył swoje wypielęgnowane dłonie na biurku.

- To wszystko, panowie. Powodzenia.

Barney podziękował mu i wyszedł w ślad za Nolanem. Przez dłuższy czas komisarz patrzył na ich oddalające się sylwetki.

# CZEŚĆ II

## GENESIS

### 31.

Olbrzymi *Boeing 747* wylądował gładko na lotnisku we Frankfurcie z ledwie dwuminutowym opóźnieniem. Droga z samolotu wiodła, zdawałoby się, nie mającymi końca korytarzami. Barney szedł kierując się znakami z napisem „Tranzytowe loty krajowe”. Płócienna torba, którą niósł na ramieniu, wydawała się cięższa niż przed szesnastoma godzinami w Los Angeles. Był zmęczony i nieco oszołomiony podróżą. Wszystko było jakby wyrwane z rzeczywistości, a niekończące się korytarze wydawały się nierealne.

Mijał biało-niebieskie neony zachwalające uroki Frankfurtu: hotele, restauracje, piwiarnie, winiarnie i spelunki porno zapewniające wszelkie uciechy. Reklamy tych ostatnich były po angielsku, francusku i arabsku. Użycie języka arabskiego dawało ostateczne świadectwo rosnącej roli islamu.

Z niewidocznych głośników dobiegał gardłowy, uwodzicielski damski głos. Anonsował odlot samolotu Lufthansy do Tel Avivu. Wiadomość została powtórzona po angielsku. Głos dziewczyny brzmiał niezwykle zmysłowo i przypominał głosy na innych lotniskach, na których bywał, tak jakby gdzieś istniała centrala obsługująca całą Europę i korzystała z usług jednej spikerki. Głos zapowiedział następnie lot Iberii do Ibizy i jeszcze raz wezwał pasażerów do Tel-Awiv. Barney przypomniał sobie izraelskiego pułkownika Zvi Barzaniego. Człowieka, który dawno temu w Madrycie przekazał mu informacje na temat radzieckich systemów rakietowych.

Olbrzymi terminal nie był zbyt zatłoczony, ale mimo to, wszędzie widać było patrole młodych Niemców w mundurach, uzbrojonych w broń automatyczną. Barney prawie zapomniał o strachu jaki opanował Niemcy od czasu masakry na olimpiadzie w Monachium.

Wokół wyjścia numer 35 kłębił się tłum. Ci, którzy już przeszli odprawę, siedzieli na plastikowych, kolorowych krzeselkach za stanowiskami odpraw. Pozostali pasażerowie stali w kolejce. Barney zajął sobie miejsce. Stojąca przed nim kobieta odwróciła się i skrzywiła na

widok cygaretki w jego ustach, ale nic nie powiedziała. Małe dziecko nagle zwymiotowało na buty starszego Japończyka, który leciał razem z Barneyem. Matka dziecka zaczęła przeproszać po niemiecku. Japończyk tylko uklonił się i uśmiechnął. Dawni sojusznicy nadal żyli ze sobą w zgodzie.

Kontrola bezpieczeństwa przed wejściem na pokład samolotu była dokładna, włącznie z rewizją osobistą. Pasażerowie z aparatami fotograficznymi zostali poproszeni o zabezpieczenie ich i każda sztuka bagażu została prześwietlona i dokładnie przejrzana. Dbalność o szczegóły i profesjonalizm agentów bezpieczeństwa wywarły na Barneyu duże wrażenie. Pomyślał, że agenci na amerykańskich lotniskach mogliby się dużo od nich nauczyć.

Lot Pan-Amu odbywał się małym *Boeingiem 727*, który wystartował co do minuty. Lecieli powietrznym korytarzem dokładnie wytyczonym przez władze Niemiec Wschodnich i ich radzieckich panów. Barney pomyślał o innych ludziach, którzy latali nad tym samym terytorium czterdzieści lat temu. Ludziach, którzy jednym przyciśnięciem guzika zrzucali ze swoich Latających Fortec tony bomb, które zrównały niemieckie miasta z ziemią. Ludziach jak jego ojciec. Ludziach, którzy walczyli i ginęli na tym samym niebie, nad tym samym, przesiąkniętym krwią krajem.

\*

Wylądowali na lotnisku Tegel we francuskiej części miasta. Terminal był niewielki i prawie zupełnie pusty. Bagaż pojawił się szybko. Barney wziął walizkę i przeszedł przez kontrolę celną bez zatrzymywania się. Wyszedł na zewnątrz i postawił kołnierz płaszcza. Było słonecznie, ale chłodno. Zmrużył oczy przed jasnym światłem i usłyszał, jak ktoś woła go po nazwisku. Odwrócił się i zobaczył uśmiechniętą twarz Hansa Lehmana.

Lehman uściśnął mu rękę i skinął na czarnego Mercedesa, który natychmiast do nich podjechał. Wsiadł z niego kierowca, a Lehman powiedział do niego coś po niemiecku. Mężczyzna przytaknął i włożył walizkę Barneya do bagażnika.

- Jak podróż?

- Jaka podróż? - odparł z uśmiechem Barney.

- Wsiadaj. Musisz być zmęczony.

Barney dotknął rękawa Lehmana.

- Zanim ruszymy, chciałbym ci podziękować, Hans.

- Na moim miejscu zrobiłbyś to samo.

Barney zauważył, że utkwione w jego twarzy szare oczy wyglądały dużo starzej, niż je zapamiętał, a na łagodnej twarzy pojawiły się zmarszczki. Domyślał się, że każdy wyższy



urzędnik policji w Niemczech musiał przejść przez piekło od czasu Monachium i aktów terroru grupy Baader-Meinhof. Samochód ruszył dostojnie i wjechał na dwupasmową autostradę. Lehmans wyjął paczkę Marlboro. Barney odmówił.

- Rzuciłeś palenie?

- Nie. Wypalam dziennie dziesięć cygaretek.

- Czyżby były mniej szkodliwe?

- Nie. Trudniej się od nich uzależnić.

- Zrobiłem, jak chciałeś i zarezerwowałem ci miejsce w hotelu „Kempinski”.

- Świetnie.

- I tak, i nie. To dobry hotel, ale niewiarygodnie drogi. W Niemczech nie kupisz teraz zbyt dużo za dolara - dodał Lehmans.

- Wiem o tym.

- Może powinieneś zamieszkać gdzieś prywatnie?

- W żadnym wypadku. Skoro mógł tu mieszkać przekupny glina, to może też uczciwy.

Lehmans spojrzał na niego zdziwiony. Barney zorientował się, że popełnił błąd. To przez zmęczenie. Pogwałcił starą zasadę. Nigdy nie należało mówić o przekupnych glinach. Po prostu nie istnieli wśród policyjnego bractwa.

- Właściwie nie o to chodzi - powiedział, próbując naprawić swoją niezręczność. - Sprawi mi przyjemność naciągnięcie mojego szefa. Powiedział, żebym się nie martwił i korzystał z jego kredytu. To nie zdarza się zbyt często.

Lehmans przytaknął, ale zachował milczenie. Barney spojrzał przez okno. Dojeżdżali do małego mostu, łączącego brzegi jeziora. Po wodzie pływały żaglówki, a na trawiastych brzegach opalali się ludzie. Lehmans dotknął rękawa Barneya.

- Wiesz, że pod koniec wojny pomagałem w obronie tego mostu? - jego głos brzmiał smutno i staro. - Miałem wtedy piętnaście lat. Byliśmy dziećmi, próbowaliśmy utrzymać go i czekaliśmy na dwunastą armię Wencka, która nigdy nie nadeszła.

- Chcesz powiedzieć, że broniłeś tego mostu?

- Tak.

Lehmans westchnął i wyrzucił papierosa przez okno.

- Oczywiście, most został odbudowany. Ten stary zniszczyliśmy. Wyszliśmy go w ostatniej chwili. Pociski z radzieckich czołgów T-34 wybuchały wokół nas. Byłem jednym z pięciu, którzy ocalili z ponad dwustu. Cała okolica została obrócona w perzynę. Tak jak i cały Berlin. Wszystko tu było morzem ruin.

Dwupasmowa autostrada zmieniała się w sześciopasmówkę. Minęli olbrzymie zakłady

Siemensa i stadion piłkarski. Wielkie tablice wskazywały drogę do Spandau, Moabit i Charlottenburga. Skierowali się w stronę Charlottenburga. Po obu stronach autostrady rozciągały się olbrzymie osiedla. Wyglądały jak wielkie klocki ze szkła i cementu, ułożone jedno na drugim. Pomiedzy nimi widać było wciśnięte domki z dachami pokrytymi czerwoną dachówką. Jawiły się jak coś zupełnie obcego wśród otaczających ich olbrzymich betonowych konstrukcji.

- Oryginalne? - zapytał wskazując je.

- Tak - odparł Lehmans. - Gdziekolwiek można je jeszcze spotkać. Przedwojenne budynki w Berlinie stały się niemal zabytkami.

Samochód jechał cicho, mijając przedmieścia wielkiego miasta. Barney był zbyt zmęczony, aby rozmawiać, a Lehmans zdawał się intensywnie nad czymś myśleć. Przejechali przez Kaiserdamm-Bismarckstrasse, skręcili w Kurfürstendamm i wjechali do centrum.

- Rozmawiałem z dyrektorem hotelu, Helmutem Bergenem - powiedział Lehmans. - Rano udostępni nam dokumenty dotyczące pobytu Neeleya. Zastrzegł sobie tylko, że chce być obecny, kiedy będziemy je przeglądać.

- A co z Obermannem?

- Nie wiemy, kim on jest i czy w ogóle istnieje, ani też w jakim mieście go szukać. To dość popularne nazwisko. Możemy mieć tylko nadzieję, że znajdziemy jakiś ślad w dokumentach hotelowych.

- Dlaczego dopiero jutro?

- Musimy dać dyrektorowi czas na zebranie informacji, a poza tym uważam, że powinieneś się nieco przespać. Przynajmniej do piątej lub szóstej po południu. Potem idź do sauny. To dobre dla systemu nerwowego. Bergen przyjdzie później. Będziesz mógł go wtedy poznać. Naprzeciw hotelu jest dobra i niedroga restauracja. Postaraj się pójść do łóżka dopiero koło dziesiątej naszego czasu. W ten sposób szybciej przestawisz się. Będę w holu o dziewiątej rano. Wtedy zaczniemy.

Barney poczuł ulgę. Miał nadzieję, że Lehmans właśnie to zaproponuje. Jego propozycja rozpoczęcia pracy jeszcze tego dnia wynikała tylko z zawodowej grzeczności.

Kiedy wjechali na szeroki bulwar, Barney zauważył ruiny kościoła cesarza Wilhelma. Rząd zachodniemiecki pozostawił średniowieczny kościół w stanie, w jakim znalazł się po wojnie. Miał przypominać berlińczykom zniszczenia, które nastąpiły prawie cztery dziesiątki lat temu. Obok stał nowy elegancki, marmurowy kościół. Wokół rozciągała się betonowa płaszczyzna. Pamiątka tego, co było. Spojrzawszy w kierunku wschodnim Barney zobaczył olbrzymią igłę, która zdawała się mieć ponad trzysta metrów wysokości. W wielkiej kuli pod

szczytem odbijało się słońce, tworząc doskonały w kształcie krzyż.

- Co to jest?

- To wieża telewizyjna we wschodnim Berlinie. Trzysta sześćdziesiąt metrów wysokości, z obracającą się restauracją na szczycie. Symbol komunistycznego postępu technicznego.

- Trochę im nie wyszło - zauważył Barney. - Szczególnie ten krzyż na górze.

- Tak. Dziwne zjawisko. Jak dotąd nie udało im się zapanować nad słońcem.

Minęli zbudowane ze stali i szkła centrum handlowe, nad którym dominował olbrzymi biurowiec z wielkim napisem na ścianie „EUROPA CENTER”. Na szczycie wieżowca obracał się powoli emblemat firmy Mercedes-Benz.

- Teraz jesteśmy na berlińskim Times Square - powiedział Lehman.

Barneyowi wydało się to dobrym porównaniem. Po obu stronach Kurfürstendamm widniały podejrzane spelunki i reklamy kin porno. Uliczni sprzedawcy, wyglądający na Arabów, pilnowali swoich straganów. Dominowały kolory pomarańczowy i niebieski. Na rogu Meineckestrasse stała piętnastometrowej wysokości tablica, na której namalowane były nagie plecy i tyłek jakiejś blondynki. Umieszczony poniżej napis głosił: „Blue Movie”. Pod tablicą błyskające pomarańczowe i niebieskie żarówki zapraszały do „Café der Western”. Na przeciwległym rogu stała tablica z uśmiechniętą twarzą Seana Connery’ego. W prawej dłoni trzymał pistolet. Na skos biegły cyfry 007. Obok Connery’ego wisiał mniejszy, zniszczony plakat reklamujący ostatni film włoskiego reżysera Pasoliniego.

Barney zauważył dwupiętrowy budynek z czerwonej cegły, pokryty czerwoną dachówką, z wąskimi prostokątnymi oknami, które wskazywały na jego przedwojenne pochodzenie. Nad wejściem widniał napis „Kabarett”. Stanowił absurdalną pamiątkę po Brechcie, Weilu, Mannie i reszcie z przednazistowskiego Berlina. W jego ocaleniu nie było żadnego uroku. Napis przypominał, że neony sklepów porno, wózki z napojami i stragany arabskich handlarzy stoją na olbrzymim cmentarzysku. Barney wyobraził sobie niewidoczną obecność milionów zmarłych, wrzeszczących pod płytami chodnika. Ale to wszystko zaczęło zacierać się w jego umyśle. Zgubił osiemnaście godzin. Ledwo miał siłę skinąć głową, słysząc słowa Lehmana.

- Wiem, że trudno uwierzyć, iż była to kiedyś berlińska Piąta Aleja.

Dojechali do rogu Fasanenstrasse, zostawiając wściekle kolory za sobą, tak jakby przekroczyli niewidzialną granicę. Pozostała część Kurfürstendamm była zabudowana statecznymi kamienicami odbudowanymi w ich przedwojennym stylu. Mercedes skręcił w prawo, w Fasanenstrasse, którą prawie w całości zajmował hotel „Kempinski”.

Hol „Kempinskiego” był duży i nisko sklepiony. Wystrój wnętrza oscylował pomiędzy elegancją Ludwika XVI i nowoczesnością ery kosmicznej. Wyglądało to, jakby dekorator nie mógł się zdecydować, w którym stuleciu pracował.

Procedura zameldowania się przebiegła sprawnie i bez problemów. Barney pożegnał się z Lehmansem, jeszcze raz mu dziękując. Dostał pokój na czwartym piętrze, z oknami wychodzącymi na Fasanenstrasse. Apartament był duży, z ogromnym łóżem i olbrzymią łazienką. W kącie stała mała lodówka, w której znalazł wodę mineralną i szeroki wybór trunków. Dał chłopcu hotelowemu cztery marki napiwku, co stanowiło równowartość dwóch dolarów. Chłopiec podziękował i wyszedł. Barney zadzwonił do centrali i poprosił o zbudzenie go za pięć godzin. Nie zaprzętał sobie głowy rozpakowaniem walizki. Rozebrał się, zaciągnął zasłony i wsunął się w białą pościel. Było dziesięć po dwunastej berlińskiego czasu, kiedy zapadł w głęboki sen.

## 32.

W tym momencie w Rzymie było o godzinę później i o dwadzieścia pięć stopni cieplej. Dziewczyna schodziła powoli pięknymi marmurowymi Schodami Hiszpańskimi. Ostrożnie stawiała kroki, wymijając turystów i nie zwracając uwagi na wulgarne zaczepki Włochów siedzących na stopniach. Oczy zasłaniały jej duże niebieskie okulary słoneczne. Ciemne włosy, piękne rysy twarzy i smukła, zaokrąglona figura powodowały, że wielu mężczyzn oglądało się za nią. Miała na sobie czarną, płócienną spódnicę i taką samą bluzkę, a na ramieniu skórzaną torbę. Przyleciała na lotnisko Fiumicino w Rzymie prosto z Paryża. Była zmęczona. Upał zaczął dawać jej się we znaki, a dwieście tysięcy dolarów we frankach szwajcarskich, ukrytych w pasie na pieniądze, obcierało biodra, a po udach spływały jej strużki potu.

Nie znosiła roli kurierki i czuła głęboką niechęć do Yussufa Kaladiego, saudyjskiego pośrednika, który czekał na pieniądze.

Problemy seksualne, których ostatnio doświadczyła z Raoulem, nie skończyły się. Wręcz przeciwnie. Jeszcze bardziej się nasiliły. Nie czuła już pożądania. Dwie noce temu, w jej paryskim mieszkaniu, zerwała się z łóżka, krzycząc z przerażenia pod wpływem sennego koszmaru. Obrazy ze snu były niezwykle wyraziste. Widok krwi wypływającej z ust Toma Neeleya w jakiś sposób nałożył się na obraz nic nie widzących oczu Irakijczyka, którego przed pięcioma laty zastrzelili w Soho. Wykrzywione twarze ich ofiar odżywały nocą. Będzie

musiała porozmawiać z Yassirem. Nadal będzie służyła sprawie. Tak. Zawsze. Ale nie w oddziałach bojowych. Nigdy więcej. Może w sekcji propagandy. Propaganda była niezwykle istotna. Zaczynali wygrywać wojnę propagandową. Pieniądze z ropy dały im kontrolę nad głównymi zachodnimi gazetami i rozgłośniami. Sam Yassir powiedział, że kiedy osiągną zwycięstwo propagandowe, to będą mogli rozpocząć prawdziwą wojnę. Raz na zawsze wyeliminują syjonistyczne państwo. Tak, sekcja propagandy jest ważna, a ona była odpowiednią kandydatką. Znała przecież sześć języków.

A co jeśli odmówią? W ostateczności mogła zajmować się dziećmi w obozie dla uchodźców niedaleko Sydonu lub pomagać partyzantom w Mozambiku czy w Angoli, a nawet nowo powstającemu ruchowi w Meksyku. Miała wiele możliwości. To będzie jej ostatnia akcja.

Zbiegający po schodach krępy mężczyzna potrącił ją i skłęła go po niemiecku. Nie doczekała się odpowiedzi.

Ogarnęła ją fala depresji. Co będzie, jeżeli Yassir nie zgodzi się spełnić jej prośby? Co może z tego wyniknąć? Pomimo ciepła zadygotała. Dobrze wiedziała, do czego są zdolni. Byli już tacy, którzy odmawiali wykonania zadania. Pamiętała słowa Carlosa: „Gówno jest gęstsze od krwi. Zróbcie z nich gówno”. Wyprostowała ramiona i spróbowała zrationalizować swój strach. Nie mogą jej zlikwidować. Była zbyt ważną osobą. Sam fakt, że pochodziła z zachodniej Europy, czynił ją cenniejszą od wielu innych. Nie licząc jej ogromnego zaangażowania i pasma sukcesów.

Jako jednej z nielicznych udało jej się przeniknąć do izraelskiego wywiadu. Przybyła do Hajfy na statku wycieczkowym, legitymując się francuskim paszportem, w towarzystwie ich towarzysza z Włoch, udającego jej męża. Podczas czterech dni pobytu w mieście zrobili zdjęcia olbrzymiej rafinerii i kluczowych instalacji portu. Tak, Hajfa była wyjątkowym sukcesem. Ale to było jeszcze przed zabójstwami. Zanim ich ruch został opanowany przez teoretyków, tych bywalców nocnych klubów, którzy wysyłali innych na śmierć.

Dziewczyna przeszła przez ruchliwą Piazza di Spagna i weszła w Via Condotti. Szła lewą stroną ekskluzywnej ulicy. Stroną ocienioną. Przypomniała sobie powrót z Hajfy. Sam Yassir przywitał ją na przystani w Marsylii. Uczcili to w Mistralu, ekspresie z Marsylii do Paryża. W luksusowym wagonie restauracyjnym pili wytrawnego Moeta, oglądając francuskie widoki, kiedy nagle przypomniała sobie grupkę izraelskich dzieci bawiących się w parku. Dzieci były w wieku pięciu, ośmiu lat. Niewinne. I takie piękne. Czy mogły być wrogami? To pytanie zrujnowało jej uczucie tryumfu. Stukając się kieliszkami z Yassirem, przed oczami miała twarze izraelskich dzieci. Czy zdjęcia Hajfy przyczynią się do ich

śmierci? Wtedy na to pytanie nie było odpowiedzi, a teraz przestało to już być pytaniem. Stało się oskarżeniem kierowanym do siebie samej. Tak jak później inne pytania.

Doszła do rogu, weszła do kawiarni i zamówiła mrożoną kawę. Uniosła okulary i zapaliła Gauloisa. Siedzący przy stoliku obok mężczyzna zaczął jej się przyglądać.

Czuła, jakby jego wzrok przenikał jej ubranie, docierając do pasa z pieniędzmi. Miała mokre uda i marzyła o zimnym prysznicu. Dokładnie o 12.35 przed kawiarnią stanął samochód marki Fiat. Zostawiła na kontuarze trzy tysiące lirów w monetach, wyszła i wsiadła do samochodu, siadając obok ciemnoskórego kierowcy.

Dojazd do willi Yussufa zajął im trzydzieści pięć minut. Skręcili z Via Pacifica i wjechali w alejkę, która kończyła się przed żelazną bramą. Na pięciometrowej wysokości murze zauważyła trzy miniaturowe kamery. Obracały się powoli, obserwując bramę ze wszystkich stron. Kierowca wyjął pilota, nacisnął guzik i brama otworzyła się. Ruszyli krętym podjazdem, który prowadził przez las wysokich sosen. Po około kilometrze podjazd zakręcił gwałtownie i pojawiła się piętrowa murowana willa. Pomyślała, że dom przypominał posiadłość Neeleya.

Fiat zatrzymał się przed wejściem. Jak spod ziemi pojawili się dwaj czarni mężczyźni, ubrani w ciemnobrązowe garnitury. Była zaskoczona kolorem ich skóry. Miała fioletowo-niebieski odcień. Ich jasnobrązowe oczy zadawały się pływać w czerwonym płynie. Mieli podobne rysy twarzy: płaskie nosy i wąskie, okrutne usta podkreślone wystającymi kośćmi policzkowymi. Domyślała się, że pochodzą z Sudanu, i to z tego samego szczepu. Sudańczycy byli ulubionymi goryłami szejków naftowych.

Wysiadła z samochodu i jeden z mężczyzn podszedł do niej. Jego towarzysz zajął się kierowcą. Sudańczyk polecił jej podnieść ręce. Przebiegł dłońmi po jej ciele, aż do ud. Przyklęknął i rozkazał podciągnąć spódnicę. Zrobiła to, odsłaniając parę różowych majteczek. Sudańczyk odpiął pas z pieniędzmi, wyprostował się i pozwolił jej opuścić ręce. Oddał pieniądze, wziął torebkę, dokładnie przejrzał jej zawartość i też ją oddał. Drugi goryl wraz z kierowcą zniknęli za narożnikiem budynku. Podążyła za Sudańczykiem w kierunku drzwi i zaczęła, podczas gdy goryl powiedział coś do mikrofonu umieszczonego obok drzwi, w dziwnym dialekcie arabskim. Po chwili rozległ się brzęczyk. Sudańczyk przekręcił klamkę w kształcie głowy lwa i otworzył olbrzymie dębowe drzwi.

Znalazła się w dużym westybulu, którego podłoga, ściany i sufit były wyłożone czarnymi i białymi płytkami marmuru. Spiralne schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowały się kolejne wysokie, dębowe drzwi. Afrykańczyk otworzył je. Salon był nowoczesny. Na marmurowej, biało-czarnej podłodze stały chromowane stoliki i skórzane,

czarne meble.

Przeciwległa ściana była ze szkła i poprzez beżowe firanki dziewczyna mogła zobaczyć otwarte patio z basenem o olimpijskich wymiarach. Sudańczyk wskazał jej sofę. Podeszła do niej i usiadła. Czarny mężczyzna stanął za nią. Na kolanach położyła sobie pas z pieniędzmi. W panującej ciszy zdawało jej się, że słyszy dobiegający od strony basenu dziewczęcy śmiech. Znowu zapanowała cisza, którą nagle przerwał wybuch wesołości i głos mówiący po arabsku. Dziewczyna zdążyła w porę się obrócić, żeby zobaczyć wchodzącego do salonu szejka Yussufa Kaladiego.

Był niewysokim mężczyzną o przyjacielskich, brązowych oczach, wydatnym nosie, czarnych włosach i starannie przystrzyżonej bródce. Miał na sobie dwurzędowy, perłowo-szary garnitur, błękitną koszulę i ciemnoniebieski krawat.

Obok niego stało dwóch starszych, brodatych mężczyzn ubranych w tradycyjne stroje arabskie. Spojrzeli na dziewczynę i powiedzieli coś do Kaladiego, który wybuchnął śmiechem i wyrzwał przez rozsuwane drzwi na patio.

Podszedł do dziewczyny, wziął ją za rękę, uklonił się, pocałował jej dłoń, po czym wyprostował się.

- Może szampana? - zapytał. Mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem.
- Wolałabym papierosa.
- Oczywiście. - Kaladi otworzył platynową papierošnicę z angielskimi papierosami.
- Dziękuję. - Wzięła jednego.

Kaladi nacisnął guziczek i z papierošnicy wyskoczył mały płomień. Zaciągnęła się głęboko.

Szejk podszedł szybkim krokiem do chromowanego stolika i przyniósł jej popielniczkę. Podziękowała, dmuchnęła mu w twarz dymem i podała pas z pieniędzmi. Kaladi wziął go, pstryknął na Sudańczyka, który zbliżył się i rozpoczął żmudne liczenie pieniędzy. Kaladi uśmiechnął się do niej.

- Bez wątpienia jesteś bardziej atrakcyjnym kurierem od poprzedniego.
- Ma pan ma myśli Neeleya. Tego Amerykanina.
- Tak. Amerykanina. Jego śmierć zasmuciła mnie. Polubiłem go.

Kaladi usiadł w fotelu niedaleko dziewczyny.

- Jemy obiad przy basenie. Może zechcesz się przyłączyć?
- O trzeciej wracam do Paryża.
- No cóż, może innym razem.

Siedzieli w milczeniu. Szejk podziwiał jej nadzwyczajną urodę, w taki sam sposób,

jakby oglądał cenne malowidło. Ale coś go zaniepokoiło. Jej oczy zbyt intensywnie się w niego wpatrywały. Z jej ust wydobywała się struzka dymu. Ani na chwilę nie odwróciła od niego wzroku. Nerwowo zmienił pozycję.

- Rozumiem, że Amerykanie są po naszej stronie w sprawie „Genesis”.

- Dlaczego? - zadała to pytanie, aby go zirytować.

- No, no, moja droga. Tedesco reprezentuje Amerykanów.

- Dlaczego? - powtórzyła.

Kaladi zaczął nerwowo przewracać kieszenie w poszukiwaniu platynowej papierošnicy. Jego niepokój sprawiał dziewczynie przyjemnořć. Ten elegancki Saudyjczyk latający prywatnym Jumbo-Jetem, pijący wyszukane wina, jedzący drogi kawior i pieprzacy angielskie panienki, napawał ją odrazą. Temu pasożytowi, zawodowemu alfonsowi sprawa, w którą wierzyła, była tak samo obojętna, jak tym palącym haszysz rewolucjonistom popisującym się swoją odwagą w nocnych klubach Bejrutu. Mogłaby go zabić bez zmruzenia oka. Pomyślała, jak okrutna i skomplikowana była sieć, w którą się uwikłała, skoro ten pirat, ta pijawka, był sprzymierzeńcem, a izraelskie dzieci bawiące się w parku były wrogami. Jak to może być słuszne! Jednak to jest słuszne, bo Saudyjczycy dawali pieniądze. Cel zawsze uświęca środki.

Kaladi nie mógł uruchomić zapalniczki. Uśmiechnęła się w duchu, widząc jego zdenerwowanie. Wreszcie pojawił się płomień i z jego nozdrzy popłynęły dwie smugi dymu.

- Zdajesz sobie sprawę, że niełatwo odpowiedzieć na takie pytanie - powiedział.

Nie mogła się powstrzymać.

- Dlaczego? - zapytała.

- Frank Tedesco jest Amerykaninem. Pracuje dla nich.

- Tedesco jest wygnańcem z własnego kraju - odparła chłodno.

- Domyślam się, że nie ufasz Amerykanom?

- Ufam tylko tym, którzy działają pod przymusem.

Kaladi zaczął dostrzegać w jej zimnym, intensywnym spojrzeniu nienawiść. Niepokój zmusił go do skierowania rozmowy na tematy, których nie planował.

- A jeśli znajdziemy formułę? - zapytał.

- Nie potrzebujemy żadnej formuły.

- Co do tego, moja droga, nie ma wątpliwości. Nasza ropa jest czysta i w sposób naturalny wypływa z piasków mojego kraju. Prezent od Allacha. Nie potrzebujemy chemicznych substytutów czy skomplikowanych formuł.

Czekał na odpowiedź, ale dziewczyna milczała, ani na chwilę nie odwracając oczu.



Zgasił papierosa.

- Rozumiem, że nie poszło najlepiej w Kalifornii.

- To pytanie powinien pan zadać towarzyszowi Tedesco.

- Zrobiłem to - odparł. - Tedesco poinformował mnie, że zginęło już pięć osób: Neeleyowie, jeszcze jeden Amerykanin i dwóch naszych ludzi. Powiedział mi jeszcze, że amerykański detektyw jest w drodze do Berlina w celu zbadania sprawy Obermanna.

- Nic nie wiem o Obermannie ani o żadnym detektywie.

Sudańczyk skończył liczenie pieniędzy i szepnął coś po arabsku. Kaladi skinął głową i mężczyzna włożył pieniądze do skórzanej torby i wyszedł.

- Jesteś pewna, że nie chcesz szampana?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, szklane drzwi prowadzące do patio rozsunęły się gwałtownie. Stała w nich niezwykle wysoka naga dziewczyna z długimi rudymi włosami. Trzymała w ręku butelkę i najwyraźniej była pijana. Zachichotała i spojrzała na Kaladiego.

- Yussuf! Yussuf! Ty mały popieprzeńcu! Kiedy wreszcie przyjdiesz? - krzyknęła.

Kiedy zobaczyła siedzącą na kanapie dziewczynę, z jej twarzy zniknął uśmiech. Kaladi spojrzał na nią z wściekłością i wstał.

- Nie denerwuj się - starała się go uspokoić. - Nie wiedziałam, że załatwiasz jakies - tu zawiesiła głos - sprawy.

Odwróciła się i wyszła zamykając z hukiem drzwi.

- Proszę mi wybaczyć. Te... Te dziewczyny są dla panów z Syrii. Muszę czasami zapewniać moim kolegom pewne rozrywki. To jest odrażające, ale konieczne - usprawiedliwił się.

- Byłabym wdzięczna, gdyby pański kierowca odwiózł mnie na lotnisko.

- Oczywiście. Zaraz wydám polecenie.

Podszedł szybko do drzwi i otworzył je przed nią. Natychmiast pojawili się dwaj Sudańczycy. Kaladi powiedział coś do tego, który liczył pieniądze. Mężczyzna skinął głową.

- Samochód już czeka.

Sudańczyk otworzył drzwi frontowe i do ciemnego portyku wpadł pojedynczy promień słońca, oświetlając białą-czarną mozaikę. Kaladi dotknął jej ramienia.

- Kto przywiezie następną przesyłkę?

- Tedesco nie powiedział panu?

- Nie.

- To będzie Amerykanin. Clements.

Dziewczyna wyszła z chłodnego cienia wprost w gorące rzymskie słońce.

## 33.

Barney obudził się, jeszcze zanim rozległ się telefon z recepcji. Spojrzał na zegarek stojący na stoliku. Wskazywał 5.23 po południu. Spał pięć i pół godziny.

Wszedł do dużej łazienki i wziął długi prysznic, odkręcając na przemian ciepłą i zimną wodę. Następnie ogolił się i połknął dwie witaminy C. Czuł się wypoczęty, ale dokuczał mu lekki ból w karku i ramionach, który stopniowo rozszerzał się na całe plecy. Pozostałość po długim locie.

Wyszedł z łazienki i pod wpływem impulsu postanowił zrobić kilka pompek. Doszedł do piętnastu, po czym padł na dywan. Potrząsnął głową i przypomniał sobie, że nie dotrzymał danego sobie słowa, że będzie dbał o formę. Rozpakował się i powiesił w szafie spodnie, marynarkę, pozostawiając koszule, bieliznę i skarpetki w walizce. Włożył beżowe spodnie, ciemnoniebieski golf i zamszową marynarkę. Zamknął drzwi i upewnił się, czy zamek zaskoczył. Stwierdziwszy, że tak, ruszył długim korytarzem w kierunku windy.

W holu panował spokój. Tylko kilku turystów pytało o coś recepcjonistę, a w kącie siedział, czytając niemiecką gazetę, niewysoki mężczyzna w czarnym płaszczu.

Barney podszedł do recepcji, podał swoje nazwisko i zapytał o Helmuta Bergena. Do jego uszu dobiegały dźwięki fortepianu, na którym ktoś grał standard Rodgersa i Harta. Miał ochotę na drinka, ale postanowił zastosować się do rady Lehmana i skorzystać z sauny. Bolały go wszystkie kości i gorąca para na pewno będzie lepsza od alkoholu. Z tyłu otworzyły się drzwi i wyszedł z nich recepcjonista w towarzystwie starszego mężczyzny.

Helmut Bergen okazał się wysokim, chudym człowiekiem w wieku około sześćdziesięciu lat. Rysy jego twarzy uniemożliwiały uśmiech. Jego oczy miały poważny wyraz oczu dyplomaty, który przystąpił do negocjacji, nie mając żadnych kart do rozegrania.

- Oczekiwałem pana, panie Caine - powiedział wyciągając prawą dłoń.

- Hans Lehman prosił, abym skontaktował się z panem.

- Czy pokój panu odpowiada?

- Jak najbardziej.

- To dobrze. Jutro rano będę miał dokumenty dotyczące pobytu pana Neeleya.

- Wiem. Chciałem tylko się przywitać i - tu Barney uśmiechnął się lekko - zapytać, gdzie jest sauna.

- Oczywiście. Proszę bardzo. - Bergen skinął na jednego z chłopców hotelowych. - Zaprowadź pana Caine'a do sauny i upewnij się, że ma wszystko, czego sobie zażyczy.

- Dziękuję panu.

Bergen spróbował uśmiechnąć się, ale zakończyło się to niepowodzeniem.

- Nie ma za co, panie Caine.

\*

Sauna i basen znajdowały się w podziemiu. Przy wejściu siedział ubrany na biało dozorca. Za nim widać było dość zasobny barek, a jeszcze dalej basen.

- Niedługo zamykamy - poinformował dozorca. - Ma pan jeszcze dwadzieścia minut.

- Najzupełniej mi to wystarczy - odparł Barney.

- Proszę bardzo - dozorca podał mu dwa ręczniki oraz klucz do szatni i wskazał mu małe brązowe drzwi.

Unosząca się nad rozgrzаныmi kamieniami para zaparła Barneyowi dech w piersiach. Stał przez moment w słabo oświetlonym pomieszczeniu, przyglądając się nagim sylwetkom siedzącym na ławkach. Zajęte były trzy rzędy po prawej stronie. Na najwyższej leżał mężczyzna z olbrzymim spoconym brzuchem. Bezpośrednio pod nim leżały dwie dziewczyny. Jedna była brunetką, a druga blondynką, Blondynką nie tylko na głowie.

Nie były zbyt ładne, ale miały niezłe figury i obficie się pociły. Grubas powiedział coś po niemiecku, co wzbudziło wesołość dwóch nagich dziewcząt. Barney poczuł się zażenowany ich obecnością i skinął im nieśmiało głową. Poszedł w przeciwległy kąt sauny, rozłożył ręcznik na ławeczce i położył się na plecach. Starał się nie myśleć o grubasie i dziewczętach. Zamknął oczy i rozluźnił mięśnie, czując ogarniające go ciepło i strużki potu spływające po całym ciele. Po chwili jednak zwyciężyła ciekawość i zaczął spoglądać w kierunku nagich dziewcząt. Dostrzegła to blondynka i uśmiechnęła się do niego. Zrewanżował jej się tym samym. Poczuł, jak ból w karku i ramionach zaczyna ustępować. Intensywne gorąco zaczęło piec go w twarz i odwrócił się na brzuch.

\*

Barney postawił kołnierz płaszcza dla ochrony przed nocnym chłodem, kiedy powoli spacerował Kurfürstendamm. Jaskrawe światła neonów rozbłyskiwały, zapewniając krzykliwą iluminację obskurnej ulicy. Przeszedł cztery przecznice i zbliżył się do placu, na którym stał kościół cesarza Wilhelma.

Dotarł do Meineckestrasse i przypomniał sobie informację Lehmansa, że niedaleko znajduje się dobra i niedroga restauracja. Skręcił w lewo, w wysadzaną drzewami alejkę, której spokój kontrastował z krzykliwością Kurfürstendamm. W połowie uliczki zobaczył szyld „Pariser Cafe”.

Restaurację stanowiło kilka stolików rozstawionych w ogrodzie, który był częścią

prywatnej posesji. Z domu wychodzili kelnerzy niosąc do stolików tace z jedzeniem. Większość stolików była zajęta przez młode pary, siedzące pod sznurami niebieskawych lamp. Jedli kanapki, sącząc wino i pijąc piwo z dużych kufli. Z głośników dobiegał przebój Bee Geesów „More Than a Woman”.

Barney usiadł przy wolnym stoliku i przywołał kelnera, który, jak się okazało, mówił po angielsku. Zamówił hamburgera i piwo. Zapalił cygaretkę i nagle poczuł ogarniającą go falę samotności. Pomyślał o ostatnim dniu w Los Angeles, spędzonym z synem. Pojechali nad morze i po długiej kąpieli poszli wzdłuż plaży. W pewnym momencie Timmy zaczął biec, rozpryskując wodę, a jego jasne włosy błyszczały w promieniach słońca. Zbliżył się do nich jakiś wielki pies i pogonił za chłopcem. W tym momencie chłopiec, pies, latające nad wodą mewy i spienione fale, wyglądały jak obraz utraconej niewinności. Później Timmy oparł głowę na jego piersi i płakał prosząc: „Nie odjeżdżaj, tato”. W życiu, którego prawdziwe wartości zawsze gdzieś umykały, płacz jego syna był jedynym realnym faktem. A teraz, samotny i wyrwany z otoczenia, Barney czuł się jak hemingwayowski Lampart i zastanawiał się, co przywiodło go do tego miejsca, do Berlina. Sama ta nazwa wywoływała w myśli obrazy demonów; mitologicznych bogów, Zygryda i Walkirie, histeryczne tłumy krzyczące *Sieg heil!* i miliony wyblakłych kości. Nie więcej niż sześć kilometrów stąd znajdowało się porośnięte trawą wzgórze, gdzie był bunkier Hitlera.

Kelner przyniósł zamówienie i Barney zabrał się do jedzenia z dużym apetytem. Właśnie dopijał piwo, kiedy dostrzegł siedzącego samotnie przy stoliku w pobliżu wejścia mężczyznę. Palił papierosa umieszczonego w długiej fifce i czytał niemiecką gazetę. Wyglądał dziwnie znajomo, ale Barney nie mógł przypomnieć sobie, gdzie go już widział.

Bee Gees zastąpiła Carol Simon i kelner przyniósł rachunek. Hamburger i piwo kosztowały osiemnaście marek, czyli dziewięć dolarów. Barney pokręcił głową. Lehman powiedział, że to jest niedroga restauracja. Dał kelnerowi dwadzieścia marek, wstał i wyszedł na Meineckestrasse.

Skierował się w dół ulicy, mijając chińską restauracyjkę i bar lesbijek, w którego oknie widniało zdjęcie pokazujące dwie młode dziewczyny w czułym uścisku. Budynki wzdłuż ulicy miały charakter rezydencji i wyglądały na przedwojenne. Domyślał się, że zostały odbudowane z zachowaniem ich poprzedniego stylu. Nadal czuł zmęczenie, ale posiłek i piwo poprawiły mu nastrój.

Doszedł do rogu, zapalił cygaretkę i obejrzał się. W połowie ulicy dostrzegł niskiego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu. Mężczyzna zatrzymał się przed sklepem, sprawiając wrażenie zainteresowanego wystawą. Był to człowiek, którego zauważył w

restauracji. Prawa ręka Barneya instynktownie powędrowała do lewego ramienia, nie wyczuwając znajomej wypukłości trzydziestki ósemki. Przypomniał sobie słowa Louisa: „Będziesz działał jak prywatny detektyw” oraz ostrzeżenie komisarza: „Im wyższa stawka, tym większe niebezpieczeństwo”.

Doszedł do rogu i powoli skierował się w stronę Fasanenstrasse. Zanim skręcił, jeszcze raz zerknął do tyłu. Mały człowieczek gdzieś zniknął.

Fasanenstrasse była długą ulicą, pełną małych sklepików z ciemnymi oknami wystawowymi. Nie oglądając się wskoczył we wnękę sklepu Agfy. W dużym oknie odbijały się przejeżdżające samochody. Barney stanął w miejscu, gdzie boczna wystawa dawała mu widok jak w lusterku wstecznym samochodu.

Rzucił na ziemię cygaretkę i czekał. Rozbłyły światła dwóch mijających go samochodów. Nie widział żadnych przechodniów. Słyszał odgłosy ruchu ulicznego dobiegające od strony Kurfürstendamm. Nagle w szybie pojawiło się odbicie niskiego mężczyzny. Ręce trzymał w kieszeniach i nie przejawiał zainteresowania wystawami. Szedł powoli, wpatrzony w ulicę przed sobą.

Barney wiedział, że nie może dać się zmylić małym wzrostem mężczyzny. Zabójcy nie muszą być zbudowani jak atleci. Pociągnięcie za spust pistoletu nie wymaga dużej siły. Wsunął się jeszcze głębiej we wnękę, rozpiął marynarkę i zacisnął palce. Odbicie w szybie wskazywało, że mężczyzna jest jakieś siedem metrów od niego. Barney słyszał wyraźnie odgłos jego kroków.

Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Powtórzył tę czynność. Mężczyzna był już tylko trzy metry od sklepu. Barney pomyślał, że jeżeli ma do czynienia z zawodowym zabójcą, to kiedy ten dojdzie do wnęki, powinien odwrócić się i strzelić. Jeśli nie, jeśli jego zadaniem było tylko śledzenie, to przejdzie obok wnęki i nie zatrzymując się pomaszeruje dalej do rogu. Odbicie w lustrze było coraz większe, a jego kroki przypominały odgłos bębna. Trzy metry od wnęki, dwa... metr... pół metra... Mężczyzna zrobił ostatni krok, odwrócił się i zajrzał w głąb ciemnej przestrzeni.

Wyciągnął rękę z kieszeni i uśmiechnął się.

- *Guten Abend.*

Barney poczuł nagły przyływ adrenaliny. Trzema susami dopadł mężczyznę. Prawą pięścią trafił go w policzek. Chwilę później uderzył w niego całym ciałem i obydwaj upadli. Przycisnął ciało obcego do ziemi i obydwoma rękami chwycił go za głowę w uchwycie, którym mógł złamać mu kręgosłup.

- Proszę... proszę... Zaraz wyjaśnię... Zaraz wszystko wyjaśnię... - wyjęczał

mężczyzna.

Barney rozluźnił uścisk, chwycił go za ramię, odwrócił i sprawdził jego kieszenie. Mężczyzna był nie uzbrojony. Barney postawił go na nogi i wepchnął brutalnie do wnęki, przyciskając do drzwi sklepu.

- Proszę wziąć mój portfel - głos nieznajomego drżał.

- Daję go panu. Proszę nie robić mi krzywdy. - Jego policzek zaczął już puchnąć, a z małego rozcięcia spływała strużka krwi.

- Coś ty za jeden, do diabła? - zapytał Barney puszczając go.

- Nazywam się Ernest Hoess.

- Dlaczego mnie śledzisz?

- Zobaczyłem pana w hotelu, a później w Kurfürstendamm. Pomyślałem, że może szuka pan damskiego towarzystwa.

Bezsensowność słów obcego wywołała u Barneya szalony wybuch śmiechu.

- Czy mogę już sobie pójść?

Barney skinął głową, nie będąc w stanie wykrztusić słowa. Mężczyzna wyszedł na ulicę i podniósł okulary, które spadły mu w czasie bijatyki. Ostrożnie włożył je na nos i potarł spuchnięty policzek. Popatrzył z wyrzutem na Barneya, który sapał nie mogąc złapać tchu pomiędzy wybuchami śmiechu.

- Oszalał pan? - zapytał nieznajomy.

Barney znowu stracił panowanie nad sobą i ogarnął go kolejny histeryczny spazm.

- Pan musi być szalony - wyrzucił z siebie obcy. - Nie było powodu, żeby mnie zaraz bić. - Odwrócił się i poszedł szybko w kierunku Kurfürstendamm.

Barney po chwili się uspokoił i po dwudziestu minutach znalazł się z powrotem w hotelu. Ponownie wziął prysznic. Następnie wyjął z lodówki zimne piwo, przyciemnił światło i stanął przed dużym oknem. Spojrzał na emblemat Mercedesa na szczycie Europa Center, który górował nad całym miastem. Oświetlona neonami trzyramienna gwiazda obracała się majestatycznie. Pomyślał, że ten znak symbolizuje zerwanie z przeszłością, stanowiąc substytut swastyki. Był to niezniszczalny symbol dowodzący starożytnej prawdy, że pieniądze nigdy nie przegrywają wojny.

## 34.

Była dokładnie dziewiąta rano, kiedy Barney wyszedł z windy. Zobaczył czekającego

Lehmansa i uścisnęli sobie ręce.

- Odpocząłeś?

- Czuję się znakomicie. Zastosowałem się do twojej rady. Spałem do wieczora, potem spotkałem się z Bergenem, poszedłem do sauny, wybrałem się na spacer, zjadłem coś w restauracji i znowu poszedłem spać.

- Wieczorem znów będziesz zmęczony, to zwykle trwa kilka dni.

\*

Helmut Bergen siedział za ogromnym biurkiem, co podkreślało niewielkie rozmiary pokoju. Twarz dyrektora zdawała się być jeszcze bardziej poważna niż wczoraj wieczorem. Przywitali się i Lehmans podziękował mu za zaopiekowanie się Barneyem. Bergen skinął głową.

- Czy sauna spełniła pańskie oczekiwania, panie Caine?

- Oczywiście.

- To dobrze. Proszę usiąść.

Ręką wskazał im krzeselka stojące przy biurku.

- Kawy? - zapytał.

Odmówili.

- Możemy więc zaczynać - powiedział i otworzył grubą teczkę z dokumentami. - Po pierwsze, karta meldunkowa. Przechowujemy je przez siedem lat.

Podał niewielką karteczkę Barneyowi.

- Proszę zwrócić uwagę, że jest na niej sześć rubryk: nazwisko gości, dokładna data i godzina zameldowania, adres domowy, numer pokoju, data wymeldowania i adres następnego miejsca pobytu.

Dane na karcie wskazywały, że Neeley zameldował się razem z Kay 3 stycznia 1978. Jako domowy wpisał adres swojej posiadłości w Los Angeles. Zameldował się o godzinie 2.15 po południu i dostał pokój numer 436. Wymeldował się 9 stycznia o 10.25 rano. Jako następnym widniał adres hotelu „Atlantic” w Hamburgu.

Barney zwrócił kartę Bergenowi.

- Będziemy potrzebowali kopii.

- Oczywiście - odparł Bergen odkładając kartę na bok. Następnie wyjął z teczki plik następných dokumentów i przesunął je w stronę Barneya.

- Tutaj jest wszystko, co dotyczy pobytu klienta w hotelu: rachunek. Dołączone są teleksy, prenumeraty gazet, opłaty za wynajem samochodu, basen, saunę, zwiedzanie, znaczki pocztowe, obsługa i bar.

Barney przejrzał rachunki. Znajdowały się tam kwity za „International Herald Tribune”, „Playboya”, „Time”, „Newsweek” i niemiecki „Stern”. Poza tym był tam rachunek z salonu piękności, podpisany przez Kay Neeley 5 stycznia. Z 8 stycznia pochodziły rachunki za dwa teleksy, obydwie wysłane w nocy. Pierwszy, na adres biura Arthura Clementsa, informował:

NAWIĄZAŁEM KONTAKT Z OBER. I DIESTEL.

JADĘ DO HAMBURGA DO HOTELU ATLANTIC. BĘDĘ W KONTAKCIE.

Barney podał wiadomość Lehmansowi, a sam zajrzał do drugiego teleksu.

Y. KALADI - BOO VIA PACIFICA. EUR-ROME, WŁOCHY.

GENESIS ISTNIEJE. POINFORMOWAĆ TED.

- Zastanawiam się, kim jest ten Diestel - powiedział.

- To dość popularne nazwisko - wzruszył ramionami Lehmans. - A co z Kaladim i Tedem?

- Kaladi to saudyjski pośrednik. Przekazuje łapówki od amerykańskich koncernów naftowych arabskim szejkom. Ted to Frank Tedesco.

Lehmans przeczytał drugą wiadomość i zwrócił oba teleksy Bergenowi.

- Kopie - powiedział.

Bergen skinął głową i położył je na karcie meldunkowej.

- Jest tu wykaz rozmów telefonicznych Neeleya? - zapytał Barney.

Bergen wyjął gruby plik białozielonych arkuszy papieru i podał go detektywowi. Były to wydruki komputerowe, podzielone na szereg kolumn. Nagłówki były po niemiecku i Lehmans nachylił się nad ramieniem Barneya i zaczął tłumaczyć je na angielski.

- Pierwsza kolumna informuje, jaka linia została użyta. Następna to numer rozmówcy, potem opłata i numer pokoju. Trzy ostatnie to data i godzina połączenia.

- Wszystko jest w porządku chronologicznym - dodał Bergen. - Wszystkie dane są stuprocentowo dokładne. Nasz system telefoniczny jest obsługiwany przez komputer Siemens T-100.

Barney podał Lehmansowi połowę wydruków.

- Poszukaj powtarzających się numerów.

- Kiedy panowie będą to przeglądali, ja zajmę się zrobieniem kopii - powiedział



Bergen, wstając z miejsca.

Barney przeglądał piąty rachunek, kiedy jeden z numerów powtórzył się. Numer z piątego rachunku odpowiadał numerowi z rachunku pierwszego. Była to pierwsza rozmowa Toma po przybyciu. Numer berliński 871094. Pojawił się też na rachunku numer dziewięć. Lehmans skończył przeglądanie swojej części i odłożył na bok dwa rachunki.

- Te dwa powtarzają się - powiedział, podając je Barneyowi. Widniał na nich numer 871094. To w sumie dawało pięć rozmów w ciągu czterech dni.

Bergen wrócił z kopiami teleksów i karty meldunkowej. Barney wziął do ręki pięć rachunków telefonicznych i spojrzał na Lehmansa.

- Co o tym sądzisz?

- Spróbuj.

Barney podał jeden z nich Bergenowi.

- Panie Bergen, czy byłby pan tak uprzejmy i wykręcił ten numer?

- A do kogo będę dzwonił?

- Zobaczymy.

Ręka Bergena lekko drżała, kiedy podnosił słuchawkę i wykręcał numer. Nastąpiła chwila ciszy. Nagle Bergen jakby zeszytniał i powiedział coś po niemiecku do słuchawki. Następnie słuchał przez chwilę odpowiedzi.

- *Eine Minute, bitte* - zasłonił mikrofon dłonią. - To miejskie przedsiębiorstwo energetyki.

Barney popatrzył przez chwilę na Lehmansa.

- Proszę poprosić pana Obermanna - polecił.

Bergen odsłonił słuchawkę.

- *Ist dort ein Herr Obermann angestellt?* - znowu zapanowała chwilowa cisza. - *Eine Minute.*

Znowu zasłonił słuchawkę.

- Paul Obermann jest tam głównym inżynierem.

Barney musiał bardzo się starać, żeby w jego głosie nie było słycać podniecenia.

- Proszę poprosić o połączenie z jego biurem i dać mi słuchawkę, kiedy zgłosi się.

- On może nie znać angielskiego - wtrącił Lehmans.

- Neeley z nim rozmawiał - odparł Barney.

- Może znał niemiecki.

Barney skinął głową i spojrzał na zdenerwowanego dyrektora.

- Jeżeli połączą pana z Obermannem, proszę zapytać go, czy mówi po angielsku.

Bergen zadzwonił pod numer biura Obermanna. Telefon odebrała sekretarka. Bergen poczekał chwilę i jego głos nagle stał się bardziej nerwowy.

- *Herr Obermann?*

Nastąpiła krótka wymiana w języku niemieckim, zakończona pytaniem Bergena:

- *Herr Obermann, sprechen sie Englisch?*

Bergen posłuchał przez chwilę, po czym spojrzął na Barneya, skinął głową i oddał mu słuchawkę. Barney wziął głęboki oddech.

- Panie Obermann, nazywam się Barney Caine. Jestem amerykańskim policjantem i prowadzę sprawę zabójstwa dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych. - Nie doczekał się żadnej odpowiedzi, więc kontynuował: - Ofiarami są Kay i Thomas Neeley. Mam powody, aby przypuszczać, że pan Neeley kontaktował się z panem w styczniu tego roku. Chciałbym się z panem spotkać.

- Nie mogę panu pomóc ani zobaczyć się z panem - odpowiedział zmęczony głos, mówiący po angielsku z wyraźnym akcentem, ale poprawnie gramatycznie. W słuchawce rozległ się sygnał.

Barney odłożył ją na widełki.

- Przerwał połączenie.

- Ja z nim porozmawiam - powiedział Lehmans. Wyjął z kieszeni paczkę Marlboro, zapalił i podszedł do telefonu.

- Mogę załatwić nakaz stawienia się przed sądem w Berlinie.

- Masz na myśli wezwanie sądowe?

- Tak. Możesz dostarczyć listę pytań i sędzia zada je Obermannowi.

Lehmans wykręcił numer i po krótkiej rozmowie z sekretarką połączył się z inżynierem. Zaczął mówić spokojnie, ale stanowczo. Barney mógł zrozumieć sens tej przemowy.

Lehmans przedstawił się jako inspektor policji. Gdy słuchał odpowiedzi Obermanna, jego policzki nagle poczerwieniały i kiedy znowu przemówił, w jego głosie dała się słyszeć złość:

- *Herr Obermann, ich werde in zehn Minuten bei Ihnen im Büro sein!*

Trzasnął słuchawkami w widełki.

- Idziemy, Barney.

- Dokąd?

- Zobaczyć się z *Herr Obermannem*.

Podziękowali pobludłemu dyrektorowi, który skinął głową, ale nic nie powiedział.

Napił się tylko wody, myśląc, że kiepsko się zaczyna ten dzień.

\*

Berlińskie Zakłady Energetyczne znajdowały się przy Birkbuschestrasse 40. Zajmowały kompleks budynków z czerwonej cegły położonych nad brzegiem kanału. Centralną budowlą była podobna do katedry średniowieczna konstrukcja z podłużnymi oknami i spadzistym dachem. Nad wszystkim górowały dwa białe kominy.

Obaj detektywi podążyli za młodym mężczyzną ubranym , w szary kombinezon, który poprowadził ich długą, brukowaną alejką, wzdłuż której stały niskie budynki połączone biegnącymi górą rurami. Zbliżyli się do dwupiętrowego, drewnianego baraku.

- *Hier ist das Büro von Direktor Obermann* - poinformował Lehmansa ich przewodnik.

Przedstawili się sekretarce Obermanna, cierpiącej na nadwagę kobiecie w średnim wieku, z rzadkimi włosami o pomarańczowym odcieniu. Spojrzała na nich z niepokojem i wskazała drzwi prowadzące do gabinetu.

Paul Obermann wyglądał tak jak jego biuro: staro, porządnie i solidnie. Był szczupłym, łysiejącym mężczyzną o brązowych oczach, prostym nosie i wąskich ustach, które nie pasowały do reszty twarzy. Po ilości zmarszczek Barney oceniał go na jakieś sześćdziesiąt lat. Był ubrany w elegancki niebieski garnitur, białą koszulę i kasztanowy krawat. Spojrzał na swoich gości bez słowa. Lehmans wyjął legitymację i polecił Barneyowi zrobić to samo. Obermann obejrzał dokładnie oba dokumenty.

- Pozwoli pan, że będziemy kontynuowali w języku angielskim - powiedział Lehmans.

- Jak pan sobie życzy, inspektorze.

- Dziękuję. Powtórzę to, co pan już wie. Mój kolega, pan Caine, jest detektywem z Los Angeles. Chciałby zadać panu kilka pytań, mogących pomóc w sprawie zabójstwa Thomasa i Kay Neeleyów.

Obermann odchylił się w swoim fotelu.

- Dlaczego przyszedł pan do mnie? - zapytał po dłuższej chwili Barneya.

- Ponieważ pańskie nazwisko zostało znalezione w notatniku Neeleya. Wiemy też, że dzwonił do pana przynajmniej pięciokrotnie między piątym a dziewiątym stycznia tego roku.

- Pan Neeley mógł mieć numer tego zakładu, ale pracuje tu ponad sześćset ludzi na trzech zmianach. Skąd wiadomo, że dzwonił akurat do mnie?

- Miał pańskie nazwisko i pański numer. Czy chce pan sugerować, że to tylko zbieg okoliczności? - odparł Lehmans.

Obermann nic nie odpowiedział.

- Proszę uwierzyć mi, panie Obermann. Nie chcę wplątywać pana w tę sprawę. Nie chcę też, żeby miał pan jakiegokolwiek kłopoty. Jednak bardzo by mi pan pomógł odpowiadając na kilka pytań - powiedział łagodnie Barney.

- Przykro mi, ale nie mogę nic dla panów zrobić.

- W takim razie chcę pana poinformować, panie Obermann, że natychmiast rozpoczynam starania o uzyskanie nakazu sądowego - stwierdził Lehman.

Obermann nacisnął guzik przy biurku i w drzwiach pojawiła się sekretarka.

- Żegnam, panowie.

W połowie drogi do drzwi Barney zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

- Tom i Kay Neeleyowie zostali brutalnie zamordowani w Los Angeles dwa tygodnie temu. Wiem, że był pan z nimi zamieszany w sprawę „Genesis”. Sądzę, że pańskie życie może być w niebezpieczeństwie. Gdyby zmienił pan zdanie, to zatrzymałem się w hotelu „Kempinski”.

Obermann zapatrzył się w zamknięte drzwi. Ogarnęło go uczucie strachu i odrazy. Czuł, że zabójstwo Neeleyów było związane z jego wizytą u szwajcarskiego przemysłowca przed ośmioma miesiącami. Szwajcar szukał formuły „Genesis”, tak jak i Neeley. A teraz jeszcze doszedł amerykański detektyw.

Spojrzał na sufit, jakby w łuszczącej się farbie była ukryta jakaś odpowiedź. Na szczęście nie on musiał decydować. Zrobi to, co zawsze robił. Postąpi zgodnie z poleceniami. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Friedricha Diestela.

## 35.

Prefektura policji w Berlinie mieściła się w czteropiętrowym, szarym budynku na przedmieściu Tempelhof. W czasie wojny znajdowało się tu centrum dokumentacyjne *Wehrmachtu*. Barney zwrócił uwagę na dwie przedstawiające wrony płaskorzeźby umieszczone nad wejściem.

- Dlaczego akurat wrony? - zainteresował się.

- Po wojnie trzeba było usunąć nazistowskie orły. Nikt nie wiedział czym je zastąpić. W końcu zdecydowano, że wrony będą najbezpieczniejsze.

Barney wszedł za Lehmansem po schodach, mijając tabliczkę z napisem: „DER POLIZEIPRÄSIDENT BERLIN”. Sekretarka Lehmansa była ładną, mówiącą płynnie po angielsku dziewczyną. Lehman podyktował jej treść wezwania do stawienia się w sądzie dla

Obermanna. Poprosił ją też o sprawdzenie jego kartoteki w kwaterze głównej policji federalnej w Wiesbaden. Zostawił jej ponadto pozostałe rachunki telefoniczne Neeleya i polecił zadzwonić pod każdy z numerów i ustalić do kogo należą.

- Chodź. Postawię ci obiad w Muzeum Berlińskim - powiedział, kiedy sekretarka wyszła.

- W Muzeum? - zdziwił się Barney.

- Samo Muzeum nie jest nadzwyczajne, ale jest tam bardzo dobra restauracja.

Nagle w drzwiach gabinetu pojawił się rostry, muskularny mężczyzna z papierosem w ustach. Lehmans spojrział na niego i powiedział coś po niemiecku. Mężczyzna odpowiedział i twarz Lehmansa nagle pobladła. Nieznajomy wyszedł, a Lehmans usiadł ciężko w fotelu i przetarł zmęczonym ruchem oczy. Język policyjnych zachowań był uniwersalny i Barney wiedział, że Lehmans dostał złą wiadomość.

- Co się stało, Hans?

- Dwoje terrorystów uciekło z więzienia w Moabicie.

- W jaki sposób?

- Nie znam szczegółów. Wiem, że to mordercy. Mężczyzna i kobieta. - Zapalił papierosa i popatrzył na niego z niechęcią. - Wy w Stanach macie szczęście. Nigdy nie mieliście do czynienia ze zorganizowanym terroryzmem.

Lehmans wstał i podszedł do okna. Stał przy nim przez chwilę, po czym wypuścił z ust chmurę dymu.

- Sprawę tej kobiety prowadzę od ponad roku. Jej profil psychologiczny idealnie pasuje do wzorca terrorystki. Trzydzieści jeden lat. Bogata rodzina. Studentka. Uczucie miłości i nienawiści do ojca. Zainteresowania ideologiczne i polityczne stopniowo zmieniły się w satysfakcję z dokonywania brutalnych akcji. Wyszkolona w Bejrucie.

- W Bejrucie?

- Wszystkie grupy terrorystyczne mają międzynarodowe powiązania. - Lehmans podszedł do biurka i zgasił papierosa. - Włoskie Czerwone Brygady i NAP trenują w Hawanie i Damaszku. Niemiecki RAF szkoli się w Trypolisie, pod kierownictwem grupy Habasha. Te powiązania wyszły na jaw podczas akcji w Entebbe i Mogadiszu. Baskijscy separatyści w Hiszpanii, grupy terrorystyczne w Argentynie oraz IRA są finansowane przez KGB. OWP czerpie fundusze od Sudańczyków i szejków naftowych.

- Ciekawy układ. Arabska arystokracja i KGB wspomagają te same grupy terrorystyczne.

- Wszystkim rządzi pieniądze.

- Wiesz, że facet, którego zastrzeliłem w Malibu, był kumplem pewnej Włoszki, członkini Czerwonych Brygad?

- Tak - westchnął Lehmans. - Widziałem to w twoim raporcie. Chodź, Barney. Spływamy stąd.

\*

Lehmans miał rację. W Muzeum Berlińskim nie było nic specjalnego, z wyjątkiem kilku cudownych obrazów niemieckich ekspresjonistów. Miał też rację, jeżeli chodzi o małą restaurację, wciśniętą w kąt jednej z olbrzymich sal barokowego budynku. Wykończona była w stylu przedwojennej wiejskiej gospody i serwowała znakomite dania.

Jedli z apetytem, który często jest rezultatem napięcia nerwowego. Zaczęli od wędzonej ryby, po której przyszła kolej na chłodnik, któremu towarzyszyło znakomite piwo. Drugie danie składało się z cielących kielbasek w sosie musztardowym, podanych ze smaczną sałatką ziemniaczaną. Barney wziął kromkę razowego chleba, posmarował ją sosem i zjadł z ostatnią kielbaską. Popił to zimnym piwem i odsunął talerz.

- Chryste. Ale dobre.

- Najlepsze w mieście - powiedział Lehmans, zjadając resztki sałatki. Napił się piwa, wyjął nieodłączną paczkę Marlboro i poczęstował Barneya.

- Dlaczego nie? - Zachęcony przykładem starszego kolegi, zaciągnął się głęboko. Wsłuchali się w gwar dobiegający od innych stolików. Z głośników dobiegały dźwięki koncertu Mozarta.

- Wiesz coś na temat „Genesis”? - zapytał Barney.

- Naziści często używali kryptonimów zaczerpniętych z greckiej lub niemieckiej mitologii, a nawet z Biblii.

- Co ta nazwa może oznaczać?

- Wszystko - Lehmans wzruszył ramionami. - Od broni biologicznej, przez systemy rakietowe, czujniki elektroniczne do czegoś tak rewolucyjnego, że nie istnieje jeszcze dla tego określenie. Według mnie ta część twojego raportu, która dotyczy pytań Neeleya do Iselli, przemawia na korzyść teorii o nowych paliwach.

Kelner przyniósł dwie kawy i ciastka. Barney zgasił papierosa i zabrał się do kremówki. Na myśl o liczbie kalorii, którą zawiera, pokręcił głową, ale zjadł ciastko do końca.

- Załóżmy, że „Genesis” dotyczyło źródeł energii - kontynuował Lehmans. - Obermann jest głównym inżynierem Zakładów Energetycznych. Neeley pracował w czasie wojny w amerykańskim wywiadzie. Logika wskazuje, że mogli się wtedy poznać.

\*

Po wyjściu z restauracji przeszli powoli przez salę poświęconą niemieckim ekspresjonistom. Lehmans powiedział Barneyowi, że obrazy pochodziły z prywatnej kolekcji Göringa. Alianci zwrócili je Niemcom Zachodnim po zakończeniu wojny.

Na zewnątrz ociepliło się nieco. Od czasu do czasu zza chmur wychodziło słońce.

- Będę musiał poświęcić trochę czasu tej ucieczce z więzienia. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że wsadzę cię teraz do taksówki i wrócisz do hotelu?

- Nie ma sprawy.

- I tak na razie niczego nie możesz zrobić. Przynajmniej dopóki nie dostaniemy tego nakazu. Możesz sobie odpocząć. Pozwiedzaj Berlin.

Podeszli powoli do zaparkowanej w pobliżu taksówki. Lehmans położył rękę na ramieniu Barneya.

- Bądź cierpliwy. Nie rób niczego na własną rękę.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Hans?

- Żebyś nie bawił się w bohatera.

## 36.

Idąc korytarzem hotelowym, Barney zobaczył miłą, młodą dziewczynę pchającą wózek z bielizną do prania.

- *Guten Tag* - spróbował niemieckiego przywitania, ale dziewczyna odpowiedziała mu po angielsku z irlandzkim akcentem. Zdziwił się nieco, co robi irlandzka dziewczyna w berlińskim hotelu. Przypomniał sobie jednak, że niektórzy zamiatacze ulic wyglądali na Turków lub Arabów i domyślił się, że wiele prac fizycznych wykonują przybysze z innych krajów. Nawet bez Hitlera Niemcy wierzyli, że przyszłość należy do nich.

Jego pokój został wysprzątnany. Przez okno widział wieżę telewizyjną we wschodnim Berlinie z tym dziwnym słonecznym krzyżem na szczycie. Powiesił na krześle marynarkę i podszedł do stolika z telefonem. Spojrzał na zegarek i obliczył różnicę czasu. W Los Angeles była teraz szósta rano. Poprosił telefonistkę o połączenie z mieszkaniem Louisa Yosuty. Przeliterował nazwisko i podał numer. Dziewczyna w centrali powiedziała mu, że oddzwoni i rozłączyła się.

Wyciągnął się na łóżku i wziął do ręki gazetę. Prezydent Carter usiłował przeforsować ustawę o energetyce, dolar spadał na światowych giełdach. Rosjanie wysłali do gułagu dwóch

dysydentów. Obaj byli Żydami. Izraelczycy ogłosili opracowanie nowego elektronicznego systemu antyrakietowego. W części sportowej Pete Rose zmierzał do ustanowienia nowego rekordu, a w lidze futbolowej rozpoczął się sezon transferów. Ostro zadzwonił telefon. Barney podniósł słuchawkę.

- Ma pan połączenie - poinformowała go telefonistka.

- Louis?

- Jak się masz, Barney?

Słyszając przyjacielski głos, poczuł ogarniającą go falę spokoju.

- W porządku. Na razie stanąłem w miejscu, ale wszystko jest na dobrej drodze.

W kilku słowach opisał sytuację.

- Neeley wysłał teleks do Clementsa, informujący go o tym, że zlokalizował Obermanna i kogoś o nazwisku Diestel. Jego treść jest już w drodze do ciebie.

- A kim jest ten Diestel?

- Nie mam pojęcia. Jest jeszcze jeden teleks. Do arabskiego pośrednika w Rzymie. Do Kaladiego. Kojarzysz go?

- Tak. To dla niego Neeley woził pieniądze.

- Zgadza się. Ten drugi teleks informuje Kaladiego, że „Genesis” istnieje i żeby zawiadomić Teda. Ted to Tedesco.

- Co mam zrobić? - zapytał Louis.

- Poczekaj, aż dostaniesz kopię teleksu i pójdz do Clementsa. Przyciśnij go trochę. Zagroź aresztowaniem.

- On jest za sprytny na takie sztuczki, Barney. Wszystko, co na niego mamy, to jego wspólne interesy z Neeleyem. Sam się do tego przyznał. Nie ma podstaw do aresztowania.

- No to podokuczaj mu trochę. Niech ktoś go śledzi. Spróbuj załatwić u Nolana zgodę na podsłuch.

- A gdzie w tym wszystkim siedzi Tedesco?

- Tedesco to mafia - odparł Barney. - Poza sprawą kokainy nie wiem, co może go jeszcze interesować. Jedyńm słabym ogniwem w tym łańcuchu, jedynym, o którym coś wiemy, jest Clements. Chcę, żebyś mu się dobrał do skóry.

- Zrobię, co w mojej mocy.

- Mam nadzieję. A co u ciebie?

- Trzy morderstwa. Jakiś szaleniec. Morduje małeletnie prostytutki i wypija ich krew. Gazety i telewizja mają używanie. „Zabójca-wampir na wzgórzach Hollywoodu”. Większa sensacja niż sprawa dusiciela z gór.



- Widziałeś się z Laurą Gregson?
- Nie, ale poprosiłem chłopaków z Metro, żeby mieli na nią oko.
- Dzięki, Louis.
- Pilnuj się, Barney.

Barney odłożył słuchawkę. Rozmowa z Louistem wzmogła w nim uczucie osamotnienia. Wstał i zapalił cygaretkę.

Podszedł do lodówki, wyjął butelkę wody mineralnej, otworzył kapsel i już miał rozejrzeć się za jakąś szklanką, kiedy znowu zadzwonił telefon.

- Halo - powiedział do słuchawki.
- Pan Caine? - Angielszczyzna w słuchawce miała wyraźny akcent, a w zdenerwowanym głosie było coś znajomego.

- Tak.
- Mówi Paul Obermann.

Barney poczuł ogarniające go podniecenie. Ścisnął mocniej słuchawkę i usiadł na łóżku.

- Czy może pan mówić swobodnie? - zapytał Obermann.
- Tak. Jestem sam.
- Jestem gotów porozmawiać na temat Toma Neeleya.
- Dlaczego zmienił pan zdanie?
- A jakie to ma znaczenie?

- Jestem zawodowcem, panie Obermann. Taka nagła zmiana wywołuje u mnie ciekawość.

- Jest pan obcokrajowcem. Nie zna pan naszych stosunków. Tu nie miesza się policji w prywatne sprawy.

- Rozumiem.
- Jeżeli przyrzeknie pan przyjść sam, zgodzę się na spotkanie. Jeżeli nie dotrzyma pan słowa, niczego nie powiem. Jest to jasne?

- Daję panu słowo. - Barney zaciągnął się cygaretką, żalując, że to nie papieros.
- Nie mogę narażać się na represje ze strony policji.
- Ma pan moje słowo. Musi mi pan zaufać.
- O ile nie zajdzie jakieś nieporozumienie.
- Nie zajdzie.

- Spotkamy się w zoo za pięć piąta. Na drugim piętrze akwarium. Jest tam bambusowy mostek. Łatwo pan go znajdzie.

- Dlaczego w zoo?

- Tam jest bezpiecznie. Dzieci, wycieczki, strażnicy, poza tym o tej porze nie będzie zbyt dużego tłumu.

- Zgoda - powiedział Barney.

- Dokładnie za pięć piąta.

Usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki i połączenie zostało przerwane. Zaciągnął się cygaretką i zaczął zastanawiać się. Jeżeli pójdzie na to spotkanie, to postąpi wbrew instrukcjom Lehmansa. Z drugiej jednak strony Lehmans sam przyznał, że obecność policji czasami stanowi utrudnienie.

Ryzyko wplątywania się w coś, co nie do końca rozumiał, i do tego w obcym mieście, niepokoiło Barneya. Obermann mógł go wystawiać komuś. Jednak jego argumenty za spotkaniem w zoo miały ręce i nogi. Powody wcześniejszej odmowy współpracy też brzmiały prawdopodobnie.

Barney poszedł do łazienki, wrzucił cygaretkę do sedesu i spuścił wodę. Następnie podszedł do umywalki i skropił twarz zimną wodą. Wyprostował się i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Miał podkrążone oczy, a opalenizna z dnia spędzonego z Timmym na plaży, zdążyła już zblednąć. Na bladej skórze policzka odcinała się czerwona blizna. Musi spotkać się z Obermannem. Nie ma wyboru. Obermann mógł być kluczem do tej sprawy. Musi podjąć ryzyko i postąpić wbrew instrukcjom Lehmansa.

\*

W recepcji siedział młody czarnowłosy mężczyzna, który uśmiechnął się do podchodzącego Barneya.

- Co może mi pan powiedzieć na temat berlińskiego zoo? - zapytał Barney.

- Całkiem sporo - odparł młodzieniec. - Proszę zaczekać.

Sięgnął na półkę, na której leżały rozkłady jazdy i przewodniki. Przerzucił kolorowe broszury i podał Barneyowi folder z małym lwem na okładce.

- Nasze zoo stało się prawdziwą legendą, panie Caine - zaczął opowiadać z dumą. - W 1939 szczyciło się największą kolekcją zwierząt na świecie. Tutaj po raz pierwszy zastosowano otwarte wybiegi.

- Interesuje mnie część poświęcona zwierzętom wodnym. Czy wie pan, gdzie znajduje się akwarium?

- Na drugim piętrze budynku administracyjnego. Wejście jest od Budapestenstrasse.

- Mam się spotkać z kimś na bambusowym moście.

- Tak. Bambusowy most jest w sali krokodylowej. To jedna z najslawniejszych

ekspozycji.

- Dziękuję - powiedział Barney, chowając folder do kieszeni.
- Proszę nie spodziewać się zbyt wiele - ostrzegł go recepcjonista.
- Podobno jest najsłynniejsze na świecie.

- Było w 1939 roku. W 1943, a szczególnie w 1944, podczas alianckich nalotów, zostało w dużej części zniszczone. Wysilek setek lat został zniweczony. Ostateczny cios nastąpił w kwietniu 1945 - w głosie recepcjonisty czuło się prawdziwy smutek. - Zoo stało się placem bitwy. Fanatyczny oddział SS stawiał tam czoła radzieckim czołgom. To była masakra. Zwierzęta biegające pomiędzy strzelającymi żołnierzami, zebry rzucające się pod gąsienice czołgów. Budynek po budynku. Wszystko zostało zniszczone. Koniec Rzeszy nastąpił w zoo.

- Jestem pewien, że po tylu latach zostało odbudowane.
- Tak, ale to już nie to samo.
- Bardzo dziękuję za pomoc.

Odchodził już, kiedy coś sobie przypomniał.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, to będę w barze.

Zamówił whisky i jeszcze raz zadał sobie pytanie, czy mądrze robi idąc samotnie na spotkanie z Obermannem. Nie chciał sprawiać Lehmansowi żadnych kłopotów. Miał ich wystarczająco dużo.

Popatrzył na whisky w szklaneczce i zaczął palcem przesuwając kostki lodu. Przypomniał sobie, że to samo robiła Kay, kiedy widział się z nią w dniu śmierci Toma.

- Czy pan Caine? - Głos, który zadał to pytanie, był nieco przytłumiony, a niemiecki akcent dodawał mu tajemniczości. Stwierdził, że patrzy prosto w parę niebieskich oczu. Miała wystające kości policzkowe, opadające łagodnym łukiem w stronę małego, patrycjuszowskiego nosa i pełnych, miękkich warg. Jej twarz okalały długie, jasne włosy o naturalnym odcieniu, którego na próżno szukać w sklepach z kosmetykami. Była wysoka, szczupła, miała pełne piersi i wciętą talię. Otaczał ją intensywny zapach perfum.

- Tak. Nazywam się Barney Caine.

Podeszła bliżej, tak że mógł zobaczyć pajęczynkę topazowych linii biegnących od jasnoniebieskich tęczywek.

- Jestem Lisa Obermann. Czy mogę się przysiąść na moment?
- Proszę.

Barney wstał i podsunął jej stółek barowy. Ubrana była w zielonkawą sukienkę, a przez ramię miała przewieszoną czarną pelerynkę.

- Czego się pani napije?

- Może kieliszek białego wytrawnego wina.

Zamówił wino i spojrział w kierunku wejścia. Nikt jej nie towarzyszył. W barze nie pojawiła się żadna nowa twarz.

Dziewczyna otworzyła dużą, beżową torbę i wyciągnęła paczkę niemieckich papierosów. Barney wyjął zapalki i zapalił jedną. Jej palce dotknęły jego dłoni, kiedy przypalał jej papierosa. Zaciągnęła się głęboko i podziękowała. Cechowała ją subtelną urodą, którą charakteryzują się dzieła sztuki, ale w jej oczach, policzkach i postawie widać było ukrytą siłę.

Barman podał jej wino.

- Pana zdrowie - wyszeptła, podnosząc kieliszek do góry.

- Zdrowie - odpowiedział z uśmiechem.

- Przedstawiłam się jako Lisa Obermann, ale moje prawdziwe czy raczej zawodowe nazwisko brzmi Spangler. Jestem modelką. Spangler to nazwisko moich naturalnych rodziców. Urodziłam się w szpitalu wojskowym w Zossen, tuż przed nadejściem Sowietów.

Wydało mu się dziwne, że użyła słowa „Sowieci” zamiast „Rosjanie”.

- Moja matka zginęła w czasie bombardowania. To było w trzy dni po moim przyjściu na świat.

Zastanawiał się, dlaczego opowiada mu historię swojego życia, ale postanowił powstrzymać się od pytań.

- Wiem, że nadużywam pańskiej cierpliwości, ale wszystko za moment wyjaśnię - powiedziała, jakby czytając w jego myślach. - Zostałam zabrana z grupą innych sierot z Zossen do szpitala niedaleko Hamburga. Władze szpitala skontaktowały się z Paulem Obermannem. Był bratem mojej matki. Zaopiekował się mną. Uważam go za ojca. Wychował mnie. Nie zdaje pan sobie sprawy, ile miałam szczęścia. Niewielu takim jak ja dzieciom udało się przeżyć.

Popatrzyła na Barneya.

- Teraz już wie pan, kim jestem.

- Ale nie wiem, dlaczego pani tu przyszła.

- Przyszłam tu, ponieważ mój przybrany ojciec zadzwonił do mnie kilka minut temu. Powiedział, że chciał się pan z nim zobaczyć w związku z morderstwem popełnionym w Los Angeles, w sprawie którego śledztwo pan prowadzi. Dotyczy to Amerykanina o nazwisku Neeley. Powiedział jeszcze, że jesteście umówieni w zoo.

- To dziwne. Kazał mi dotrzymać tajemnicy. Dlaczego miałby pani o tym mówić?

- Bo jest przerażony, a ja jestem jedyną bliską osobą. Chciał, żebym wiedziała, dokąd

idzie - tu przerwała i spojrzała mu w oczy - i z kim ma się spotkać.

- Czego się boi?

- W czasie wojny uczestniczył w tajnych badaniach.

- Jakiego rodzaju?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że były tajne.

- Skąd pani to wie?

Zgasiła papierosa i odgarnęła włosy. Obróciła się na stołku i usiadła twarzą do niego.

- Jakies osiem miesięcy temu pewien Szwajcar przyszedł zobaczyć się z Paulem. Przemysłowiec. To, o czym dyskutowali, dotyczyło jego prac w czasie wojny. To spotkanie bardzo go wystraszyło.

Barney pokiwał głową i spojrzał na jej papierosy.

- Czy można?

- Proszę się poczęstować, panie Caine.

- Barney.

Uśmiechnął się, wziął papierosa i zapalił.

- Czy zna pani kogoś o nazwisku Diestel?

- Nie. Co to ma wspólnego z Paulem?

- Może nic. Czy słyszała pani kiedykolwiek, aby pani wuj wspominał słowo „Genesis”?

- Nie. Nigdy.

- Czy sądzi pani, że jego działalność w czasie wojny miała jakiś związek ze zbrodniami wojennymi?

- Dlaczego Amerykanie zawsze myślą, że cały naród niemiecki jest odpowiedzialny za te zbrodnie?

- No cóż - wzruszył ramionami. - Co jeszcze może przerazić człowieka w trzydzieści trzy lata po wojnie?

- Podczas panowania nazistów powstało wiele cennych wynalazków - odparła.

- Więc sądzi pani, że on wie o czymś na tyle cennym, że może to stanowić zagrożenie dla jego życia?

- Tak. Dlatego tu przyszedłam. Jestem przekonana, że mój wuj jest w niebezpieczeństwie.

Popatrzyła mu prosto w oczy i pochyliła głowę w jego kierunku. Układ jej warg podkreślał każde słowo.

- Proszę zostawić go w spokoju. Przyszedłam prosić o tę przysługę.

Jej niebieskie oczy przeleciały po jego twarzy zatrzymując się na ustach.

- Jestem policjantem - odparł - i mam powody przypuszczać, że pani wuj może mi pomóc. Muszę się z nim spotkać. Nie mam wyboru.

Skinęła głową i podniosła się, prostując swoją postać z dużą gracją. Zapach jej perfum stał się jeszcze intensywniejszy kiedy nachyliła się nad nim.

- Panie Caine, czynię pana osobiście odpowiedzialnym za bezpieczeństwo mojego ojca, mojego przybranego ojca.

Odwróciła się, by odejść, ale Barney chwycił ją za rękę.

- Jak mogę się z panią skontaktować?

- Dlaczego pan pyta?

- Być może będę chciał się z panią spotkać.

- Mój adres jest w książce telefonicznej - odpowiedziała z nutką tryumfu w głosie.

## 37.

Barney wysiadł z taksówki przy wejściu do zoo od Budapestenstrasse. Niebo pociemniało, a północny wiatr przyniósł ze sobą falę chłodu. Wyrzucił cygaretkę i wszedł do wnętrza ponurego budynku.

Przez środek pierwszej kondygnacji przebiegał mroczny tunel, w którym znajdowały się podświetlone akwaria z okazami fauny morskiej. Wszędzie widać było grupy dzieci i dorosłych. Barney zerknął na zegarek. Miał jeszcze osiem minut. Wszedł do tunelu i zaczął powoli spacerować wśród groteskowych kształtów przesuających się w mętnej wodzie. Dzieci obserwowały te niezwykle i czasem odrażające stworzenia z mieszaniną ciekawości i strachu.

Wyszedł z drugiej strony tunelu i ruszył po schodach na drugie piętro terrarium z płazami. Przed sobą zobaczył olbrzymi witraż przedstawiający Chrystusa, stanowiący dziwaczny, teologiczny pomost pomiędzy obrzydliwymi stworzeniami w wypełnionych wodą akwariach i pozwijanymi węzami w szklanych klatkach powyżej.

Tunel na drugim piętrze przecinało wysokie na dziesięć metrów i szerokie na piętnaście metrów, szklane atrium. Wisiała nad nim tabliczka z napisem „KROKODILHOLE”. Wewnątrz kwitła bujna roślinność. Oba brzegi spinał bambusowy most. Barney wszedł do tunelu i ruszył przed siebie, mijając zamknięte w klatkach węże różnych gatunków.

Po przejściu dziesięciu metrów dotarł do rozszerzenia i natychmiast ogarnęła go fala wilgotnego, dusznego powietrza.

Wkroczył na most. Miał on zaledwie półtora metra wysokości, a pod nim rozciągała się szeroka fosa. Basen wypełniony żółtozieloną, stojącą wodą otaczał nasyp wilgotnej ziemi. W wodzie widać było olbrzymie szare kształty. Miały po pięć metrów długości, ostro zakończone ogony i wyłupiaste oczy. Kilka z nich miało otwarte paszcze, eksponując rzędy morderczych zębów. Ciała zwierząt tworzyły splątane kłębowisko. Niektóre spały, a niektóre rozglądały się wokół, bijąc nerwowo ogonami.

Po przeciwnej stronie mostu stało dziecko wraz z matką. Kobieta trzymała chłopca za rękę, coś mu tłumacząc. Barney pokręcił głową, zastanawiając się, jak władze mogły dopuścić do zbudowania tak niskiego mostu. Wystarczy, że jedno zbyt ciekawskie dziecko zrobi fałszywy krok i będzie po wszystkim.

Upał, wilgotność, półmrok, duszący zapach i szare potwory zaczynały działać mu na nerwy. Czuł spływający mu po ciele pot. Spojrzał na zegarek. Obermann był już dwie minuty spóźniony. Rozpiął marynarkę. Pot zbierał mu się pod pachami. Spojrzał w prawo i w lewo w głąb tunelu z węzami. Stał dokładnie w centrum pomieszczenia, pod jedynym jasnym źródłem światła na całym piętrze. Snajper strzelający z ciemnego tunelu nie mógłby chybić.

\*

Zaczął zastanawiać się, co mogło zatrzymać Obermanna. Zdał sobie sprawę, że podjął duże ryzyko przychodząc tu samotnie. Otarł rękawem pot z czoła. Matka z synkiem wyszli z atrium.

Było bardzo cicho, nie licząc dobiegającego od czasu do czasu z tunelu odgłosu kroków. Postanowił dać Obermannowi jeszcze dwie minuty. Coś poruszyło się gwałtownie w fosie, powodując, że cała minidżungla zatrzęsała się. Barney spojrział w dół i zobaczył olbrzymiego krokodyla z otwartą paszczą i wyszczerzonymi zębami, bijącego gwałtownie trzymetrowym ogonem. Naprzeciw niego w podobnej pozycji stała druga ogromna bestia. Po chwili ogon znieruchomiał i oba potwory wlepiły w siebie wzrok.

Nagle jeden z nich zrobił gwałtowny zwrot i zanurzył się pod wodę.

Barney po raz kolejny zerknął na zegarek, po czym podniósł głowę i spostrzegł zbliżającego się Paula Obermanna. Miał na sobie ciemny płaszcz i szary filcowy kapelusz. Oczy zasłaniały mu przyciemnione okulary. Wydawał się niezwykle spokojny, ale jego brązowe oczy patrzyły we wszystkie strony. Podeszedł do Barneya i zdjął kapelusz. Nie przywitał się i nawet nie dał po sobie poznać, że dostrzegł obecność detektywa. Po prostu stanął, wpatrując się w szare monstra na dole.

- Proszę nie patrzeć w moją stronę ani nie okazywać, że się znamy - powiedział po dłuższej chwili. - Spotkaliśmy się przypadkowo i rozmawiamy o zwierzętach. Mamy tylko kilka minut. Co chce pan wiedzieć?

- Czy spotkał się pan z Tomem Neeleyem w styczniu?

- Tak.

- Skąd pan zna Toma?

- Spotkaliśmy się wiele lat temu.

- Gdzie?

- W Hamburgu.

Obermann zrobił krok do tyłu, odsuwając się od drewnianej poręczy. Barney bacznie go obserwował. Nie trzeba było wiele siły, żeby przetrzucić kogoś ponad niską barierką. Obermann popatrzył na niego przez zamglone okulary, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął wycierać szkła.

- W jakich okolicznościach poznaliście się?

- W kwietniu 1945 zostałem wzięty do niewoli przez Anglików. Thomas Neeley był wtedy tymczasowo oddelegowany do wywiadu brytyjskiego - odparł, spoglądając na okulary pod światło.

- Czym się zajmował?

- Nie wiem. Ale był dla mnie bardzo uprzejmy. Zajmowałem się wówczas tłumaczeniem pewnych dokumentów.

- Czego one dotyczyły?

- „Genesis”.

Barney poczuł ogarniające go ożywienie, towarzyszące zawsze znalezieniu klucza do skomplikowanej sprawy.

- Co oznacza „Genesis”?

- Był to kryptonim hydrogenacji - procesu chemicznego, w wyniku którego można ze związków organicznych, głównie węgla, produkować syntetyczne paliwa i oleje.

- Czy przez „paliwo” można rozumieć benzynę?

- Tak - potwierdził Obermann. - A także propan, metan, etylen, gaz palny, ropę naftową, wszelkiego rodzaju oleje, a nawet masło.

- Masło z węgla? - w głosie Barneya zabrzmiało szczere zdumienie.

- Tak. To, co wy, Amerykanie, nazywacie margaryną. Byłem pracownikiem zakładów hydrogenacji w Nordenstadt. Produkowaliśmy osiemset ton masła miesięcznie, głównie na użytek *Africa Corps*. Syntetyczne masło nie jełczało w warunkach pustynnych.



- A syntetyczne paliwo? Czy było produkowane w znaczniejszych ilościach?

- Jak na tamte czasy można je określić jako znaczne. W całej Rzeszy mieliśmy piętnaście zakładów tego typu. Niemal cała nasza machina wojenna pracowała na paliwie syntetycznym. Pod koniec wojny udało nam się nawet wyprodukować paliwo dla odrzutowców.

- Po co?

- Mieliśmy pierwszy na świecie odrzutowy samolot bojowy, *ME 262*. Wymagał zastosowania innego paliwa niż w tradycyjnych silnikach tłokowych. Oczywiście Führer zbyt długo czekał z wprowadzeniem go do produkcji masowej, więc nie mógł mieć wpływu na losy wojny. Ponadto produkowaliśmy paliwo dla rakiet A-4 i A-9, napędzanych alkoholem.

- I te wszystkie badania nosiły kryptonim „Genesis”?

- Tak.

Na moście pojawił się umundurowany strażnik.

- *Wir schliessen in zwei Minuten.*

Obermann dał ręką znak, że zrozumiał.

- Chodźmy. Za dwie minuty zamykają.

Przeszli przez most i znaleźli się w chłodnym, mrocznym tunelu, wśród podświetlonych klatek z węzami.

- Czego chciał od pana Neeley?

- Formuły „Genesis”.

- Po co komukolwiek ta formuła? Mam na myśli to, że po tylu latach, chyba nie jest to już tajemnica?

- Znane są tylko ogólne zasady. Tajemnicę stanowi katalizator, który umożliwia cały proces. Niewiele wiadomo na jego temat. To niesłychanie skomplikowany związek. Można powiedzieć, że jest on „czarną skrzynką”, sercem procesu. Pod koniec wojny rozeszła się pogłoska, że jesteśmy w posiadaniu nadzwyczajnego katalizatora. Katalizatora, który redukuje ilość wody i wodoru, obniżając w ten sposób temperaturę potrzebną do rozkładu łańcuchów węglowych. Wpływał także na wzrost efektywności: z sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu procent.

- Czy taki katalizator byłby dziś uważany za sekret?

- Bez wątplenia.

- Jak cenna byłaby taka formuła?

- Ktokolwiek byłby w jej posiadaniu, musiałby tylko mieć odpowiednią technologię i zapasy węgla, aby stać się niezależnym od dostaw ropy. Wartość formuły jest nie do

oszacowania.

Przeszli obok olbrzymiej klatki, w której czarno-zielony pyton rozwijał swoje sploty.

- Z tego wniosek, że koncerny naftowe nie byłyby zachwycone masową produkcją paliwa syntetycznego?

- Rozumie pan teraz moją niechęć do dyskusowania tego tematu. Formuła stanowiłaby zagrożenie dla przemysłu o wartości trzystu miliardów dolarów.

- Czy w styczniu spotkał się pan z żoną Toma, Kay?

- Tak. Wybraliśmy się pewnego wieczoru na kolację.

- Czy słyszał pan kiedyś nazwisko Frank Tedesco?

- Tak. Kay Neeley powiedziała, że wybiera się na Haiti, żeby spotkać się z tym Tedesco.

- Czy Neeleyowie wspominali coś o człowieku nazwiskiem Arthur Clements?

- Tak. O ile sobie przypominam, to właśnie on zasugerował Kay wyjazd na Haiti.

Barney oblał się zimnym potem.

- Czy zna pan niejakiego Diestela?

- Nie.

Dochodzili do końca tunelu.

- Co może pan powiedzieć mi na temat szwajcarskiego przemysłowca, który skontaktował się z panem osiem miesięcy temu?

Obermann zatrzymał się i spojrzał na Barneya z konsternacją. Stali naprzeciw klatki, w której w całej swojej okazałości prezentowała się królewska kobra. Kołysała się powoli, próbując ocenić dwie istoty po drugiej stronie szyby.

- Skąd pan wie o Szwajcarze?

- Lisa Spangler przyszła do mnie kilka godzin temu.

Obermann sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Martwiła się o pańskie bezpieczeństwo - dodał Barney.

- Zawsze taka była.

Kołysząca się za nimi kobra denerwowała Barneya. Dotknął ramienia Obermanna i ruszyli dalej.

- Proszę powiedzieć mi coś o tym Szwajcarze.

- Chciał dowiedzieć się czegoś na temat formuły. Powiedziałem mu, że nic nie wiem.

- Czy potrafi pan wyjaśnić, w jaki sposób udało się Tomowi odnaleźć pana po tylu latach?

- Neeley był wysokim urzędnikiem policji. Miał swoje sposoby. Poza tym wcale się

nie ukrywałem. Wręcz przeciwnie. W końcu zajmuję dość wysoką pozycję.

- Kto w czasie wojny kierował programem „Genesis”?

- Głównym szefem był Hermann Göring.

- A kto był szefem zespołu naukowego nadzorującego zakłady hydrogenacji i zajmującego się produkcją?

- Nie pamiętam. W pracach uczestniczyło wielu naukowców.

- Czy wie pan, po co Neeley pojechał do Hamburga?

- Nie mam pojęcia.

Wyszli z tunelu i zobaczyli strażników odprowadzających do wyjścia ostatnie grupy dzieci. Obermann włożył kapelusz.

- Doceniam pana pomoc - podziękował Barney.

- Proszę dać mi dwie minuty. Chcę wyjść z budynku sam.

- Dlaczego? Przecież są dwa wyjścia. Pan uda się do jednego, a ja do drugiego.

- Nie. Wyjście na Budapestenstrasse jest zamknięte. Musimy wyjść bramą zachodnią.

- W porządku. Poczekam.

- Dziękuję - odparł Obermann wyciągając rękę. - Życzę panu szczęścia, panie Caine.

Tom był bardzo miły dla mnie... przed laty.

Odwrócił się i zszedł marmurowymi schodami obok wielkiego witrażu.

Barney spojrział na zegarek. Było osiem po szóstej. Poczul ogarniający go chłód. Spojrział w tył, w kierunku atrium z krokodylami. Światła już zostały wygaszone i pozostała tylko jedna lampa, oświetlająca opustoszały most. Starł się uporządkować wszystkie wiadomości uzyskane od Obermanna, ale w głowie miał zamęt. Myślał o maśle dla *Africa Corps*, produkowanym z węgla, i o fakcie, że Niemcy posiadały paliwo syntetyczne już czterdzieści lat temu, oraz o cudownym katalizatorze, który czynił cały proces opłacalnym ekonomicznie. Zastanawiał się też nad tym, jak Tom spotkał Obermanna w Hamburgu, a potem odszukał trzydzieści pięć lat później.

Ruszył schodami w dół. Zszedł na parter i rozejrzył się. Po turystach nie było już śladu i tylko przy drzwiach stali umundurowani strażnicy. Jeden z nich otworzył przed nim drzwi.

- *Guten Abend* - powiedział z uśmiechem.

Barney znalazł się na kamiennym tarasie przed wybiegami dla zwierząt. Przypomnił sobie słowa recepcjonisty: tutaj została rozegrana ostateczna bitwa. Przed oczami pojawił mu się obraz zebr rzucających się pod rosyjskie czołgi. Nagle zapaliły się latarnie uliczne i obraz zniknął. Zrobiło się bardzo zimno i Barney postawił kołnierz płaszcza.

W kierunku bramy zachodniej kierowali się ostami zwiedzający. Rozjarzyły się

reflektory oświetlając kamienną rzeźbę przedstawiającą iguanodona. Groteskowa figura prehistorycznego gada wznosiła się na wysokość czternastu metrów. Barney powoli przebiegł oczami po ciele potwora. U podnóża figury zobaczył ciemną kałużę krwi wyciekającej z dziury w głowie Paula Obermanna.

Barney poczuł się jak sparaliżowany, jakby znalazł się w środku jakiegoś koszmaru. Jego nogi odmówiły wykonania poleceń mózgu. Wreszcie zaczął zbliżać się do leżącej na kamieniach postaci. Przyklęknął i delikatnie obrócił ciało. Obermann miał odstrzeloną prawą stronę głowy, a na piersi widniała druga dziura, z której krew wsiąkała w koszulę.

Barney rozejrzył się dokoła. Pozostali turyści kierowali się w stronę wyjścia, nieświadomi, że niespełna piętnaście metrów od nich leży martwy człowiek. Ktokolwiek zastrzelił Obermanna, używał tłumika. Barney spojrział w zamglone oczy inżyniera i poczuł falę współczucia dla niego. Rozumiał, ile odwagi wymagało przyjscie na to spotkanie. Słowa Lisy Spangler okazały się prorocze. Żałował, że nie posłuchał jej. Sięgnął do kieszeni płaszcza Obermanna i wyjął stamtąd portfel. Znalazł w nim dowód osobisty, kilka kart kredytowych, legitymację z biblioteki. W zwitek banknotów wetknięta była kartka papieru. Barney podniósł ją i podniósł do światła. Zobaczył napisane na niej nazwisko Friedrich Diestel i numer 83 45 67. Szybko schował ją do własnej kieszeni, a portfel umieścił z powrotem w płaszczu Obermanna.

Nagle usłyszał ciche klaśnięcie i w odległości zaledwie piętnastu centymetrów od jego prawego oka, z łapy iguanodona odprysnął kawałek cementu. Padł natychmiast na ziemię. Usłyszał kobiecy krzyk i zobaczył wysoką postać z twarzą zasloniętą maską w krzakach przy wyjściu. Mężczyzna trzymał w ręku pistolet wycelowany w Barneya. Metodycznie oddawał strzał za strzałem pośród biegnących i krzyczących turystów. Do hałasu dołączył się ryk lwów, których wybieg znajdował się zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Barney zaczął czołgać się z powrotem w kierunku tarasu budynku administracyjnego. Kolejny kawałek cementu odpadł ze schodów, kiedy wbiegał na stopnie. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła, po którym zrobiło się zdecydowanie ciemniej. To został trafiony reflektor u podnóża rzeźby. Taras pogrzyżył się w cieniu, co pomogło Barneyowi. Zaczął powoli pełznąć w kierunku drzwi budynku. Sięgnął ręką do klamki i natychmiast szklana szyba w drzwiach roztrzaskała się, a kawałki szkła obsypały jego głowę. Instynktownie opuścił rękę i w drzwiach pojawiło się dwóch strażników. Odgłos gwizdków zagłuszył wrzaski ogarniętych paniką turystów i ryki zdenerwowanych lwów.

Wczołgał się do wnętrza i zobaczył kolejnych trzech strażników zbiegających po schodach. Dwóch przebiegło obok, a trzeci pomógł mu wstać.

- *Sind Sie in Ordnung?* - zapytał.

- *Nicht sprechen.* Nie rozumiem. *Nicht sprechen deutsch* - wysapał Barney.

- *Rufen Sie die Polizei an!* - krzyknął jeden ze strażników z zewnątrz.

Strażnik stojący przy Barneyu pobiegł do telefonu w końcu sali.

## 38.

W blasku świateł widać było, jak oddech zamienia się w parę. Barney oparł się o samochód policyjny i popijał letnią kawę z kubeczka. Był pod wrażeniem sprawności działania policji w sprawie zabójstwa. Dwóch detektywów przeczesywało krzaki w poszukiwaniu łusek. Koroner wraz z pomocnikami stał nad ciałem Paula Obermanna. Wysoki, przystojny mężczyzna porównywał swoje notatki z listą, którą pokazywał mu asystent. W końcu skinął głową. Pomocnicy położyli zwłoki na noszach i wsunęli je do ambulansu. Koroner podszedł do Hansa Lehmana, powiedział coś do niego i wrócił do ambulansu, dając sygnał do odjazdu.

Fotograf wykonał ostatnie zdjęcie obrysu pokazującego położenie ofiary. Lehman skonsultował jakiś szczegół z jednym z detektywów i podszedł do Barneya.

Wyjął paczkę papierosów i podsunął Barneyowi. Barney zaciągnął się głęboko, czekając na atak słowny. Lehman jednak milczał. Po prostu palił papierosa i spoglądał na miejsce zbrodni. Świecił tylko jeden reflektor, oświetlając głowę iguanodona i nadając mu aurę realności, tak jakby kamienny potwór miał za chwilę ruszyć z miejsca.

Lehman wyglądał na zmęczonego. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się, a usta zacisnęły w cienką linię.

- Rozczarowałeś mnie, Barney. Teraz, oprócz ucieczki terrorystów, mam na głowie zabójstwo obywatela niemieckiego. Prosiłem, żebyś nie działał na własną rękę.

- Nie było innej możliwości spotkania się z Obermannem - odparł z westchnieniem Barney. - Nie chciałem mieć do czynienia z policją. Co miałem zrobić?

- Musisz brać pod uwagę moje problemy.

- A co ty zrobiłbyś na moim miejscu? Obermann był jedynym śladem. Wyobraź sobie, że jesteś w Los Angeles i masz do czynienia z taką samą sprawą. Co byś zrobił?

- To nie to samo - odparł Lehman kręcąc głową. - Jesteś na tropie czegoś, co sięga wstecz prawie trzydzieści pięć lat, i to w kraju, gdzie przeszłość może kryć wydarzenia tak okropne, że wielu zrobi wszystko, żeby prawda nie wyszła na jaw. A ty grzebiez w tej

przeszłości, nie mając żadnego oficjalnego statusu, ochrony czy chociażby broni. Nie życzę sobie, żebyś ignorował moje instrukcje. To nie jest prośba. To rozkaz.

Barney pomyślał o kartce, którą zabrał Obermannowi, a która znajdowała się w jego kieszeni. Kartce, na której był zapisany numer telefonu Friedricha Diestela. Zastanawiał się, czy wspomnieć o tym. Postanowił poczekać.

Podszedł do nich detektyw, niosąc plastikową torebkę z pięcioma łuskami. Lehmans wyjął jedną, przyjrzał jej się dokładnie i podał Barneyowi.

- Dwudziestka dwójka. Znaleźli ją w krzakach.

Barney oddał łuskę detektywowi. Lehmans powiedział coś do niego po niemiecku i ten poszedł w stronę detektywów przesłuchujących strażników. Lehmans rzucił papierosa na ziemię i zgasił nogą.

- Czy Obermann powiedział jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

Barney pokręcił przecząco głową.

- W takim razie sądzę, że powinniśmy pojechać do jego mieszkania.

- Należałoby najpierw powiadomić jego siostrzenicę.

- Masz rację. Zapomniałem jej nazwiska.

- Lisa Spangler. Jest w książce telefonicznej.

Jeszcze raz spojrzeli na kredowy obrys.

- Kiepskie miejsce do umierania - stwierdził Barney.

- Kostucha pojawia się tu nie po raz pierwszy - odparł Lehmans.

\*

Mieszkanie Obermanna znajdowało się przy Sperlingstrasse. Była to mała uliczka, zabudowana trzypiętrowymi budynkami. Spokojne osiedle w brytyjskiej części podzielonego miasta.

Dozorczyni była bezzębną, otyłą staruszką o siwych włosach i złych, brązowych oczach. Nie chciała dać Lehmansowi klucza do mieszkania Obermanna i uparła się, że sama im otworzy.

Podczas wspinaczki na trzecie piętro ani na chwilę nie przestawała zrzędzić. Otworzyła drzwi mieszkania 3B i zapaliła światło. Lehmans próbował zadać jej kilka pytań, ale staruszka nie pozwoliła przerwać sobie monologu. W końcu udało się ją wyprowadzić, ale jej głos słychać było nawet po zamknięciu drzwi.

- O co jej chodziło?

- Narzekała, że ma za małą emeryturę i że pieniądze nie nadchodzą na czas.

- Ale dlaczego uczepliła się ciebie?

- Starsi ludzie wiążą każdego przedstawiciela władzy ze swoimi problemami. Powiedziała, że jej mąż i dwaj synowie zginęli walcząc za starą Rzeszę. A teraz panowie nowej Rzeszy chcą ją zniszczyć. Jesteśmy narodem pięćdziesięciu trzech milionów blizn - westchnął ciężko.

Powoli przeszli przez mały apartament, który składał się z saloniku, małej sypialni, zadziwiająco dużej i nowoczesnie urządzonej kuchni oraz sporej łazienki. Meble były stare, ale w dobrym stanie. Na ścianach wisiało kilka litografii przedstawiających sceny z Alp Bawarskich oraz fotografia, na której dużo młodszy Obermann stał w towarzystwie wysokiego, eleganckiego mężczyzny. Inna fotografia ukazywała Lisę Spangler na tle czegoś, co wyglądało na miasteczko uniwersyteckie.

Zapoznawszy się z rozkładem mieszkania, Barney i Lehmans rozpoczęli znużającą rewizję. Przechodząc systematycznie z pomieszczenia do pomieszczenia, przeszukali szuflady, szafy, biurko, szafki kuchenne, walizki. Byli bardzo dokładni, niczego nie opuszczając i zaglądając wszędzie. Po półgodzinie zebrali kilka wyglądających na istotne dokumentów: wyciągi z konta, kwity podatkowe od 1956 roku, list od jakiejś kobiety z 1957 i drugi od profesora Wolfa Siebolda z datą 25 października 1957, wysłany z Bronsville w Teksasie, paszport z pieczęcią kontroli granicznej z lotniska w Zurychu z datą 19 lipca 1977. Resztę papierów stanowiły rachunki i odcinki wypłat z zakładów energetycznych.

- To wygląda tak, jakby jego życie zaczęło się w 1956 roku - stwierdził Barney.

Lehmans przeczytał list od profesora Siebolda.

- Zdaje się, że ten Siebold był szefem jednego z zespołów pracujących nad „Genesis”. Píše w tym liście, że wraz z amerykańskimi ekspertami do spraw paliw pracuje nad budową w Bronsville zakładów produkujących paliwo syntetyczne, że po ośmiu latach badań budowa ma zostać przerwana i że wraca do Niemiec, mając nadzieję spotkać się ze swoim dawnym asystentem.

- Więc Obermann kłamał - powiedział Barney. - Utrzymywał, że nie miał nic wspólnego z paliwami i że pracował tylko przy produkcji syntetycznego masła. Dlaczego nie chciał powiedzieć prawdy?

- Z tej samej przyczyny, dla której został zabity. Kłamał, żeby osłonić pozostałych przy życiu naukowców programu „Genesis”.

- Z tego wynikałoby, że profesor Siebold jeszcze żyje.

- Można przyjąć takie założenie - zgodził się Lehmans.

Barney podszedł do kominka i zaczął przyglądać się fotografii Obermanna i wysokiego mężczyzny.

- Co niemiecki naukowiec robił w Teksasie? - zapytał.

- Po wojnie Amerykanie, Anglicy, Francuzi i Rosjanie wysłali do swoich krajów tysiące wziętych do niewoli naukowców - odparł Lehmans, wkładając znalezione dokumenty do brązowej koperty.

- Dlaczego Amerykanie zrezygnowali po ośmiu latach badań z budowy wytwórni paliwa syntetycznego?

- O to musisz zapytać profesora Siebolda.

Usłyszeli pukanie i kolejną falę narzekań gospodyni. Lehmans otworzył drzwi i do pokoju weszła Lisa Spangler. Staruszka przeniosła swoje zainteresowanie na detektywa i umundurowanego funkcjonariusza stojących obok niej. Lehmans przytaknął jej i zamknął drzwi.

Lisa Spangler stanęła w przedpokoju. Jej bladoniebieskie oczy były podkrążone i patrzyły to na Barneya, to na Lehmansa.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało - odezwał się Barney.

Spojrzała na niego z wyrzutem, ale nie odezwała się ani słowem.

- Pan Caine działał zgodnie z procedurą policyjną. W żadnym wypadku nie ponosi odpowiedzialności za śmierć pani wuja. Paul Obermann obawiał się czegoś i to coś go zabiło. Pani może nam pomóc w ustaleniu, co to było - powiedział Lehmans.

- Nie mam zamiaru w niczym wam pomagać - stwierdziła spokojnie.

- Nie ma pani wyboru, panno Spangler. Prowadzę oficjalne dochodzenie w sprawie zabójstwa niemieckiego obywatela. Możemy spotkać się w sądzie lub może pani odpowiedzieć na moje pytania tutaj.

Popatrzyła na nich przez chwilę, po czym podeszła do fotela i usiadła.

- W kuchni jest butelka brandy. W szafce nad zlewem. Czy mogę prosić o drinka?

Lehmans wyszedł z pokoju. Barney usiadł na sofie. Zmęczenie znowu dało znać o sobie. Czuł różnicę czasu, a wydarzenia wieczoru też zaczęły odbijać się na jego nerwach. Lisa otworzyła torebkę, wyjęła paczkę papierosów i zapaliła jednego. Zaciągnęła się i wypuściła z ust chmurę dymu.

- Nie potrafię zrozumieć ludzi pańskiego pokroju, panie Caine - powiedziała. - Co, na miłość boską, może być tak ważne, żeby narażać życie niewinnego człowieka?

- Nie mogę zakładać, że moje postępowanie naraża innych na niebezpieczeństwo. Zrobiłem to, co dyktowała mi etyka zawodowa.

Wszedł Lehmans niosąc brandy i trzy szklaneczki. Podał jedną Lisie i nalał jej pokąźną porcję trunku. Tę samą operację powtórzył w stosunku do Barneya i siebie. Lisa



wypiła łyk i wstrząsnęła się.

- W porządku, inspektorze. Proszę zadawać te swoje pytania.

Lehmans wyjął notatnik i długopis.

- Gdzie pani pracuje?

- W agencji Lemendorfa. W budynku Europa.

- Pani zawód?

- Modelka.

- Kiedy ostatni raz widziała pani Paula Obermanna?

- Kilka miesięcy temu.

- Nie pamięta pani dokładnej daty?

- Nie. To było, zanim wyjechałam do Paryża. Chyba w marcu.

- I co się wtedy wydarzyło?

- Kiedy?

- Kiedy spotkała się pani z Obermannem.

- Nic specjalnego. Zjedliśmy obiad w restauracji w Tiergarten. Uwielbiał to miejsce.

Jego spokój. - Spojrzała na fotografię Obermanna. - Wszyscy jego znajomi nie żyją. Tylko ja mu pozostałam.

- A współpracownicy w zakładzie?

- Paul z trudem nawiązywał przyjaźnie.

- Dlaczego?

- Coś w jego przeszłości powodowało, że był samotnikiem.

- Czy był żonaty?

- Tak. Kiedy ja byłam na uniwersytecie. Ożenił się z jakąś kobietą z Westfalii. To było, zdaje się, w 1958. Była arystokratką. Niezwykle chłodna.

- Gdzie jest teraz?

- Nie żyje. W rok czy dwa po ślubie zmarła na atak serca.

Nastąpiła chwila ciszy i Lehmans spojrzał na Barneya, który skinął głową.

- Czy nie będzie pani miała nic przeciw, jeżeli zadam kilka pytań?

- Nie.

- Czy Obermann wspominał kiedyś nazwisko Wolf Siebold?

- Nie.

- Czy zna pani tego człowieka? - zapytał wskazując na fotografię nad kominkiem.

- Pewnie jakiś dawny przyjaciel.

- Dlaczego uważała pani, że Obermannowi grozi niebezpieczeństwo?

- Kiedy skontaktował się z nim ten szwajcarski przemysłowiec, Paul przyszedł do mnie. Był przestraszony. Wiedziałałam, że miało to związek z jego przeszłością. Mówiłam już o tym po południu.

- Zgadza się.

- Jeżeli zadzwoni pani do mnie rano pod ten numer, to będzie pani mogła odebrać ciało i zająć się pogrzebem - powiedział Lehmans, podając jej swoją wizytówkę.

Schowała ją do torebki i wstała.

- Nie będzie żadnego pogrzebu. I tak nikt by nie przyszedł. Zajmę się kremacją jego zwłok i rozrzucę prochy nad jeziorem Tiergartensee. To jezioro było dla niego najpiękniejszym miejscem.

- A co z jego rzeczami?

- Zostawię wszystko staruszce z dołu. Nie chcę niczego oprócz mojej fotografii. Czy mogę ją zabrać?

- Oczywiście.

Podeszła do kominka i wzięła swoje zdjęcie. Popatrzyła przez chwilę na fotografię Obermanna i odwróciła się w stronę wyjścia.

- Chwileczkę! - zatrzymał ją Barney.

- Tak?

- Chciałbym złożyć ostatni hołd pani ojcu.

Popatrzyła na niego przez chwilę.

- Jeżeli pan sobie życzy - powiedziała i wyszła.

- Niezła dziewczyna.

- Tak - zgodził się Lehmans. - Ma taką chłodną i magnetyczną urodę, którą można znaleźć u kobiet z północy. Szczególnie tych z Helgolandu. Tak jakby była ich cechą wrodzoną.

- Gdzie jest Zossen? - zapytał Barney.

- To małe miasteczko jakieś dwadzieścia kilometrów na południowy wschód od Berlina. Obecnie znajduje się w Niemczech Wschodnich. Dlaczego pytasz?

- Powiedziała mi, że tam się urodziła. W szpitalu wojskowym w 1945.

- To możliwe. Pod koniec do szpitali wojskowych przyjmowano też cywilów. W Zossen była kwatera główna OKW. Ale ona wygląda mi na urodzoną na północy.

- Powiedziała, że Sowieci zbombardowali szpital. Jej matka zginęła dzień lub dwa po jej urodzeniu.

- To też możliwe. Wtedy panował już totalny chaos. Ale polecę sprawdzić ją. Chodź,

podrzucę cię do hotelu.

Lehmans jechał szybko przez miasto, zwalniając jedynie na zatłoczonej Kurfürstendamm. Zatrzymał się przed wejściem do hotelu.

- Możesz przyjść o ósmej do sali autopsji. Kostnica i oddział patologii znajdują się w moim budynku.

- Chyba sobie to odpuszczę - odparł Barney.

- To zadzwonię do ciebie o dziesiątej - zaproponował Lehmans.

Barney skinął głową i przetarł zmęczonym gestem oczy.

- Co się stało?

- Jestem zmęczony.

- Nie. To coś więcej niż zmęczenie. Wyczuwam to od tego zdarzenia w zoo. Czujesz się odpowiedzialny za śmierć Obermanna?

- Nie, to nie to - odparł i odwrócił się twarzą do Lehmansa. - Dam ci coś, ale w zamian chcę żebyś wyświadczył mi przysługę.

Sięgnął do kieszeni i wyjął kartkę z nazwiskiem i telefonem Diestela.

- Znalazłem to w portfelu Obermanna.

Lehmans przyjrzał się karteczce.

- Przepisałeś? - zapytał, wrzucając ją do koperty z dokumentami znalezionymi u zmarłego.

- Tak.

- Co chcesz, żebym zrobił?

- Chcę pójść do Diestela sam.

- To niemożliwe.

- Pójdę do niego do biura. Przedtem do ciebie zadzwonię, żebyś wiedział, co i jak.

- Skąd wiesz, że ma biuro?

- Poprosiłem jednego ze strażników w zoo, żeby tam zadzwonił. Odpowiedziała automatyczna sekretarka.

Lehmans nic nie odpowiedział i Barney postanowił jeszcze go przycisnąć.

- Pozwól mi się z nim zobaczyć. Potem zostawię go tobie.

- No, dobra - westchnął Lehmans. - Masz do mnie zadzwonić, kiedy będziesz do niego szedł. Masz mi też dać znać, jak wrócisz.

- Możemy w ogóle przyjąć taką metodę.

- Co masz na myśli?

- Pozwól mi działać samemu, za to ja będę cię na bieżąco informował o wszystkim. W

ten sposób, zawsze będziesz wiedział, co robię. Innymi słowy będziesz mógł mnie osłaniać.

- Spróbujemy - odparł Lehman. - Teraz idź, prześpij się.

Barney wysiadł z samochodu, podszedł od strony kierowcy i nachylił się do okna.

- Przykro mi z powodu tej afery w zoo.

- Dlaczego ma ci być przykro? Na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

\*

Barney stał przy oknie i obserwował neonową gwiazdę Mercedesa obracającą się powoli na dachu budynku Europa. Starał się przetrwać informacje dotyczące prawie czterdziestu lat życia Toma Neeleya. Pomyślał o młodym Tomie, eskortującym w kwietniu 1945 konwój wiozący akta „Genesis”. W jego głowie kłębiła się lawina pytań. Czy Neeley wiedział, czym jest „Genesis”? Czy akta zawierały formułę cudownego katalizatora, o którym mówił Obermann? Dlaczego Amerykanie przekazali sprawę Anglikom? Co się dalej stało z aktami? Czy Neeley pracował z Obermannem nad aktami „Genesis”? W jaki sposób odkrył na nowo formułę po trzydziestu pięciu latach? Dokąd zmierzał niemiecki konwój? Może chcieli przewieźć tajne akta w bezpieczne miejsce? Ten problem nie był najważniejszy w tej sprawie. Istotny był związek z nią Neeleya. Wszystko sprowadzało się do jednego: osoby zamordowanego policjanta.

Barney wyjął z lodówki butelkę wina mozelskiego, otworzył ją i poszedł do łazienki. Z małej fiolki wydobył tabletkę Seconalu i popił ją czerwonym winem. W lustrze zobaczył swoją twarz. Ciemne kręgi pod oczami były wyraźniejsze, a skóra nabrała szarego koloru. Zgasił światło w łazience i poszedł do łóżka.

Dwadzieścia minut później kombinacja wina, Seconalu i zmęczenia zwyciężyła: zasnął. Zdawało mu się, że przez sen słyszy dzwonek telefonu, który jednak stał się częścią nierealnego świata snu.

## 39.

Obudził się z uczuciem głodu. Zamówił sok, jajecznicę, parówki, bułeczki i duży dzbanek kawy. Po śniadaniu zadzwonił do Friedricha Diestela. Odebrała sekretarka mówiąc z brytyjskim akcentem. Barney przedstawił się i poproszono go aby zaczekał.

Po chwili usłyszał głos Diestela. Ostrożnie wyjaśnił mu, że nie musi zgadzać się na spotkanie, ale wtedy będzie z nim rozmawiać policja.

- Jeżeli tylko mogę w czymś pomóc, proszę powiedzieć - głos Diestela wprost ociekał

uprzejmością. - Co pan powie na godzinę jedenastą piętnaście?

- Odpowiada mi - odparł Barney.

- To dobrze. Z przyjemnością poznam pana.

Barney przerwał połączenie i wykręcił numer Lehmansa. Poinformował go, kiedy i gdzie spotka się z Diestelem.

Lehmans podziękował mu za wiadomość.

- Autopsja wykazała, że Obermann został trafiony dwa razy w pierś i raz w głowę. Każda z ran była śmiertelna. Użyto Walthera PPK kaliber dwadzieścia dwa - powiedział.

- Aha, jeszcze jedno. Moja sekretarka sprawdziła pozostałe numery z rachunków telefonicznych Neeleya.

- Coś ciekawego?

- Nie. Dzwonił do linii lotniczych, restauracji, nocnych klubów, muzeum Pergamon we wschodnim Berlinie i trzy razy do hotelu „Atlantic” w Hamburgu. Poza tym raz do Fridricha Diestela.

- Kiedy będziesz miał akta federalne Obermanna?

- Za trzy lub cztery dni. Muszą przyjść z Wiesbaden i skompletowanie ich zajmie trochę czasu. Dokumenty dotyczące okresu przed 1945 są porzucane po całych Niemczech.

- A co z dziewczyną?

- Jak dotąd wszystko się zgadza. Przez dwa lata studiowała na Uniwersytecie Berlińskim. Jest modelką i w zasadzie pracuje dla agencji Lemendorfa. Legitymuje się paszportem zachodnioniemieckim. Nigdy nie była notowana.

- Świadectwo urodzenia?

- Tak jak ci powiedziałem. Zossen wpadło w ręce Rosjan. Tysiące dzieci zostało pozbawionych aktów urodzenia. Większość dokumentów zniknęła wraz z Trzecią Rzeszą. Daj mi znać o wynikach rozmowy z Diestelem.

\*

Przy biurkach ustawionych po przeciwległych stronach dużego pokoju siedziały dwie sekretarki. Przez szklaną ścianę za nimi widać było panoramę miasta. Barney wybrał dziewczynę z lewej strony. Była ładnym stworzeniem o dużych ciemnych oczach, mających smutny wyraz.

- Nazywam się Barney Caine. Jestem umówiony z panem Diestelem.

Jej ciepły, szeroki uśmiech kłócił się ze smutnymi oczami.

- To tamte drzwi, panie Caine. Pan Diestel oczekuje pana.

Gabinet Diestela był duży i bogato umeblowany. Wszystkie cztery ściany były ze szkła. Jedna z nich wychodziła na wieżę telewizyjną we Wschodnim Berlinie.

Diestel wstał zza biurka i podszedł do Barneya. Wyglądał na niespełna sześćdziesiąt lat. Był średniego wzrostu, o szczupłej sylwetce. Miał regularne rysy twarzy, którą okalały jasne, nieco siwiejące włosy. Z przyjemnym wyglądem kolidowały cienkie i niemal pozbawione warg usta. Miał na sobie ciemny, dwurzędowy garnitur. Uścisnęli sobie ręce.

- Proszę usiąść - powiedział Diestel, wskazując czarny fotel.

Usiedli naprzeciwko siebie.

- Kawy? - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

- Cygaro?

- Nie.

- Jest pan pewien? Hawańskie.

Diestel wyjął z pudełka małe czarne cygaro i odgryzł końcówkę, odkładając ją ostrożnie do popielniczki. Zapalił je i zaciągnął się głęboko.

- Proszę zaczynać, panie Caine.

- Skąd zna pan Paula Obermanna?

- Pierwszy raz spotkałem tego biedaka latem 1939, kiedy nadzór nad programem „Genesis” objęło SS. Ja byłem jednym z nadzorców z ramienia SS. Paul Obermann pracował w zakładzie hydrogenacji Hoesch-Treibstoffwerk w Dortmundzie. Tam właśnie spotkaliśmy się późnym latem 1939. Bardzo znamienny czas.

- Czym zajmował się Obermann?

- Był chemikiem.

- Pod czyim zwierzchnictwem?

- Zakładem w Dortmundzie, jak i czternastoma podobnymi kierował profesor Wolf Siebold.

- Jak działał łańcuch dowodzenia?

- Co ma pan na myśli?

- Przypuśćmy, że Siebold złożył zapotrzebowanie na jakieś materiały lub siłę roboczą. Co się wtedy działo?

- Załóżmy, że chodziło o siłę roboczą. Akurat ja się tym zajmowałem. Widzi pan, oprócz niemieckich naukowców zatrudnialiśmy Żydów jako pracowników fizycznych.

- Żydów? - spytał Barney z niedowierzaniem.

- Tak. Czy to pana dziwi? Sądziłem, że od czasu Norymbergii nie pozostały już żadne

tajemnice. Wykorzystywaliśmy więźniów z trzynastu centrów eksterminacji znajdujących się we wschodniej Europie.

Wypowiedziane bez skrępowania słowa „centra eksterminacji” zaskoczyły Barneya.

Diestel odchrząknął.

- Przepraszam, jeżeli uraziłem pana, ale historii nie można zmienić. Nie można od niej uciec.

- Proszę opowiedzieć mi, jak wyglądał łańcuch dowodzenia.

- Czy ma pan coś do pisania?

- Nie.

Diestel wstał, podszedł do biurka, wziął notatnik i czarne pióro i podał je Barneyowi.

- Nie rozumiem, po co panu te nazwiska. To było prawie czterdzieści lat temu.

- Prawdopodobnie nie ma to sensu - odparł Barney - ale sprawy o zabójstwo wymagają dużej dokładności.

Diestel podszedł do jednej z oszklonych ścian, popatrzył przez chwilę na miasto, po czym odwrócił się w stronę detektywa. Jego głos zmienił się. Nie był już taki uprzejmy. Stał się chłodny i zasadniczy.

- Prośba o siłę roboczą trafiała do mnie. Ja przekazywałem ją Kepplerowi. Keppler pisze się przez dwa-pe. Następnie otrzymywał ją Pohl.

Diestel przeliterował to nazwisko.

- Następnie - kontynuował - trafiała do Kroucha - przeliterował nazwisko Krouch - i na koniec trafiała na biurko Göringa. Przypuszczam, że to nazwisko potrafi pan napisać.

Barney zignorował sarkazm zawarty w ostatnim stwierdzeniu.

- Co robił Göring? - zapytał.

- Marszałek Göring dzwonił do doktora Abrahama Esaua, szefa programu „Genesis”.

- Jak to się pisze?

- E S A U.

- Co działo się potem?

- Doktor Esau przekazywał prośbę do I.G. Farben.

- Dlaczego akurat tam?

- I.G. Farben było przemysłowym sercem Rzeszy. O wszystkich sprawach dotyczących kwestii zbrojeniowych i badań naukowych rozstrzygał sam Hitler lub I.G. Farben.

Diestel podszedł do Barneya i oparł się o fotel, na którym siedział detektyw.

- Ludzie tacy jak ja, Siebold czy Obermann byli tylko trybikami w olbrzymiej

maszynie. Pod koniec 1943 imperium I.G. Farben rozciągało się od Arktyki, poprzez całą Europę, aż do Afryki.

- Opierając się na pracy niewolniczej?

- Oczywiście. W Oświęcimiu znajdowała się duża fabryka należąca do koncernu.

Ponad trzydzieści tysięcy więźniów zmarło pracując tam.

Barney wstał. Poczł narastający w nim gniew i szaleńczą chęć trzaśnięcia Diestela w twarz.

- W pana ustach brzmi to jak osiągnięcie - powiedział ze złością.

- Proszę nie odgrywać cnotliwego Amerykanina, panie Caine. Pański kraj wcale nie jest lepszy. Bez pomocy udzielonej nam przez Standard Oil w 1938 nie bylibyśmy w stanie rozpocząć wojny. *Blitzkrieg* musiałby prawdopodobnie zostać odłożony. Czy pan wie, co to jest tetraetyl?

- Nie.

- To środek zwiększający liczbę oktanową. Bez niego nasze samoloty nie mogłyby latać. W lipcu 1938 naukowcy z zespołu „Genesis” jeszcze nie zdążyli opracować technologii produkcji tego związku. Standard Oil nie tylko zaopatrzył I.G. Farben w jego zapasy, ale udostępnił technologię produkcji. Tak więc we wrześniu 1939 byliśmy gotowi do inwazji na Polskę. *Blitzkrieg* mógł ruszyć dzięki pomocy amerykańskiej technologii. Musi pan zrozumieć, że dla kartelu liczy się tylko jego własne dobro. Nie ma się czego wstydić. Interes to interes. A teraz, panie Caine, jeżeli ma pan jeszcze jakieś pytania, to proszę je zadać, gdyż mam inne spotkania.

- Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego Obermann nie przyznał się do znajomości z panem?

- Nie. Prawdę mówiąc, to moja firma prowadzi interesy z Zakładem Energetycznym. Zaledwie tydzień temu rozmawiałem z Paulem.

- Kiedy widział go pan po raz ostatni?

- Zdaje się, że byliśmy razem na obiedzie jakieś osiem miesięcy temu.

- Czy zna pan jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć jego śmierci?

- Zdecydowanie nie. Obermann był człowiekiem pracy i nie wtrącał się w sprawy innych.

- Czy zna pan jego pasierbicę, Lisę Spangler?

- Nie osobiście. Obermann często opowiadał o niej.

Barney wyjrzał przez okno. To zostawił sobie na koniec.

Miał nadzieję, że uda mu się zburzyć spokój tego człowieka, ale nie miał już wiele



czasu. Musiał zadać to pytanie. Odwrócił się twarzą do Diestela.

- Czy widział się pan w styczniu z Tomem Neeleyem?

- Tak. Obermann przysłał go do mnie.

- Czego chciał?

- Szukał informacji na temat formuły „Genesis”. Oczywiście nie potrafiłem mu pomóc. Następnie zapytał o profesora Siebolda.

- Co mu pan powiedział?

- Mniej więcej to samo co panu. Że spotkałem Siebolda wiele lat temu w Dortmundzie. Że chodziły słuchy o jego wzięciu do niewoli przez Amerykanów w czasie wojny.

- Czy zna pan kogoś, kto miałby motyw, aby zabić Toma Neeleya?

- Nie. Czy to wszystko, panie Caine?

- Gdzie można znaleźć Siebolda i Esaua?

Na usta Diestela powrócił uśmiech.

- Pański przyjaciel Neeley zadał to samo pytanie. Dam panu tę samą odpowiedź. Musi pan udać się do Centrum Dokumentacyjnego w Zehlendorf. Znajduje się na przedmieściach Berlina i wstęp mają tam tylko Amerykanie. Oczywiście nie wszyscy. Dziennikarze, naukowcy lub, tak jak w pana przypadku, oficerowie policji.

Barney ruszył w kierunku drzwi. Diestel odprowadził go.

- Jeżeli zdecyduje się pan udać do Zehlendorf, mogę posłać tam z panem jedną z moich sekretarek do pomocy przy tłumaczeniu dokumentów.

- Dziękuję. Jakoś sobie poradzę.

- Szkoda, że ma pan tak mało czasu. - Diestel otworzył drzwi. - W Berlinie jest tyle rozrywek. Jesteśmy ucieleśnieniem kapitalistycznego dostatku. Osiągnęliśmy ten złoty wiek, kiedy szaleństwo jest większym problemem niż głód. Osobiście bardziej odpowiadał mi narodowy socjalizm.

- No cóż. Może będziecie mieli jeszcze jedną szansę, ale tym razem znalezienie nowego źródła siły roboczej może okazać się problemem.

- Wręcz przeciwnie, panie Caine. Zawsze będziemy mieć swoich Żydów.

## 40.

Postać z witrażu spoglądała łagodnie. Po obu stronach otwartej trumny stały bukiety

róż. Na środku sali umieszczono w kilku rzędach ławeczki, które stały naprzeciw ściany z czerwonej cegły z olbrzymią metalową pokrywą w centrum. Była otwarta, niczym oko Cyklopa.

Obok trumny stała Lisa Spangler wpatrując się w spoczywającego w niej Paula Obermanna. Trochę wosku i niewielkie zabiegi kosmetyczne ukryły ranę na głowie. Po przeciwnej stronie stał Barney, który jednak nie patrzył na ciało. Przyglądał się dziewczynie z długimi, jasnymi włosami i bladoniebieskimi oczami. Miała na sobie prostą, czarną sukienkę, a szyję okalał naszyjnik z małych pereł. Barney poczuł woń jej perfum unoszącą się nad otwartą trumną. Otworzyły się drzwi i weszło dwóch poważnie wyglądających mężczyzn. Lisa przeżegnała się. Mężczyźni podeszli i jeden z nich szepnął jej coś do ucha. Odpowiedziała mu i zwróciła się do Barneya.

- Prochy przyniosą do poczekalni. Czy nadal chce pan pójść ze mną do parku?

Barney przytaknął. Rzuciła ostatnie spojrzenie na trumnę i wyszła z ponurego pomieszczenia. Barney podążył za nią.

\*

Gęsty zielony las dochodził aż do brzegów jeziora, a wysokie drzewa filtrowały światło słońca, tworząc na gładkiej powierzchni wody grę światłocieni. Widać było stada pływających kaczek, a wzdłuż brzegu majestatycznie przesuwały się dwa królewskie łabędzie.

Restauracja Tiergartensee usytuowana była nad samą wodą. Nad każdym stolikiem stał kolorowy parasol. Kilku berlińczyków i niewielka grupka turystów jadła właśnie obiad. Nikt nie zwrócił uwagi na jasnowłosą dziewczynę niosącą błękitno emaliowaną urnę i towarzyszącego jej mężczyznę, którzy skierowali się w stronę przycumowanych na przystani łódek.

Lisa zwróciła się do chłopca pilnującego przystani. Chłopiec poinformował ich, że opłata wynosi sześć marek za godzinę. Barney zapłacił i chłopiec zepchnął jedną z łódek na wodę. Nie puszczając cumy, pomógł Lisie wsiąść. Barney usiadł na środkowej ławeczce i wziął leżące na dnie wiosła. Chłopiec rzucił cumę i Barney zaczął wiosłować. Popłynęli wzdłuż brzegu, aż stracili z oczu restaurację. Lisa otworzyła urnę i uniosła ją nad wodę. Popatrzyła na Barneya i odwróciła naczynie do góry dnem. Na błyszczącą powierzchnię wody wysypał się delikatny biały popiół. Przez chwilę dryfowali swobodnie, obserwując jak znika biała warstwa, po czym Lisa wrzuciła urnę do wody.

- Wśród drzew jest ścieżka. Chciałabym się nią przespacerować - powiedziała, gdy urna zniknęła pod powierzchnią.

Oddali łódkę i ruszyli do lasu. Przebijające się przez korony drzew promienie słońca padały na ziemię, tworząc mozaikę światła i cieni. Las był niezwykle cichy i słyszeli odgłos własnych kroków. Szła nieco z przodu, z głową uniesioną; lekki wiatr rozwiewał jej włosy. Po dłuższym czasie doszli do rozwidlenia, skąd jedna z dróg prowadziła z powrotem w stronę jeziora. Stanęli nad brzegiem i Lisa zapatrzyła się w spokojną wodę.

- Możemy wracać - szepnęła po chwili.

Usiedli przy stoliku w pobliżu wejścia. Lisa zamówiła sałatkę i białe *Frankenwein*. Barney poprosił kelnera o to samo.

- Miło z pana strony, że pan tu przyszedł.

- Mniej nie mogłem zrobić.

Kelner włożył wino do srebrnego kubelka z lodem. Z głośników dobiegły dźwięki nokturnu Chopina. Lisa wypiła łyk wina i powiedziała:

- Od dawna czułam... Czułam, że Paul był napiętnowany.

- To oczywiste, że czekali na okazję.

- Pozostaje pytanie kto?

- Czy mówiła pani komukolwiek o tym, że mam się z nim spotkać w zoo?

Pokręciła głową.

- Więc musiał być śledzony. Albo też wygadał się przed kimś.

Liza bawiła się kieliszkiem.

- Co zamierza pan zrobić teraz, panie Caine?

- Szukać.

- Gdzie?

- W przeszłości. Następne miejsce to Zehlendorf. Mają tam akta. Oficjalne akta nazistów, mogą nam pomóc.

- Dokumenty będą po niemiecku. Jak pan je przeczyta?

- Będę musiał kogoś zatrudnić.

- Czy może pan zaufać przypadkowej osobie?

- Nie mam wyboru.

Kelner przyniósł sałatkę i zajęli się jedzeniem, obserwując bawiącą się nad jeziorem grupę dzieci. Dopili resztę wina i przyszła kolej na kawę. Policzki dziewczyny zaczerwieńczyły się, a wino w widoczny sposób ożywiło ją.

- On naprawdę maluje - powiedziała zapalając papierosa.

- Kto?

- Chopin - odparła. - Jego muzyka jest pełna kolorów, nie sądzi pan?

- Tak.

Złapał się na tym, że przygląda się jej uważnie.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytała nagle.

Poczuł się zaskoczony bezpośredniością pytania.

- Co pani ma na myśli?

- Spędził pan ze mną dwie godziny. Jest pan w trakcie ważnego dochodzenia.

Dlaczego traci pan czas dla mnie?

- Naprawdę chciałem uczcić pamięć Paula. Prawdą też jest, że chcę prosić o przysługę.

- Jaką?

- Czy mogę się poczęstować? - zapytał wskazując paczkę papierosów.

- Proszę bardzo - powiedziała podsuwając mu ją.

Zapalił i zaciągnął się.

- Sądzę, że pani wuj był kolejnym nazwiskiem na liście mordercy. Zaczęło się od Neeleyów. Nie wiem, kto kryje się za tymi zabójstwami, ale wiem, że korzenie sprawy sięgają nazistowskiej przeszłości i wiążą się z pracami, które prowadzono w czasie wojny.

- Skąd to przekonanie?

Powiedział jej o niemieckim konwoju przewożącym tajne dokumenty i o tym, jak Neeley spotkał Obermanna w kwaterze głównej wywiadu brytyjskiego w Hamburgu. Wyjaśnił, że „Genesis” to kryptonim paliwa syntetycznego i że formuła katalizatora zaginęła w 1945. Wspomniał, że jej wartość dzisiaj jest niemożliwa do oszacowania i że ten, kto zabił Neeleyów i Obermanna, właśnie jej poszukiwał.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytała gasząc niedopałek.

- Potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. Kogoś, kto nie ma żadnego związku z policją.

- Po co?

- Do pomocy w odszukiwaniu i tłumaczeniu dokumentów.

- A dlaczego akurat ja?

- Dlatego, że jest to dla pani sprawa osobista. Człowiek, który wychował panią, który zaopiekował się panią, został z zimną krwią zastrzelony.

Usiadła wygodniej i zapatrzyła się na jezioro.

- Kiedy by pan potrzebował mojej pomocy? - zapytała po dłuższej chwili.

- Teraz. Dzisiaj. Chciałbym, żeby pojechała pani ze mną do Zehlendorfu.

- A potem?

- Gdziekolwiek zaprowadzi nas ślad. Pokryję wszelkie wydatki.

Uśmiechnęła się.

- Prawdopodobnie w tydzień zarabiam więcej pieniędzy niż pan przez cały miesiąc. Jestem sławną modelką. Dobrze opłacaną.

- Prawie każdy zarabia lepiej od policjanta. Ale mimo to jestem zdecydowany pokryć wszelkie wydatki.

Ponownie spojrzała na promienie słońca oświetlające powierzchnię wody, po czym odwróciła się do niego.

- Proszę zapłacić rachunek, panie Caine. Do Zehlendorfu daleka droga.

\*

Centrum Dokumentacyjne mieściło się w barakach otoczonych wysokim murem, zwieńczonym drutem kolczastym. Na tabliczce przy bramie widniał napis: „HALT! MISJA USA - CENTRUM DOKUMENTACJI”. Przy bramie stało dwóch wartowników. Barney podszedł do jednego z nich i pokazał legitymację i paszport. Przedstawił Lisę jako swoją sekretarkę i tłumaczkę przydzieloną mu przez zachodnioniemiecką policję. Żandarm wziął jego dokumenty, wszedł do budki wartowniczej i zadzwonił do kogoś, przekazując informacje na jego temat.

Kobieta w średnim wieku mówiąca z akcentem ze środkowego zachodu, eskortowała ich do olbrzymiego, pozbawionego okien magazynu, zastawionego szafkami segregatorów. Pomieszczenie oświetlały zawieszane pod sufitem, jaskrawe jarzeniówki. Kiedy kroczyli przez to pomieszczenie wielkości sali gimnastycznej, ich kroki dudniły po drewnianej podłodze. Barneyowi zdawało się, że duchy esesmanów, których dowody zbrodni spoczywały w tych szafkach unoszą się nad budynkiem. Duszne powietrze potęgowało jeszcze ten złowrogi nastrój. Jaskrawe światło było tu równie nie na miejscu, jak reflektory na cmentarzu. Przeszli przez magazyn i znaleźli się w małym pokoju z oknami i popękаныmi, plastikowymi meblami. Pośrodku stała konsola komputerowa. Przy pulpicie siedział żołnierz w stopniu sierżanta sztabowego. Młodzieniec w okularach najwyraźniej był zaabsorbowany rozkładówką w czasopiśmie. Z niechęcią odłożył gazetę i ze znudzoną uprzejmością wysłuchał, co ma mu do powiedzenia ich przewodniczka. Jednym spojrzeniem ogarnął wszystkie zalety figury Lisy. Na Barneya ledwie spojrział.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał.

- Chciałbym przejrzeć akta niemieckiego uczonego nazwiskiem Wolf Siebold i oficera SS Friedricha Diestela. Poza tym...

- Chwileczkę - sierżant wziął długopis. - Dobra. Teraz proszę podać mi nazwiska i przeliterować je.

Barney wymienił nazwiska podane mu przez Diestla.

- To wszystko? - zapytał sierżant.

- Tak.

Sierżant obrócił się na krzeselku i zaczął wystukiwać dane na klawiaturze komputera. Na ekranie prawie natychmiast pojawiły się symbole akt i numery. Sierżant spisał je na kartce. Cała operacja zajęła niespełna trzy minuty.

- Odszukanie akt zajmie kilka minut - poinformowała ich kobieta. - Proszę za mną.

Zaprowadziła ich do innego pokoju, wyglądającego jak czytelnia w bibliotece. Znajdowały się tam długie, drewniane stoły, na których leżały czyste kartki i stały małe lampki.

- Proszę usiąść. Sierżant zaraz przyjdzie - powiedziała z uśmiechem.

Barney podziękował jej i kobieta zostawiła ich samych.

\*

Pracowali w ciszy. Lisa przeglądała akta, część odkładając na bok, a część tłumacząc. Barney zbierał jej notatki i układał w kolejności chronologicznej. Wiele kartek stanowiło korespondencję SS. Znajdowały się nawet na nich nagłówki z nazistowskim orłem.

Czas upływał. Dokumenty pochłonęły całkowicie ich uwagę, izolując ich, prowadząc przez dokumentację zatartego już nieco koszmaru. Zdarzały się dłuższe przerwy, kiedy Barney musiał czekać, aż Lisa przejrzy część dokumentów i zdecyduje, czy warto je tłumaczyć. W takich momentach czuł, jak coś nieodparcie przyciąga go do niej. Wpatrywał się w jej doskonały profil. W okalające twarz bladozłote włosy. Czuł słodki zapach jej perfum.

Podawała mu ostatnią część notatek na temat Siebolda. Dołączył je do pozostałych, studiując ich chronologię.

**PROFESOR WOLF SIEBOLD:** Urodzony w Neustadt w Schwarzwaldzie 3/10/1905. Ukończył Uniwersytet Berliński w 1929. Tytuły magistra chemii, fizyki i biochemii. Główny asystent Franza Fischera w badaniach nad procesem Fischera-Tropscha, specjalizacja w hydrogenacji węgla.

W maju 1938, z polecenia doktora Abrahama Esaua obejmuje kierownictwo zakładów hydrogenacji w Darmstadt. Siebold był pionierem w badaniach nad średniociśnieniową syntezą z użyciem nowych katalizatorów - kobaltu i platyny. Odznaczony przez Führera za uzyskanie produkcji siedmiu milionów ton paliwa syntetycznego w 1944, pomimo intensywnego bombardowania ze strony aliantów.

Ostatni fragment Barney opatrzył nagłówkiem „uzupełnienie”:

Profesor Wolf Siebold został schwytany przez jednostki 7. Armii 8 czerwca 1945. Przeniesiony do ALSO w Brownsville w Teksasie. Wrócił do Niemiec w listopadzie 1956. Zatrudniony w Saarbrücken Gemeinschaft. W październiku 1967 został wykładowcą na Wydziale chemii Uniwersytetu Berlińskiego. Opuścił Uniwersytet 8/7/76. Obecne miejsce pobytu nieznane.

Następnie Barney przyjrzał się notatkom na temat doktora Esaua.

DOKTOR ABRAHAM ESAU: Urodzony 1/8/1900 w Hamburgu. Uczęszczał na uniwersytet w Heidelbergu. Doktorat z fizyki i chemii. Założył pierwsze zakłady hydrogenacji w Leuna w 1927. Jako pierwszy zastosował gaz ze spalania drewna w generatorach. Stworzył sieć piętnastu zakładów hydrogenacji. Współpracował z Sieboldem w badaniach nad katalizatorami w instytucie cesarza Wilhelma w Mülheim. Wynalazca „Syntholu” - paliwa uzyskiwanego z alkoholu i syntetycznej nafty. W marcu 1937 mianowany ministrem w resorcie Energii i Badań Rzeszy. Udało mu się uzyskać fundusze od Göringa na badania i rozwój programu hydrogenacji. Twórca zakładów I.G. Farben w Oświęcimiu w 1942.

Uzupełnienie: Schwytany przez jednostki rosyjskiej Pierwszej Armii 30 maja 1945. Wypuszczony przez Rosjan w lipcu 1956. Miejsce pobytu nieznane.

Łańcuch dowodzenia SS okazał się mało ważny. Diestel miał rację. Keppler, Pohl i Krouch nie żyli. Akta Diestela były krótkie.

Urodzony: 27/10/1918. Przyjęty do SS 15/6/38. Przydzielony do programu „Genesis” 14/7/39.

Do miasta wracali w milczeniu. Niemożliwe było pozbycie się uczucia przygnębienia wywołanego przez grzebanie w historii narodu, który nagle oszalał.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Lisa, kiedy mijali budynek poczty przy Kaiser-Wilhelmstrasse.

- Do hotelu „Kempinski”. Muszę zadzwonić i wolałbym, żeby pani przeprowadziła tę rozmowę.

- Z kim?

- Z działem spraw osobowych Uniwersytetu Berlińskiego. Może znają miejsce pobytu Wolfa Siebolda.

- To dziwne, że spośród wszystkich członków SS związanych z programem „Genesis” tylko Friedrich Diestel przeżył.

- Tak. Można polegać na starym, dobrym Friedrichu - stwierdził Barney sarkastycznie.

- Zna go pan?

- Widziałem się z nim dziś rano.

- Jak go pan odnalazł?

- Pani wuj miał przy sobie numer jego telefonu. Z jakiegoś powodu zaprzeczył znajomości z nim.

- Nigdy nie słyszałam, żeby wspominał o nim. Czy nie zastanawia pana fakt, że w aktach nie figuruje nazwisko mojego wuja?

- Może nie był tak ważną osobą?

- Może - powiedziała cicho. - Ale był dość ważny, aby zginąć.

\*

Na biurku leżały dwie wiadomości. O 11.15 dzwonił Louis, a pół godziny wcześniej Hans Lehmans.

Idąc korytarzem minęli irlandzką pokojówkę.

- Dzień dobry - powiedziała z tym swoim akcentem.

- Dzień dobry - odparł Barney z uśmiechem.

Pokój był wysprzątany i aż świecił czystością. Niemka czy Irlandka, efekt był taki sam - pomyślał. Rzucił marynarkę na łóżko, rozpiął kołnierzyk w koszuli i rozluźnił krawat.

- Czego się napijesz? - zapytał Lisy.

- Piwo, jeśli można.

Podszedł do lodówki, wyjął dwie butelki, otworzył je i nalał złocistego, pieniącego się napoju do szklanek.

- Możesz załatwić ten telefon?

- Teraz?

- Tak.

- Ale najpierw powinieś zadzwonić do Louisa i Lehmansa.

- Oni mogą poczekać.

Lisa usiadła na krawędzi łóżka, a Barney zatonął w fotelu naprzeciw niej. Poprosiła telefonistę z centrali o sprawdzenie numeru uniwersytetu. Popatrzyła na Barneya, który



powoli sączył piwo. Szybko zapisała numer i natychmiast go wykręciła.

- *Personalbüro, bitte* - powiedziała do słuchawki. Czekaając na połączenie kołysała nogą w górę i w dół. Po chwili jej noga znieruchomiała.

- *Ja... Können Sie mir bitte sagen wo Herr Professor Wolf Siebold wohnt?*

Przytrzymała słuchawkę ramieniem i sięgnęła do torebki po papierosa.

Barney wstał i wyjął zapalki. Kiedy przypalał jej papierosa, przytrzymała go za rękę.

Spojrzała mu w twarz i w ciągu tej krótkiej chwili zrozumieli, że coś nieuniknionego pojawiło się między nimi.

- *Ja* - powiedziała do słuchawki i zanotowała coś na kartce. - *Danke schön* - zakończyła rozmowę.

- Obecny adres profesora Siebolda to Instytut Postępu Technicznego w Hamburgu - poinformowała Barneya.

\*

Bar „Bristol” zaczynał zapełniać się turystami, którzy wracali ze zwiedzania i zagranicznymi biznesmenami przychodzącymi na drinka przed obiadem. Pianista grał „You Are My Lucky Star” z uśmiechem właściwym wszystkim barowym pianistom.

Siedzieli przy stoliku w głębi sali. Przed nimi stała butelka whisky i dwie mniejsze Perriera. Barney postanowił odłożyć rozmowę z Louistem. W Los Angeles była teraz piąta rano.

Lisa bawiła się szklaneczką. Wspomniała, że w zeszłym tygodniu pozowała do zdjęcia reklamowego Perriera. Pianista przeskoczył czterdzieści lat i zagrał temat z „Mężczyzny i kobiety”.

- To piękna melodia. Pamięta pan ten film?

- Byłem na nim trzy razy z dziewczyną, w której byłem zakochany po uszy.

- Doprawdy?

- Tak. I do dzisiaj nie wiem, co w niej widziałem.

- My nazywamy to *vernarrt sein*. Można to przetłumaczyć jako szczeniacka miłość.

- To chyba właściwe określenie.

Spojrzała na niego, po czym szybko spuściła wzrok. Zapatrzyła się w trzymaną w rękę szklaneczkę, jakby tam znajdowały się odpowiedzi na wszystkie nurtujące ludzkość pytania.

- Czy mam pojechać z panem do Hamburga?

- Tak jak wcześniej już powiedziałem. Będę potrzebował pani do końca.

- A co jest na końcu?

- Mam nadzieję, że doktor Esau.

- Dlaczego?

- Ponieważ prawdopodobnie on jest w posiadaniu formuły „Genesis”.

- Jak pan myśli, dlaczego Amerykanie wysłali coś tak cennego Brytyjczykom?

- W 1945 Stany Zjednoczone miały ropy w nadmiarze. Wtedy kosztowała tylko dwa dolary za baryłkę. Natomiast Anglicy już wtedy musieli importować ją z zagranicy. Przypuszczam, że Amerykanie wyszli naprzeciw ich zainteresowaniu paliwami syntetycznymi.

- Dla nich formuła „Genesis” była tylko ciekawostką, tak?

- Można tak powiedzieć. Nie można się temu dziwić. Nikt wtedy nie mógł przewidzieć światowego kryzysu naftowego. Poza tym produkcja syntetyków była w tamtych czasach za droga.

- Ale Niemcy produkowali paliwa syntetyczne.

- Tak. Przy pomocy więźniów.

Odwróciła się, zamyślona nad przeszłością. Była w niej jakaś melancholia, którą Barney zauważył już podczas ich pierwszego spotkania. Poczł nagłą chęć przytulenia jej, objęcia ramionami tej tajemniczej i chłodnej piękności. Odwrócił od niej wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, jak do baru wchodzi Hans Lehman.

Inspektor wyglądał na zmęczonego. Przysiadł się do ich stolika i przywitał z Lisą.

- Co ci nalać? - zapytał Barney.

- Sam się obsłużę - odparł Lehman i nalał sobie dużą porcję whisky, dodając nieco Perriera.

- *Prosit* - wznosił toast. - Wybierze się pani z nami na obiad? - zwrócił się do Lisy.

- Nie. Muszę załatwić kilka spraw z moją gospodynią, zawiadomić agencję... i spakować się.

Oczy Lehmana zwięziły się.

- Dokąd pani jedzie?

- Do Hamburga - zamilkła na chwilę. - Z panem Caine.

Wzięła torbę i wstała. Obaj mężczyźni podnieśli się z miejsc.

- Nie, nie. Proszę siedzieć. Spotkamy się tutaj o dziesiątej - powiedziała do Barneya. - Czy zajmie się pan biletami?

- Biletami, hotelem. Wszystkim. Jest pani gościem podatników z Los Angeles - odparł z uśmiechem.

- *Auf wiedersehen, Inspektor* - pożegnała się z Lehmanem.

- *Auf Wiedersehen, Fräulein Spangler.*

\*

Lehmans zabrał Barneya do węgierskiej restauracji przy Perlbergerstrasse. Była mała i zatłoczona. Klientelę stanowili wyłącznie berlińczycy. Jedzenie okazało się dobre. Dostali ostro przyprawioną sałatkę z jajek z dodatkiem papryki. Towarzyszyło jej mocne, czerwone wino. Następnie na stole pojawił się ciemny chleb i tradycyjny gulasz.

Barney zreferował wydarzenia dnia.

- Spotkanie z Diestelem było dla mnie nowym przeżyciem. Miałem już do czynienia z maniakami o morderczych skłonnościach, narkomanami, którzy za szprycę sprzedaliby własne dzieci. Ale nigdy nie spotkałem biznesmena mówiącego z taką nonszalancją o obozach koncentracyjnych.

Lehmans nic nie odpowiedział, tylko pociągnął potężny łyk wina.

- Jak myślisz, dlaczego powiedział mi o I.G. Farben, niewolnikach i Oświęcimiu?

- Żebyś powtórzył mi to.

- Po co?

- Żeby zademonstrować swój brak winy i to, że nie ma nic do ukrycia.

- Nie byłeś jeszcze u Diestela?

- Jestem umówiony z nim na jutro rano - odparł i umoczył kawałek chleba w sosie, rozkoszując się jego smakiem. Popił winem.

- Złapaliśmy człowieka, który podawał się za obrońcę. Tego, który kierował ucieczką terrorystów.

- To duży postęp! - wykrzyknął Barney.

- Powiedział, że uciekli do Zurychu. Poinformowaliśmy policję w Szwajcarii. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Opowiedz mi o tej swojej umowie z dziewczyną.

Barney poszedł za przykładem Lehmansa i też zaczął jeść chleb z sosem.

- Poprosiłem ją o pomoc. Powiedziałem jej, że ma szansę pomścić śmierć swojego opiekuna, że potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać. Kogoś nie związanego z policją.

- Zgodziła się?

Barney przytaknął, napił się wina i zapytał:

- Spróbujesz dotrzeć do Siebolda?

- Tak. Postaram się załatwić ci spotkanie z nim. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że igrasz z jego życiem, nie wspominając już o twoim własnym - powiedział dopijając wino. - Dam ci nazwisko mojego kolegi w Hamburgu. Bądź z nim w kontakcie. Informuj go, gdzie jesteś i z kim się chcesz zobaczyć.

- W porządku.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W tym samym hotelu co Neeley. W „Atlantic”.

- To dobre miejsce. W dobrej dzielnicy. Nad jeziorem Alster. Bardzo romantyczny - dodał po chwili.

- Zarezerwowałem osobne pokoje.

- To miło.

- Powiedziałeś, że sprawdziłeś ją.

- Do pewnego stopnia. Niezamężna. Studiowała na Uniwersytecie Berlińskim. Nie notowana. Jest modelką. Jednak nie możemy stwierdzić, że naprawdę jest, czy też była, jego siostrzenicą.

- Kiedy wspomniałem o niej Obermannowi, rozpoznał ją, poza tym w jego mieszkaniu była jej fotografia.

- Tak - przytaknął Lehman. - Ale będę się czuł lepiej, kiedy będę miał już w rękach akta federalne Obermanna.

- Co cię w niej niepokoi?

- Nie mogę tego określić, po prostu mam jakieś przeczucie - wzruszył ramionami.

\*

Friedrich Diestel dopijał armagnac w swojej willi w Wannsee - przedmieściu Berlina nad jeziorem Havel. W sypialni czekała na niego jego angielska sekretarka o smutnych oczach wraz z młodą Holenderką specjalnie sprowadzoną na ten wieczór. Zapalił ekskluzywne cygaro marki Uppmann zwijane z liści kubańskich. Podziwiał ciemny koloryt obrazu Breughela wiszącego na różowej ścianie salonu. Powoli zbliżył się do dzieła podziwiając niezwykły kunszt. Obraz był prezentem od Göringa i zatrzymanie go wymagało od Diestela wielu przemyślnych zabiegów.

Nagle odwrócił się, podszedł do zdobionego antycznego biurka, podniósł słuchawkę ultranowoczesnego telefonu i wykręcił numer profesora Siebolda w Hamburgu.

Profesor odebrał po trzecim sygnale.

- *Ja?*

- *Guten Abend, mein lieber Professor.*

Siebold rozpoznał od razu jego głos.

- *Guten Abend, Herr Oberst.*

- *Ich möchte dass Sie dem Amerikaner alles erklæeren* - powiedział Diestel.

- *Auch über Reimeck?* - zapytał Siebold.

- *Ja* - odparł Diestel.

- *In Ordnung, Herr Oberst. Was ist wirklich mit Obermann passiert?*

- *Obermann hat nichts mit dir zu tun... auf wiedersehen, Herr Professor* - chłodno zakończył rozmowę Diestel.

Odłożył słuchawkę, pewny, że Siebold poprowadzi amerykańskiego detektywa dokładnie wytyczoną drogą. Zdecydowanie zareagował na pytanie profesora o Obermanna, mówiąc mu, że to nie jego interes. Nie lubił być nieuprzejmy, ale musiał zachować dyscyplinę. Wojna została przegrana, ale nie zniknął autorytet SS. *Kameradschaft*, wielkie bractwo, jak zawsze stanowiło jedność.

Przypomniał sobie czekające na górze dziewczęta i poczuł w łędźwiach falę ciepła. Podszedł do długiego mahoniowego stołu i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek armagnaca. Miał do załatwienia jeszcze jeden telefon. Wrócił do biurka i wykręcił numer hotelu „Hassler” w Rzymie. Było dwanaście minut po północy i Frank Tedesco czekał w swoim apartamencie na telefon.

\*

Barney przeglądał „Time” czekając na połączenie z Louistem. W Los Angeles był wczesny ranek i Louis powinien być jeszcze w domu. Znalazł artykuł poświęcony negocjacom w sprawie pokoju na Bliskim Wschodzie. Rozległ się dzwonek telefonu i Barney podniósł słuchawkę.

- Jak się masz, Barney? - dźwięk głosu Louisa poprawił mu nastrój.

Po kolei zapoznał go z wydarzeniami. Opowiedział o zabójstwie Obermanna, o rozmowie z Diestelem, o tym, że idzie śladem Neeleya, o tym, że wybiera się do Hamburga, żeby zobaczyć się z profesorem Wolfem Sieboldem, najważniejszym współpracownikiem programu „Genesis”.

Louis głośno westchnął.

- To za duża sprawa, Barney. Powinieneś przekazać ją policji federalnej.

- Za nic w świecie. Przesłuchałeś Clementsa?

- Nie ma go w kraju. Wyjechał do Rzymu.

- Cholera. Dostałeś mój teleks?

- Tak.

- Pokaż go Nolanowi. Powiedz mu, że to dowodzi powiązania Clementsa z „Genesis” i Neeleyem, i przekonaj go, że należy przymknąć Clementsa jako współnika przed i po dokonaniu morderstwa. Przekaż Nolanowi wszystko, co ci powiedziałem.

- W porządku. Coś jeszcze?

- Nie - odparł zastanawiając się, czy wspomnieć o Lisie Spangler.

- Jak żona i dzieci? - zapytał zamiast tego.
- Świetnie. Następnym razem ożeń się z Japonką. Nie ma nic lepszego.
- Spróbuję zapamiętać. No dobra. Wiesz, gdzie mnie można będzie znaleźć jutro.
- Hotel „Atlantic” w Hamburgu. Przemyśl przekazanie sprawy policji federalnej.
- Uważaj na siebie, Lou.

Odłożył słuchawkę i zaczął zastanawiać się nad radą Louisa. Była dana w dobrej wierze, ale naiwna. Ten, kto krył się za „Genesis”, z pewnością kontrolował zarówno CIA, jak i FBI, nie mówiąc już o SDI. Nie było komu przekazać tego. Kiedyś, kiedy jeszcze był w Agencji, przełożeni nazywali tego rodzaju sprawy grą w samotnika. Rozgrywało się je samotnie. Do końca.

## 41.

Lisa czekała w holu, podczas gdy Barney rozmawiał z Helmutem Bergenem. Powiedział zasmuconemu kierownikowi, że wróci za kilka dni i zaproponował, że ureguluje rachunek. Bergen odpowiedział, że może z tym poczekać do jego powrotu.

Wsiedli do taksówki stojącej za dużą limuzyną. Na tabliczce rejestracyjnej wozu brak było oznaczenia kraju. Widoczne były tylko litery CD i trzycyfrowy numer.

- Zwróciłaś uwagę na numery rejestracyjne tej limuzyny? - zapytał Lisy.
- Nie - pokręciła głową.
- Zapytaj kierowcy, co oznaczają litery CD.

Lisa zadała pytanie po niemiecku.

- To skrót od Corps Diplomatique. Należą do ambasad, co oznacza, że mogą jeździć wszędzie i nikt nie ma prawa ich zatrzymywać - odpowiedział kierowca, ku jej zdziwieniu po angielsku.

- Nawet do wschodniego Berlina?
- Wszędzie - powtórzył kierowca.
- Z jakiej ambasady była ta limuzyna?
- Tego nie ma na tabliczkach. Musiałby pan zapytać.

Wjechali na autostradę i skierowali się w stronę lotniska Tegel.

- Wszystko zostawiłam gospodyni - powiedziała Lisa.
- Musiała się ucieszyć.
- Nie wiem. Cały czas narzekała na swoją emeryturę. Myśli, że jestem z policji.

- Bo jesteś.
- Doprawdy?
- Chcę, żebyś wiedziała, że doceniam twoją pomoc - powiedział Barney.
- Nie robię tego dla ciebie, Barney.

Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu.

\*

W trzy i pół godziny później byli już w hotelu „Atlantic”.

Był to biały sześciopiętrowy budynek. Barneyowi przypominał tort. Od strony jeziora widać było misternie wyglądające ażurowe balkony. Po wodzie pływały różnokolorowe żaglówki. Wzdłuż brzegu biegła wysadzana drzewami alejka, a wzrok przyciągały rozrzucone gdzieniegdzie rezydencje.

Czynność meldowania się przebiegła szybko i sprawnie. Na Barneya czekały już dwie wiadomości: jedna od Lehmansa, a druga od inspektora Petera Baumera, kolegi Lehmansa z Hamburga. Dostali sąsiednie pokoje 316 i 317, wychodzące na jezioro.

Pokój Barneya był duży i wysoki. Francuskie okno zapewniało dostęp na taras. Dał chłopcu hotelowemu napiwek i jeszcze raz spojrzął na karteczki z wiadomościami. Lehmans skontaktował się z Sieboldem, który oczekiwał telefonu od Barneya. Na karteczce znajdował się zarówno jego domowy jak i służbowy telefon. Druga wiadomość zawierała pozdrowienia od Petera Baumera oraz telefon centrali policji i jego numer prywatny.

Barney podszedł do drzwi balkonowych i wyszedł na taras. Słońce usiłowało przebić się przez niskie chmury, nadając powierzchni jeziora połyskliwy, szary kolor. Usłyszał delikatne pukanie do drzwi.

- Otwarte! - krzyknął.

Do pokoju weszła Lisa ubrana w dżinsy i białą, jedwabną bluzkę.

- Jak ci się podoba pokój? - zapytał.

- Cudowny.

- Napijesz się czegoś?

- Jeżeli o mnie chodzi, to umieram z głodu.

- Dobra. Zatelefonuj, a potem pójdziemy gdzieś na obiad - powiedział, podając jej kartkę z numerami Siebolda.

Podeszła do łóżka i usiadła na brzegu.

- Pod który numer spróbować najpierw?

- Jest wczesne popołudnie. Spróbuj w instytucie.

Połączyła się z sekretarką, która poprosiła ją, żeby chwilę poczekała. Po chwili w

słuchawce odezwał się miły męski głos.

- *Ist Professor Wolf Siebold?* - zapytała jeszcze.

Profesor odpowiedział, że mówi po angielsku, i to płynnie.

- *Eine Minute, bitte.* - Podała słuchawkę Barneyowi i stanęła przy drzwiach prowadzących na taras.

Barney powiedział, że jest amerykańskim detektywem, którego przyjazd zapowiadał inspektor Lehman.

- Tak, panie Caine. Oczekiwałem telefonu od pana. Czy może pan przyjść do mojego domu o ósmej wieczorem? - głos Siebolda był prawie pozbawiony akcentu.

- Tak. Odpowiada mi to.

- Czy będzie pan sam?

- Nie - odparł Barney. - Jest ze mną Lisa Spangler. Jest siostrzenicą pańskiego byłego kolegi, Paula Obermanna.

W słuchawce zapanowała cisza.

- Dobrze. Nie mam nic przeciwko obecności panny Spangler. Mój dom znajduje się po drugiej stronie jeziora. Trzeba wysiąść ze statku na przystani Uhlenhurst i pójść w dół ulicy *Schöne Aussicht*. Numer trzydzieści osiem.

Połączenie zostało przerwane. Barney nacisnął widełki, wykręcił numer Petera Baamera i powiadomił go o terminie spotkania z profesorem Sieboldem. Baumer podziękował za wiadomość i poprosił, żeby Barney informował go na bieżąco.

Skończywszy rozmowę wyszedł na taras i stanął obok Lisy. Zachodzące słońce rzucało na jezioro cienie. Zerwał się chłodny wiatr i wszystkie żagłówki skierowały się w stronę brzegu. Barneyowi zdawało się, że ciemne chmury i zimny wiatr należą do innej pory roku.

## 42.

Nadchodził zmierzch i wieczorny wiatr wiejący od morza chłodził żar rzymskiego dnia. Cienie kolumn i wieżyczek wiecznego miasta wyglądały niemal jak arabeski. Na szczycie Hiszpańskich Schodów o marmurową balustradę opierał się Frank Tedesco.

Tropikalne haitańskie słońce opaliło jego twarz na miedziany kolor, w gęstych brązowych włosach dopiero ostatnio pojawiły się ślady siwizny. Ciemne oczy były niezwykle bystre i wyraziste. Miał łagodne usta, pozbawione zmarszczek, które pojawiają się z upływem



lat. Przy wzroście 180 centymetrów, jego szczupła sylwetka świadczyła o przestrzeganiu ścisłej diety. W wieku pięćdziesięciu czterech lat lepiej grał w tenisa niż dziesięć lat temu.

Spojrzał na swojego Patka Philippe'a za trzy tysiące dolarów. Była 6.48. Miał jeszcze kilka minut, które z radością poświęcił na podziwianie pięknego widoku. Odczuwał szczególną sympatię do Rzymu. On i to miasto byli podobni do siebie. Oboje byli jak dziwki. Rzym wsysał cię i za odpowiednią cenę mógł cię wypluć.

Rzymscy cesarze byli przedsiębiorcami, magnatami showbiznesu, którzy hipnotyzowali ludzi i manipulowali nimi w celu umocnienia swojej władzy. Byli oszustami, tak jak i on.

Frank Tedesco próbował wszystkiego od dnia, kiedy wyszedł ze swojej nory na pełne przemocy ulice południowego Brooklynu na początku lat trzydziestych. Szybko nauczył się, jak przetrwać w swoim fachu. Naczelną zasadą było: „Chciwość to najłatwiejszy i najpewniejszy cel wszystkiego”. Ta maksyma datowała się już od czasów Ewy kradnącej jabłko. Zdecydowanie najsprytniejszą istotą w Raju był wąż.

Młody Tedesco rzucił się na ulicę jak rekin rzuca się na ławicę ryb. W wieku szesnastu lat kierował dużą organizacją zajmującą się wymuszaniem pieniędzy i był głównym agentem największego bukmachera na Brooklynie. Miał niesamowite zdolności matematyczne i doradzał mu, które zakłady opłaca się przyjmować, a z których rezygnować. Mógł zapamiętać naraz pięćdziesiąt zakładów na wyścigach konnych. Jego reputacja wzrastała i w 1937 mafijni bossowie uczynili go szefem agencji telegraficznej, która przekazywała stawki z wyścigów na sześciu największych torach od Nowego Jorku do Kalifornii.

Uniknął powołania do wojska w czasie drugiej wojny światowej dzięki przypadkowi trypra, który opierał się wszelkim kuracjom. Poruszał się w kręgach międzynarodowej finansjery: nielegalne dochody, pranie brudnych pieniędzy, unikanie urzędu podatkowego. Po wojnie założył na Bahamach ogromną korporację, która wycisnęła ze swoich chciwych inwestorów ponad trzysta milionów dolarów, z których większość trafiła w ręce mafii. Prześliznął się przez lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte stając się multimilionerem.

Popenił tylko jeden błąd. W czasie wyborów prezydenckich w 1972 zgodził się wyprać pół miliona dolarów z funduszu wyborczego jednego z kandydatów. Cała afera wyszła na jaw przy okazji Watergate i Tedesco był zmuszony opuścić kraj. Mimo to w dalszym ciągu pełnił rolę pośrednika między mafią, a CIA i wielkimi przemysłowcami. Stał się potęgą. Zajmował się przetrzutowaniem kokainy, wynajmował płatnych zabójców, przemycał pieniądze i od czasu do czasu inwestował większe sumy. Tak jak teraz. Jak dzisiaj. Czasami

udawało mu się opuszczać Haiti i przyjeżdżał do Europy. Ale w głębi serca tęsknił za Ameryką. Nigdzie na świecie nie działo się tak wiele jak tam. Ale, do diabła, miał ponad pięć milionów dolarów w banku Diestela w Bemie. I chociaż naprawdę marzył o powrocie do Stanów, to wiedział, że nie można mieć wszystkiego. Cała istota życia polegała na tym, żeby wiedzieć, kiedy się poddać, kiedy pójść na kompromis. To była różnica między zawodowcami i durniami. Zawodowiec nigdy nie przeciągał struny.

Wciągnął głęboko w płuca powietrze. Lekko pachniało morzem, ale można było też wyczuć w nim domieszkę tlenu węgla. Miasto było przesiąknięte wonią benzyny. Tak samo było w każdym mieście. Zapach ropy. Ta czarna, bezcenna ciecz, ostatnie wielkie oszustwo. I on, wygnaniec, gangster z Brooklynu, był pośrednikiem koncernu naftowego. Wykonywał dla nich wiele zadań. Był kurierem, wymuszał pieniądze, a nawet służył radą. Oni byli rekinami, a on ich rybą pilotem. Pomagał im, za odpowiednią cenę.

Podniósł stojący na ziemi neseser, w którym znajdowało się pięćdziesiąt studolarówek ukrytych wśród fałszywych pięćdziesięciodolarowych banknotów z okresu Wojny Secesyjnej. Tedesco uśmiechnął się. Pieniądze Konfederacji dodawały temu zleceniu nieco kolorytu.

Odwrócił się i spojrzął na drugą stronę małego placu, gdzie przed hotelem „Hassler” stał zaparkowany błyszczący Rolls-Royce Corniche. Za kierownicą siedział szofer. Tedesco sprawdził kant swoich spodni i strzepnął pyłek z błękitnego swetra. Wyjął z kieszeni mały odświeżacz oddechu, psiknął sobie nim w usta i podszedł do samochodu.

Szofer wpatrywał się z zafascynowaniem na zdjęcie wystrzałowej rudowłosej dziewczyny leżącej nago na dywaniku z tygrysyj skóry. Miała szeroko rozłożone nogi i palcem wskazującym lewej ręki dotykała okolic łechtaczki. Prawy palec wskazujący trzymała w roześmianych ustach. Aż wzdrygnął się, słysząc kaszlnięcie Tedesco. Lata pozostawania na służbie innych ludzi wyrobiły w nim takie odruchy. Wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi i uklonił się nerwowo.

- *Scusa, signore, per favore.*

Tedesco zignorował przeprosiny i wsiadł do środka. Szofer zamknął drzwi i wrócił za kierownicę. Tedesco rozparł się wygodnie na miękkiej, luksusowej skórze tylnego siedzenia, wyregulował klimatyzację i włączył radio. Następnie otworzył małą lodóweczkę wmontowaną w ściankę oddzielającą kierownicę, wyjął napoczętą butelkę wina i nalał sobie do kryształowego kieliszka.

- Dokąd *signore* życzy sobie jechać? - zapytał kierowca.

- Piazza del Popolo - odparł krótko Tedesco.

Ruszyli cicho przez Parco Dei Principi i Tedesco wrócił myślami do formuły

„Genesis”. Gra szła o niewiarygodną stawkę. Miał dużą pokusę spróbowania czegoś na własną rękę. Formuła dotyczyła cudownego katalizatora, który dałby właścicielowi nadzwyczajną władzę. Tedesco wypił łyk wina i odrzucił tę myśl. Za długo był związany z tymi ludźmi, żeby próbować czegoś takiego. Tylko amator lub kompletny głupiec chciałby oszukać kartel. Oni byli gorsi niż mafia. Do diabła, mafia wykonywała ich polecenia. To kartel rządził światem i nikt, kto cenił swoje życie, nie zadziera z taką potęgą. Neeley powinien był to wiedzieć. Ale był już stary i drażyła go choroba głupców: chciwość. Kokaina już mu nie wystarczała. Musiał przeciwstawić się kartelowi. Na swój sposób Tedesco odczuwał współczucie dla niego. Neeley zawsze był wobec niego uczciwy. Cholera, nie powinien był mówić temu dupkowi, Clementsowi o „Genesis”. Siedzący w Neeleyu glina powinien był go ostrzec.

Pociągnął jeszcze wina i zapatrzył się na uciekające w tył afrykańskie drzewa. Kiedy jechali w dół Trinita de Monti, Tedesco czuł ogarniające go zadowolenie. Sprawa „Genesis” była, jak dotąd, jego najważniejszym zadaniem i biorąc pod uwagę okoliczności, wszystko toczyło się zgodnie z planem. Dziewczyna wystawiła Neeleya a dwóch terrorystów, którzy załatwili Neeleyów, sami zostali wyeliminowani. Obermann został uciszony, a ten cwaniak, ten w gorącej wodzie kąpany gliniarz z Los Angeles, Caine, był tam, gdzie chcieli, żeby się znajdował. Diestel wykonywał polecenia dokładnie. Tylko do tego nadawały się te pieprzone szkopy, do wykonywania rozkazów. Tedesco nie czuł niechęci do Diestela. Bądź co bądź, jego pięć milionów dolarów spoczywało w sejfie należącego do Niemca szwajcarskiego banku.

Duży, kasztanowy Rolls-Royce zjechał w dół i skręcił w malowniczą *piazzę*.

- Dokąd, *signore*?

- Zatrzymaj się przy kościele.

Samochód powoli przetoczył się przez *piazzę* i zaparkował obok ozdobionego kolumnadą kościoła. Tedesco położył neseser na kolanach, ustawił kółeczko zamka szyfrowego na cyfrę osiem, wcisnął je i po usłyszeniu kliknięcia przekręcił trzykrotnie. Odłożył neseser na siedzenie, wysiadł i podszedł do szofera.

- Zaczekaj tutaj na *signore* Francovelli i zawieź go do Kaladiego. *Capisci*?

- *Si, capisco*.

Tedesco skierował się wolnym krokiem w stronę kwaciarni „Rosati”. Usiadł przy stoliku w ogródku i zamówił Campari z tonikiem. Lokal był wypełniony stałą klientelą, składającą się z aktorów, aktorek, scenarzystów i tajniaków z Wydziału antyterrorystycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Tedesco zawsze potrafił wywachać glinę. Ale dwaj

policjanci nie wykazywali zainteresowania eleganckim

Amerikaninem. Poszukiwali znanej członkini Czerwonych Brygad. Przez następne dziesięć minut sączył swojego drinka, gryzł orzeszki i flirtował z miłą włoską aktorką. Dokładnie o siódmej trzydzieści zobaczył znajomą postać wchodzącą na *plazę*.

Arthur Clements powoli zbliżał się do Rolls-Royce'a. Szofer wyskoczył i otworzył tylne drzwi.

- *Buona sera, signore Francovelli.*

Clements skinął głową i wszedł do samochodu.

\*

Mijali podświetlone ruiny Forum Romanum, ale Clements nie dostrzegał ani ich piękna, ani roli, jaką ta budowla odegrała w historii. Jego niewrażliwość nie ograniczała się wyłącznie do Włoch. W ogóle nie znosił Europy. Nigdy nie rozumiał potrzeby Amerykanów odwiedzania tego archaicznego, przesiąkniętego krwią kontynentu. Postanowił dostarczyć pieniądze i natychmiast wracać na lotnisko.

Miał rezerwację na lot Air France do Paryża. Przenocuje tam i z samego rana poleci *Concordem* do Nowego Jorku. W niedzielę odbywa się gonitwa na torze Belmont i nic nie powstrzyma go od zobaczenia jej. W przyszłym tygodniu wystawiał swojego championa, Snowball, w Cinema Handicap w Hollywood Park. Uwielbiał tego białego konia. Był on jedyną żywą istotą, którą darzył uczuciem. Oczywiście wyobraźni widział, jak wypada na prostą, mijając inne konie, tak jakby wszystkie stanęły w miejscu. Poza tym Snowballa był uczciwy. Oddałby życie za zwycięstwo. Uczciwość była kluczem. W świecie Clementsa nie miało się z nią zbyt często do czynienia.

\*

Yussuf Kaladi przywitał go ciepło, przepaszając za rewizję, której poddał go czarny Sudańczyk. Nie mógł nie zauważyć purpurowych linii biegnących od nosa Amerykanina. Stały się jeszcze wyraźniejsze w ciągu tych sześciu miesięcy, które upłynęły od ich ostatniego spotkania.

Skinął ręką na Sudańczyka, który natychmiast wyjął z kubelka zieloną butelkę i nalał obu mężczyznom szampana.

- Zdrowie - powiedział z uśmiechem Kaladi.

- Zdrowie - Clements wypił i powiedział: - Nie sądzę proszę, Yussuf, że jestem nieuprzejmy, ale mam rezerwację na lot do Paryża o dziewiątej.

- Szkoda - Kaladi postawił kieliszek. - Przygotowałem coś specjalnego. Szwajcarskie bliźniaczki. Zaledwie osiemnastoletnie i bez żadnych oporów. Ale to nic. Innym razem.

Powiedział coś po arabsku do goryla. Sudańczyk wziął neser i postawił go na stole.

Kaladi wstał i zbliżył się do walizeczki.

- Dwa, osiemnaście. Dwa razy - powiedział Clements.

Kaladi dotknął kółeczka zamka szyfrowego i ostrożnie zaczął nim kręcić. 2... 18... 2...

18. Zwolnił zamknięcia po obu stronach i położył neser na boku. Otworzył go i odgarnął wierzchnią warstwę studolarówek. Nagle jego oczy zwęziły się, kiedy zobaczył coś dziwnego. Coś, co zaszokowało go. Szybko zdjął wierzchnią warstwę i jego oczom ukazały się rzędy niezwykle banknotów z wizerunkiem kogoś o nazwisku Jefferson Davis. Była to ostatnia rzecz, jaką Yussuf Kaladi zobaczył w życiu.

Nastąpił ogłuszający wybuch. Siła eksplozji zmiażdżyła klatkę piersiową Kaladiego, wbijając odłamki żeber w płuca i gardło. Z otworu, gdzie znajdowały się usta, trysnęła struga ciemnej krwi. Górna część czaszki odleciała w jednym kawałku. Wybuch uniósł ciało i rzucił je przez szklaną ścianę do oddalonego o piętnaście metrów basenu. Głowa Clementsa została rozerwana, w brzuchu pojawiła się olbrzymia dziura, z której wypadły na bezcenny perski dywan dymiące wnętrzności. Ręce, wyrwane ze stawów, przeleciały przez pokój, uderzając z ogromną siłą w dębowe drzwi. Sudańczyk miał szczęście. Nic nie poczuł, kiedy kawał szyby gładko przeciął jego ciało na pół. Fala powietrza odbiła się od ścian i uderzyła w sufit wrywając dziurę przez którą spadło stojące w sypialni ogromne łóże.

Dwaj przejeżdżający obok *carabinieri* mieli dwanaście sekund na zastanowienie, co się dzieje, po czym ich Fiat został odrzucony na odległość dziesięciu metrów. Doznali wstrząsu, ale nic im się nie stało. Najwięcej szczęścia miały szwajcarskie bliźniaczki, które postanowiły przed przyjściem do Kaladiego zabawić się. W momencie eksplozji siedziały w barze w Trastevere, racząc się kokainą.

\*

Kilka godzin później Frank Tedesco spoczywał już w łóżku swojego apartamentu w „Hassler”, oglądając w telewizji informację o udanym zamachu bombowym na życie szejka Yussufa Kaladiego i amerykańskiego biznesmena Arthura Clementsa. Komentator powiedział, że wśród ruin willi znaleziono dużą ilość bezwartościowych, sfalszowanych pieniędzy z czasów amerykańskiej Wojny Secesyjnej. W sprawę włączyło się Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Dotychczasowe wyniki śledztwa wskazywały na udział w zamachu rywalizujących ze sobą arabskich terrorystów.

Tedesco wyłączył telewizor i zadzwonił pod zastrzeżony numer w Palos Verdes w Kalifornii.

## 43.

Nad jeziorem Alster wisiała mgła, rozpraszając światła willi rozrzuconych wzdłuż brzegów. Prom pracowicie płynął, przecinając północny skraj jeziora w kierunku przystani Uhlenhurst. Na ławeczkach w jasno oświetlonej kabinie siedzieli Barney i Lisa, wsłuchując się w buczenie holowników wypływających z hamburskiego portu.

Barney przyglądał się odbiciu jej twarzy w oknie. Lisa zabrała go na obiad do restauracji znajdującej się w części miasta nazwanej Karolinen. Była to stara dzielnica. Ulubione miejsce niemieckich ekspresjonistów we wczesnych latach dwudziestego wieku. Wąskie, brukowane uliczki wiły się wśród niskich budynków, których ściany zdobiły trójwymiarowe malowidła - tworzące iluzje wylotów innych uliczek. Na małych placzkach były małe kafejki, sklepy z antykami i księgarnie.

Wybrali mały lokalik o nazwie „FürsthoF”, którego specjalnością były przepyszne hamburgery i miejscowe różowe wino podawane w dzbankach. „FürsthoF” był ulubionym miejscem spotkań studentów i z głośników huczał modny disco rock. Studenci natychmiast zwrócili uwagę na Lisę i Barney poczuł dziwną dumę, męską satysfakcję, że ta piękna blondynka należy do niego. Było to uczucie, którego nie doświadczał od studenckich czasów. Ciepła i pogodna atmosfera tego miejsca podniosły ich na duchu. Na chwilę zapomnieli o Obermannie i spotkaniu z profesorem Sieboldem.

Rozmawiali o starych czasach i minionych zdarzeniach. Opowiedziała mu o Włochu, którego przypadkowo spotkała na pokładzie pociągu Blue Train jadącego z Mediolanu do Rzymu i jak oboje zmienili swoje plany i wysiedli w Wenecji. Pojechali do Lido, gdzie kochali się, pływali, opalali, grali w kasynie i wybrali się na przejażdżkę gondolą w świetle księżyca, podziwiając renesansowe piękno magicznego miasta. Trzy dni później wszystko się skończyło. Nigdy więcej się nie spotkali.

Zapytała Barneya, czy zgadza się z nią, że przypadkowe spotkania, nie planowane, zawsze są najlepsze. Barney odparł, że takie rzeczy mają sens jedynie wtedy, kiedy obie strony zdają sobie sprawę z przelotności związku. Powiedziała mu, że zawsze chciała pojechać do Meksyku. Że zawsze uważała, iż jest w nim coś egzotycznego. Zimą dwa lata temu o mało co nie pojechała. Agencja załatwiła kontrakt w Acapulco, ale w ostatniej chwili wybrali inną dziewczynę. Barney słuchał i zastanawiał się, jak przy jej jasnych włosach i błękitnych oczach wyglądałaby opalenizna z Acapulco. Po obiedzie spacerowali wąskimi uliczkami, trzymając się za ręce, jak zakochani na wakacjach.

\*

Huk silników ucichł nieco i konduktor zapowiedział Uhlenhurst. Opuścili kabinę i wyszli na pokład. Prom podpływał do przystani. Po obu stronach pomostu kołysały się przycumowane żaglówki.

Prom przybił i wysiedli wraz z półtuzinem innych pasażerów.

Kiedy dotarli do ulicy *Schöne Aussicht*, Lisa zapytała jakąś kobietę o numer trzydziesty ósmy. Dowiedziała się, że to tylko dwie przecznice dalej, idąc od jeziora.

Przechodzili obok dostojnie wyglądających dwupiętrowych domów i Lisa wyjaśniła, że cała ta dzielnica została zniszczona przez brytyjskie bomby. Jednak patrząc teraz na te spokojne ulice, Barneyowi trudno było sobie wyobrazić je leżące w gruzach.

Doszli do rogu i zatrzymali się, czekając na zmianę świateł. Barney spojrzał w lewo i nagle zeszywniał. Zobaczył niskiego mężczyznę w czarnym płaszczu i kapeluszu.

- Co się stało? - zapytała Lisa.

Ale Barney nie odpowiedział.

- Hej! Ty! Zatrzymaj się! - krzyknął do mężczyzny.

Nieznamy odwrócił się i nawet w słabym świetle latarni, Barney mógł zobaczyć, że nie był to alfons z Berlina. Ten miał krótką bródkę, nie nosił okularów i zdawał się być mocniej zbudowany niż mężczyzna z *Meineckestrasse*. Obcy spojrzał w ich stronę z ciekawością, po czym odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Barney wziął Lisę za rękę i razem przeszli przez ulicę.

- Dlaczego go wołałeś? - zapytała.

- Zdawało mi się, że to ktoś znajomy. Pomyliłem się.

*Schöne Aussicht 38* był dwupiętrowym, zwieńczonym szczytami domem z drewnianym balkonem na górnym piętrze. Do wejścia wiodł chodnik przecinający trawnik. Krępa siwowłosa kobieta w stroju pokojówki uchyliła drzwi.

- *Ja, bitte?*

- *Fräulein Spangler und Herr Caine* - przedstawiła ich Lisa.

- *Ein Moment, bitte.*

Kobieta zamknęła drzwi. Czekali dłuższą chwilę, zanim ponownie się zjawiła. Tym razem otworzyła szeroko drzwi.

- *Kommen Sie bitte* - zaprosiła ich z uśmiechem.

Gabinet profesora okazał się nieco zagraconym, ale komfortowym pokojem. Znajdowały się tam półki z książkami, a na ścianie wisiały oprawione dyplomy honorowe nadane profesorowi i drewniana podstawka z mosiężną płytką, na której widniały jakieś

inskrypcje.

Profesor siedział za podniszczonym biurkiem. Barney rozpoznał w nim człowieka z fotografii w mieszkaniu Obermanna. Był szczupły i sprawiał wrażenie wysokiego. Miał długie, siwe włosy i imponującą brodę. W twarzy o regularnych rysach przykuwały uwagę czujne i dociekliwe oczy.

- Za chwilę się państwem zajmę - powiedział podnosząc na chwilę wzrok.

Przed nim leżała kartka papieru nutowego, na której zapisywał jakąś melodię. Zakończył, przyjrzał się swojemu dziełu i, najwyraźniej zadowolony, odłożył pióro i wstał. Okazało się, że ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Wyszedł zza biurka, przywitał się z nimi i wskazał parę wyściełanych krzeseł. Sam usiadł na sofie stojącej naprzeciwko.

- Jak zapewne zdążyliście się zorientować, jestem domorosłym kompozytorem. Gram na flecie w zespole kameralnym z moimi przyjaciółmi z instytutu. W przyszłą niedzielę damy koncert w parku. Bardzo zasmuciła mnie śmierć pani wuja - powiedział do Lisy. - Paul i ja byliśmy starymi przyjaciółmi. Rozumiem, że ma pan powody przypuszczać, że mnie też może grozić niebezpieczeństwo - zwrócił się następnie do Barneya.

- Istnieje taka możliwość.

- I pan jest w stanie mnie uratować, tak?

Barney zignorował nutę sarkazmu w tym pytaniu.

- Co może mi pan powiedzieć o programie „Genesis”?

Profesor usiadł wygodniej i spojrzał w sufit, jakby tam chciał znaleźć natchnienie.

- „Genesis” to część szerokiego programu badań. Celem uczonych było wyprodukowanie paliwa syntetycznego i innych produktów petrochemicznych poprzez proces hydrogenacji. Musi pan zrozumieć, że nie był to nowy pomysł. Metodę tę odkrył jako pierwszy niemiecki naukowiec nazwiskiem Bergius w 1913 roku. W latach następnych metoda została udoskonalona. Czternastego grudnia 1933 roku Hitler zagwarantował koncernowi I.G. Farben udzielenie bezzwrotnej pożyczki w wysokości ówczesnych dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów na budowę fabryki zdolnej do produkcji trzystu pięćdziesięciu milionów baryłek paliwa syntetycznego rocznie. Przerób węgla na benzynę stał się głównym priorytetem programu badawczego Rzeszy.

Profesor chciał kontynuować, ale rozległo się stukanie do drzwi. Weszła pokojówka i na stoliku postawiła tacę z trzema filiżankami herbaty. Spojrzała na profesora, który skinął głową, po czym wyszła.

- Proszę się częstować. Ta herbata jest przyrządzana ze specjalnych ziół. Zobaczycie, że jest znakomita.



- Czy może pan wyjaśnić w prostych słowach, jak przebiega proces hydrogenacji? - poprosił Barney.

- Spróbuję - odparł z uśmiechem profesor. - Trzeba mieć wodę, wodór, tlen i węgiel, najlepiej węgiel kamienny. Wszystko to jest podgrzewane pod dużym ciśnieniem w obecności metalicznego katalizatora. W wyniku tego otrzymujemy szeroką gamę paliw: benzynę, naftę, metan, metanol i wiele olei, a także to, co wy, Amerykanie, nazywacie gazem naturalnym. Jest to dość skomplikowana operacja i wymaga dużej precyzji. Tak zwana metoda Fischera-Tropscha była dużym postępem i umożliwiła stworzenie piętnastu zakładów hydrogenacji, które zaopatrywały Rzeszę w surowce energetyczne przez całą wojnę. Ta tabliczka - wskazał na ścianę - jest dowodem uznania od Alberta Speera. Nosi datę dwudziestego dziewiątego kwietnia 1944 i otrzymałem ją za wyprodukowanie siedmiu milionów ton paliwa, pomimo bezustannych alianckich nalotów.

- Czy zakłady nie były bombardowane?

- Tylko sporadycznie. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego wasi piloci zrzucali swoje bomby na ulice miast. Gdyby skoncentrowali wysiłki na zakładach hydrogenacji, wojna zakończyłaby się już w 1943 roku. Zastanawiające, nieprawdaż?

Uśmiechnął się, wypił łyk herbaty i spojrzał na nich z satysfakcją, tak jakby to on przechrzył brytyjskich i amerykańskich generałów.

- Jak smakuje herbata? - zapytał Lisy.

- Świetna.

- Paul Obermann powiedział mi, że kluczem procesu był katalizator. Nazwał go czarną skrzynką - powiedział Barney.

- To prawda - zgodził się profesor. - Katalizator jest jak dyrygent w orkiestrze, regulujący siłę instrumentów.

- Jakiego katalizatora używaliście w czasie wojny? - Tlenku kobaltu i magnezu. Później dodaliśmy tor i miedź.

- Czy to była ostateczna formuła katalizatora?

- Nie. Pod koniec wojny testowaliśmy jeszcze jeden. Był naprawdę nadzwyczajny. Nazywaliśmy go katalizatorem manganowym. Składał się z kombinacji manganu, platyny i irydu. W czasie prób wystarczał na przerobienie ponad stu milionów ton węgla, z którego powstawało dziewięćdziesiąt procent bezsiarkowej ropy. Czystszej więc niż arabska.

- Czy mogę zapalić? - zapytała Lisa.

- Proszę bardzo.

Barney przypalił jej papierosa.

- Czy pana zdaniem ten manganowy katalizator stanowiłby dziś tajemnicę?

- Bez wątpienia.

- Czy wie pan, co się stało z jego ostateczną formułą?

- Pod koniec kwietnia 1945 otrzymałem polecenie od doktora Esaua, nakazujące mi przekazanie wszystkich naszych dokumentów *Oberstowi* SS Pohlowi, w celu przetransportowania ich do Kwatery Głównej Naczelnego Dowództwa w Zossen.

- Po co?

- Plotka głosiła, że miały stanowić część konwoju tajnych dokumentów, mających służyć jako argument przetargowy w negocjacjach z Amerykanami.

- I „Genesis” znalazło się w tym konwoju?

- Tak.

- Czy kiedykolwiek zwracał się do pana w sprawie formuły „Genesis” szwajcarski przemysłowiec?

- Tak. To było po ogłoszeniu przez Arabów embarga na ropę w 1973. Zapytał, czy mógłbym odtworzyć zespół naukowców pracujących nad „Genesis”. Pytał też o katalizator manganowy. Powiedziałem mu, że nie jestem tym zainteresowany.

- Czy oferował jakąś sumę pieniędzy?

- Nawet sporą.

- Dlaczego pan odmówił?

- Mam siedemdziesiąt trzy lata, panie Caine. W końcu znalazłem spokój, posadę na uniwersytecie i muzykę. Cieszę się tym, co mam. Nie mam ochoty podbijać świata.

Barney wstał, podszedł do ściany i przyjrzał się mosiężnej tabliczce. Widniał na niej hitlerowski orzeł trzymający w szponach swastykę.

- Czy zna pan niejakiego Friedricha Diestela? - zapytał nie odwracając się.

- Nie.

- Czy w styczniu tego roku spotkał się pan z Amerykaninem o nazwisku Neeley?

- Telefonował do mnie kilkakrotnie, ale nie zgodziłem się na spotkanie.

- Dlaczego?

- Nie znałem go. A ja nie lubię wracać do przeszłości. Korzystaliśmy z siły niewolniczej. Nie jestem z tego dumny. Poza tym wielu niemieckich uczonych zostało zamordowanych przez esesmanów, żeby zapewnić sobie ich milczenie.

- Co się z panem działo po wojnie?

- Zostałem schwytany przez Amerykanów i zabrano mnie do Brownsville w Teksasie. Współpracowałem ze specjalistami z różnych amerykańskich koncernów naftowych i

założyłem eksperymentalną fabrykę paliwa syntetycznego. Projekt został w 1956 zarzucony.

Siebold wziął dzbanek z herbatą.

- Czy dolać pani? - zapytał Lisy.

- Tak, poproszę.

- Ta herbata jest naprawdę wyśmienita, zgodzi się pani ze mną? - powiedział napelniając filiżanki.

- Ma niezwykły smak.

- Dlaczego ten projekt został zarzucony?

- Nie potrafię powiedzieć.

Profesor wstał i wrócił za biurko. Spojrzał na papier nutowy, a następnie na Barneya.

- Niestety, muszę wrócić do mojej muzyki.

- Jeszcze tylko kilka pytań. Proszę mi powiedzieć, czy pana zdaniem możliwa byłaby dzisiaj opłacalna produkcja paliwa syntetycznego?

- Oczywiście - odparł profesor pocierając brodę. - Przy cenie OPEC wynoszącej prawie czternaście dolarów za baryłkę i wciąż wzrastającej, oraz biorąc pod uwagę ogromne zasoby węgla w Stanach Zjednoczonych, jestem skłonny stwierdzić, że możliwa jest produkcja czystego paliwa syntetycznego w granicach dziewięćdziesięciu centów za baryłkę. Co więcej, gdyby oprzeć je na bazie alkoholu, wywołałoby to rewolucję w całym przemyśle motoryzacyjnym. Silnik wytrzymałby czterysta tysięcy kilometrów przebiegu bez remontu kapitalnego. Alkohol ma nadzwyczajny efekt chłodzący. Dlatego też używa się go w samochodach wyścigowych.

Barney przypomniał sobie słowa Iselli: „Gdybyśmy używali normalnej benzyny, to silnik uległby zatarciu w dziesięć minut”.

- Czy jest jakaś przyczyna techniczna, dla której Stany Zjednoczone nie produkują paliwa syntetycznego? - zapytał.

- Techniczna? Nie. Mają technologię, pieniądze i węgiel.

- Ale nie mają katalizatora - wtrąciła się do rozmowy Lisa.

- Katalizator manganowy uczyniłby produkcję opłacalną natychmiast - wyjaśnił profesor. - Ale mimo to mają wystarczająco wiele wiadomości, żeby zacząć. Co prawda wymaga to ogromnych inwestycji. Być może nawet w granicach pięciu miliardów. Ale nie jest to zbyt wygórowana suma, zważywszy, że Ameryka stałaby się samowystarczalna pod względem surowców energetycznych na setki lat.

- Czy uważa pan, że istnieje jakaś tajna zмова mająca na celu niedopuszczenie do produkcji paliwa syntetycznego?

- Jestem chemikiem, a nie politologiem.
  - Czy zna pan miejsce pobytu doktora Esaua?
  - Wiem tylko, że został wzięty do niewoli przez Rosjan pod koniec 1945 roku. Wiele lat później został wymieniony za rosyjskiego szpiega. Doktor Esau wrócił do Niemiec jako człowiek zupełnie załamany.
  - Nie wie pan, czy jeszcze żyje?
  - Nie mam pojęcia.
  - Czy zna pan jakieś osoby blisko związane z Esauem?
- Siebold znowu wyszedł zza biurka.
- Niejakiego Manfreda Reimecka. Był asystentem doktora. Nie odstępował go na krok. Jeżeli ktokolwiek może coś wiedzieć na jego temat, to tylko on.
  - Jak mogę go odnaleźć?
  - Jest jednym z kustoszy Deutsches Muzeum w Monachium. A teraz musimy już kończyć. Jestem zmęczony, a jutro od rana mam wykłady.
  - Ostatnie pytanie - powiedziała Lisa. - Czy zna pan kogokolwiek, kto mógł mieć motyw, aby zabić Paula Obermanna?
- Siebold wzruszył ramionami.
- Przeszłość kryje wiele niebezpieczeństw dla tych, którzy byli związani z programem „Genesis”.

## 44.

Prom opuścił przystań Uhlenhurst o 9.25. Chłodny wieczorny wiatr od Atlantyku rozproszył mgłę. Światła miasta stały się wyraźne. Barney i Lisa stali na pokładzie opierając się o reling. Zimne, słone powietrze owiewało ich twarze, działając odświeżająco po pobycie w zamkniętym gabinecie Siebolda.

Barney zwrócił uwagę na wąski pas jaskrawych świateł w jednej z dzielnic miasta.

- Co to za światła?

- Gdzie?

- Tam. Popatrz za moim palcem.

- Ach, to St. Pauli w Reeperbahn. To niewielka dzielnica, gdzie są kluby porno.

Barney przypomniał sobie fotografię znalezioną w domu Neeleya. Tę z dwoma uśmiechniętymi dziewczętami.

- Rozumiem, że jest to legalne.

- Tak. To największa atrakcja turystyczna Hamburga. Może nawet całych Niemiec. Chciałbyś zobaczyć któreś z tamtych przedstawień?

- Chyba nie.

- Dlaczego?

- Nie podnieca mnie oglądanie innych. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałam, że może chcesz to zobaczyć. Większość mężczyzn chce.

- Większość mężczyzn nie spędziła pięciu lat pracując w obyczajówce w Los Angeles.

- Ciągle zapominam, że jesteś policjantem.

- Tutaj jestem zwykłym turystą.

- Turystą, który wdaje się w strzelaniny - powiedziała cicho. - Turystą, który boi się małego człowieczka w ciemnym płaszczu.

\*

Barney sprawdził, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości. Następnie wziął klucze do ich pokojów i ruszył w kierunku windy.

- Może masz ochotę na drinka? - zapytał po chwili zastanowienia się.

- Nie bardzo - pokręciła głową.

Wjechali na trzecie piętro, przeszli długim korytarzem i zatrzymali się przed jej pokojem.

- Załatwię bilety do Monachium - powiedział. - Spróbujemy wyruszyć około południa.

Kiwnęła głową i spojrzała na niego. Jej błękitne oczy były nieco zamglone.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Nie. Jestem po prostu zmęczona.

Popatrzyła mu w oczy i nagle wydała mu się niezwykle delikatna.

Wziął jej twarz w dłonie i pocałował ją. Nie oddała pocałunku, ale też nie zaprotestowała. Odwróciła się gwałtownie i otworzyła drzwi. Potem rzuciła mu zdziwione spojrzenie. Jakby widziała go po raz pierwszy.

\*

Barney wykapał się i wyciągnął na olbrzymim łożu. Ciemność pokoju sporadycznie rozjaśniało czerwone światło odległego neonu. Ciągle czuł w ustach smak jej szminki, w nozdrzach pozostał mu zapach intensywnych perfum. Pomyślał, że chciałby wiedzieć, co ją trapi.

Włączył lampkę na nocnym stoliku, wziął do ręki długopis i kartkę, i zaczął pisać:

Zadzwoń: Lehman. Zdać sprawozdanie z rozmowy z Sieboldem. Powiedzieć, żeby sprawdził Reimecka.

Zadzwoń: P Baumer. Zdać sprawozdanie.

Zadzwoń: Reimeck w Deutsches Museum.

Zadzwoń: Louis. Zdać sprawozdanie.

Zgasił lampkę i z powrotem położył się. Pomyślał o słowach Siebolda: „Katalizator manganowy sprawiłby, że proces stałby się opłacalny”. Siły sprzymierzone przeciwko masowej produkcji paliwa syntetycznego były potężne: OPEC, koncerny naftowe, banki i - jeżeli wprowadzono by paliwo alkoholowe - koncerny samochodowe.

Jeżeli Ameryka stałaby się samowystarczalna pod względem ropy naftowej, potęga OPEC załamałaby się z dnia na dzień. Zniknęłaby jej władza nad zachodnimi państwami demokratycznymi. Izrael nie musiałby już sprzedawać za ropę swojej krwi. Barney poczuł nagły przypływ euforii. Jeżeli ktokolwiek miałby wyciągnąć korzyści z produkcji paliwa syntetycznego, to byłby to właśnie Izrael. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że to jest jego szansa na pozostanie przy życiu.

Rzucał się i przewracał w łóżku przez godzinę. Poduszka paliła go w policzek. Przed oczyma pojawił mu się wizerunek małego człowieczka w czarnym płaszczu. Czy był to ten sam mężczyzna, który śledził go w Berlinie? Na to pytanie brak było odpowiedzi. Czuł tylko coraz głośniejsze dudnienie w skroniach. Spojrzał w górę na pojawiające się i znikające czerwone światło neonu.

Usłyszał ciche stukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał ochryłym głosem.

- To ja. Lisa.

Podniósł z krzesła szlafrok, włożył go na siebie i otworzył drzwi. Weszła do środka, a Barney podszedł do stolika i zapalił lampkę.

- Nie zapalaj - powiedziała.

Spojrzał na nią.

- Proszę - wyszeptała.

Zgasił światło i usiadł na krawędzi łóżka. Obserwował ją, stojącą w ciemności, oświetlaną tylko od czasu do czasu błyskiem neonu.

Zdjęła bluzkę i rozpięła suwak przy spódnicy, która opadła na podłogę. Wyszła z niej i zdjęła buty. Była naga, z wyjątkiem niebieskich majteczek. Zbliżyła się do łóżka i stanęła nad nim.

Barney zdjął szlafrok i popatrzył na nią. Ich oczy spotkały się. Dotknął jej wąskiej talii i zsunął majteczki z bioder aż do kostek. Wyszła z nich. Wstał z łóżka, ukląkł przed nią i przyciągnął do siebie, całując białą skórę jej płaskiego brzucha.

Do głowy uderzył mu zapach perfum. Podziało to na niego jak narkotyki. Jego usta, język, wargi zdawały się ożywać własnym życiem, kiedy przesuwały się po jej ciele, pieszcząc je spojrzał w górę. Jej oczy zabłyśły dziwnym światłem. Jej ciało pochyliło się nad nim.

- *Bitte... bitte...* - wyszeptała po niemiecku i zaraz przeszła na angielski: - Och, proszę... proszę.

Przesunął ją w stronę łóżka. Położyła się na plecach, rozkładając szeroko nogi. Pochylił się nad nią, podziwiając doskonałą symetrię jej ciała.

- Proszę - wyszeptała ponownie.

Przyłgnął policzkiem do wewnętrznej strony jej uda i zaczął całować gładką skórę. Pocałunkami pokrywał jej brzuch i uda, miejsce koło miejsca. Jej ciało zaczęło się poruszać.

- *Bitte... bitte.*

I kiedy nie mógł już wytrzymać, przycisnął usta do wilgotnego centrum jej zmysłowości. Wsunął dłonie pod jej pośladki, unosząc ją w górę, przyciskając do swoich warg.

W skroniach dudniła mu krew, z czoła spływały krople potu, ściekając po twarzy. Jego usta stały się częścią niej. Chwyliła go za kark, jeszcze bardziej przyciskając do siebie. Poczuł, jak ogarnia go świat fantazji. Widział ją teraz jako wielką Walkirię. Nordycki mit. Naga i gwałtowna. Olbrzymka. Królowa-wojownik starożytnych teutońskich plemion. Zdana na jego łaskę jęczała i błagała, podczas gdy on spijał świętą wodę aryjskiego mitu.

Wychodziła naprzeciw jego szaleństwu. Z jej ust wydobywały się ciche jęki, a ręce zacisnęły się w pięści, bijąc w poduszki. Poczula w brzuchu pulsowanie i jej ciało wygięło się, unosząc się z łóżka. Jej ręce zaczęły coraz silniej zaciskać się. Jęczała coraz głośniejsze i jej paznokcie wbijały się głęboko w jego ramiona. Całe ciało drżało i ogarnął ją jeden długi niekończący się spazm. Rozchyliła wargi, a na jej czole pojawiły się dwie głębokie linie.

Była na krawędzi, gdzie rozkosz spotykała się z bólem i płonęła ogarniając ciało i umysł. Barney zniknął. Pozostała tylko jego obsesja mitu i ten cudowny moment.

Osiągnęła szczyt rozkoszy.

- Przestań! Musisz przestać! Proszę! Musisz! - krzyknęła.

Ale jej okrzyk tylko wzmógł jego pasję. Musiała użyć całej swojej siły, żeby oderwać jego głowę i złączyć nogi. Barney podniósł się i stanął na czworakach. Cały pokój wirował.

Spojrzał na rzucane spazmami, oblane potem ciało. Odetchnął gwałtownie i przesunął się, przykrywając sobą jej postać. Chwycił w ręce jej twarz i przycisnął usta do warg. Rozsunęła nogi i z łatwością wszedł w nią. Poczuł ogarniającą go falę ciepła. Ścisnęła go nogami i zaczęła przesuwając dłońmi wzdłuż jego ciała. Ich usta złączyły się, kiedy tak zbliżali się do granicy orgazmu. Byli jednością. Jednym ciałem opanowanym przez szaloną namiętność, której żadne z nich nie rozumiało. Namiętność rozpaloną najczystsza zmysłowością. Namiętność, która nie знаła przeszłości ani przyszłości. Tylko chwilę obecną.

## 45.

Barney siedział w łóżku obserwując światło poranka wpadające poprzez zasłony. Obudzili się tuż po ósmej. Lisa przyciągnęła go do siebie. Ponownie zaczęli się kochać. Ale tym razem było to coś innego. W ciszy, metodycznie, ale też całkowicie się zaspokajając. Normalność dnia podkreślała nocne szaleństwo. Kiedy skończyli, pocałowała go, podniosła się i poszła do łazienki. Słyszał teraz dźwięk odkręconego prysznica.

Ciągle rozmyślał o intensywności ich aktu miłosnego. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak całkowicie zaspokojony. Był zdumiony fantazjami, które go ogarnęły i intensywnością uczucia, które sobie wzajemnie przekazali. Dla Barneya było to niezwykle. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek zdarzyło mu się coś podobnego.

Rozległo się stukanie do drzwi. Barney wkładał szlafrok, kiedy do pokoju wjechał wózek ze śniadaniem popychany przez młodego blondyna. Śniadanie składało się z jajecznicy, parówek, bułeczek, tostów, dżemu i pokrojonych w plasterki pomarańczy. Do tego były dwa dzbanki z kawą. Kelner zapytał, czy wszystko jest w porządku. Barney odpowiedział, że tak, i wręczył mu napiwek. Chłopiec wyszedł, a Barney nalał sobie kawy, czując jak kofeina pobudza go do życia.

Usiadł i otworzył poranną gazetę. Niestety, była po niemiecku. Przeleciał wzrokiem pierwszą stronę i zauważył fotografię, która powstrzymała go od kolejnego łyka kawy.

Otworzyły się drzwi łazienki i wyszła Lisa owinięta białym ręcznikiem. Jej długie włosy były wilgotne i zwisały na ramiona. Podeszła do stolika i nalała sobie kawy. Zauważyła oczy Barneya przykute do gazety. Wiedziała, że nie potrafi czytać po niemiecku i zaczęła zastanawiać się, co mogło zwrócić jego uwagę. Usiadła. Podał jej gazetę i wskazał fotografię.

- Co tu jest napisane?

Przyjrzała się zdjęciu i zamieszczonej obok notatce. Jej twarz stężała; przygryzła



dolną wargę.

- Trzech mężczyzn zginęło na przedmieściach Rzymu. W willi Saudyjczyka nazwiskiem Kaladi. Drugą ofiarą był Amerykanin. Nazywał się Arthur Clements. Trzeci to niezidentyfikowany czarny - powiedziała, oddając mu gazetę.

Potwierdziła to, czego się domyślił. Następnym dwóch zlikwidowanych - pomyślał. Arthur Clements. Liczył na to, że uda mu się go złamać. Clements był jedynym z podejrzanych bezpośrednio związanym z konspiracją „Genesis”. Prawdopodobnie dlatego zginął. Ale dlaczego Kaladi? On nie siedział w tym zbyt głęboko. To prawda, że Neeley wysłał do niego teleks. Ale przecież Saudyjczyk był tylko pośrednikiem przekazującym łapówki od amerykańskich koncernów naftowych. Po co miałby się wplątywać w sprawę „Genesis”?

Odłożył gazetę i zanurzył tost w żółtku usmażonego jajka. Lisa obserwowała, jak jego twarz przybiera wyraz głębokiego zamyślenia.

- Czy ten wypadek w Rzymie jest związany z „Genesis”? - zapytała.

- Tak.

- Czy ma coś wspólnego ze śmiercią Paula?

- Nie jestem pewien. Obok fotografii jest artykuł. Mogłabyś go przeczytać?

Podniosła gazetę. Tym razem czytała bez śladu zdenerwowania.

- Napisali, że Kaladi był wysoko postawionym przedstawicielem saudyjskiego Funduszu Inwestycyjnego, a Clements amerykańskim biznesmenem. Zostali zabici przez bombę umieszczoną w neseserze. Włoska policja znalazła kawałki fałszywych amerykańskich banknotów z czasów Wojny Secesyjnej. Były to pięćdziesięciodolarówki z wizerunkiem Jeffersona Davisa. - Popatrzyła na niego. - Czy to prawda?

- Tak. Stary dobry Jeff Davis. Chryste, ale numer.

- Znałeś ich?

- Tylko Amerykanina.

- A co z Arabem? Wiesz coś na jego temat?

- Był pośrednikiem. Brał łapówki od amerykańskich koncernów naftowych i przekazywał je na szwajcarskie konto należące do saudyjskiej rodziny królewskiej. To Neeley był kurierem.

- To znaczy?

- Przemycał te pieniądze.

Skończył jeść jajka, dopił trzecią filiżankę kawy, podniósł się i ruszył w stronę łazienki.

- Barney - zawołała go.

Zatrzymał się. Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Chcę podziękować ci za ostatnią noc. Za to, że o nic nie pytałeś. Za to, że dałeś mi to, czego chciałam - szepnęła, całując go lekko w usta.

Oddał jej pocałunek, czując smak pasty do zębów i kawy.

- Zaczynij się już pakować. Musimy wyjść o jedenastej.

- Chcę, żebyś mi coś obiecał.

- Jasne.

- Przrzeknij, że bez względu na to, jak to się dla nas skończy, zapamiętasz to, co dzisiaj się wydarzyło.

Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu na ustach palec.

- Niczego nie mów. Po prostu zapamiętaj.

\*

Profesor Wolf Siebold zakończył wykład w nowocześnie urządzonej laboratorium. Tematem były węglowodory. Wśród wybranej przez niego małej grupy studentów, wywiązała się interesująca dyskusja. Profesor spojrział na zegarek. Było kilka minut po dziesiątej, czas na przerwę śniadaniową. Wszedł na katedrę i zapalił amerykańskiego papierosa. Zaciągnął się głęboko, oddając się z upodobaniem nałogowi. Dym tytoniowy wprowadził go w stan bliski euforii.

Trudno się dziwić. Wywiązał się dobrze z zadania. Spotkanie z Amerykaninem i jego towarzyszką przebiegło zgodnie z planem. Złoży raport Diestelowi, wypije kawę, a potem zajmie się komponowaniem partii fletu na niedzielny koncert.

Jeszcze raz zaciągnął się, po czym wykręcił prywatny numer Diestela w Berlinie.

- *Ich habe den Amerikaner mit dem Mädchen Gestern Abend gesehn* - powiedział, kiedy już wymienili pozdrowienia. - *Ja, ich habe sie zu Reimeck geschickt* - dodał.

- *Gut, Herr Professor* - odparł Diestel.

- *Zu Ihren diensten, Herr Oberst. Auf Wiedersehen.*

- *Auf Wiedersehen* - zakończył rozmowę Diestel.

\*

Diestel zbliżył się do ogromnego okna i wyjrzał na podzielone miasto. Wyraźnie widział wschodniobrzeźlińską wieżę telewizyjną. Kiedy patrzył na wschód, zawsze do głowy przychodziła mu jedna myśl. Jaką monumentalną klęskę sprowadził ten szalony Austriak na naród niemiecki. Ten astrolog i narkoman nie potrafił nawet wynegocjować godnych warunków poddania. Pamiętał mroźny listopadowy dzień w 1944, kiedy generał SS Felix

Steiner zakomunikował im przybitym głosem, że Führer odrzucił jego plan. Steiner zaproponował, żeby wszystkie wojska *Wehrmachtu* przerzucić na front wschodni i zaniechać walki z Brytyjczykami i Amerykanami, i żeby pozwolić zachodnim aliantom na wkroczenie do Rzeszy, podczas gdy cała ich potęga zostałaby użyta przeciw Sowiecom i ich mongolskim hordom.

Można by zawrzeć układ z Zachodem, co ocaliłoby naród. Führer nie tylko odrzucił ten plan, ale rozkazał zaatakowanie amerykańskiego przyczółka w pobliżu belgijskiej wioski Bastogne.

Można by zawrzeć układ z Zachodem, co ocaliłoby naród. Führer nie mógł przeszkodzić. Kartel zawsze wychodził obronną ręką. I prosperował.

Spojrzał na zegarek, który dostał w prezencie od szacownego doktora Abrahama Esaua. Czas na telefon do Tedesco. Tym razem nie trzeba było zamawiać międzymiastowej. Tedesco był zaledwie kilka kilometrów stąd, w hotelu „Berliner” we wschodniej części miasta. Przekáže Tedesco, że Siebold postąpił zgodnie z poleceniem i wysłał Amerykanina do Reimecka. Odchylił się w fotelu i pomyślał o genialności tego planu. W pewnym sensie uczestnictwo w nim stanowiło swego rodzaju wyróżnienie. I chociaż nie był główną figurą w tej szachowej rozgrywce, to nie był też pionkiem. Przynajmniej wieżą. Nie. W tej grze był hetmanem. Tak. To było właściwsze.

Przecież odgrywał ważną rolę w tej strategii. Podziwiał głównego stratega, twórcę operacji „Genesis”, szefa kartelu. Jak dotąd wszystkie posunięcia były precyzyjne, błyskotliwe i odpowiednio zabezpieczone. Jednak najważniejsza była dyscyplina. Diestel podziwiał dyscyplinę. To ona stanowiła o postępie i bezpieczeństwie jednostki, państwa, a w końcu kartelu.

## 46.

Izraelski konsul generalny mieścił się w dzielnicy Eppendorf. Barney przeszedł przez hol i skierował się do biura. Zwolnił zobaczywszy stojących przed szklanymi drzwiami dwóch umundurowanych policjantów. Byli uzbrojeni w morderczo wyglądające pistolety maszynowe. Kazali mu się zatrzymać. Jeden z nich podszedł do Barneya, podczas gdy drugi trzymał go na muszce, kierując lufę w punkt tuż ponad jego oczami. Barney pokazał swoją legitymację i wymienił nazwisko Hansa Lehmansa. Policjant spojrział na legitymację i podał ją koledze.

- Poproszę paszport - powiedział.

Barney podał mu paszport. Ten przejrzał go bez pośpiechu, po czym zwrócił oba dokumenty Barneyowi. Następnie dokładnie go przeszukał.

- Z kim chce się pan zobaczyć?

- Z konsulem generalnym.

Wyższy ze strażników wyjął mały radiotelefon i powiedział coś po niemiecku. Nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszeli dobiegający z głośniczka głos kobiety. Wysoki policjant wskazał mu gestem, że ma iść przodem. Kiedy dotarli do drzwi, niższy z nich przycisnął guzik we framudze. Usłyszeli brzęczyk elektrycznego zamka. Otworzyli drzwi i dźwięk umilkł. Barney znalazł się w dużym, jasno oświetlonym i skąpo umeblowanym pomieszczeniu. Za stojącym na wprost biurkiem siedziała kobieta w średnim wieku. Po obu stronach wisiały flagi Izraela i Republiki Federalnej Niemiec. Kobieta spojrzała na niego.

- W jakim celu chce się pan widzieć z konsulem, panie Caine?

- Prowadzę w Niemczech dochodzenie w pewnej sprawie i w trakcie śledztwa wynikły okoliczności, które mogą zainteresować pani władze.

- Dlaczego przyszedł pan tutaj? Nasza ambasada mieści się w Bonn.

- Ponieważ nie mam czasu jechać do Bonn. Moja prośba jest bardzo prosta. Chciałbym zadzwonić do dawnego mojego kolegi.

- Dlaczego akurat stąd? Dlaczego nie z hotelu?

- Nie wiem, gdzie go znaleźć. Ostatni raz widziałem się z nim w 1968 w Madrycie. Byłem wtedy pracownikiem CIA, a on Mosadu.

Łagodne, brązowe oczy kobiety spojrzały na niego z zainteresowaniem. Przyjrzała mu się uważnie, po czym skinęła na niemieckiego policjanta, który wyszedł. Podniosła słuchawkę telefonu i przycisnęła klawisz na obudowie. Poczekała chwilę i powiedziała coś szybko po hebrajsku. Następnie zakryła mikrofon i zerknęła na Barneya.

- Jak się nazywa ten pański izraelski kolega?

- Zvi Barzani.

Przekazała tę wiadomość swojemu rozmówcy i odłożyła słuchawkę.

- Proszę ze mną, panie Caine.

Konsul generalny był szczupłym, przystojnym mężczyzną o czarnych oczach, z przedwcześnie posiwiałymi włosami. Barney uznał, że ma jakieś trzydzieści parę lat, może mniej. Konsul wyszedł zza biurka i uściśnił sobie rękę.

- Proszę usiąść, panie Caine - powiedział wskazując krzesło. Następnie wyjął z biurka paczkę papierosów i poczęstował. Barney odmówił. Konsul zapalił swojego i usiadł na

krawędzi blatu.

- Kiedy ostatni raz widział pan Barzaniego?

- Jesienią 1968. Na lotnisku Barajas w Madrycie. Przekazał mi dokumenty dotyczące radzieckich pocisków klasy ziemia-powietrze.

- Rozumiem. Czy pamięta pan kryptonim tej operacji?

Barneya zaskoczyło to pytanie.

- To było dawno temu - odparł.

- Zdaję sobie sprawę, ale proszę postarać się przypomnieć sobie. Nigdzie się nam nie spieszy.

- Jednak poproszę tego papierosa.

Konsul podał mu jednego i przypalił. Barney spojrział w sufit, wstał z krzesła i podszedł do okna. Starał się odtworzyć w pamięci to spotkanie sprzed lat. Myślnami przeniósł się do terminalu Iberii. Przypomniał sobie wiszącą na ścianie parę skrzydeł i poczuł falę podniecenia.

- To miało coś wspólnego z lataniem.

- Proszę się nie spieszyć - uspokoił go konsul.

Przeszedł kilka razy wzdłuż pokoju i podszedł do biurka.

- To było hebrajskie słowo. Pamiętam. Operacja miała hebrajski kryptonim.

- A jakie miało znaczenie po angielsku?

- Chyba je sobie przypominam. *Nahir* czy *sharir*. Nie! Chwileczkę! Mam angielski odpowiednik! „Orzeł”! Po hebrajsku *neshre!*

- Całkiem blisko - powiedział z uśmiechem konsul i wrócił za biurko. - Po hebrajsku brzmi to *Neshir*. Barzani jest teraz zastępcą dyrektora Mosadu - dodał i wyjął mały notes. Otworzył go na właściwej stronie, spojrział na zapisany tam numer i wykręcił go bezpośrednio, korzystając ze swojego prywatnego aparatu. Poczekał chwilę i powiedział coś po hebrajsku. Następnie zanotował nowy numer i zakończył rozmowę słowem, które brzmiało jak *Bakashah*. Odłożył słuchawkę i wykręcił nowy numer.

- Barzani jest teraz w Jerozolimie - poinformował Barneya.

Na twarzy konsula wykwitł nagle szeroki uśmiech.

- *Zvikah! Areil Aloni. Tov... Ken... Hamburg... Ken*. Mam tu w biurze twojego starego znajomego - przeszedł na angielski. - Amerykańskiego policjanta nazwiskiem Barney Caine. Pamięta cię z lotniska w Madrycie w 1968. Operacja „Neshir”.

Skinął na Barneya ażeby podszedł.

Mierzący prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu Zvi Barzani siedział z nogami na biurku w swoim małym gabinecie, znajdującym się w okolicach targowiska we wschodniej Jerozolimie. Miał wygląd twardego człowieka, jednak do tego wizerunku nie pasowały jego oczy. Ich melancholijny wyraz zdradzał fakt, że widziały w życiu wiele przemocy i intryg.

Spojrzał na ścianę, gdzie na drewnianej deseczce wisiała czerwona tarcza i tego samego koloru miecz. Barzani powiesił herb KGB w tak eksponowanym miejscu, aby przypominał mu i jego ludziom, kto jest prawdziwym wrogiem. Nacisnął klawisz podłączonego do telefonu magnetofonu i starał umiejscowić sobie Barneya. Przypomniał sobie spotkanie na lotnisku i po chwili jego twarz stanęła mu przed oczami. O ile pamiętał, była to typowa twarz białego amerykańskiego protestanta. Tak. Caine był uczciwy. Dotrzymał słowa. W zamian za dane o radzieckich pociskach, Izrael otrzymał dziesięć rakiet typu Hawk.

- Witaj, Caine - powiedział do słuchawki.

- Upięknęło wiele czasu, Zvi.

- Tak. Co porabiasz, Barney?

- Prowadzę dochodzenie.

- W czym mogę ci pomóc?

- Być może będę miał możliwość wysłać ci pewną kopertę. Jeżeli dostaniesz ją, natychmiast dostarcz ją własnoręcznie kierownikowi Instytutu Technion w Hajfie.

Barzani zdjął nogi z biurka i wyprostował się w fotelu.

- Wolałbym więcej wiedzieć na ten temat, ale jeżeli nie możesz mówić, to trudno.

- Nie. Mogę ci powiedzieć. W kopercie będą dane dotyczące tajnej formuły umożliwiającej produkcję paliwa syntetycznego.

Głos Barzaniego stał się bardzo poważny.

- Prześlij tę kopertę na następujący adres.

- Chwileczkę. Czy może pan to zapisać? - zapytał Barney konsula.

Ten skinął głową.

- Dobra, dyktuj.

- Albert Yaacov - przeliterował: Yaacov - Hayarkon numer sześćdziesiąt trzy, Tel-Aviv, czterdzieści trzy osiemdziesiąt pięć.

Barney powtórzył nazwisko i adres.

- Nie wysyłaj tego z Niemiec. Jest tam dużo przecieków i pełno agentów KGB i wywiadu wschodniemieckiego.

- Rozumiem.

- Musisz wysłać to ze Stanów i nie nadawaj jako przesyłkę poleconą. Po prostu zwykłą pocztą lotniczą.

- Dobra - odparł Barney. - Ale pamiętaj, że może do tego nie dojść.

- Rozumiem. Ale jeżeli wyślesz ją, zapewniam cię, że trafi w odpowiednie ręce.

- Zvi!

- Tak?

- Cieszę się, że nie trafił cię jeszcze szlag.

- Martwiłeś się o mnie, co?

- Trochę. Ta październikowa wojna niepokoiła mnie.

- Byłem z chłopcami na wzgórzach Golan.

- Tak sobie pomyślałem.

Barzaniemu wydało się, że w głosie Barneya wyczuwa jakieś napięcie.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. To jest gra w samotnika. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak. Dobrze. Nie daj się zabić. Pewnego dnia musisz odwiedzić Ziemię Świętą.

- Kiedyś to zrobię.

- *Shalom*, Barney.

Konsul odprowadził go do drzwi.

- Kiedy wchodziłem tutaj, niemiecki strażnik na zewnątrz rozmawiał z tą damą przez radiotelefon - powiedział Barney.

- I co z tego? - zapytał.

- Przypuścimy, że ktoś obezwładni strażników i sam weźmie radiotelefon?

- Strażnik posługuje się w rozmowach specjalnym kodem, który jest zmieniany trzy razy dziennie - wyjaśnił konsul.

- To dowodzi, jak dawno nie bawiłem się w szpiegostwo - stwierdził Barney, kręcąc głową.

- *Shalom*, panie Caine. Życzę szczęścia

## 47.

Szara taksówka marki Mercedes wjechała do Monachium przez Van-Der-Tannstrasse, przejechała pod ozdobionym doryckimi kolumnami Łukiem Pamięci i skierowała się w

wąskie uliczki dzielnicy Schwabing.

Uliczne kawiarenki były wypełnione młodymi ludźmi wygrzewającymi się w ciepłym bawarskim słońcu, palącymi papierosy, plotkującymi i pijącymi piwo z dużych kuflów.

Taksówka skręciła na Königplatz, przejechała przez kamienny most łączący brzegi rwącej rzeki i skierowała się w stronę Deutsches Museum.

Zaparkowali przy głównym wejściu, równocześnie z dwoma żółto-czerwonymi autobusami, z których wysypała się gromada dzieci. Barney poprosił Lisę, żeby zapytała kierowcy, ile liczy sobie za postój.

- Jak długo?

- Powiedzmy pół godziny.

Lisa zwróciła się do kierowcy, który zastanowił się przez chwilę.

- *Ungefähr zwanzig mark.*

- On chce dwadzieścia marek.

- Czyli dziesięć dolarów. Niech będzie.

Widok sali wystawowej zapierał dech w piersiach. Była wielkości kilku boisk piłkarskich. Środek zajmował odrestaurowany żaglowiec z 1895 roku. Jego kadłub spoczywał w głębokim basenie, a trzydziestometrowy maszt sięgał drugiej kondygnacji, gdzie na linach wisiały w szyku bojowym samoloty z czasów obu wojen światowych.

Po przeciwnej stronie sali stały błyszczące lokomotywy. Jedną z nich otaczała grupa dzieci, przyglądając się ubranemu w biały kombinezon mężczyźnie, który obsługiwał silnik poruszający koła.

Podszedł do niego jeden ze strażników i coś do niego powiedział, wskazując na Barneya i Lisę. Mężczyzna skinął głową, zatrzymał lokomotywę, czemu towarzyszył jęk zawodu ze strony dzieci. Następnie przecisnął się przez zwartą grupę, obszedł żaglowiec i zbliżył się do nich.

Manfred Reimeck był niski i krępy. Jego twarz szpecił nieco spłaszczony nos, charakterystyczny dla zawodowych bokserów. Wyciągnął rękę i przedstawił się.

- Manfred Reimeck.

- Barney Caine i Lisa Spangler - odparł Barney oddając uścisk.

- Zapraszam do biura.

Wcisnęli się do windy wypełnionej dziećmi i nielicznymi dorosłymi. Zamknięto drzwi i duża kabina rozpoczęła powolną wspinaczkę. Rozległ się płacz jednego z maluchów, któremu wypadł na podłogę lód z wafla. Reimeck pogłaskał go po głowie i dał kilka monet, mówiąc, żeby kupił sobie jeszcze jednego i żeby bardziej uważał.



Biuro Reimecka było zasypane dokumentami, a na ścianach wisiały kserograficzne odbitki wykresów i danych technicznych. Reimeck odsunął na bok część papierów, usiadł przy biurku i wskazał im krzesła.

- Nie mam sekretarki i stąd ten bałagan - usprawiedliwił się. - Czym mogę służyć?

- Czy dzwonił do pana inspektor Hans Lehman? - zapytał Barney.

- Tak. Dziś wczesnym rankiem. Poprosił, żebym się z panem spotkał. Nie podał powodu.

- Jestem tutaj, ponieważ profesor Wolf Siebold powiedział, że może pan znać miejsce pobytu doktora Abrahama Esaua.

Reimeck przyglądał się przez dłuższą chwilę Lisie, po czym spojrzał na Barneya.

- Dlaczego chce pan to wiedzieć?

- Prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa dokonanego w Los Angeles. Pojawiły się pewne przesłanki...

- Przepraszam - przerwał Reimeck. - Nie rozumiem tego słowa.

- Jakiego słowa?

- Przesłanki.

- *Umstande* - przetłumaczyła Lisa.

- Ach, okoliczności.

- Sprawa ta łączy się z programem „Genesis”.

Reimeck podszedł do okna i spojrzał na rzekę płynącą obok muzeum. Słońce było wysoko i świeciło poprzez białe, skłębione chmury.

- Niewiele wiem o „Genesis” - powiedział po chwili. - W czasie wojny byłem kierownikiem testowym w zakładach Porsche'a. Kiedy w marcu 1944 przeprowadzano próby nowego, opartego na alkoholu paliwa do czołgów doktor Esau i inni wysocy urzędnicy w resorcie zbrojeniowym i badań naukowych przyjechali na poligon w pobliżu Stuttgartu. Ja byłem kierownikiem testowanego czołgu. Wynikły pewne problemy z liczbą oktanową paliwa i kilka następnych tygodni spędziłem współpracując z doktorem Esauem. Potem doktor zaproponował mi stanowisko swojego kierownika i asystenta. Zostałem przeniesiony do instytutu Cesarza Wilhelma w Berlinie.

- Czy wiedział pan o ostatecznej formule „Genesis”? Tej z katalizatorem manganowym?

- Wszyscy o niej wiedzieliśmy. Próby przeprowadzone przez Siebolda wypadły nadzwyczajnie.

- Wszyscy, to znaczy kto?

- Najważniejsi ludzie w programie: Krouch, Keppler, Pohl, no i Göring.

- A Friedrich Diestel?

- Chyba też. Chociaż Diestel nie uczestniczył w pracach naukowych.

- A czym się zajmował?

- Diestel zapewniał niewolniczą siłę roboczą dla zakładów hydrogenacji.

- Włączając w to zakłady I.G. Farben w Oświęcimiu?

- Tego nie wiem - odparł Reimeck ze zdziwioną miną.

Barney wstał, podszedł do okna i zapalił cygaretkę.

- Czy rozmawiał pan lub widział się ostatnio z Diestelem? - zapytał nie odwracając się.

- Nie.

- Czy znał pan Paula Obermanna?

- Nie.

- No dobrze. Był pan w Berlinie z Esauem. Wiedział pan o katalizatorze. Co się z nim stało po testach?

- Pewnego ranka w kwietniu 1945, nie pamiętam daty, doktor Esau został wezwany na spotkanie do hotelu „Adlon”.

- Kto go wezwał?

- Generał brygady Walter Schellenberg, szef Wydziału Zagranicznego SS. Oprócz niego byli tam jeszcze cywilni dyrektorzy departamentów zbrojeń i badań naukowych. Ponadto jeszcze generał SS Kladen, słynny dowódca wojsk pancernych.

Barney podszedł do biurka i zgasił cygaretkę w plastikowej popielniczce.

- Uczestniczył pan w tym spotkaniu? - zapytał.

- Nie. Tylko odwoziłem doktora Esaua. Przejechanie dwóch kilometrów zajęło nam ponad godzinę.

- Co wydarzyło się w czasie tego zebrania?

- Doktor Esau polecił wydanie wszystkich tajnych dokumentów dotyczących syntetyków. Nie tylko paliwa, ale również kauczuku, tworzyw sztucznych, taśm magnetycznych. Te dokumenty zostały włączone do konwoju dowodzonego przez Kledena.

- Formuła katalizatora też była wśród nich?

- Tak.

- Wie pan, co się stało z konwojem?

- Słyszeliśmy, że został przechwycony przez oddział amerykańskiej Trzeciej Armii.

- Czy doktor Esau miał kopię formuły katalizatora?

- Tak.

- Co się z nią stało?

- Nie wiem. W maju do Berlina wtargnęły czołgi Koniewa. Doktor Esau dostał się do niewoli. Ja uciekłem na zachód. - Reimeck przerwał i spojrzał z gniewem na Barneya. - W 1956 Esau został wymieniony na rosyjskiego szpiega.

- Kto zajmował się tą wymianą?

- Amerykanie.

- Gdzie jest teraz doktor Esau?

Reimeck spojrzał na Barneya, a potem przeniósł wzrok na Lisę. Ciszę przerwał ryk nisko lecącego odrzutowca.

- Zadałem pytanie - powiedział Barney spokojnym, chłodnym tonem.

- Słyszałem - odparł podniesionym głosem Reimeck.

- Chcę panu przypomnieć, że nie ma pan tutaj żadnej władzy! Zgodziłem się na to spotkanie tylko z uprzejmości! Nic więcej!

Barney poczuł uderzającą mu do głowy falę gorąca. Skoczył za biurko, chwycił Reimecka za klapy marynarki, podniósł go z krzesła i rzucił o ścianę. Jego twarz była czerwona, z wyraźnie odznaczającą się blizną. Lisa próbowała oderwać go od Reimecka, ale odepchnął ją gwałtownym ruchem.

- A teraz słuchaj, sukinsynu. Dwoje moich przyjaciół zostało zamordowanych, a przed śmiercią byli torturowani. Ojciec tej młodej damy został zastrzelony z zimną krwią. Przez dziesięć tysięcy kilometrów podążam śladem, który nie kończy się w tym biurze. Mam już was, drani, dosyć. Ciebie, Diestela, Siebolda i pozostałych „niewinnych” naukowców. Przyłożyliście ręce do śmierci tysięcy ludzi i tego faktu nie zmieni pieprzone rozdawanie lodów. Posłuchaj uważnie. Od tej chwili nie dam ci spokoju. Nie będzie żadnych sądów, legalnych dochodzeń, Lehmansa. Tylko ja!

Pchnął go z powrotem na fotel. Lisa przyglądała się temu spod okna. Nie przepuszczała, że może wpaść w taką wściekłość. Reimeck rozpiął kołnierzyk i potarł szyję.

- Jest pan pełen sprzeczności, pani Caine. Wywleka pan na wierzch moją rzekomo kryminalną przeszłość, a sam stosuje metody Gestapo. Zdaje się, że sprawiedliwość to pojęcie względne. Doktor Abraham Esau jest śmiertelnie chory. Pozostało mu nie więcej niż trzy miesiące życia. Przebywa w Kessenger Haus, prywatnym sanatorium w Baden-Baden.

- Proszę zadzwonić do niego.

- Musi pan zrozumieć, że on ma osiemdziesiąt trzy lata. Przez cały czas jest pod działaniem leków i wymaga stałej opieki. Może nie udać mi się rozmawiać z nim

bezpośrednio.

- Chyba opiekuje się nim pielęgniarka?
- Tak.
- Więc proszę zadzwonić. Tylko bez żadnych sztuczek.
- Jestem świadom, że panna Spangler mówi po niemiecku.

Reimeck wykręcił dziesięciocyfrowy numer. Barney poczuł narastające podniecenie. Słuchał, jak Reimeck mówi coś szybko do słuchawki. W powodzi słów rozpoznał swoje nazwisko, a także Lisy.

- Kiedy chce się pan spotkać z doktorem? - zapytał Reimeck, zasłaniając słuchawkę dłonią.

- Zadzwonimy rano.

Reimeck przekazał tę wiadomość i przerwał połączenie.

- Esauem opiekuje się pielęgniarka, Karl Plieger. To jego numer i adres - powiedział Reimeck, podając niewielką karteczkę.

Barney wziął Lisę pod rękę i ruszyli w stronę drzwi.

- Panie Caine! - zawołał Reimeck wstając zza biurka. - Niech pan uważa. Następuje pan na odciski ludziom, którzy dużo przeżyli. Ludziom, którzy wiedzą, jak o siebie zadbać!

\*

Udało im się złapać ekspres Mozart do Baden-Baden. Konduktor zaprowadził ich do przedziału pierwszej klasy i położył torbę Lisy na półce. W przedziale znajdowały się małe lampki, koce i poduszki. Barney dał konduktorowi napiwek i zapytał, kiedy będzie czynny wagon restauracyjny.

- Wagon restauracyjny za godzinę. Bar za *zwei Minuten* - usłyszał w odpowiedzi.

Pociąg wypadł z ciemności tunelu w jaskrawe światło popołudniowego słońca. Lisa spojrzała na Barneya znad czytanego czasopisma. Mijali małą stację na przedmieściach Monachium i Barney spojrzał na tabliczkę z nazwą. „Dachau”. Pokręcił głową. Ucieczka od przeszłości była tu niemożliwa.

- Chodź - powiedział. - Napijemy się czegoś.

Bar był prawie pusty. Przy stolikach siedziało kilku biznesmenów oraz dwie kobiety oszałamiającej piękności, które popijały szampana i patrzyły sobie w oczy. Barney zajął stół przy oknie naprzeciw dwóch kobiet. Zamówili szkocką i patrzyli, jak pociąg mknie w kierunku odległych Alp, wśród uprawnych pól. Kelner przyniósł drinki i stuknęli się szklaneczkami. Przyglądali się zielonym polom, pasącemu się bydłu i pracującym traktorom.

- O czym myślisz? - zapytał Barney po dłuższej ciszy.

- Takie głupie myśli - odparła podnosząc do ust szklaneczkę i odgarniając włosy.  
- Na przykład?  
- Że wszystko dobrze się dla nas kończy.  
- Co w tym głupiego?  
- Nie wierzę już w szczęśliwe zakończenia.  
- Może dla nas w ogóle się nie skończy.  
- Oczywiście, że się skończy. Musi. Równie dobrze mogliśmy pochodzić z innych galaktyk.

Ponownie spojrzała w kierunku ośnieżonych szczytów Alp. Kiedy odwróciła się, w jej oczach igrały dziwne światelka.

- Jeździsz na nartach? - zapytała.  
- Kiedyś jeździłem. W Chile. Nie byłem w tym zbyt dobry.  
- Nie ma drugiego takiego sportu. Jest w nim jakaś nieskazitelność, jakaś poezja. Mknąć samotnie pośród milczącego, białego świata, rozrzucając śnieg, i widzieć mijane w pędzie drzewa. To jest próba opanowania, umiejętności i odwagi. Hemingway podobnie opisywał zakończenie corrido. To moment prawdy.

- Augsburg - ogłosił głos konduktora.

Dwie eleganckie kobiety spojrzały z ciekawością na Lisę, kiedy razem z Barneyem wychodziła z wagonu. Były już po drugiej butelce szampana i trzymały się za ręce. Biznesmeni nie odrywali się od swoich papierów. Nikt nie zwrócił uwagi na niskiego mężczyznę z małą bródką, niosącego czarny płaszcz i kapelusz. Usiadł w kącie i zamówił piwo.

## 48.

Miejscowość Baden-Baden leżała w małej dolinie otoczonej sosnowymi wzgórzami. Sprawiała wrażenie zbudowanej w środku lasu. Przez parki przepływały liczne strumyki. Kręte uliczki oświetlały lampy w stylu przełomu wieków.

Taksówka przejechała obok bogato zdobionej grecko-rzymskimi ornamentami fasady budynku kasyna.

Ruch był niewielki. Po ulicach spacerowali głównie starsi ludzie.

Hotel „Parkowy” był czteropiętrową budowlą z dużymi balkonami i francuskimi oknami. Usytuowany w środku dużego parku, miał własny podjazd. Lisa zaproponowała ten

hotel i Barney telefonicznie zarezerwował pokoje.

Do holu wprowadził ich portier. Z salonu dobiegały dźwięki melodii „Mackie Majcher” granej na fortepianie. Kilka par w średnim wieku, ubranych w wieczorowe stroje, wymieniało w recepcji pieniądze i pytało o drogę do kasyna.

Recepcjonista był siwowłosym mężczyzną o przyjemnych rysach twarzy, zakłóconych jedynie niemal niewidoczną blizną biegnącą od prawego oka do kącika ust, rozciągniętych w sztywnym uśmiechu. Uśmiech ten wyraźnie poszerzył się, kiedy zobaczył Barneya i Lisę.

- Mamy zarezerwowany dla państwa duży apartament wychodzący na park, panie Caine.

Barney podziękował mu i wpisał ich do rejestru jako pana i panią Caine.

Pokój był duży, luksusowo urządzone i zimny. Przez otwarte okna wpadało chłodne alpejskie powietrze. Chłopiec hotelowy zamknął je i włączył ogrzewanie.

- Szybko zrobi się ciepło - zapewnił ich.

Barney dał mu napiwek, co wywołało na jego twarzy szeroki uśmiech.

- *Danke. Guten Abend* - pożegnał się.

Barney podniósł leżącą na stoliku broszurę i zaczął przeglądać kolorowe fotografie.

- Posłuchaj - zaczął czytać z folderu. - Od ponad dwóch tysięcy lat gorące źródła w Baden-Baden są wykorzystywane w celach leczniczych. Po raz pierwszy skorzystali z nich żołnierze rzymskiego Piątego Legionu. Źródła leczą schorzenia narządów ruchu, reumatyzm, zaburzenia przemiany materii i... - tu spojrzał z uśmiechem w kierunku Lisy - ...i, jak głosi wieść, potrafią działać jak afrodyzjak na ludzi cierpiących na zaburzenia seksualne. Teraz wiadomo, dlaczego Rzymianie byli tak nastawieni na seks. Wszystko przez te kąpiele.

Podszedł do łóżka i położył się. Lisa podeszła i usiadła na krawędzi.

- Niepotrzebne ci żadne kąpiele - powiedziała przesuwając palcem po jego policzku.

- Mając ciebie przy boku, rzeczywiście nie.

- Ale ja muszę się wykąpać. O której zamykają łaźnię?

Barney zajrzał do broszury.

- O dziewiątej trzydzieści.

- To dobrze. Mam jeszcze godzinę.

- Naprawdę chcesz iść do łaźni?

- A dlaczego by nie?

- Ponieważ ja wybieram się na obiad.

- Przecież jedliśmy w pociągu.

- To było trzy godziny temu.

- Daj mi godzinę.

- W porządku.

Poszła do łazienki. Barney zadzwonił do centrali hotelowej i poprosił o połączenie z Hansem Lehmansem. Po chwili w słuchawce usłyszał kobiecy głos. Nastąpiła krótka wymiana słów między panią z centrali i żoną Lehmansa.

- Pan Lehmans jest nieobecny. Jego żona pyta, czy chce pan z nią rozmawiać? - poinformowała go telefonistka po angielsku.

- Nie znam niemieckiego. Proszę poprosić ją o przekazanie mężowi, żeby zadzwonił do mnie.

Telefonistka przetłumaczyła prośbę i przerwała połączenie z Berlinem. Następnie Barney zamówił rozmowę z Louistem Yosutą w Los Angeles.

- Bardzo mi przykro, ale na połączenie ze Stanami Zjednoczonymi trzeba czekać dwie godziny - poinformowała go telefonistka.

Barney podziękował jej i powiedział, że spróbuje później.

Z łazienki wyszła owinięta w biały szlafrok Lisa. Barney objął ją i pocałował.

- Punkt dziewiąta, dobrze?

- Dobrze - wyszeptała.

Barney rozebrał się i sam poszedł do łazienki. Odkręcił kurek z gorącą wodą, podszedł do umywalki i na półeczce rozłożył swoje przybory toaletowe. Następnie przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Miał jeszcze bardziej podkrążone i zaczerwienione oczy. Ale nie czuł już tej depresji, która ogarnęła go w Berlinie. Opanowało go poczucie dokonania czegoś.

Mimo że dalej nie miał pojęcia, kto pociąga za sznurki, to sprawa zaczynała nabierać kształtu. Zabójstwa Neeleyów, Kaladiego, Clementsa i Obermanna motywowała i łączyła ze sobą formuła „Genesis”. Jeżeli chodzi o Kaladiego, to, wbrew przekonaniu włoskiej policji, był on przypadkową ofiarą. To Clements był celem zamachu. Ten, kto stał za tym wszystkim, kierował się chęcią zdobycia formuły lub niedopuszczenia, aby wpadła ona w obce ręce. Niewiadomą był związek z tą sprawą Tedesco. Barney przypuszczał, że Tedesco był pośrednikiem pomiędzy światem przestępczym a światem biznesu.

Barney wiedział, że w końcu będzie musiał dobrać się do Tedesco, aby dotrzeć do człowieka na szczycie. Moment ten był już blisko. Rozwiązanie sprawy leżało w zasięgu ręki.

Odwrócił się od lustra. Wanna była już prawie pełna. Zakręcił kurek i zanurzył się w parującej wodzie. Wyciągnął się wygodnie i rozkoszował ciepłem rozlewającym się po jego zmęczonym ciele. W powietrzu czuć było zapach perfum Lisy.

Mógł się z nią kochać w małym przedziale pociągu, teraz żałował, że nie zrobił tego.

To mógł być jeden z pamiętnych momentów życia: miłość w ekspresie Mozart. To nadawało się na tytuł piosenki.

Te przyjemne myśli przerwał dzwonek telefonu. Westchnął, wygramolił się z wanny, owinął się ręcznikiem i wszedł do sypialni. Usiadł na krawędzi łóżka i podniósł słuchawkę.

- Barney? - zapytał Lehmans.

- Tak. Cześć, Hans.

- Możesz swobodnie mówić?

- Jestem sam - odparł Barney, przeczuwając coś niedobrego.

- Dziewczyna jest podstawiona.

Te słowa uderzyły w Barneya jak obuchem, godząc w jego najgłębsze uczucia.

- Jesteś tam? - zapytał Lehmans po dłuższej przerwie.

- Tak. Mów dalej.

- Paul Obermann został schwytyany w maju 1945 przez Brytyjczyków. W lipcu 1946 wysłali go do Anglii. Przez następne sześć lat współpracował z brytyjskimi chemikami nad formułą paliwa syntetycznego. Udało im się nawet zbudować eksperymentalną fabrykę. Następną sprawą: Obermann nie miał siostry o nazwisku Spangler. Nie był w żadnym stopniu spokrewniony z Lisą Spangler i nie mógł jej wychowywać.

Lehmans przerwał, czekając na jakiś komentarz ze strony Barneya, ale on nic nie powiedział. Czuł w środku tylko chłód i pustkę.

- To wszystko? - zapytał w końcu.

- Nie. Jest coś więcej. Przeszukaliśmy jej apartament w Berlinie. Znaleźliśmy podrobiony francuski paszport z pieczęcią wjazdową z lotniska w Miami, na której widnieje data poprzedzająca o tydzień zabójstwo Toma. Są tam również stemple z Bejrutu, Damaszku, Tripolisu i Port-au-Prince.

Barney milczał, zaskoczony rozległością intrygi, której źródło stanowiła kokaina, i która kończyła się na formule chemicznej.

- Słuchasz mnie?

- Tak.

- Twoja blond Niemka i tajemnicza brunetka z Los Angeles to jedna i ta sama osoba. Jest albo członkiem OWP, albo jakiegoś jej odłamu. To terrorystka wynajęta przez kogoś, kto chce nie dopuścić formuły „Genesis” na rynek. Arabowie najwyraźniej mają ten sam cel.

- To chyba wyjaśnia sprawę - stwierdził Barney, a w jego głosie brzmiał bezgraniczny smutek.

- Niezupełnie. Znaleźliśmy też w jej mieszkaniu prywatny telefon Diestela. To



oznacza, że to on ją podstawił.

- Po co?

- Żeby być na bieżąco z twoim dochodzeniem. Pamiętaj, że Diestel kontroluje pozostałych przy życiu członków zespołu „Genesis”. Stanowią oni silną część *Kameradschaft*.

- Czego?

- Bractwa SS.

- Z tego wynika, że Diestel kazał Obermannowi i Sieboldowi spotkać się ze mną.

- A także polecił im skontaktować cię z Esauem. To dowodzi, że Diestel wiedział o twoim przyjeździe do Berlina i o tym, że szukasz Obermanna.

- Skąd wiesz?

- Musiał to wiedzieć, żeby móc podstawić dziewczynę. Diestel skontaktował ją z Obermannem, jeszcze zanim wsiadłeś do samolotu. Czy ci się to podoba, czy nie, Barney, ktoś w Los Angeles musiał dać mu cynk.

- Sugerujesz, że to ktoś z Wydziału?

- Nie. Powiedziałem tylko, że „ktoś”.

- To oznacza, że Diestel chciał, żebym odnalazł naukowców „Genesis”.

- Tak. To nie ulega wątpliwości.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem.

- Ciekawe, kto rozkazuje Diestelowi - powiedział Barney.

- Odpowiedź na to pytanie będzie rozwiązaniem tej sprawy. Zamierzam zatrzymać Diestela jako świadka w sprawie zabójstwa Obermanna i aresztować Lisę Spangler jako współlnika zbrodni. Chcę ją przymknąć razem z Sieboldem i Reimeckiem. Chcę mieć ich wszystkich. Będę przesłuchiwał ich dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ktoś musi się załamać.

- Jak długo możesz ich trzymać?

- Dzięki nowym przepisom w sprawach związanych z terroryzmem prawie w nieskończoność.

- Wolałbym, żebyś tego nie robił.

- Dlaczego?

- Bo to się może nie opłacić. Oni wiele w życiu przeszli. Diestel jest esesmanem. To zabójca. Tak samo dziewczyna. A Siebold i Reimeck bardziej boją się bractwa niż policji.

- Co sugerujesz? - zapytał Lehman po krótkiej przerwie.

- Pozwól mi zająć się dziewczyną. Chcę dotrzeć do Tedesco. Ona może mnie do niego zaprowadzić.

- Nie mogę tego zrobić. Zabójstwa w Los Angeles to twój problem, ale morderstwo niemieckiego obywatela to moja sprawa.

Całe napięcie Barneya nagle wybuchło.

- Do diabła, Hans! Nie wyjeżdżaj mi tu z procedurą. Za daleko zaszedłem. Chcę czterdziestu ośmiu godzin. Jeżeli mi się nie uda, dziewczyna jest twoja. Cała ta cholerna sprawa jest twoja.

- Nie sądzę, żebym na to zasłużył.

W głosie Lehmana słychać było urazę.

- Masz rację. Przepraszam - powiedział Barney z głębokim westchnieniem.

Znowu zapanowała cisza, którą przerwał Lehman.

- Pójdę ci na rękę. Dam ci te czterdzieści osiem godzin. Zadzwoń do mnie po rozmowie z Esauem.

- Dzięki, Hans.

- Bądź ostrożny. Nie masz doświadczenia z terrorystami. Ona może pójść z tobą do łóżka, a w chwilę potem zastrzelić.

Barney odłożył słuchawkę i położył się na łóżku. Pomyślał o chłodnej, delikatnej urodzie dziewczyny. Tej samej dziewczyny, która pozostawiła na poduszce Neeleya dwa czarne włosy.

W jego świadomości pojawiła się nagle niepokojąca myśl, nie pozwalając mu zasnąć. Zastanawiał się, czy ślad, którym podążał od tamtej fatalnej niedzieli, nie został przez kogoś zaprogramowany.

Kartka ze słowem „Genesis” i z nazwiskiem Obermanna. Rachunek z „Kempinskiego”. Bilet Lufthansy. Drobiazgi. Subtelne poszlaki kierujące jego uwagę na Niemcy i na przeszłość. Potem Berlin. Spotkanie z Obermannem w zoo. Uśmiechnięty, chętny do pomocy Diestel. Siebold ze swoją muzyką. I Reimeck wskazujący drogę do Esaua, ojca programu „Genesis”. Człowieka, który jako ostatni był w posiadaniu tajnej formuły. Czy ten kręty szlak został przez kogoś wytyczony? Jeżeli tak, to przez kogo? Czy zadaniem Lisy też było zwrócenie na coś jego uwagi?

Nie. To niemożliwe. Dryfował od logiki do paranoi. To, że ktoś mógłby manipulować nim od Los Angeles do Baden-Baden, było nie do pomyślenia. To wszystko powodowała zawilość tej sprawy. Nie różniła się od innych skomplikowanych spraw.

## 49.

Tej chłodnej, bawarskiej nocy siąpił lekki deszcz. Przeszli po drewnianym mostku przerzuconym nad rwącym strumieniem i skierowali się w stronę parku. Barneyowi udało się nie zdradzić przy obiedzie. Mówił o zbliżającym się spotkaniu z Esauem. Lisa była dziwnie cicha.

- Przyszedł mi na myśl cytat z Goethego - powiedziała, jakby czytając w jego myślach.

- Jaki?

- „Nawet w rozpaczliwych sytuacjach, kiedy wszystko wisi na włosku, ludzie postępują, jakby nic się nie stało”.

- Skąd ci to przyszło na myśl? - zapytał obejmując ją.

- Nie wiem. Może to przez ten spokój. To i świadomość, że wszystko się kończy.

Kiedy tak spacerowali, przyglądał się jej pięknemu profilowi i wbrew sobie zastanawiał się, ilu ludzi zabiła i do ilu zamachów przyłożyła rękę. Co wtedy czuła? Jak radziła sobie z duchami zabitych? Co chroniło ją przed wspomnieniami? Wiedział, że w pewnych okolicznościach z każdego można zrobić zabójcę. Ale widział też jak załamywali się najbardziej zatwardziali mordercy. Niedawno w swoim londyńskim mieszkaniu przy Grosvenor zastrzelił się bułgarski uchodźca, wykonawca sześciu wyroków na zlecenie KGB.

Lisa była dla niego nowym doświadczeniem. Ta zmysłowa, pełna życia dziewczyna, dla której celem stało się zabijanie nieznajomych ludzi, była zjawiskiem, którego nie mógł pojąć. Nigdy nie miał do czynienia z takimi motywami i poświęceniem.

Wrócili przez mostek i okrążyli hotelowy taras. Z salonu dochodziły dźwięki fortepianu.

- Pamiętasz te dokumenty w Zehlendorf?

- Tak, a co?

- Były napisane niezwykle prymitywnym, niemal dziecinnym językiem. Większość z nich była protestem przeciw biurokratycznej władzy. To okropne, kiedy się pomyśli, że generacja moich rodziców uważała ich za bogów.

- W odpowiednich okolicznościach każdy jest zdolny stworzyć sobie fałszywych bogów.

- Niemcy miały już wystarczająco wielu bogów. To, czego teraz potrzebujemy, to sumienie.

Spojrzał na nią zastanawiając się, co powiedzieć, kiedy nagle widok czegoś na tarasie ożywił ją.

- Barney, spójrz!

Zerknął na taras i w padającym z okien świetle dostrzegł równe rzędy półtorametrowych figur szachowych. Ustawione były do gry. Białe z jednej strony, czarne po przeciwnej. Widok ten skojarzył mu się z surrealistyczną sceną z filmu Felliniego.

- Grasz w szachy? - zapytała.

- Nie grałem od czasów szkolnych.

- Chodź. Mat w sześciu posunięciach.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła w stronę szachownicy. Plastikowe figury tkwiły na czarno-białych marmurowych polach. Lisa stanęła po stronie białych, a Barney czarnych. Zaczęli grać. Dwie niewyraźne postacie wśród majowego deszczu, na tle melodii Jacquesa Breła dobiegającej z salonu. Przenosili wysokie figury, ustawiając je na odpowiednich polach, to atakując, to cofając się. Byli niewiele wyżsi od pionków, gońców i wież, którymi grali. Barney rozpoczął atak pionami, aby umożliwić włączenie się do gry królowej, przypominając sobie ze studenckich czasów gambit nazywany atakiem hiszpańskim.

Lisa jednak zablokowała jego ofensywę sprytnym użyciem własnych pionów i po dziesięciu posunięciach złapała jego królową w pułapkę.

- Poddajesz się? - zapytała z uśmiechem.

- Nie.

- Powinieneś, nie masz szans.

- Zobaczymy.

Zostawiła jego królową i ruszyła swojego gońca, zbijając piona i atakując wieżę. Barney miał do wyboru utratę wieży lub królowej. Wycofał królową, poświęcając wieżę. Następnie Lisa zmusiła jego króla do pobicia jej skoczka i zaszachowała królową.

- Poddajesz się?

- Bezwarunkowo.

Roześmiała się i wspólnie ustawili figury z powrotem na pozycjach początkowych.

- Chodź. Postawię ci drinka - zaproponował.

Wzięła go pod ramię. W padającym deszczu jej oczy błyszczały.

- Zamówmy szampana do pokoju - wyszeptała.

Kiedy tak szli ręką w rękę, pomyślał, że prawdopodobnie ona jest taka, jak określił ją Lehmans. Ale, do diabła, jeśli żyło się wystarczająco długo i widziało wystarczająco dużo, prawda przestawała być obiektywna. W końcu stawała się taka, jaką chciało się ją widzieć.

Rozebrali się po ciemku. Barney wyjął z lodówki butelkę Moët Chandon, odkorkował i nalał do dwóch kieliszków. Podał jej jeden i usiedli razem w łóżku opierając się o wezglówek.

- Nastaw jakąś muzykę - poprosiła.

Pochylił się i włączył radio. Przeleciał przez kilka stacji i znalazł jedną, która nadawała muzykę klasyczną.

- Może być?

- Doskonale. Uwielbiam Mahlera.

Słuchali w milczeniu pięknej kompozycji. Linia melodyczna wraz ze zmysłowymi i pobudzającymi wyobraźnię frazami działała silnie na uczucia. Szybko wypita szampana i Barney ponownie napełnił jej kieliszek.

- Jesteś beznadziejnym szachistą.

- Wiem. Porozmawiajmy o czymś ważniejszym.

- Na przykład?- Na przykład jak nazywają się te perfumy - powiedział całując ją w szyję.

- Quelque Chose. To znaczy „Coś”.

- To jest naprawdę „coś”.

Otworzyli następną butelkę szampana. Czuł się jak w potrzasku. Mimo że prezentowała sobą wszystko czego nienawidził, to jednak czuł, że wciąż go pociąga.

Zaczęło mu się kręcić w głowie i poczuł narastające podniecenie.

- Masz jeszcze kogoś? - zapytała.

- Co masz na myśli?

- Inne kobiety.

- Nic poważnego.

Postawiła kieliszek na stoliku i zaczęła go całować. Powoli. Lekko. Całowała jego czoło, nos, bliznę na policzku. Potem jej usta znalazły czułe miejsce na szyi. Schodziła coraz niżej, przesuwając wargami po całym jego ciele. W końcu wzięła go w usta, masując delikatnie.

Czekał, aż jej pieszczoty staną się nie do zniesienia. Odwrócił ją na plecy i wszedł w nią. Kochali się w milczeniu, bez pośpiechu, rozkoszując się każdą chwilą, aż razem osiągnęli krawędź orgazmu.

Przedłużali moment ekstazy, aż żadne z nich nie mogło już dłużej się powstrzymać.

- Teraz! - szepnęła i runęli z falą totalnego zapomnienia, ich nogi splecione, ciała zwarte. Wargi odnalazły się nawzajem, kiedy przeszył ich dreszcz uniesienia.

\*

Tuż przed świtem Lisa poruszyła się przez sen. W szarzejących ciemnościach coś się pojawiło. Zobaczyła uśmiechniętą twarz Yasira i usłyszała stukot kół pociągu. Siedziała naprzeciw niego w wagonie restauracyjnym. Głowę miał owiniętą czerwoną palestyńską chustką. Ktoś rozmawiał po francusku. Nagle znalazła się w wesołym miasteczku. Na środku placu stał wysoki maszt, na którego szczycie powiewała niebiesko-biała flaga z gwiazdą Dawida. Wokół tańczyły śpiewające po hebrajsku dzieci, a na przepięknym białym koniu jechał Arthur Clements. Nagle rozległ się krzyk, po którym nastąpił czerwony błysk i ogłuszający wybuch. Klęczała naga i zakrwawiona, spoglądając na elegancko ubranego Yussufa Kaladiego. Postać pozbawiona była głowy, ale wiedziała, że to on. Z jego szyi tryskał strumień ciemnej krwi, obok stała angielska dziewczyna wrzeszcząc: „Yussuf, Yussuf, ty mały popieprzeńcu!”

Nagle znowu znalazła się w pociągu. Yassir mówił coś do niej po arabsku... i nagle pasażerowie zaczęli krzyczeć. W przejściu pomiędzy stolikami pojawił się krwawiąc z ran Tom Neeley. Zbliżył się do nich i upadł na blat. Przerazona spojrzała na Yassira, ale to już nie był Yassir. Naprzeciw niej siedział pijąc szampana Irakijczyk, którego zabili w Soho. Z pustych oczodołów wypełzały białe robaki.

Lisa usiłowała krzyknąć, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Desperacko próbowała wciągnąć w płuca powietrze. Zdołała wydać z siebie cichy, groteskowo brzmiący jęk, potem charkot, wreszcie jej płuca zadziały i krzyknęła niekończącym się wrzaskiem przerażenia.

Barney momentalnie obudził się. Lisa siedziała na łóżku wymachując rękami, jej twarz wykrzywiał straszliwy grymas. Miała szeroko otwarte z przerażenia oczy. Chwycił ją za ramiona.

- Lisa! Lisa! Jestem tu! Jestem! - krzyknął.

Ale ona znajdowała się w szponach niekończącego się koszmaru. Barney zaczął bić ją po twarzy i powoli krzyk ucichł, a wyraz przerażenia w jej oczach zaczął gasnąć.

Objął jej drżące, złane potem ciało i przycisnął mocno do siebie, całując jej twarz.

- Już dobrze. Już dobrze... - szeptał.

## 50.

W pomarszczonej falami powierzchni Lake Alster słońce odbijało się jak w miliardach

małych zwierciadeł. W oddali sunęły z wczesnoporaną bryzą żaglówki, wykonując zgrabne zwroty.

Niedaleko hotelu „Atlantic” młody chłopiec wraz z ojcem zarzucili wędki. W pobliżu brzegu taplała się w wodzie rodzina brązowo-zielonych kaczek, głośno wyrażając irytację z powodu promu, który mozolnie płynął w kierunku przystani.

Profesor Wolf Siebold szedł na poranny spacer. Maszerował energicznym krokiem prowadzącą wzdłuż brzegu ścieżką, nucąc motyw muzyczny z koncertu, na którym miał dzisiaj wystąpić wraz z kolegami. Zatrzymał się na chwilę, widząc wędkujących syna i ojca. Zastanawiał się, czy do jeziora wróciły już szczupaki i sandacze. Pamiętał, jak przed wojną wody te roiły się od ryb. Z radością przyjął fakt, że ludzie zaczynają znów wędkować w Alster, odetchnął głęboko rześkim, porannym powietrzem i ruszył w dalszą drogę.

W obszernej kabine promu znajdowało się dziesięciu pasażerów. Obok pary starszków siedziało młode małżeństwo wraz z trójką dzieci i ich opiekunami. Starszek musiał krzyczeć do swojej niedosłyszającej małżonki i maluchy miały dobrą zabawę naśladowując go.

W tylnej części kabiny siedział, spoglądając przez okno za rufę, dobrze ubrany, niczym nie wyróżniający się mężczyzna w beżowym płaszczu. Był dziwnie spięty, obserwując krajobraz. Jego szare oczy zwężyły się, kiedy zobaczył wysokiego, eleganckiego profesora, który podążał żwawym krokiem wzdłuż jeziora nie dalej niż dwadzieścia metrów od promu.

Profesor Siebold i prom zblizali się do siebie z przeciwnych stron. Mężczyzna o szarych oczach obliczył, że znajdą się obok siebie za dwadzieścia sekund. Z kieszeni płaszcza wyjął pistolet maszynowy Ingram Mac 10 kaliber 9 milimetrów. Nawet z siedmiocentymetrowym tłumikiem był tylko nieco większy od czterdziestki piątki. Różnica między nimi polegała jedynie na wielkości magazynka i szybkostrzelności. Magazynek Ingrama zawierał piętnaście naboju, które mógł wystrzelić w niecałe dwie sekundy, bez hałasu i praktycznie bez odrzutu.

Mężczyzna wysunął lufę przez okno. Trzymał broń w obu rękach, czekając, aż postać profesora znajdzie się w centrum celownika. Palec wskazujący jego prawej dłoni spoczywał tuż obok spustu. Nie mógł stopniowo zwiększać nacisku jak w większości innych pistoletów. Spust Ingrama reagował na najlżejszy dotyk.

Profesor znalazł się na wprost lufy. Mężczyzna głęboko odetchnął i nacisnął spust do oporu. Ciało Siebolda uniosło się do góry i spadło na ziemię z rozrzuconymi rękami, twarzą w dół. Piętnaście dziewięciomilimetrowych pocisków rozerwało jego klatkę piersiową,

wychodząc wraz z odłamkami kości z tyłu i zasypując krwawymi strzępami stojące wzdłuż ścieżki ławeczki.

Zabójca wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił prawą dłoń. Ingram spadł do wody i natychmiast zatonął. Mężczyzna odwrócił się twarzą w stronę wnętrza kabiny. Pasażerowie zachowywali się normalnie. Nie słyszeli ani nie widzieli niczego nadzwyczajnego. Zabójca wstał, przeszedł przez pomieszczenie i wyszedł na pokład. Zobaczył wędkujących ojca i syna oraz dwóch biegaczy truchtających w pewnej odległości. Nikt na brzegu nie zauważył leżącej postaci profesora Wolfa Siebolda.

Odgłos silników ucichł i prom dobił do przystani. Mężczyzna opuścił pokład, przeszedł przez ulicę i wszedł do hotelu. Skierował się schodami w dół i zbliżył do kabiny z telefonem. Wrzucił do otworu odpowiednią monetę i wykręcił numer na przedmieściu Berlina w dzielnicy Wannsee.

\*

Była 8.24, niedziela rano. Friedrich Diestel usiadł na tarasie, z którego rozciągał się widok na jezioro Havel. Uśmiechnął się lekko, słysząc dzwonek telefonu, jeszcze zanim podniósł słuchawkę, wiedział, że profesor Siebold nie żyje. Jego śmierć nie sprawiła mu przyjemności. Czuł tylko zadowolenie z precyzyjnego wykonania jego rozkazów. Dyscyplina czyniła życie możliwym i sprawiała, że śmierć przestawała mieć znaczenie.

## 51.

Taksówka od piętnastu minut wspinała się prowadzącą przez las drogą. Lisa popatrzyła na strzeliste sosny i pomyślała, że jeżeli spotkanie z Esauem przebiegnie zgodnie z planem, to Barney będzie bezpieczny. Nie będą mieli powodu, żeby go zabijać. Ale jeśli starzec zrobi coś nieprzewidzianego, coś, co nie zostało zaprogramowane...

Ścisnęła go za rękę, starając się odpędzić te myśli. Barney objął ją i przyciągnął do siebie. Przez zasłonę chmur przebiło się słońce, przemieniając kolor lasu z ciemnozielonego w szmaragdowy. W taksówce powiało sosnowym zapachem.

Jednopasmowa, wysypana tłuczniem droga dotarła do szczytu, następnie opadała przez kilkaset metrów, aby ponownie wspiąć się stromym zboczem. Kierowca zredukował bieg, kiedy podjeżdżali stromym zboczem. Dotarli do szczytu wzgórza i skręcili w piaszczystą drogę, przy której stała tablica z napisem: „Kessenger Haus - droga prywatna”.

Gabinet doktora Esaua był olbrzymi i urządzony z przepychem. Meble i dekoracje



pochodziły z czasów *belle époque*. Na ścianach wisały duże, ciemne i ponure obrazy szkoły flamandzkiej. Na wysoko sklepionym suficie, z którego zwisał wspianały, kryształowy kandelabr, widniały malowidła przedstawiające tańczące cherubiny. W pokoju, wisiał zapach stęchlizny i starych pieniędzy, za które niczego już nie można kupić.

Olbrzymie dębowe drzwi otwały się i pielęgniarz Esaua, krępy mężczyzna o jowialnej twarzy i nazwisku Karl Plieger, wtoczył wózek inwalidzki z siedzącym na nim doktorem do gabinetu. Zatrzymał się naprzeciw Barneya i Lisy.

Detektyw spojrzał na zjawę na wózku. Po bokach małej, wątłej głowy wyrastały kępki siwych włosów. Czarne, bystre oczy doktora Esaua były tak zapadnięte, że oczodoły wyglądały jak puste. Miał prosty, długi i cienki nos, zapadnięte usta, a rozchyłony szlafrok odsłaniał szyję, pokrytą pomarszczoną skórą, przypominającą Barneyowi szyję indyka.

Plieger poprawił koc na ramionach doktora i starzec odprawił go ruchem ręki. Pielęgniarz podszedł do dużego, zdobionego ornamentami w kształcie złotych liści biurka i usiadł.

Esau obserwował ich bez słowa. Barneyowi trudno było uwierzyć w to, że ten relik, ten żywy szkielet sprawował niegdyś olbrzymią władzę, że ten zżarty przez raka cień człowieka był geniuszem, który zapewnił Rzeszy nowe źródła energii.

Nagle zapadnięte usta i wargi poruszyły się.

- Francuzi budują w północnym Iraku reaktor atomowy.

Barney zaniemówił. Było to jedno z tych nieoczekiwanych stwierdzeń, na które nie ma odpowiedzi.

- Wiedział pan o tym? - zapytał zgrzytliwym głosem Esau.

- Nie, nie wiedziałem - odparł detektyw potrząsając głową.

- Francuzi dla zysku zrobią wszystko. Podczas okupacji ich naukowcy współpracowali ze mną ręką w rękę. Ruch oporu to mit. Przez całą wojnę paryskie nocne kluby nie zamykały swoich drzwi. Odbywały się wyścigi konne. Restauracje były wypełnione po brzegi. Francuzi są ludźmi, których główną cechą jest zdolność przystosowania się. A teraz sprzedają Irakowi reaktor atomowy. - Zakaszłał dwukrotnie i otarł usta ze śliny. - Świat przestanie istnieć w ciągu najbliższych dwóch stuleci. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale dla mnie nie ma to znaczenia. Mój koniec już się zbliża. - Zamilkł na chwilę i zaczął stukać kościstymi palcami w poręczę wózka. Odwrócił oczy w stronę Lisy.

- Jak słyszałem, jesteś siostrzenicą Paula Obermanna.

- Tak - odparła. - Paul Obermann wychował mnie.

Barney pomyślał, że kłamie w sposób doskonały.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści trzy.

Chociaż jego ciało było schorowane, to jednak umysł zachował sprawność.

- Urodziłaś się w 1945? - policzył szybko.

- Tak.

- Znaczący rok. Rok, w którym rozpoczął się upadek Zachodu.

Barney odchrząknął.

- W 1945 został pan wzięty przez Rosjan do niewoli? - zapytał.

Mała indyjska główka przytaknęła.

- Tak. Przyszli do instytutu Cesarza Wilhelma przy Prinz Albrechtstrasse. Mongołowie w mundurach i z karabinami maszynowymi. Cały czas spuszczaali wodę w toalecie. Czy może pan sobie wyobrazić naród niemiecki przegrywający wojnę z ludźmi, którzy nigdy nie widzieli toalety?

Żółte policzki doktora nieco się zaróżowiły.

- Dokąd pana zabrali? - zapytał Barney.

- Najpierw do Zossen, potem do Kijowa, a następnie do Moskwy. Chcieli, żebym wyjawiał im tajemnicę formuły „Genesis”. Tej, która zawierała katalizator manganowy. - W zapadniętych oczach pojawił się błysk triumfu. - Wraz z ich najlepszymi inżynierami wykonałem w Akademii Nauk plany zakładów hydrogenacji. Dzięki moim staraniom projekt zakończył się fiaskiem. Po pięciu latach i po stracie milionów rubli wsadzili mnie do więzienia na Łubiance.

- Nie zdradził im pan formuły?

- Nie. Wiedzieli, że poprzez proces hydrogenacji produkowaliśmy benzynę z węgla. Zdawali sobie sprawę, że było to kosztowne przedsięwzięcie, wymagające niewolniczej siły roboczej, ale nie mieli pojęcia, że udało nam się odkryć doskonały katalizator.

Usta Esaua rozciągnęły się w wyrażającym samozadowolenie uśmiechu i Barney pozwolił mu przez moment cieszyć się tym wspomnieniem zwycięstwa.

- Co się stało z formułą? - zapytał po chwili.

- Prawdopodobnie Reimeck poinformował pana o tajnym spotkaniu w hotelu „Adlon”?

- Tak.

- Konwój przewożący dokumenty dotyczące formuły został przechwycony przez Amerykanów, którzy następnie przekazali te dokumenty Anglikom do Hamburga.

Barney marzył o papierosie, ale nie odważył się sięgnąć po niego w obecności

doktora, który zdawał się mieć kłopoty z zaczerpnięciem wystarczającej ilości powietrza, żeby mówić.

- Wiem o tym konwoju - powiedział. - Chciałbym wiedzieć, co się stało z formułą po wojnie.

Esau spojrział najpierw na Lisę, a następnie na Pliegera, który siedział przy antycznym biurku, bawiąc się złotym nożykiem do otwierania listów.

Owinął się szczelniej kocem.

- Z tego, czego się dowiedziałem, nie jest pan głupim człowiekiem. Zdobył pan stopnie naukowe, ma pan za sobą lata służby na odpowiedzialnych stanowiskach. Odpowiedź na pana pytanie jest chyba jasna. Po embargu paliwowym w 1973, wszystkie rezerwy ropy należące do siedmiu głównych amerykańskich przedsiębiorstw naftowych zwiększyły swoją wartość o czterysta procent. To te firmy stworzyły OPEC. Połączyły się z wielkimi bankami i producentami broni, aby zapobiec produkcji paliwa syntetycznego. Jest oczywiste, że mamy do czynienia z konspiracją - głos doktora przybrał na sile i zaczął nieco drżeć. - Będą kontynuować tę politykę do chwili, kiedy upewnią się, że ich zyski nie są niczym zagrożone. Kupili od Sowietów moją wolność. Zadbali o to, abym mógł żyć w komforcie.

Barney spojrział na Lisę, ale ona tylko patrzyła z osłupieniem na tego zniszczonego życiem starca. Zaczynała czuć się nieswojo.

- Mówi pan „oni”. Kim są ci „oni”? - zapytał Barney.

- To kartel. Zadbali o mój byt, ponieważ posiadam formułę. Pozwolili mi żyć, gdyż zgodziłem się nie opublikować jej. A gdybym zmarł w nie wyjaśnionych okolicznościach, formuła zostałaby przekazana pewnym szwajcarskim przedsiębiorcom.

- Kto ją dostarczy? - zainteresował się Barney.

- Mój stary, wypróbowany przyjaciel, profesor Wolf Siebold. - Esau odwrócił się i pstryknął palcami.

- Koniak! - polecił Pliegerowi.

Pielęgniarka wstała zza biurka, podszedł do barku na kółkach, nalał do kryształowego kieliszka brandy i przyniósł doktorowi. Starzec wziął kieliszek drżącymi rękami i wypił trunek jednym haustem.

Na jego policzkach pojawiły się ślady koloru.

- Na pewno zastanawia się pan, dlaczego zgodziłem się z wami zobaczyć.

Barney skinął głową, a Lisa pełna złych przeczuć, czekała na dalsze słowa starca.

- Zgodziłem się na to z jednego powodu - powiedział Esau oblizując wargi. - Najważniejszego powodu, dla którego człowiek cokolwiek w życiu robi. Żeby zapewnić sobie

nieśmiertelność. - To powiedziawszy usiadł wygodniej na wózku.

Barney poruszył się na krześle. Zastanawiał się, czy ma ponaglać go, czy czekać na rozwój wypadków.

Czarne oczy Esaua rozszerzyły się i pojawiło się w nich jakieś światło.

- To bardzo proste. Zostało mi niewiele czasu. Z tego powodu nie dbam już o swoje bezpieczeństwo ani o bezpieczeństwo kogokolwiek innego. Nie obchodzą mnie przeszłe zbrodnie, niewolnicza siła robocza, to, że dla udowodnienia moich teorii zginęły tysiące ludzi. Jestem uczonym. Jednym z najwybitniejszych. Chcę, aby moja formuła została opublikowana i żeby rozpoczęto produkcję - jego zgrzytliwy głos przybrał na sile. - To nie Siebold udoskonalił katalizator manganowy. To ja! To było moje odkrycie! Poza tym katalizator nie tylko produkował z węgla paliwo do silników. Dzięki niemu można też wytwarzać metanol. Tak, metanol. Magiczną substancję, która zaspokoi przyszłe energetyczne potrzeby ludzkości.

- Dlaczego nazywa pan go „magiczną substancją”? - zapytał Barney.

- Ponieważ można go produkować z drewna, papieru, ziarna. Dzięki niemu samochód nie potrzebuje gaźnika, wystarczy sama pompa paliwowa. Nie zanieczyszcza powietrza. Spala się czysto i nie powoduje powstawania na częściach silnika węglowego osadu. Jego produkcja wymaga jedynie sadzenia lasów i uprawy zboża. Oprócz wytwarzania zwykłego paliwa - zasapał i zamilkł dla złapania oddechu - moja formuła pozwala na syntezę nie zasiarczonych produktów petrochemicznych. Oczywiście obecna produkcja opierałaby się na węglu, ale wkrótce rolę surowca przejmie drewno i zboże. Kiedy wyczerpią się zasoby ropy, nawet kartel zostanie zmuszony do zwrócenia się do mnie. Ale nie mogę czekać na ten dzień. Mój czas się kończy!

Przerwał na chwilę i podrapał się po piersi.

- Cywilizowany świat musi dowiedzieć się, że swoje istnienie zawdzięcza geniuszowi Abrahama Esaua. I pan, panie Caine, jest w stanie sprawić, żeby tak się stało.

Zakrztusił się, zakasłał i pstryknął palcami na Pliegera.

- *Den Akt!* - krzyknął, nie przestając spazmatycznie kaszleć.

Plieger wziął dużą, szarą kopertę i podał ją doktorowi. Następnie przyniósł kieliszek koniaku, który Esau ponownie wychylił jednym haustem. Kaszel ucichł i starzec spojrzał na Barneya.

- W tej kopercie znajduje się ostateczna formuła - powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Barney poczuł, gwałtowny przyływ adrenaliny, a we wnętrzu jego klatki piersiowej rozlała się fala chłodu. Ogarnęło go szalone pragnienie, aby chwycić kopertę i uciec z nią, tak

jakby jakaś niewidzialna siła mogła sprawić jej zniknięcie, zanim znajdzie się w jego posiadaniu. Mimo to pozostał w bezruchu.

Lisa spojrzała na Esaua, jakby zobaczyła w nim kobrę gotującą się do ataku. Sprawdziły się jej najgorsze przeczucia.

Starzec pochylił się, a z jego ust popłynęła strużka śliny.

- Chcę, żeby pan przysiągł, że ta formuła znajdzie się w rękach osób, które zapewnią jej odpowiednie wykorzystanie. I żeby na zawsze pozostała znana jako „katalityczny proces syntezy Esaua” - głos doktora przybrał na sile, zaczęły mu drżeć ręce. W porównaniu z oblewającym policzki rumieńcem, skóra czaszki miała woskowy odcień. - Proszę mi przyrzec! - krzyknął, zachłusnął się powietrzem i ściszył głos. - Ma pan odpowiednią motywację. Oboje macie - dodał patrząc na Lisę. - Przez tę formułę zginął pani wuj. Tysiące ludzi zmarło w czasie jej udoskonalania! - Znowu spojrzał na Barneya. - Czy może mi pan obiecać, że zostanie opublikowana?

Barney nie był w stanie nic powiedzieć ani wykonać żadnego ruchu, jakby oczy płonące w tej podobnej do czaszki głowie zahipnotyzowały go.

- Czy może mi pan to obiecać?

Barney skinął głową.

- Tak. Dopilnuję tego. Może pan spać spokojnie.

Jego głos brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

- Nie tylko będę spokojnie spał, ale spokojnie umrę. Jest powiedzenie, że człowiek staje się nieśmiertelny tylko wtedy, kiedy spłodzi syna, zbuduje dom lub posadzi drzewo. Nie dokonałem żadnej z tych rzeczy. Ale ta koperta zapewnia mi nieśmiertelność, ponieważ jej zawartość uratuje świat przed pogrążeniem się w wiecznej ciemności.

Wyciągnął kościstą rękę w stronę Barneya, który wziął kopertę.

- Czekałem przez dwadzieścia osiem lat na kogoś takiego jak pan, na taką sytuację, na zawodowca, na człowieka znającego metody pracy policji. Człowieka będącego poza wpływami kartelu. Człowieka, którego motywy są czyste.

- Skąd ta pewność odnośnie moich motywów? - zapytał Barney.

- Wiem wszystko o śmierci Neeleyów.

Doktora znowu opanował atak kaszlu. Głowa opadła mu w tył, a z ust pociekła ślina. Plieger chwycił go za rękę i zaczął energicznie masować nadgarstki. Po chwili Esau podniósł głowę i przestał kaszleć. Tak bardzo pochylił się, że pielęgniarka musiała go przytrzymać.

- Nie może pan zawieść. To jest święta misja! - w jego głosie nie było już prośby. To był rozkaz. Teraz Barney mógł sobie wyobrazić imponującą siłę, którą kiedyś emanowało to

zniszczone ciało. Oczywiście wyobraźni widział doktora Esaua stojącego w jednym rzędzie z przywódcami Rzeszy. Hitler, Göring i czołowy uczoney I.G. Farben. Widział zdrowego Esaua, nieugiętego wobec gróźb KGB i oszukującego Rosjan. Był szaleńcem obdarzonym talentem naukowym, przez który tysiące innych zginęło.

- Proszę mnie nie zawieść! - rozkazał. Plieger odwrócił wózek i wyjechał z doktorem z pokoju.

\*

Jechali z powrotem pokrytą tłuczniem drogą, kiedy Barney otworzył kopertę. Wyjął osiem kartek papieru kredowego, pokryte skomplikowanymi trójwymiarowymi diagramami i wzorami chemicznymi, którym towarzyszył opis po niemiecku. Barney pokręcił głową, żałując, że nie studiował chemii. Trzymane w ręku informacje były dla niego niezrozumiałe.

- Mogę to zobaczyć? - zapytała Lisa spoglądając na dokumenty.

Barney podał jej kartki. Zmarszczyła brwi, studiując uważnie każdą stronę. Czuli się bezradni. Te kartki były w rzeczywistości wyrokiem śmierci dla Barneya.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Do tego potrzebna jest znajomość inżynierii chemicznej. Ale w diagramach widzę słowa „węgiel”, „benzyna”, „metanowodór”, „etylen”, „propylen”, „butan” i „syntol”. - Przewróciła stronę. - Tutaj jest coś o katalizatorze. Zobacz.

Barney pochylił się.

- Tutaj jest napisane „Katalizator” oraz „mangan”, „molibden”, „platyna”, „iryd” wraz z ich symbolami chemicznymi. Ale dla mnie równie dobrze mogłoby być to napisane po grecku.

Oddała kartki Barneyowi i w zamyśleniu przyglądała się, jak chowa je do koperty.

- Myślisz, że zachował sobie kopię? - zapytała.

- Tak. Ale dałbym sobie uciąć głowę, że to jest oryginał.

- Skąd ta pewność?

- Nieśmiertelność to potężny motyw.

Wjeżdżali w sosnowy las.

- Ale Siebold też ma kopię - zauważyła.

- Tak. Ale wątpię, żeby Siebold zdecydował się wystąpić przeciwko kartelowi. Nie zrobi tego, jeżeli dalej chce grać na tym swoim flecie.

- Ale Esau uważał, że jest do tego zdolny - upierała się.

- Dał Sieboldowi formułę wiele lat temu, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

- Sądzę, że Siebold użył jej przede wszystkim dla zapewnienia swojego bezpieczeństwa.- To ironia losu, kiedy pomyśli się, że przez osiem stron wzorów chemicznych zginęło tylu ludzi.

Barney nie odpowiedział, ale zastanowił się nad zawartą w jej słowach prawdą. Pomyślał o tych wszystkich, którzy już nie żyli. O więźniach pracujących w I.G. Farben w Oświęcimiu. I o innych w pozostałych czternastu zakładach hydrogenacji. O tych olbrzymich fabrykach i rafineriach, które jakimś cudem uniknęły alianckich bomb. Następnie jego myśli przeskoczyły czterdzieści lat i pobiegły do Toma i Kay. Zobaczył ich poranione ciała. Ujrzał też Obermanna wykrwawiającego się na śmierć u stóp rzeźby prehistorycznego potwora i rozerwanych na strzępy, w fontannie krwi, wśród odłamków kości i konfederackich banknotów, Kaladiego z Clementsem. Wszyscy zginęli szukając ośmiu kartek, które trzymał w ręku. Świadomość tej prawdy zmroziła mu krew w żyłach, kiedy uświadomił sobie swoją sytuację.

Jechał taksówką przez bawarski las z piękną, lecz śmiertelnie groźną niemiecką dziewczyną, na której punkcie kompletnie oszalał. A na kolanach trzymał kopertę, której zawartość czyniła go najpotężniejszym człowiekiem świata. Miał nazistowską formułę z manganowym katalizatorem. Katalizatorem, który umożliwiał produkcję paliwa syntetycznego!

Serce zabiło mu gwałtownie i prawą ręką zaczął masować klatkę piersiową.

- Co się stało? - zapytała Lisa spoglądając na niego.

- Nic.

- Pobladłeś.

- Nic mi nie jest.

Lisa wiedziała, że to nieprawda. Była specjalistką od strachu. Wiedziała, że Barney jest przerażony. Ale nic nie mogła zrobić. Wszystko teraz zależy od Hoessa. Niskiego mężczyzny w ciemnym płaszczu. Człowieka, który śledził Barneya w Berlinie i którego widzieli na ulicy w Hamburgu. Mężczyzny z pociągu. Człowieka, który z polecenia Diestela miał jej pilnować. Będzie musiała złożyć mu raport.

\*

Poczta w Baden-Baden znajdowała się na małym okrągłym placu w centrum miasta i w niewielkiej odległości od kasyna. Nad niskim, jednopiętrowym budynkiem powiewała zachodnioniemiecka flaga. Wnętrze poczty było duże i jasno oświetlone. Po jednej stronie znajdowały się okienka, a po drugiej stoliki dla piszących. Barney poczuł ulgę widząc stojącą na prawo od wejścia zieloną kopiaarkę firmy Siemens. Lisa przetłumaczyła mu instrukcję

obsługi, która okazała się prosta i standardowa. Po kolei kładł każdą kartkę na płycie, następnie zamknął klapę, ustawił wskaźnik liczby kopii na „3” i wcisnął czerwony guzik. Maszyna zaterkotała, zaszumiała i po chwili do jednego koszyczka wysunęła się kopia, a do drugiego oryginał. Lisa patrzyła, kiedy sporządzał trzy kompletne kopie, wiedząc, że każda z nich zbliża go do gwałtownej śmierci.

Poskładał odbitki w trzy oddzielne komplety, a następnie podszedł do okienka i poprosił o dużą kopertę. Zaadresował ją do Louisa Yosuty, a jako zwrotny podał adres berlińskiego biura Hansa Lehmansa.

- Powiedz urzędnikowi, że chcę to wysłać ekspresem i zapytaj, kiedy według niego dojdzie do Los Angeles - poprosił Lisę.

- Za godzinę zawiozą pocztę na małe lotnisko na przedmieściu. Samolot pocztowy zabierze wszystkie przesyłki zagranicznego do Frankfurtu, skąd polecą do Londynu, a następnie twój list zostanie umieszczony w samolocie lecącym bezpośrednio do Los Angeles trasą ponad biegunem północnym. On sądzi, że przesyłka powinna dotrzeć jutro wieczorem - przetłumaczyła odpowiedź urzędnika.

Skinął głową i zapłacił urzędnikowi, który przykleił odpowiednie znaczki, postawił pieczętkę „ekspres” i wrzucił kopertę do olbrzymiego worka pocztowego. Barney włożył pozostałe dwie kopie do wewnętrznej kieszeni marynarki.

W drodze powrotnej do hotelu rozmyślał, jakie to dziwne, że nie ma nikogo innego, do kogo mógłby wysłać te dokumenty. Nie mógł ryzykować wysłania koperty do swojego apartamentu w Los Angeles. Nie ufał Nolanowi. Nie mógł też narażać Alice i Timmy'ego, przez wysłanie koperty do Bel-Air. Rozważał pomysł wysłania formuły do Kathy Barnes na adres jej linii lotniczej na lotnisku w Los Angeles, ale to było zbyt ryzykowne, a poza tym nie miał prawa narażać jej na niebezpieczeństwo. Kontakt z Izraelczykami mógł użyć tylko w ostateczności, poza tym było to możliwe tylko ze Stanów. Nie. Zrobił jedną właściwą rzecz. Zatrzyma sobie jedną kopię, a drugą da Lehmansowi.

Ciągle nie mógł sobie wyobrazić, że Lisa była po przeciwnej stronie barykady, prowadząc własną grę. Grę, którą kierował Diestel. W swoim pośpiechu, żeby wysłać formułę Louisowi, zapomniał, że stoi przy nim i widzi adres Louisa. Ale, do diabła, Louisowi nic nie groziło, dopóki istniały pozostałe kopie. Poza tym Louis jest zawodowcem. Potrafi zadbać o siebie. W każdym razie zadzwoni do Los Angeles i ostrzeże go.

\*

Siwowłosa recepcjonista z blizną po pojedynku i z przylepionym do ust uśmiechem dał Barneyowi dwie koperty z hotelowym nadrukiem.



- Chciałbym umieścić je w waszym sejfie - powiedział Barney zaklejając koperty.

Lisa została przy recepcji, a Barney podążył za mężczyzną na zaplecze. W ściany pokoju wbudowane były rzędy małych metalowych szufladek z dwoma kluczykami w środku. Recepcjonista podszedł do jednej z nich, umieszczonej na wysokości oczu, wyjął kluczyki i otworzył. Włożył do wnętrza koperty i wsunął szufladkę na miejsce. Następnie zamknął ją dwoma kluczykami i podał jeden z nich Barneyowi.

- Proszę przyjść z tym kluczykiem, jeżeli będzie pan chciał odebrać koperty.

Barney podziękował i dał mu dziesięciomarkowy napiwek.

- Chcesz iść do łaźni? - zapytała Lisa, kiedy wrócili do pokoju.

- Nie. Mam kilka telefonów do załatwienia. Ale ty idź.

- Jesteś pewien?

- Tak. Mam dużo roboty.

- Na przykład co? - zapytała cicho.

- Och, ważne rzeczy jak wykąpanie się i załatwienie rezerwacji na dziś wieczór.

- Jakich rezerwacji?

- Wychodzimy na miasto - odparł głaszcząc ją po policzku. - Kolacja. Kasyno. Może dyskoteka. Wyczytałem w przewodniku, że jest tu cudowna dyskoteka „La Flotilla”.

- No cóż - uśmiechnęła się. - Postaram się wyglądać ślicznie.

- Co do tego nie mam wątpliwości - odparł całując ją delikatnie.

Położył jej na ramionach ręce. Spojrzał na nią, starając się dostrzec w tej pięknej twarzy twarz mordercy, ale wszystko, co zobaczył, to uosobienie delikatnej urody.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała. - Jesteś pewien, że chce ci się wychodzić?

- Podatnicy są mi to winni. Poza tym utnę sobie drzemkę. Wszystko będzie w porządku.

- Jak sądzę, mój wczorajszy koszmar też się do tego dołożył.

- Jaki koszmar? - powiedział z uśmiechem.

Pocałowała go w usta, odwróciła się i wyszła.

Podążyła długim korytarzem, zastanawiając się nad faktem, że Barney wciąż jej nie podejrzewa. Złożyła to na karb dokładności Diestela. Musieli usunąć akta Obermanna z archiwum federalnego w Wiesbaden. Poza tym w przeszłości też oszukiwała mężczyzn. Twardych, inteligentnych mężczyzn. Ludzi pełnych poświęcenia.

Jedynym mężczyzną w ostatnich latach, którego nie udało jej się omamić, był Frank Tedesco. Pamiętała noc w jego haitańskiej willi w górach Petionville, ponad smrodem i biedą Port-au-Prince. Podano im obfity obiad, któremu towarzyszył, zdawało się, nieskończony

strumień Dom Perignon. Po obiedzie służący wniósł tacę z kolumbijską trawką. Kiedy palili i pili, próbowała wszystkich swoich sztuczek, ale Tedesco tylko uśmiechał się i mówił o wadze jej zadania. Po chwili dołączyła do nich na tarasie oszałamiająca czarna dziewczyna o wielkich, błyszczących oczach i ciele tancerki. Tedesco przedstawił je sobie, po czym objął dziewczynę w wąskiej talii i uśmiechnął się do Lisy.

- Jeżeli chcesz zagrać, to mam w kasynie otwarty kredyt.

Murzynka powiedziała coś po kreolsku i obydwójce roześmiali się, po czym wyszli zostawiając ją samą.

Tacy ludzie jak Tedesco byli niezwykli. Odporni na pokusy i współczucie. Ale na swój sposób Barney też jest niezwykły. Profesjonalista w brutalnym świecie, który jednak nie stracił zdolności współczucia. Zabójstwo Obermanna naprawdę go zasmuciło. Do działania pobudzała go potrzeba pomszczenia śmierci jego przyjaciół Neeley'ów. Był lojalny i nie pozbawiony uczuć. Zależało jej na nim. Wbrew sobie samej coś do niego czuła. Musiała. Barney przywrócił jej poczucie kobiecości. Zrobi wszystko, żeby go ocalić. To będzie dla niej akt zadośćuczynienia.

Weszła do windy i zamiast guzika oznaczającego łaźnię, wcisnęła guzik z cyfrą dwa.

Przeszła przez korytarz na drugim piętrze i stanęła przed drzwiami pokoju 219. Zapukała delikatnie dwa razy.

- *Ja?* - odpowiedział natychmiast niski głos.

- Lisa Spangler - wyszeptała.

Po chwili drzwi otworzył niski mężczyzna. Zniknęło jego przebranie. Nie miał już brody, ale okulary o grubych soczewkach pozostały na jego nosie.

- *Bitte...* - uśmiechnął się.

## 52.

Barney leżał wyciągnięty na łóżku. Zamówił rozmowę z Lousem. W Los Angeles była teraz czwarta rano. Telefonistka powiedziała mu, że może nastąpić małe opóźnienie. Pomyślał o zjedzeniu lunchu, ale nie miał apetytu. Nadal miał przed oczami obraz doktora Esaua i jego zgrzytliwy głos, którym błagał o nieśmiertelność. Sięgnął do kieszeni i wyjął mały klucz od sejfów z numerem 34. Wszystkie wydarzenia, które rozpoczęły się od tego niemieckiego konwoju ciężarówek, konwoju z sekretami, który opuścił Zossen w maju 1945, znalazły swój finał w tym niewielkim kluczyku.

Rozległ się ostry dzwonek telefonu i Barney schował kluczyk do kieszeni. Podniósł słuchawkę i ze zdziwieniem usłyszał głos Lehmansa.

- Jestem na dole. Możesz natychmiast zejść?

\*

Taksówka jechała pełną drogą. Barney opowiedział Lehmansowi ostatnie zdarzenia. Lehmans wysłuchał wszystkiego uważnie, ale niczego nie skomentował.

- Nie rozmawiałeś jeszcze z dziewczyną? - zapytał tylko.

- Nie. Jeszcze nie - odparł Barney. - Pozwól, że rozegram to po swojemu. Dałeś mi czterdzieści osiem godzin.

Lehmans wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle i nie zaprotestował.

- Dokąd jedziemy? - zainteresował się Barney.

- Na małe lotnisko pocztowe.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął Barney.

- Co się stało?

- Zapomniałem dać ci kopie formuły. Mam ją w hotelowym sejfie.

- Ile kopii?

- Dwie. Jedna dla ciebie, jedna dla mnie.

- Oryginał wysłałeś do Los Angeles?

- Tak. Mówiłem ci.

- Nic się nie stało. Możesz mi dać tę kopię w Berlinie.

- Może zawrócimy? - zaproponował Barney.

- Nie mam czasu - potrząsnął głową Lehmans - przyleciałem tu po drodze do Zurychu. Szwajcarska policja federalna złapała tych dwoje terrorystów, którzy uciekli z więzienia w Moabie. Jestem już spóźniony, ale Baden-Baden było po drodze. Liczyłem na to, że znajdę cię w hotelu.

- Zamierzałem do ciebie zadzwonić - powiedział Barney.

- Tak. Wiem. - Lehmans spojrzał w kierunku górującego nad nimi alpejskiego grzbietu, gdzie zbiegały się granice Niemiec, Szwajcarii i Francji. - Tuż przed dziewiątą dzisiejszego ranka profesor Wolf Siebold został zastrzelony na ścieżce przy jeziorze Alster - powiedział do Barneya po chwili.

Barney poczuł, jak ogarnia go odrętwienie. Mięśnie gardła zacisnęły i nie był w stanie odpowiedzieć.

- Siebold został trafiony piętnastoma dziewięciomilimetroowymi pociskami - kontynuował Lehmans. - Znalaziono na nich ślady pozostawione przez tłumik. Klatka

piersiowa Siebolda eksplodowała. Został dosłownie przecięty na pół. Strzelano od strony jeziora. Prawdopodobnie z przepływającego promu.

- Skąd to wiadomo? - zapytał Barney chrapliwym głosem.

- Ponieważ znaleźliśmy fragmenty ciała i kości na ławeczkach stojących po przeciwnej stronie ścieżki.

Barney gwałtownie wciągnął powietrze, aby po chwili je wypuścić.

- Są świadkowie? - zapytał.

- Nie. Co prawda w odległości trzydziestu metrów od miejsca, gdzie znaleziono ciało, wędkował jakiś mężczyzna z synem, ale niczego nie widzieli.

- Może coś słyszeli?

Lehmans pokręcił głową.

- Tylko odgłos podpływającego do przystani przy hotelu promu. Przesłuchiwalismy kapitana i konduktora, ale dla nich wszyscy pasażerowie są tacy sami. Po prostu ciała, które przewożą z jednej strony na drugą. Jeden z marynarzy pamiętał tylko dwójkę małych dzieci, które przedrzeźniały głuchą staruszkę.

Barney westchnął.

- Piętnaście kul. Chryste Przenajświętszy. Jaką broń można tak wyciszyć?

- To był pistolet maszynowy. Bardzo rzadki. Bardzo drogi. Znaleźliśmy go dwadzieścia metrów od brzegu. Woda ma tylko trzy metry głębokości. Przeszukaliśmy dno w promieniu trzydziestu metrów od ciała.

- Jakiej produkcji?

- Nasi eksperci od balistyki rozpoznali go jako pistolet automatyczny Ingram Parabellum. Magazynek może pomieścić piętnaście lub dwadzieścia naboju. Wystrzeliwuje go w niecałe dwie sekundy bez żadnego odrzutu i łatwo dopasować do niego tłumik. Moi specje powiedzieli mi, że jest produkowany w twoim kraju. O ile wiem, to w Południowej Karolinie.

Taksówka dotarła do zjazdu z autostrady i skręcili w szutrową drogę oznaczoną tablicą *Flugfeld*. Minęli niewysokie trawiaste wzgórze i Barney zobaczył wysoki słup, na którego szczycie powiewał rękaw wskazujący kierunek wiatru. Obok widać było podobny do stodoły drewniany hangar i stojący obok mniejszy budynek z bielonymi ścianami. Pomalowany na czerwono-biało dwusilnikowy samolot *Cherokee*, stał zaparkowany pod wiatr na początku pasa startowego.

Lehmans polecił kierowcy zatrzymać się i zaczekać. Wysiedli z taksówki i podążyli powoli w kierunku wysokiej trawy na krawędzi pasa.

- Apartament profesora został zdemolowany - powiedział Lehmans. - Wyszadzili sejf.

Znaleźliśmy medal. Krzyż Rycerski nadany Sieboldowi przez Göringa. Poza tym nic. Z wyjątkiem gosposi, która związana, zakneblowana i z opaską na oczach była zamknięta w szafie. Nic nie potrafiła nam powiedzieć.

Szli przez chwilę w ciszy.

- Wiem, dlaczego zabito Siebolda - stwierdził Barney. - I wiem, kto go zabił.

- Nowa teoria? - zapytał Lehmans stając w miejscu.

- Nie, fakt - odparł Barney. - Nie mogę tego udowodnić, ale to jest fakt.

Lehmans znowu zaczął iść.

- Przypomnij sobie, że Esau dał Sieboldowi kopię formuły - kontynuował Barney. - Jeżeli coś stałoby się Esauowi, Siebold miał podać jej treść do wiadomości publicznej.

- Tak. Mówiłeś mi to. To była polisa ubezpieczeniowa Esaua. Ale w jaki sposób wskazuje to mordercę?

- To musi być Diestel. Sam powiedziałeś, że kontroluje pozostałych przy życiu naukowców z zespołu „Genesis”. Wszyscy mu się meldowali. Siebold został zabity i ktoś zabrał formułę na rozkaz Diestela. On jest za to odpowiedzialny. To on podsunął mi dziewczynę i kazał zabić Obermanna.

Lehmans podniósł kołnierz płaszcza.

- To tylko domysły - powiedział. - Ale słuszne domysły. Dlatego chciałem zgarnąć wszystkich. Potrzebujemy ich potwierdzenia. - Stalowoszare oczy Lehmansa utkwily w twarzy Barneya. - Straciłem Siebolda. Teraz jedyne potwierdzenie mogę uzyskać od *Fräulein Spangler*.

- Nawet gdyby któreś z nich się załamało, to i tak nie miałyby to znaczenia - odparł Barney wzruszając ramionami.

- Dlaczego? - Lehmans nie wyglądał na przekonanego.

- Ponieważ Diestel jest tylko lokalnym wykonawcą. Musimy znaleźć tego, kto wydaje mu rozkazy.

Lehmans pokręcił głową.

- To ty musisz się tego dowiedzieć. Ja potrzebuję jedynie zabójcy Obermanna i Siebolda. Nie interesuje mnie wyjawienie tego, że jakiś międzynarodowy kartel działa wspólnie z OPEC. Nie interesują mnie zawłości geopolitycznych rozgrywek. Stoję jedynie wobec sprawy dwóch niemieckich zabójstw.

Zbliżyli się do samolotu i Barney zobaczył napis „POLIZEI” wymalowany na boku. Pilot otworzył drzwi kabiny i Lehmans skinął mu głową.

- Czy Esau powiedział, kogo się obawia? - zapytał.

- Tych samych ludzi, którzy załatwili z Rosjanami jego zwolnienie i utrzymywali go przez te wszystkie lata. Kartelu.

- Jakiego kartelu?

- Dał mi do zrozumienia, że chodzi o kartel naftowy. Jego zwolnienie w 1956 załatwili Amerykanie.

- No cóż - westchnął Lehmans. - Teraz ten tajemniczy kartel wie, że masz formułę. I nie sądzę, żeby pozwolili doktorowi umrzeć na raka. Nie będzie miał swoich kilku tygodni czy miesięcy.

- Dlaczego? - zapytał Barney. - Dlaczego zabijać go? On już praktycznie nie żyje.

- To dość oczywiste, że eliminują wszystkich naukowców związanych z „Genesis”. Zabijają go.

Przez okienko kabiny wychylił się pilot i coś krzyknął.

- *Eine Minute!* - odkrzyknął Lehmans.

Pilot włączył prawy silnik i śmigło zaczęło obracać się z coraz większą szybkością. Wysoka trawa rosnąca przy pasie startowym przygięła się do ziemi.

- Chcę Diestela - powiedział Lehmans.

- Byłoby lepiej, gdybyś najpierw zgarnął Reimecka - zwrócił mu uwagę Barney. - To ostatni Mohikanin. Jedyne, który może wydać Diestela.

- A co z Esauem?

- Możesz o nim zapomnieć. Jest wariatem. Cokolwiek by powiedział, nie będzie można tego wykorzystać. Musisz mieć Reimecka.

Włączył się lewy silnik i Lehmans musiał krzyczeć.

- A dziewczyna?

- Umówiliśmy się. Mam jeszcze trzydzieści sześć godzin. Ja chcę Tedesco!

Pilot zmniejszył obroty silnika i Lehmans mógł zniżyć głos.

- Chcesz, żebym kogoś z tobą posłał? - zapytał.

- Nie. Nie trzeba.

- Oni wiedzą, że masz formułę.

- To prawda, ale wiedzą też, że wysłałem ją do Los Angeles. Zabicie mnie nic im nie da.

- Skąd się o tym dowiedzieli?

- Dziewczyna była ze mną, kiedy wysłałem oryginał.

- Cwane posunięcie - stwierdził Lehmans z sarkazmem.

- Nie planowałem tego, ale w pewnym sensie jest to najlepsza rzecz, jaką mogłem

zrobić. Ich świadomość, że formuła jest w drodze do Los Angeles, może utrzymać mnie przy życiu.

- Na jakiś czas - westchnął Lehmans.

Pilot pokazał wyciągnięty do góry kciuk i Lehmans dał znak, że za chwilę wsiada.

- Zdajesz sobie sprawę, że zginęli wszyscy naukowcy z zespołu „Genesis”, z którymi rozmawiałeś?

- Tak. I chyba wiem dlaczego. Kiedy uzyskam pewność, będę wiedział, co robić.

Uścisnęli sobie ręce.

- Będę w Berlinie jutro po południu - powiedział Lehmans.

- Zostawię ci wiadomość - zapewnił go Barney.

Lehmans skinął głową, wsiadł do samolotu i zamknął drzwi. Barney stał w strudze powietrza wytwarzanej przez obracające się z pełną mocą śmigła. Pilot zwolnił hamulce, sprawdził prawidłowość mieszanki, wskaźnik ciśnienia i synchronizację obrotów. Ustawił klapy pod kątem dwudziestu stopni, dodał gazu i Cherokee ruszył pasem, nabierając szybkości i zostawiając za sobą chmurę czerwonego pyłu. Kiedy zbliżał się do końca pasa, powoli wzbił się w powietrze, skręcił w prawo i skierował się na południowy zachód, w kierunku Szwajcarii.

## 53.

Manfred Reimeck wyszedł ze swojego biura na piątym piętrze i zszedł dwa piętra w dół, do znajdującej się na drugiej kondygnacji sali z aeronautyczną ekspozycją. Było już późno, ale muzeum nadal wypełniali zwiedzający. Reimeck przecisnął się przez tłum do poręczy antresoli i spojrzął na olbrzymią salę w dole. Zwiedzający tłoczyli się przy żaglowcu z 1895 roku, w północnym krańcu sali dzieci dosłownie oblepiały stare błyszczące lokomotywy.

Reimeck darzył sympatią niedzielnych zwiedzających. Byli zawsze najbardziej entuzjastyczni. Podrapał się po spłaszczonym, bezkształtnym nosie. Żona od dwóch lat namawiała go na zabieg rekonstrukcji nosa. Nie mógł zdobyć się na wyjaśnienie jej, dlaczego odmawiał poddania się operacji plastycznej.

Reimeck nigdy nie brał udziału w walce i w głębi duszy wstydził się tego. Strzaskany nos był głównym punktem stworzonego przez niego mitu i obnosił się z nim jak z orderem. W maju 1943 testował nowy model czołgu Tygrys. Została w nim zamontowana nowa wersja

działa kalibru 88 milimetrów. Reimeck stał z tyłu za kierownicą i kanonierem. Została wydana komenda do strzału i kanonier wcisnął piętnastocentymetrowy mechanizm spustu. Rozległ się ostry huk i nastąpił odrzut. Łuska pocisku wystrzeliła z komory i uderzyła go w sam środek twarzy, zmieniając jego nos w bezkształtną, krwawą miazgę. Zespół medyczny w Stutgarcie zrobił, co mógł. Sześć miesięcy później odznaczono go Żelaznym Krzyżem drugiej klasy. I chociaż jego rana nie mogła się równać z okropnymi ranami jego przyjaciół, mimo to zapewniała mu pewną pozycję na dorocznych spotkaniach członków *Waffen SS*.

Reimeck spojrzał na kołyszące się nad jego głową samoloty zawieszane na linach. Znajdowały się tam *Fokkery* i dwupłatowce z czasów I wojny światowej oraz *Messerschmitty*, *Stukasy* i *Junkersy 111* z czasów II wojny. Jednak jego ulubionym samolotem, tym, który nabierał w jego umyśle legendarnych proporcji, był dwusilnikowy odrzutowy myśliwiec *ME-262*. Pierwszy czysto odrzutowy samolot w historii lotnictwa. Z uwielbieniem, ale i ze smutkiem przyglądał się jego zgrabnym kształtom.

Dzięki konstrukcyjnemu geniuszowi Messerschmitta, odrzutowy myśliwiec był gotowy do masowej produkcji już w kwietniu 1941. Nic nie mogło się z nim równać w powietrzu i gdyby rozpoczęto jego seryjną produkcję, mógłby zmienić losy wojny. Niebo nad Rzeszą stałoby się wolne od wrogich bombowców. *Herr* Messerschmitt przekonał Speera, że pod koniec 1942 może umieścić w powietrzu tysiąc *ME-262*. Speer zwrócił się do Hitlera, ale ten psychotyczny gryziopiórek pozostał głuchy na jego prośby. A teraz, prawie czterdzieści lat później, samolot kołysał się nad głową Reimecka: ciekawostka, eksponat muzealny. Skazany na zapomnienie relikw, który wprowadził świat w erę odrzutowców. Reimeck stał podziwiając go w milczeniu. Nie miał żadnej szansy, żeby zobaczyć swoich zabójców.

Potężne ręce chwyciły go pod pachami, podnosząc ponad balustradę i wyrzucając z antresoli. Leciał w powietrzu z rozpostartymi rękami, gwałtownie wymachując nogami. Jeszcze zanim uderzył w drewniany pokład żaglowca, zdążył usłyszeć czyjś krzyk.

Wśród rozpętanej paniki dwóch byłych członków *Waffen SS* spokojnie przeszło wśród przerażonego tłumu. Zeszli po schodach na parter i wyszli na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec.

## 54.

Staroświeckie lampy były zapalone, a nad wejściem do kafejek świeciły różnokolorowe lampki. Barney i Lisa siedzieli przy najlepszym stoliku obok okna w



restauracji „Stahlbad”.

Barney uzyskał połączenie z Louistem piętnaście minut po powrocie z lotniska. Powiadomił go o nadchodzącej przesyłce zawierającej oryginał formuły. Louis nie zadawał zbędnych pytań. Zapewnił Barneya, że umieści kopertę w sejfie kwatery głównej Wydziału Operacyjnego, gdy tylko przesyłka znajdzie się w jego rękach. Poinformował Barneya, że Nolan szukał go i że jest potrzebny w kraju. Barney odparł, że spodziewa się wrócić w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Powiedział, że musi załatwić jeszcze jedną sprawę. Dobrać się do Franka Tedesco.

- Zostało jeszcze trochę szampana? - zapytała Lisa przerywając tok jego myśli.

Barney wyjął z kubelka butelkę Laurent-Perrier rocznik 1956 i dołączył jej.

- Recepcjonista miał rację. Ryba była wspaniała - stwierdziła Lisa popijając szampana.

- Nie mogłaby być lepsza - zgodził się Barney.

Wyjęła jednego ze swoich niemieckich papierosów i Barney podał ognia. W blasku świec jej włosy migotały i to oświetlenie pomniejszało jej twarz, podkreślając wystające kości policzkowe. Błękitne oczy wydawały się ciemniejsze i patrzyły uważniej. Miała na sobie sukienkę od St. Laurenta, na szyi wisiał sznur śnieżnobiałych pereł, w uszach pobłyskiwały dwa małe diamenty.

Kelner zapytał, czego sobie życzą na deser, i zamówili czekoladową piankę i kawę.

- Czy wszyscy amerykańscy detektywi podróżują tak szykownie? - zapytała z uśmiechem.

- Tylko ci, którym szef dał kredyt.

Nie powiedział jej o śmierci Siebolda ani o nieoczekiwanej wizycie Lehmansa. Dopił szampana, ale nie poprawiło to mu nastroju. Od nieuniknionej konfrontacji z Lisą dzieliło go tylko kilka godzin. Skończyli deser i poszli wąskimi, radośnie oświetlonymi uliczkami w kierunku neonu nad kasynem.

Było ono niegdyś letnim pałacem niemieckiej arystokracji. Czuło się tu pieniądze, a wystrój i architektura pochodziły z epoki Renesansu. Koła ruletek kręciły się i wszystkie oczy wpatrywały się w małą białą kulkę przeskakującą z numeru na numer.

Popatrzyli przez chwilę na grę, po czym udali się do innej sali, którą zajmowały stoły do *chemin de fer*.

Nieskazitelnie ubrany Arab trzymał bank. Z jego jednej strony stało wiaderko z szampanem, a w ustach trzymał długą firkę z papierosem. Nad stołem wisiała tabliczka, na której widniał napis *Pas de limite*. Sztony miały osiem centymetrów długości i pięć szerokości. Każdy z nich był wart dziesięć tysięcy marek czy też pięć tysięcy dolarów.

Barney obliczył, że w banku jest teraz co najmniej dwieście tysięcy dolarów w sztonach. Karty zostały rozdane i za trzecim ciągnięciem Arab ograł pozostałych partnerów. Krupier przesunął piramidkę złotych sztonów w stronę Araba. Siedziała przy nim egzotycznie wyglądająca Euroazjatka. Ułożyła sztony w równe kupki. Arab popił szampana i coś szepnął do niej. Dziewczyna wzięła kilka mniejszych sztonów i popchnęła je w stronę krupiera.

- *Merci* - odpowiedział z uśmiechem.

Arab spojrział na Lisę, dając znak, żeby przyłączyła się do gry. Lisa pokręciła głową i wraz z Barneyem poszli w kierunku stołów z ruletką. Grali przez godzinę. Barney stawiał na czerwone i parzyste, zmniejszając i zwiększając stawki, starając się obliczyć prawdopodobieństwo wygranej. Lisa grała numer 32, za każdym razem stawiając dziesięć marek. W ciągu godziny numer 32 wypadł dwukrotnie i po odliczeniu strat wygrała prawie trzysta marek.

Wymienili żetony i wyszli wyłożonymi dywanem schodami z szesnastowiecznego kasyna do holu, gdzie weszli w drzwi, nad którymi wisiał czerwony neon „La Flotilla”.

Przywitały ich słowa piosenki Roda Stewarta „Maggie May”, pomieszane z wonią perfum, potu i słodkim zapachem trawki. Ściany i sufit małego pomieszczenia wyłożone były lakierowaną, czarną skórą. Niewidoczny projektor rzucał na błyszczącą powierzchnię fantastyczne obrazy.

Barney i Lisa po raz pierwszy zobaczyli w Baden-Baden młodych ludzi. Młodzież z kurortu: kelnerzy i kelnerki, urzędnicy, chłopcy hotelowi, muskularni masażyści pracujący w łaźniach. Pomiędzy nimi widać było kilka starszych, elegancko ubranych par, które zdawały się nie pasować do odzianej w dzinsy młodzieży.

Usiedli przy stoliku w końcu sali. Zamówili szkocką i Periera, po czym zaczęli przypatrywać się tańczącym. „Maggie May” skończyła się i Bee Gees zaczęli śpiewać „Staying Alive”. Barney znowu poczuł tę samą tęsknotę za Ameryką, to samo wrażenie osamotnienia, które ogarnęło go pierwszego dnia pobytu w Berlinie. Spojrział na Lisę. Obraz z projektora przesuwający się jak w kalejdoskopie po jej twarzy.

Wypili szybko szkocką.

- Chodź. Zatańczymy - powiedział Barney.

Przecisnęli się poprzez zewnętrzny krąg tancerzy i znaleźli się na środku parkietu. Ciało Lisy ledwie się poruszało. Cały jej taniec polegał na rytmicznym kołysaniu biodrami. Barney znał jeden podstawowy krok i wykorzystał go. Było tak ciasno, że cokolwiek by robili i tak nikt by nie zauważył. Barney, czując w głowie szampana i szkocką, poddał się natrętnej dynamice soft disco-rocka. Uderzył w niego zapach perfum Lisy.

Wysoka blondynka tańcząca z młodym chłopakiem przesunęła się do Lisy. Barney zauważył, że miała nienormalnie szkliste oczy i rozszerzone źrenice. Była na prochach lub kokainie, lub mieszance obu. Bee Gees skończyli śpiewać. Nagle przygasły światła, wszystko nabrało błękitnej barwy i na czarnych ścianach pojawiły się sceny z paryskich ulic. Charles Aznavour zaczął śpiewać „Que c'est triste Venise” i tancerze przywarli do siebie. Barney objął Lisę. Kołysali się w miejscu, czując ciepło swoich ciał.

- Aznavour powinien być zakazany - wyszeptała Lisa, kiedy piosenka skończyła się.

Następnie rozległy się ostre, perkusyjne dźwięki acid-rocka i zmienili tempo tańca. Przez sufit i ściany przesunęła się fantasmagoria obrazów. Wizerunki pojawiały się z szybkością karabinu maszynowego: Drakula, Superman, Chaplin, Hitler, Zorro, Delon, Belmondo, Hemingway, El Cordobes, Franco, James Dean i Stalin. The Beatles. Radzieckie oddziały przebijające się pośród gruzów Berlina. Mick Jagger, wybuch atomowy w Alamagordo, Tuesday Weld i niekończące się cmentarzysko krzyży. Papież, Marilyn Monroe, Muhammad Ali, Garbo, Himmler, Louis Armstrong. Amerykański patrol w dżungli. Lawina obrazów przybierała na tempie przechodząc w pozbawione związku fragmenty. Kennedy uśmiechał się, jadąc otwartym wozem w słonecznym Dallas. Tańczący Presley. Jack Ruby skierował pistolet i Oswald skrzywił się z bólu. Chrystus przeszedł po wodzie. Nixon podniósł palce ułożone w literę V. Podobne do trupich głowy uśmiechnęły się do brytyjskich żołnierzy. Eichmann, Peggy Lee, Calley. Linda Lovelance, Ho Chi Minh, sierotka Marysia. Błyszczące obrazy miały wymiar końca świata, przemieniając pomieszczenie w szalone sanktuarium, odosobnione, zwariowane schronienie przed zewnętrzną rzeczywistością.

Utwór skończył się i kiedy wracali do stolika, wysoka blondynka dotknęła ramienia Lisy, spojrzała na nią rozgorączkowanym wzrokiem i powiedziała coś przyciszonym głosem. Lisa uśmiechnęła się i pokręciła przecząco głową.

\*

Spacerowali po terenie wokół hotelu. Drzewa były wilgotne i po zamkniętej przestrzeni dyskoteki, świeży zapach sosen wprawiał ich w oszołomienie.

- Czego chciała ta dziewczyna? - zapytał Barney.

- Chciała się ze mną kochać, a ty i jej chłopak mieliście się temu przyglądać.

- Milutka - stwierdził Barney.

Przeszli po drewnianym mostku i usłyszeli szum strumienia w dole.

- Zapach sosen przypomina mi te wszystkie wspaniałe rzeczy w życiu, które nigdy się nie zdarzyły - powiedziała Lisa, kiedy zbliżali się do wejścia do hotelu.

Rozebrali się powoli, prawie metodycznie. Mrok pokoju rozjaśniały tylko promienie

księżycy wpadające przez otwarte drzwi tarasu.

Barney usiadł na krawędzi łóżka i przyglądał się, popijając koniak, jak zdejmuje majteczki. Stała wyprostowana ze ściągniętymi łopatkami i wysuniętymi do przodu, krągłymi piersiami. Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym podeszła powoli do łóżka, wyjęła mu z ręki szklaneczkę i popchnęła na pościel. Uklękła nad nim, pokrywając jego twarz, szyję i pierś pocałunkami. Czuł wilgotne ciepło jej warg na całym ciele. Kochali się bez słowa. Skoncentrowani. Poruszając się powoli. Jej ręce ścisnęły go w biodrach. Poczł cudowne oznaki zbliżającego się orgazmu.

- Jeszcze nie... proszę... - wyszeptała.

\*

Przez długi czas pozostali w bezruchu nic nie mówiąc. Poprosiła o papierosa. Wstał, podszedł do stolika, zapalił jednego i podał jej. Usiadła wyżej, opierając się o wezglówek. Barney usiadł w drugim końcu łóżka patrząc, jak w blasku rozjarzającego się papierosa jej twarz to rozjaśnia się, to tonie w mroku. Skończyła palić, popatrzyła na niego przez chwilę, po czym wstała i poszła do łazienki.

Barney słuchał odgłosu prysznic, zdając sobie sprawę, że nie ma już czasu.

\*

Drzwi łazienki otworzyły się. Wyszła, mając na sobie biały szlafrok i stanęła tuż za drzwiami, oświetlona przez padające z łazienki światło. Sięgnęła do torebki, wyjęła małą buteleczkę perfum i spryskała szyję i ramiona. Zachowywała się dokładnie jak Laura Gregson tamtej nocy w jego apartamencie. Nocy, którą zdawała się oddzielać cała wieczność.

Barney usłyszał siebie mówiącego, ale było to tak, jakby słowa należały do kogoś innego.

- Dlaczego nie włożysz ręki do tej torebki i nie wyjmiesz tej swojej dwudziestki dwójki, żeby wpakować we mnie siedem kulek? Tak jak zrobiłaś to z Tomem Neeleyem?

Zapanowała długa cisza.

- Nie rozumiem - wyszeptała.

Barney usiadł i oparł się o wezglówek.

- Na pewno rozumiesz. Jesteś tak samo spokrewniona z Paulem Obermannem jak ja.

Czekał na jakąś reakcję, ale nie nastąpiła żadna. Po prostu wpatrywała się w niego w bezruchu, niczym się nie zdradzając.

- Paul Obermann został zabrany do Anglii pod koniec 1945 roku - kontynuował. - Przebywał tam sześć lat. W żaden sposób nie mógł cię wychowywać.

Podeszła powoli do biureczka, zapaliła papierosa i odwróciła się w jego stronę.

- To prawda. Ale co miesiąc wysyłał czek na moje utrzymanie.

Barney uśmiechnął się sarkastycznie.

- Jesteś dobra. Chryste, jesteś wspaniała. Ale twoi przyjaciele zostawili cię na lodzie. Powinni byli usunąć akta Obermanna z archiwum policji federalnej. Jestem pewien, że Bractwo ma tam swoje wtyczki. Ale oni spisali cię na straty. Obermann nie miał siostry. Nie był spokrewniony z twoją matką. Spotkałaś go dopiero na kilka tygodni przed moim przyjazdem do Berlina.

Barney wstał i włożył szlafrok. Wyrzwał przez okno, po czym odwrócił się w jej stronę.

- Musiałaś dobrze się starać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Ta słodka melancholia, ta poetycka ceremonia na jeziorze, rozrzucanie prochów Obermanna i późniejszy spacer przez las. To odgrywanie niewiniątka i pozwolenie, żebym zabrał cię do Zehlendorfu. Pomoc. A ty po prostu wykonywałaś rozkazy. - Barney pokręcił głową. - Założę się, że nigdy nie miałaś łatwiejszego zadania. Neeley musiał być twardszym orzechem do zgryzienia.

Lisa nie zdradziła się żadnym uczuciem. Po prostu patrzyła mu prosto w oczy. Barney nagle uderzył ją w twarz. Raz, drugi, otwartą dłonią.

- Powiedz coś! Do diabła! Słucham! - krzyknął.

Potała policzek, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Lehman kłamie - powiedziała. - To wszystko nieprawda.

- Doprawdy? - krzyknął Barney. - A co powiesz na fałszywy paszport francuski, znaleziony w twoim berlińskim mieszkaniu?

Po raz pierwszy w jej oczach pojawił się prawdziwy strach.

- Jaki paszport? - wyszeptała.

- Podrobiony francuski paszport ze stemplem z Miami, z datą o tydzień wcześniejszą niż data śmierci Neeleya. Zostawiłaś Tedesco na Haiti, przyleciałaś do Miami, gdzie napelniłaś kokainą lalkę i dostarczyłaś ją Neeleyowi.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz - powiedziała.

- Masz cholerną rację. Ten fałszywy paszport ma też pieczętki z Trypolisu, Damaszku i Bejrutu. Pracowałaś z tymi dwoma terrorystami w Los Angeles, z których jednego zabiłem na plaży przy domu Kay. Nazywał się Primo Santiago. Mówi ci coś to nazwisko?

Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy.

- Nic nie wiem.

- Ale ja wiem - powiedział ostro Barney. - Jesteś terrorystką, ślicznotko.

- Jakie to ma znaczenie? - westchnęła ocierając łzy.

- Ma takie znaczenie, że dwoje moich przyjaciół zostało zamordowanych.

Po raz pierwszy w jej głosie pojawiła się nutka protestu.

- Twoi przyjaciele sami byli przestępcami.

- Kay Neeley nie była przestępcą - odparł ze złością Barney. - A Tom był stary i przestraszony. Nie zasługiwał na to, co go spotkało. Po trzydziestu trzech latach jakimś cudem wpadł na trop „Genesis”. Jego błędem było, że powiedział o tym Clementsowi, który przekazał informację komuś wyżej. Skontaktowano Clementsa z Tedesco. To Tedesco wynajął cię. Potrzebowali kogoś, kto może zdobyć zaufanie Neeleya. Wrobili Neeleya w przetrzut narkotyków z tobą jako kurierem. Ty i twoi przyjaciele zaaranżowaliście jego śmierć, żeby wyglądała jak porachunki między handlarzami. Ale nie wyszło wam. Neeley nic nie powiedział. Nie mógł nic powiedzieć. Nie miał pojęcia, gdzie jest formuła. Znał tylko ślad prowadzący do Obermanna, z dawnych czasów w Hamburgu.

Barney zapalił niemieckiego papierosa, podszedł do łóżka i usiadł twarzą do niej.

- Skończyłeś już? - zapytała gniewnie.

- Prawie. Teraz będę zgadywał. Sądzę, że poszłaś do Clementsa, żeby uzyskać pozwolenie na przesłuchanie Kay. Dopiero wtedy wszystko zaczęło pasować. Niestety, za późno, żeby ocalić Kay. - Barney przerwał na chwilę. - Ktoś z Los Angeles przekazał wiadomość, że jadę do Berlina - kontynuował - z nazwiskiem Obermanna w kieszeni. Zechcesz podjąć dalej opowieść?

Lisa wstała i podeszła do okna. Wyrzała na rozjaśniony blaskiem księżycy park.

- Chcę, żebyś coś zrozumiał. Sądziś, że zdołasz? - zapytała łagodnie.

- Później. Postaram się - westchnął Barney. - Ale teraz byłbym wdzięczny, gdybyś zechciała uzupełnić brakujące kawałki.

- Dobrze - odparła. - To prawda, że wiedziałam o twoim przyjeździe. Diestel skontaktował mnie z Obermannem, zanim przybyłeś. Moja fotografia znalazła się w jego mieszkaniu. Diestel polecił Obermannowi ściśle wykonywać polecenia. Wysłał mnie na spotkanie z tobą w hotelu „Kempinski”, po tym jak uzyskałam od Obermanna konieczne informacje. Rozkazał Obermannowi spotkać się z tobą w zoo. - Zamilkła na chwilę. - Nie miałam pojęcia, że Paul ma zginąć.

- Ja też nie - odparł zgryźliwie Barney. - Oszukałaś mnie. Przedstawienie odegrane na jeziorze było znakomite. Tak samo jak i w Hamburgu.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- To, co się zdarzyło w łóżku, nie ma z resztą nic wspólnego. Możesz mi nie wierzyć, jeśli chcesz. To nie ma znaczenia.

Barney wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- To nie ma znaczenia - powtórzył za nią. - Nie ma znaczenia. A co, do diabła, ma znaczenie? - krzyknął stając przed nią.

- Formuła ma znaczenie - odparła chłodno. - Nie wolno jej wykorzystać.

- Nieważne, ilu ludzi zginie?

- Spróbuj posłuchać mnie - powiedziała przygryzając wargi. - Mój ojciec nazywał się Fritz Suhrens. Był komendantem obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Zagazowano i spalono tam trzysta tysięcy kobiet. Urodziłam się w willi ojca w samym środku tego centrum zagłady. Pod koniec matka ukryła mnie w pokoju pełnym zębów. Słoików wypełnionych złotymi zębami. Matka uciekła ze mną na dwa dni przed nadejściem wojsk radzieckich. Ojca powieszono, ale my przetrwałyśmy. Moja matka była bardzo piękna. Zajęło się nami Bractwo. Kiedy dorosłam, dowiedziałam się, kim był mój ojciec. Przeczytałam wszystkie dokumenty, jakie udało mi się znaleźć. Znienawidziłam go i gardziłam wszystkim, co stworzyło pokolenie moich rodziców. Później znienawidziłam nowe Niemcy za budowanie przyszłości bez oglądania się na przeszłość. Nowe Niemcy są rządzone przez tych samych zbrodniarzy. Gardziłam Zachodem za to, że pozwolił na powstanie tych tak zwanych nowych Niemiec i gardziłam Rosjanami za zabicie wolności w Niemczech wschodnich, Czechosłowacji i na Węgrzech. Tak samo Amerykanów za Wietnam. Czułam, że muszę coś zrobić. Coś, co może ocalić ludzkość. Musiałam sprzeciwić się. Musiałam odpokutować za czyny mojego ojca. Poznałam ludzi z Baader-Meinhof. I znalazłam swoją drogę. Cel, który mogłabym osiągnąć.

- Jaki cel? - zapytał łagodnie Barney.

- Powszechne braterstwo ludzi. - Podeszła do niego i zobaczył, że jej usta drżą. - Wysłano mnie do Damaszku. Szkolił mnie Habash. Indoktrynowano mnie całymi miesiącami. Odosobniona, żyłam w ziemiankach wśród ekskrementów. Zmuszali mnie do poddania się wszelkim seksualnym upokorzeniom. Z mężczyznami. Z kobietami. Ze zwierzętami. Ale nie zważałam na to. Dla mnie było to oczyszczenie. Zapłata za te wszystkie kobiety, które zginęły w Ravensbrück. W głębi ducha stałam się jedną z tych więźniarek. Zmuszali mnie do oglądania godzinami filmów pokazujących przemoc, torturowane i okaleczone ciała. Nauczyli mnie posługiwania się bronią palną i wyszkolili w taktyce terroru. Po ośmiu miesiącach zostałam zaprzysiężona w czasie ceremonii w Libanie, niedaleko Sydonu.

Zgniotła papierosa.

- Mój umysł stał się wolny od wszystkich dawnych idei i całej świadomości. Zmieniłam się. I po raz pierwszy w życiu miałam coś, w co mogłam wierzyć. Wiedziałam, że

terror i przemoc to jedyna droga.

- Droga do czego? - zapytał.

- Do chaosu - odparła patrząc mu w oczy.

- A co potem?

- Wraz z chaosem przychodzi próżnia, którą wypełni nasz ruch. Jesteśmy finansowani przez Saudyjczyków. Formuła stanowi dla nich ogromne zagrożenie. A także dla innych, którzy są mi obojętni, ale z którymi jestem w sojuszu. Dlatego podjęłam się tego zadania.

- Dlaczego torturowano Toma i Kay?

- Musieliśmy wiedzieć, czy Neeley spotkał się ze Szwajcarem.

- Jakim Szwajcarem?

- Z przemysłowcem - powiedziała. - Tym samym, który skontaktował się z Obermannem. Ten Szwajcar niepokoił ich.

- Kim są ci „oni”? - zapytał Barney.

- Nie wiem - odparła, wzruszając ramionami. - My tylko wypełnialiśmy rozkazy.

- Czyje?

- Tedesco - odpowiedziała.

- Gówno - westchnął Barney.

- Jest gęstsze od krwi - powiedziała machinalnie.

- Co? - zapytał.

- Carlos tak mówił. To jego ulubione powiedzenie. „Gówno jest gęstsze od krwi. Zamieńcie ich w gówno”.

- Wspaniała filozofia jak na „braterstwo ludzi” - powiedział ze złością Barney. - Zgadzasz się z tym?

Lisa nie odpowiedziała. Po prostu wpatrywała się w niego. Nieobecny wzrokiem. Bez śladu uczucia.

Barney podszedł do niej i chwycił ją za ramiona podrywając na nogi.

- Powiedz mi, jakie to było uczucie pieprzyć się z Neeleyem, a potem patrzeć, jak umiera?

Wyrwała mu się z rąk i uderzyła mocno w twarz. Zamachnęła się po raz drugi, ale chwycił ją za nadgarstek. Potrząsnęła głową i zaszlochała.

- Nienawidzę wszystkiego, w co wierzysz, ale nie nienawidzę ciebie. Wierzysz w to, co robisz. - Zamilkła na chwilę, starając opanować się. - Widzisz, obydwójecie jesteście zawodowcami.

- Skoro jesteście zawodowcami, przejdźmy do interesów - powiedział puszczając jej



ręce.

- Możesz nalać mi brandy? - poprosiła.

Spojrzał na nią i pomimo wszystko gotów był wziąć ją znowu w ramiona i kochać się z nią. Odwrócił się i podał jej kieliszek.

Wypiła połowę jednym haustem.

- Jaki interes masz na myśli? - zapytała.

- To zależy.

- Od czego?

- Od odpowiedzi na jedno proste pytanie: Kto wydaje rozkazy Diestelowi?

Popatrzyła na niego, rozważając pytanie przez dłuższą chwilę.

- Tedesco - powiedziała w końcu.

To nazwisko zawisło w powietrzu jak magiczny klucz, który może otworzyć tajemnice czasu.

- Dobrze - powiedział Barney. - Chcę go. Możesz mi go dać.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała prowokująco.

- Bo nie masz wyboru. Lehman chce cię zamknąć za współudział w zabójstwach Obermanna i Siebolda.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Och, zapomniałem ci powiedzieć. Dzisiaj rano rozwalili dobrego profesora. Już nie zagra na flecie. A teraz zaprowadź mnie do Tedesco, a ja załatwię ci trochę czasu u Lehmana.

Przeszła obok Barneya i skierowała się w stronę okna. Przechyliła miniaturową buteleczkę brandy i wypila całą zawartość.

- Mam wątpliwości. Straszliwe wątpliwości. Wiele miesięcy temu przestało mi zależeć, czy będę żyła, czy nie. Nie chcę nikogo skrzywdzić. Już nie. - Odwróciła się od okna.

- Ale ciągle wierzę, że trzeba znaleźć nową drogę. Stara prowadzi do unicestwienia nas wszystkich. Przykro mi, że musiałam cię oszukiwać. Przykro mi, że dowiedziałeś się prawdy. Przykro mi, że to tak się skończyło.

Odwróciła się i wyszła na taras. Barney podążył za nią. Stali obok siebie na małym balkonie owiani chłodnym, bawarskim wiatrem, słuchając szumu sosen. Ich twarze tonęły w światłocieniach rzuconych przez księżyc. Przeszedł ją lekki dreszcz.

- Tedesco jest w Berlinie - powiedziała drżącymi wargami.

Kurfürstendamm pulsowała nocnym życiem. Alfonsi, uliczni sprzedawcy, handlarze narkotyków kręcili się wokół małych kafejek. Wszędzie błyskały pomarańczowe i niebieskie neony berlińskich seks-klubów: „Mireille”, „Ilona”, „Adam i Ewa”, „The Triangle”.

Barney i Lisa wpatrywali się w milczeniu w mijane światła, każde z nich zatopione we własnych myślach. Nieświadomi, że od lotniska Tegel jedzie za nimi szary Mercedes.

Mercedes zaparkował naprzeciw wejścia do hotelu, jakieś dwadzieścia metrów na północ. Na tylnym siedzeniu siedział Lehman, nerwowo paląc cygaro. Miejsce obok kierowcy zajmował potężnie zbudowany mężczyzna. Trzej mężczyźni obserwowali, jak Barney i Lisa wysiadają z taksówki i wchodzą do hotelu.

Barney dał recepcjoniście koperty zawierające kopie formuły. Ponownie otrzymał mały kluczyk z numerkiem i został poinformowany, że kiedy będzie chciał zabrać koperty, musi przyjść z tym kluczykiem.

Dostali pokój na końcu korytarza na trzecim piętrze. Barney zamówił kanapki z mięsem i dwie butelki wina mozelskiego. W pociągu z Baden-Baden zachowywali się jak pilnujący się nawzajem więźniowie. Oddzielał ich mur milczenia. Ona potrzebowała jego pomocy z Lehmansem, a on potrzebował jej, żeby schwytać Tedesco.

Barney zadzwonił do Lehmana z lotniska w Monachium i zostawił wiadomość, że będzie w „Kempinskim” o dziewiątej.

Lisa ledwie tknęła jedzenia, ale za to wypła trzy kieliszki wina. Wstała od stołu i poszła do łazienki. Na jej policzkach wykwitł rumieniec. Barney odsunął talerz i spojrzał na zegarek. Była 8.50 wieczorem. Czuł się fizycznie i psychicznie wykończony. Podróż pociągiem i samolotem była wyczerpująca. Konfrontacja z Lisą pograżyła go w smutku i czuł się bezradny. Nienawidził tego, w co wierzyła, ale w jakiś sposób czuł się bliżej niej niż kiedykolwiek przedtem. Chciał jej bronić. Lisa była ofiarą. Ofiarą swojej własnej desperackiej potrzeby odpokutowania za zbrodnie ojca i jego pokolenia. Zbrodnie świata, w którym przyszło jej żyć, wywołały u niej nieodwracalne spustoszenie. Stanowiła łatwy cel dla fanatyków i pracy mózgów.

Barney widział już podobne ofiary. W Hiszpanii. Dzieciaki, które szły na frankistowską *Guardia Civil*. Widział też takich w swoim własnym kraju pod koniec lat sześćdziesiątych. Te studenciaki poddające się retoryce szukających poklasku podżegaczy. Dzieciaki lądowały w szpitalach, podczas gdy wygłaszający mowy liderzy występowali w

telewizji i sprzedawali gazetom swoje artykuły. Ci ogólnie znani „rewolucjoniści” przypisywali sobie zasługę zakończenia wojny w Wietnamie, ale unikali odpowiedzialności za tragedię Kent State. Barney gardził tymi dupkami, którzy dowodzili Gwardią Narodową i debilami, którzy wydali im ostrą amunicję. Ale retoryka tych podżegaczy sprawiła, że Kent State stało się nieuniknione. Jeżeli pewnym sprawom nada się bieg, to nie można ich już powstrzymać.

I nikt nie był też w stanie pomóc tej Niemce. Zaszła już za daleko, żeby się wycofać. I mówiła prawdę, kiedy stwierdziła, że już jej nie zależy na życiu. Ale Barneyowi zależało. Może istniał jakiś sposób, żeby poprzez Tedesco ocalić jej życie. Frank Tedesco, drobny oszust z Brooklynu, nieuchwytny ogień między „Genesis” a tym, co Esau nazwał kartelem.

Lisa wyszła z łazienki, podeszła do łóżka, usiadła na krawędzi i sięgnęła po telefon.

- Co robisz? - zapytał Barney.

- Chcesz Tedesco, tak? - odparła i podniosła słuchawkę.

- Będę musiała mówić po niemiecku.

Barney skinął głową i patrzył, jak wykręca numer.

Jej twarz stężała, kiedy zaczęła mówić do słuchawki.

- *Fräulein Spangler.* - Poczekała kilka sekund. - *Ja, natürlich das ist möglich* - kontynuowała. - *Ich werde die Hotel Hole um halb zehn verlassen.* - Znowu zapanowała chwila ciszy i rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Barneya.

- *Ich verstehe. Ich werde ein Paar schritte von ihm entsernt gehen. Ja, auf Wiedersehen.*

Odłożyła słuchawkę na widelki.

- Musimy opuścić hotel dokładnie o dziewiątej trzydzieści - powiedziała do Barneya.

- I co potem?

- Przed wejściem będzie czekał na nas samochód, który zawiezie nas do Tedesco.

Barneyowi nie podobał się pomysł wsiadania do obcego samochodu z dziewczyną, której los był już prawdopodobnie przesądzony, mając za jedyną gwarancję kopię formuły. Kartel na pewno nie zawahałby się przed zabiciem policjanta, w szczególności policjanta, który działał nieoficjalnie w obcym kraju. Ale zaszedł już za daleko, żeby się wycofać. Na końcu drogi czekał na niego Frank Tedesco. Oczywiście mogła to być pułapka. Tedesco mógł siedzieć na tarasie swojej posiadłości w Petionville. Ale przecież dziewczyna zastosowała się do instrukcji Barneya.

- Czy Tedesco będzie w tym samochodzie? - zapytał.

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Przypuszczam, że wysłał szofera.

- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli coś mi się przydarzy, to formuła i tak jest w bezpiecznych rękach. Jeżeli mnie załatwią, to wypadają z gry.

- Tak. Wiedzą o tym.

Wstała i podeszła do stolika. Usiadła, nalała sobie kolejny kieliszek wina i odgarnęła ręką włosy.

- Chociaż to nie ma już znaczenia - westchnęła - to chciałabym, żebyś wiedział, że nie miałam pojęcia, że Neeley ma zostać zabity. Dostarczyłam mu lalkę. - Napila się wina, unikając jego wzroku. - Poszłam z nim do łóżka, potem wzięłam prysznic i otworzyłam frontowe drzwi. Neeley był jeszcze w łóżku. Weszli dwaj mężczyźni, a ja ulotniłam się. Kiedy niczego nie dowiedzieli się od niego, poprosiłam Clementsa o pozwolenie dla nich na odwiedzenie Kay.

- Ale wiedziałas, że będą musieli ją zabić.

Pokręciła głową.

- Nie musieli jej zabijać.

- No cóż, to wspaniałe - odparł Barney. - Nie masz nic na sumieniu.

Spojrzała na niego, po czym podeszła do okna. Przyglądała się obracającemu się neonowi w kształcie znaku Mercedesa.

- Nie lekceważę spraw życia i śmierci.

Odwróciła się i ich oczy spotkały się.

- Miłości również nie traktuję lekko - wyszeptwała.

Barney wstał powoli i podszedł do niej.

- Na miłość boską - westchnął - po co dalej udajesz?

- Nie obchodzi mnie, w co ty wierzysz - odparła cicho.

- Ważne jest, w co ja wierzę. Co ja czuję. Dopóki cię nie spotkałam, byłam emocjonalnie martwa. Ty przywróciłeś mnie do życia. Potrzebuję cię. Nie mam pojęcia, czy to jest miłość. Ale ty dobrze wiesz, co mam na myśli.

Potrafiła doskonale oszukiwać i udawać. Mimo to w jej smutnych niebieskich oczach nie było fałszu. Poza tym nie miała żadnego powodu, żeby go teraz okłamywać. Barney ujął jej twarz w dłoń.

- Co się z tobą teraz stanie?

- Czy naprawdę to cię obchodzi? - zapytała, wzruszając ramionami.

Poprzez jakąś dziwną człowieczą, męsko-kobiecą logikę, Barney stwierdził, że jest jej coś winien.

- Tak, obchodzi mnie. Obchodzi, bo cię kocham - powiedział.

Objął ją, przytulając mocno. I przyłgnęli do siebie w jakimś ostatecznym, beznadziejnym uścisku, schwytni w skomplikowaną, śmiertelną sieć intryg, które rozpoczęły się w czasie tajnego spotkania w hotelu „Adlon”, którego ruiny ciągle stały w odległości niecałych dwóch kilometrów.

## 56.

Kiedy przechodzili przez hol, cyfrowy zegar nad recepcją wskazywał godzinę 9.28. Lisa miała na sobie beżowy płaszcz i szła tuż przed Barneyem.

Po drugiej stronie ulicy siedzący na tylnym siedzeniu dużego Mercedesa Lehmans zobaczył jak wychodzą na ulicę. Powiedział coś do kierowcy, który zapalił silnik. Barney właśnie przechodził przez obrotowe drzwi, kiedy ujrzał jakiegoś mężczyznę wyskakującego z ciemnej limuzyny zaparkowanej na wprost wejścia do hotelu. Mężczyzna chwycił Lisę i wepchnął gwałtownym ruchem do wnętrza samochodu. Barney rzucił się w kierunku samochodu, ale drzwi szybko zatrzasnęły się i samochód ruszył. Musiał puścić klamkę. Rozległ się pisk opon przyspieszającego na asfalcie samochodu i Barney utonął w chmurze spalin.

Po drugiej stronie ulicy Lehmans wrzasnął na kierowcę i Mercedes ruszył w stronę hotelu. Tylne drzwi otworzyły się.

- Wsiadaj! - krzyknął Lehmans.

Barney wskoczył do środka zatrzasnąwszy drzwi. Kierowca dodał gazu, rzucając się w pościg za oddalającymi się tylnymi światłami czarnej limuzyny. Pomknęli w dół Fasanenstrasse. Lehmans krzyknął coś po niemiecku do kierowcy. Rozległo się zawodzenie syreny, a na dachu pojawił błyskający na niebiesko kogut. Dojechali do końca Fasanenstrasse, skręcili w prawo i popędzili brukowaną ulicą gorszej części miasta w pobliżu muru berlińskiego. Wyminęli jakiegoś Volkswagena i cudem uniknęli zderzenia z nadjeżdżającym z naprzeciwka autobusem. Śmignęli pod wiaduktem autostrady i wjechali na chodnik. Barney i Lehmans niemal zderzyli się głowami, kiedy samochód zakręcił w miejscu i ruszył Budapestenstrasse.

W przodzie pojawiły się tylne światła limuzyny. Kierowca Lehmansa wdusił gaz do deski i Barney zobaczył, jak wskazówka prędkościomierza dotarła do końca skali. Limuzyna kierowała się w stronę południowego wjazdu do Tiergarten. W oddali widać było oświetlone wieże strażnicze wschodniego Berlina. Jechali wśród samochodów, które za wszelką cenę

staraly się zrobić im miejsce.

- Radio! - krzyknął Lehmans do mężczyzny na przednim siedzeniu. Mężczyzna wziął mikrofon i zaczął wydawać strumień rozkazów po niemiecku.

Przemknęli pod łukiem bramy prowadzącej do Alei Bohaterów, przejechali przez trawnik na sąsiednią aleję, starając się przeciąć drogę limuzynie. Wjeżdżając na jezdnię uderzyli mocno w krawężnik. Limuzyna była już tylko o trzydzieści metrów przed nimi. Usłyszeli złowrogi brzęk przebijającego zderzak pocisku. Lehmans i mężczyzna na przednim siedzeniu odruchowo schylili się, słysząc świst kolejnej kuli.

Pędzili parkową aleją, mijając wałce się ruiny budynku starej ambasady Hiszpanii, stojące nad jeziorem, w którym spoczywały prochy Obermanna. Limuzyna nagle skręciła z jezdni i wjechała do nadbrzeżnej restauracji, rozbijając stoliki, aby wypaść z parku północną bramą. Ten manewr sprawił, że ścigany samochód znalazł się daleko przed jadącym za nim Mercedeselem.

Mężczyzna na przednim siedzeniu odłożył mikrofon, wyjął Luger P 38 i opuścił boczną szybę.

- Na miłość boską - krzyknął Barney. - Nie zastrzel dziewczyny.

Zobaczyli, jak limuzyna skręca w Strasse des 17 Juni jakieś siedemset metrów przed nimi. Mercedes wjechał w ulicę Invaliden, która przecinała Strasse des 17 Juni. Dzięki temu zyskali w stosunku do uciekinierów około czterystu metrów.

Pędzili teraz ulicą biegnącą wzdłuż muru. Wyjąca syrena Mercedesa zwróciła uwagę wschodnioniemieckich straży i światła reflektorów zaczęły błędzić po zachodniej stronie muru. Znowu usłyszeli odgłos strzału - górna część przedniej szyby z prawej strony pokryła się pajęczyną pęknięć. Mężczyzna na przednim siedzeniu wystrzelił dwukrotnie w stronę tylnych świateł samochodu.

Nagle podskoczyli, uderzając głowami w dach, kiedy Mercedes wjechał na garb mający ograniczać prędkość. Lehmans zaklął po niemiecku. Kierowca skręcił kierownicą ostro w lewo. Pędzili prosto na światła przejścia granicznego Checkpoint Charlie.

Zobaczyli, jak limuzyna gwałtownie hamuje przed barierą. Tylne drzwi otwarły się i Lisa została wypchnięta z samochodu. Podbiegła szybko do przejścia. Samochód ruszył przed siebie, kierując się w stronę Invaliden. Lehmans klepnął kierowcę w ramię.

- *Halten sie!* - krzyknął.

Kierowca zwolnił, podjeżdżając do punktu kontroli. W radiu rozległ się głos. Mężczyzna na przednim siedzeniu wziął mikrofon i odpowiedział. Kierowca wyłączył syrenę i koguta. Mercedes zatrzymał się u wylotu Friedrichstrasse. Lehmans i Barney wysiedli z

wozu i poszli po wytartym bruku w kierunku posterunku.

Byli skapani w jaskrawym świetle pochodzącym ze wschodnioniemieckich wież strażniczych oddalonych o jakieś siedemdziesiąt metrów od amerykańskich posterunków. Teren pomiędzy wieżami i budkami strażniczymi przegradzały olbrzymie betonowe zapory, drut kolczasty i owalne cementowe płyty. Za wieżami po wschodniej stronie wylaniał się, jak upiór nazistowskiej przeszłości, wspaniały łuk Bramy Brandenburskiej. Tuż za budkami strażniczymi stała błyszcząca limuzyna. Przy otwartych drzwiach z prawej strony stała Lisa, wraz z umundurowanym szoferem i czarnoskórym amerykańskim sierżantem sztabowym. Do Lehmansa i Barneya podszedł wysoki, szczupły kapitan. Checkpoint Charlie był oświetlony jak w dzień. Barney mógł zobaczyć ciemne, umundurowane postacie wschodnioniemieckich strażników na wieżach, kierujących w ich stronę lufy śmiertelnych karabinów maszynowych kalibru .50. W chłodnym, nocnym powietrzu ich oddechy zmieniały się w parę, kiedy patrzyli na zbliżającego się kapitana.

Kapitan zsalutował i poprosił Lehmansa o dokumenty. Obejrzał jego legitymację i oddał ją.

- A kim pan jest? - zapytał Barneya.

Barney podał mu swoje dokumenty i kapitan sprawdził je, przypatrując się uważnie złotej odznace policyjnej.

- Chcemy tę dziewczynę - powiedział Lehmans. - Jest główną podejrzaną w sprawie trzech zabójstw.

Barney spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Wczoraj dopadli Reimecka - wyjaśnił Lehmans.

- Nie wiem, co jest tutaj grane i nie chcę wiedzieć - odparł kapitan. - Pańskie pełnomocnictwa są w porządku, ale nie może pan zabrać dziewczyny.

- Dlaczego? - zapytał Barney.

- Ta limuzyna ma na tablicy znak CD. To znaczy *corps diplomatique*, korpus dyplomatyczny. Mogą jeździć wszędzie i chroni ich immunitet.

Barney przypomniał sobie, jak pytał Lisę o taką tablicę oznaczoną CD, którą widział przed wyjazdem do Hamburga.

- Do jakiego kraju należy ta limuzyna? - zapytał.

- Do Haiti - odparł kapitan.

- Proszę posłuchać, kapitanie - powiedział Barney. - Dziewczyna nazywa się Lisa Spangler. Jest również ważnym świadkiem w sprawie dwóch zabójstw na terenie Stanów.

- Przykro mi - odparł kapitan spoglądając na Lisę. - Nic nie mogę zrobić.

- Czy mogę z nią porozmawiać? - zapytał Barney.

Kapitan westchnął i spojrział na wschodnioniemieckie wieże.

- Ci faceci na górze nie pieprzą się. Możecie podejść ze mną. Powoli i ostrożnie. Proszę, powtarzam, proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Ta limuzyna udaje się na drugą stronę. Nie mamy żadnej podstawy prawnej, żeby ją zatrzymać. Podchodząc tam z wami ryzykuję życiem. Rozumiecie?

Poszli za kapitanem, podchodząc powoli do czarnej limuzyny. Barney czuł się nagi w gorącym blasku reflektorów. Starał się dostrzec twarz Lisy, ale w oślepiającym blasku jej rysy rozmywały się.

Pokonali sześć metrów, które dzieliły ich od tylnego zderzaka limuzyny. Czarnoskóry sierżant stał obok niej. Szofer usiadł już za kierownicą.

- Tutaj musimy się zatrzymać. Jeżeli chce pan rozmawiać, to proszę - powiedział kapitan patrząc na Barneya.

Barney zacisnął pięści, a jego twarz ściągnęła się. Wpatrywał się w Lisę z niechętnym podziwem. Nieźle to urządziła. Jej jedynym ratunkiem był wschodni Berlin. Ale na jak długo? Wiedzieli, że zawiodła. Wiedzieli, że Barney ma formułę. Ale zyskała na czasie. Zaczął czuć przepływającą przez niego adrenalinę. Oddzielało go od niej niecałe sześć metrów.

Lehmans zobaczył, jak zmieniają się oczy Barneya. Chwycił go za rękę.

- Nie! Nawet o tym nie myśl!

- Nie mamy całej nocy. Jeżeli chce pan coś przekazać tej damie, to proszę mówić - warknął kapitan.

- Nie mam nic do powiedzenia - westchnął Barney.

W tym momencie otworzyły się tylne drzwi z lewej strony limuzyny. Wysiadł z niej i podszedł do nich wysoki, przystojny mężczyzna ubrany w ciemny kaszmirowy płaszcz. Mężczyzna uśmiechnął się do Barneya.

- Nazywam się Frank Tedesco. Rozumiem, że chciał pan się ze mną zobaczyć.

Barney spojrział prosto w czarne oczy Tedesco. Przypominały mu oczy szofera Leo Mirella. Oczy alfonsa. Oczy oszusta. Ale wysoki, elegancki mężczyzna nie był zwykłym oszustem. Był sławą świata przestępczego i łącznikiem z wielkim biznesem. Tedesco przetrwał i prosperował w morderczym świecie, gdzie pierwszy błąd był zarazem ostatnim.

Lisa dotrzymała swojego przyrzeczenia. Stał twarzą w twarz z Frankiem Tedesco. Ten człowiek reprezentował sobą wszystko, z czym Barney przez całe życie walczył, i miał go na talerzu. Mimo to nie mógł go ruszyć.



- Cóż, panie Caine. Czekam - przerwał ciszę Tedesco. - Myślałem, że ma mi pan coś do powiedzenia.

- Tak - westchnął Barney. - Mam coś do powiedzenia.

W tym ułamku sekundy zapomniał, w jakich znajduje się okolicznościach. Wyprowadził cios z dołu, wkładając weń całą siłę prawego ramienia. Jego pięść trafiła Tedesco w twarz, lądując na prawym policzku. Poczł gwałtowny ból promieniujący z nadgarstka aż do barku.

Tedesco upadł. Czarnoskóry sierżant i wysoki kapitan rzucili się, chwytając Barneya i popychając go na tył limuzyny. Lehman pochylił się nad Tedesco, który jednak ze złością odepchnął jego rękę.

Usiadł na wilgotnym bruku i potrząsnął głową czekając, aż minie oszołomienie spowodowane ciosem. Spojrzał zamglonymi oczami na świecące reflektory. Z rozciętego policzka spływała strużka krwi. Odwrócił wzrok w stronę przyciśniętego do samochodu Barneya.

- W porządku - powiedział do kapitana. - Proszę go puścić.

Zwolnili uchwyt.

- Zrób jeden ruch i dobiore się do twojej dupy! Zrozumiano? - ostrzegł Barneya kapitan.

- Zrozumiałem - odparł Barney masując sobie nadgarstek.

Tedesco powoli podniósł się na nogi. Wyjął chusteczkę i starł krew z policzka. Następnie wyjął ze srebrnej papierośnicy papierosa, zapalił go i dmuchnął dymem na Barneya.

- To nie było zbyt mądre - powiedział. - Kieruje pan swoją frustrację na niewłaściwą osobę. Nie zasługuję na pana nienawiść, panie Caine. Nie jestem szczęśliwym człowiekiem. Jestem człowiekiem zmuszonym do życia na wygnaniu.

Zaciągnął się papierosem, a jego głos stał się łagodny.

- Pan nie może sobie wyobrazić, jak tęsknię za Ameryką. Nigdzie nie dzieje się tak wiele jak w Ameryce. Te piękne kobiety na Piątej Alei. Wszystkie te cudowne banki. Niedzielne mecze futbolowe. Wyścigi w Saratodze. Te cudowne restauracje na East Side. Chryste. Wszystko oddałbym, żeby móc tam wrócić.

- Możesz to zrobić - odparł Barney. - Gwarantuję ci to.

- W jaki sposób?

- Zgłoś się do więzienia. To proste, Frank. Po prostu zgłoś się i będziesz siedział.

Tedesco uśmiechnął się i znowu otarł krzepnącą już krew.

- Jestem już za stary, żeby spędzić dziesięć lat w więzieniu federalnym. Poza tym nie zasłużyłem na to. Jestem tylko pośrednikiem. Człowiekiem, który odbiera i wykonuje telefony.

- Dla kogo? - zapytał Barney.

- Dla tego, kto płaci. Jak powiedziałem, jestem pośrednikiem. Ludzie przychodzą do mnie z problemem i ja je rozwiązuję za odpowiednią cenę.

- A tą ceną czasami jest morderstwo - stwierdził Barney.

Tedesco pokręcił przecząco głową.

- Zawsze byłem przeciwny morderstwu. Uważam, że nie ma problemu, którego nie mogłyby załatwić pieniądze.

- Pozwoliłeś Diestelowi zabić uczonych „Genesis”. Nie nazywasz tego morderstwem?

Tedesco spojrział na plamy krwi na chusteczce.

- Nigdy nie słyszałem o „Genesis”.

- A może mówią ci coś nazwiska? - Zapytał ostro Barney. - Na przykład Neeley, Obermann, Siebold i Reimeck?

- Przykro mi, Caine. Nie mogę ci pomóc. Ale mogę pomóc panu, inspektorze - zwrócił się do Lehmana. - Był pan ostatnio narażony na pewne kłopoty, a to, według mnie, nie jest fair. Teraz będzie pan mógł zapomnieć o niemieckim aspekcie tej sprawy. Tak jak mówiłem panu Caine, odbieram telefony. Odebrałem jeden jakąś godzinę temu. Wygląda na to, że Diestel chciał popływać w jeziorze Havel, tuż przy swojej willi. - Tedesco rzucił papierosa na ziemię i przydeptał. - Kilka metrów od brzegu jest mielizna, która kończy się stromym spadkiem. - Uśmiechnął się. - Jeden z tych tragicznych wypadków.

Lehman i Barney wymienili szybkie spojrzenia.

- Zna pan to powiedzenie, że najczęściej topią się dobrzy pływacy - kontynuował Tedesco. - Z pańskiego punktu widzenia sprawa jest zakończona. Te wszystkie zgony może pan złożyć na karb nieporozumień wewnątrz Bractwa.

Następnie Tedesco znowu spojrział na Barneya.

- Zamiast się złościć, panie Caine, powinien pan pomyśleć o nagrodzie dla mnie. Ma pan niezwykle wąskie spojrzenie.

- Wiem o tym - mruknął Barney.

- Wie pan, kto zabił Neeleyów. Po to przecież przyjechał pan do Niemiec. Poza tym dostał pan dużo więcej, niż można było oczekiwać. Ten biedny, zżarty przez raka starzec dał panu formułę. Do diabła, dostanie pan jeszcze pochwałę.

Tedesco zauważył, jak Barney patrzy w kierunku Lisy.

- A tak a propos - dodał - jeżeli zechce pan kiedyś wziąć urlop, proszę dać mi znać. Mam dużo pokoi. Wspaniały dom na wzgórzu. Bryza od Karaibów. I kto wie? - spojrzał na Lisę. - Może nawet załatwię, żeby znalazła się tam też pańska niemiecka przyjaciółka. Proszę to przemyśleć, poruczniku.

- Kto ci rozkazuje, Frank? - zapytał Barney.

Tedesco odwrócił się i ruszył w stronę limuzyny, otworzył tylne drzwi i popatrzył na Barneya.

- Jesteś bystrym chłopcem, Caine. Powinieneś sam się domyślić.

- Już to zrobiłem - odparł Barney.

Tedesco rzucił w jego stronę badawcze spojrzenie, a następnie wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

Lisa spojrzała na Barneya. Ich oczy na sekundę spotkały się ze sobą, po czym wsiadła szybko z drugiej strony.

Olbrzymi samochód ruszył powoli, omijając cementowe i stalowe przeszkody. Barney i Lehmans odprowadzili wzrokiem znikające we wschodnim Berlinie tylne światła limuzyny.

## 57.

Lehmans odwiózł Barneya na lotnisko Tegel o dziewiątej rano. Barney miał rezerwację na lot Pan-Am do Londynu o 10.30, gdzie przesiadał się na samolot, który lądował w Los Angeles o 3.50 po południu tamtejszego czasu.

Ciało Diestela jezioro Havel wyrzuciło na brzeg o 5.30 nad ranem. Lehmans wyznaczył konferencję prasową na dzisiejsze popołudnie. Zamierzał wtedy oznajmić oficjalnie, że zabójstwa Obermanna, Siebolda, Reimecka i Diestela miały związek z ich poczynaniami w czasie II wojny światowej i że sprawa została przekazana władzom federalnym w Wiesbaden.

Lehmans przeprowadził Barneya przez wstępną kontrolę i udali się razem do sali odpraw dla VIP-ów. Barney miał pół godziny do wywołania jego lotu. Obsługująca podróżnych hostessa okazała się niczym specjalnym nie wyróżniającą się, sprawną, płynnie mówiącą po angielsku dziewczyną. Przyniosła im dwie Krwawe Mary i wróciła za swoje biureczko.

Barney spojrzał przez okno, podczas gdy Lehmans przypalał nieodłącznego papierosa.

- Sądzisz, że dałoby się ją wymienić? - zapytał Barney.

- Na co?

- Na formułę.

- Chcesz powiedzieć, że po wszystkim, co przeszedłeś, wymienilibyś formułę na dziewczynę?

- Tak - skinął głową Barney. - Tak sądzę. Po jaką cholerę mam prowadzić jakąś krucjatę z powodu pieprzonej ropy naftowej?

- Los dziewczyny jest przesądzony - westchnął Lehmans. - Podsumuj ją jak kolumnę liczb. Jeżeli przeważą plusy, pozwolą jej żyć - jego wypowiedź przerwał kaszel. - Znam metody ich działania. Kiedy *Fräulein* Spangler spełni swoją rolę, wtedy... - Lehmans dotknął ramienia Barneya. - Na miłość boską, człowieku, podaj formułę do publicznej wiadomości. Wyciągnij ją na jaw. Cholerni Arabowie, banki, kartel naftowy, wszyscy oni niszczą zachodnie demokracje. A jeżeli one upadną, to będziemy mieli nowe Niemcy z lat trzydziestych. Opublikuj tę formułę, Barney.

- Podobno nie interesują cię geopolityczne intrygi - uśmiechnął się Barney.

- Powiedziałem to w ferworze dyskusji - odparł Lehmans.

Opróżnił swoją szklankę i zgniótł papierosa. Jego szare oczy spotkały oczy Barneya i wyciągnął rękę. Barney uściśnął ją.

- Co mam powiedzieć, Hans?

- Nie ma nic do powiedzenia - odparł Lehmans. - Zrobiłbyś nie mniej dla mnie.

- Prawie zapomniałem - przypomniał sobie Barney, wyciągnął jedną z zapieczętowanych kopert i podał ją Lehmansowi. - Gdyby cokolwiek mi się przydarzyło, daj to komuś z rządu, komu możesz ufać.

- A jeżeli ci się uda?

- Zatrzymaj ją jako pamiątkę.

Lehmans skinął głową, po czym odwrócił się i ruszył do wyjścia. Szedł z lekko przygarbionymi ramionami, nieco sztywnym krokiem. Był to chód człowieka dużo starszego.

Barney zbliżył się do hostessy, podał jej numer telefonu Louisa i powiedział, że rozmowa będzie na jego koszt.

- Czy to sprawa służbowa? - zapytała.

Barney przytaknął.

- W takim razie to nie będzie konieczne - powiedziała.

- Nie pobieramy opłat za rozmowy służbowe.

Barney podszedł do barku i dolał do swojej Krwawej Mary trochę wódki z lodem. Usiadł na kanapie i zaczął przeglądać „Newsweek”. Eksponowane miejsce zajmował artykuł

poświęcony międzynarodowemu terroryzmowi. Główną treścią artykułu było stwierdzenie, że następnym logicznym celem terrorystów są Stany Zjednoczone. Po upływie kilkunastu minut wezwała go hostessa.

- Przykro mi, panie Caine, ale numer w Los Angeles jest chwilowo nieczynny.

Barneyowi niezbyt się podobało stwierdzenie „chwilowo nieczynny”. W Los Angeles była teraz 3.40 w nocy. Dziwna pora na problemy z telefonem. Awarie linii zazwyczaj zdarzały się w godzinach szczytu, kiedy pracowały wszystkie biura, kiedy obciążenie było największe. Ale przecież czasami bywało, że ktoś źle położył słuchawkę na widelkach. Poza tym Louis dostał formułę poprzedniego dnia. Teraz zapewne leżała bezpiecznie w sejfie Wydziału Operacyjnego. Ponadto w kieszeni miał kopię. Powrócił do lektury „Newsweeka” sącząc Krwawą Mary. Po chwili hostessa znowu go poprosiła.

- Jest do pana telefon. Może pan tam odebrać - powiedziała wskazując aparat przy kanapie.

To była Lisa. Miała kłopoty ze złapaniem oddechu.

- Mam tylko kilka minut. Louis Yosuta jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Barney poczuł pulsowanie w skroniach i natychmiast domyślił się, dlaczego telefon Louisa nie działał.

- Mężczyzna, który cię śledził w Berlinie - kontynuowała - to ten sam człowiek, którego dostrzegłeś wtedy w Hamburgu. Pojechał za nami do Baden-Baden. Powiedziałam mu, że wysłałeś formułę do Louisa i podałam mu adres.

Barney powstrzymał gniew. Lisa wykonywała rozkazy, poza tym nie musiała do niego teraz dzwonić.

- Dlaczego mieliby niepokoić Louisa? - zapytał. - Ciągle mam kopię, tak samo Lehmans.

- Niczego nie masz. Lehmans też - powiedziała. - Obejrzyj kopertę. Szybko!

Barney położył słuchawkę na stoliku i wyjął kopertę. Rozerwał ją i wyjął osiem kartek symboli i wzorów chemicznych, nad którymi widniał nagłówek „Węglowodory”. Kopie zostały zrobione w bibliotece w Berlinie. Sklął się za to, że nie sprawdził zawartości kopert od wyjazdu z Baden-Baden. Podniósł słuchawkę. W jego głosie słychać było gniew i frustrację.

- Jak im się udało zamienić dokumenty?

- Ten niski mężczyzna, Hoess. Miał znajomego w hotelu. To dlatego miałam polecenie zabrania cię właśnie tam.

- Recepcjonista, tak? Ten siwowłosy z blizną i przylepionym uśmiechem?

- Nie wiem - odparła. - Najważniejsze jest teraz życie twojego partnera.

Oczywiście miała rację.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał.

Na chwilę zapadła cisza.

- Ponieważ jestem ci to winna.

Usłyszał w tle gong przy drzwiach.

- Żegnaj, Barney - powiedziała szybko.

Rozległo się kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

Barney podszedł do hostessy.

- Proszę pisać - polecił.

Dziewczyna wzięła długopis i spojrzała na niego.

- Chcę, żeby pani połączyła się w trybie alarmowym z policją w Los Angeles. Numer: dwa jeden trzy cztery osiem pięć trzy jeden zero zero zero.

Dziewczyna zanotowała cyfry.

- Chcę rozmawiać z oficerem dyżurnym w sekcji śledczej kwatery głównej Metro.

Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Starł je ręką, podczas gdy dziewczyna zaczęła mówić do słuchawki.

Otrzymała połączenie w niecałe trzy minuty. Hostessa skinęła głową w jego stronę i ponownie wskazała mu telefon przy kanapie. Podniósł słuchawkę.

- Holo?

- Oficer dyżurny, Belgrave - odpowiedział zmęczony głos po drugiej stronie.

- Tutaj porucznik Barney Caine - przeliterował „Caine”.

- Prowadzę zastrzeżoną sprawę dla Operacyjnego. Dzwonię z lotniska Tegel w Berlinie Zachodnim. Mam powody przypuszczać, że mój partner prowadzący tę sprawę w Los Angeles, sierżant Louis Yosuta, może być w niebezpieczeństwie.

Zmęczony głos ożywił się.

- Kto jest twoim przełożonym, Caine?

- John Nolan, szef Operacyjnego.

- Nie rozłączaj się!

Do Barneya podeszła hostessa.

- Nie ma pan zbyt dużo czasu. Pasażerowie do Londynu już zajmują miejsca w samolocie - powiedziała.

- Czy może pani powiedzieć na bramie, że to jest sytuacja alarmowa?

- Zrobię, co będę mogła - odparła i wróciła do biurka.

Barney wiedział, że Belgrave działa zgodnie z procedurą i wstukuje teraz podane przez niego dane do olbrzymiego komputera w centrum Parkera. Zajęło to niecałe trzydzieści sekund, ale zdawało się trwać wiecznie.

- W porządku, Caine. Mam potwierdzenie twojej sprawy. Mów.

- Wyślijcie wóz Metro na South Alameda trzysta sześćdziesiąt pięć. To adres sierżanta Yosuty. Powiedz im, żeby działali wyjątkowo ostrożnie.

- Rozumiem - potwierdził Belgrave. - Coś jeszcze?

- Tak - odparł Barney. - Ale najpierw wyślij ten samochód.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Wóz patrolowy jest już w drodze - poinformował Belgrave.

- Dobra. A teraz zorganizuj drugi radiowóz, który odbierze mnie z lotniska. Lecę z Londynu samolotem Pan-Am numer trzydzieści trzy. Lądowanie w Los Angeles o trzeciej trzydzieści pięć po południu. Zawiadom tych kretynów celników. Nie mogę tam utknąć.

- Jasne - powiedział Belgrave.

- Jeszcze jedno. Niech ktoś sprawdzi w Operacyjnym liście obecności Yosuty za ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

- Robi się.

- To wszystko - zakończył Barney.

- Bezpiecznego lotu, poruczniku. Będziemy czekać.

Barney odłożył słuchawkę, podszedł do biurka, wziął swoją płócienną torbę i przewiesił ją przez ramię. Hostessa przeprowadziła go przez ostatnią kontrolę bagażu ręcznego. Pożegnała się z nim, życząc mu dobrego lotu. Podziękował jej i pobiegł tunelem, mijając bramkę za bramką; pomyślał, że zawsze tak się składa, że jeżeli ktoś się spieszy, to okazuje się, że jego bramka znajduje się na końcu terminalu. Dotarł na pokład Jumbo-Jeta w chwili, kiedy stewardessa miała już zamykać drzwi.

\*

Lot do Londynu trwał nieco ponad dwie godziny i Barney bez problemu zdążył na samolot do Los Angeles.

Tył kabiny olbrzymiego 747 był w połowie pusty i po starcie Barney przesiadł się do pustego rzędu pięciu foteli, odchylił wszystkie oparcia i wyciągnął się wygodnie.

Zamknął oczy i ujrzał w myślach twarz recepcjonisty. Doskonale pamiętał jego rysy: siwe włosy, biaława blizna i ten przyklepiony uśmiech, który maskował nienawiść do wszystkich zagranicznych turystów, których musiał obsługiwać. Recepcjonista musiał być człowiekiem Diestela. Nie było innego sposobu, w jaki mogliby zamienić koperty. Ale to

stało się jasne dopiero po szkodzie. Powinien był sprawdzić tę cholerną kopertę, kiedy wyjmował ją z sejfu. Ale skąd mógł wiedzieć, że Diestel ma powiązania z personelem hotelu? Z drugiej strony dlaczego nie? *Kameradeschaft* było silne jak zawsze. A wpływy kartelu rozciągały się na dziesięć tysięcy kilometrów i sięgały czterdzieści lat wstecz. Nie. To był błąd. Jego błąd. A wcześniej popełnił jeszcze jeden błąd. Powinien był powiedzieć Lehmansowi o małym człowieczku udającym alfonsa tej pierwszej nocy w Berlinie. To było przeoczenie. I te pomyłki mogły kosztować życie Louisa. Ale jeżeli Louis umieścił kopertę z formułą w sejfie Operacyjnego, to jeszcze istniała szansa na ocalenie mu życia. Na razie zrobił dla niego, co było w jego mocy. Mógł za to podziękować Lisie.

W ostatniej chwili, zgodnie z dziwną logiką, która rządziła jej umysłem, starała się zrównoważyć szale. W głębi serca Barney przebaczył jej wszystko. Żałował, że nie ma jej teraz z nim. Przypomnił sobie pełne smutku spojrzenie ostatniej nocy w Baden-Baden. Kiedy mówiła: „zapach sosen przypomina mi wszystkie te cudowne rzeczy w moim życiu, które nigdy się nie wydarzyły”.

## 58.

Olbrzymi 747 przeleciał nisko nad torem wyścigowym w Hollywood Park. Silniki grzmiały nad domkami w Inglewood, kiedy podchodził do lądowania nad pasem 4-B biegnącym w kierunku wschód-zachód. Potężne koła zamortyzowały zetknięcie trzystu ton z asfaltem. Cztery silniki marki Pratt & Whitney zawyły w proteście, kiedy pilot zmienił ich ciąg na przeciwny, włączając jednocześnie hamulce. Po pokonaniu w dwanaście godzin odległości dziewięciu tysięcy kilometrów samolot lądował z piętnastominutowym wyprzedzeniem rozkładu.

Barney przedstawił się głównemu stewardowi i wyszedł jako pierwszy. Zszedł po schodkach na płytę i przymrużył oczy, oślepiiony słońcem. Umundurowany pracownik linii Pan-Am wywołał jego nazwisko i Barney machnął do niego ręką. Przeszli przez tunel do kontroli paszportowej i mężczyzna poinformował Barneya, że jego bagaż zostanie przesłany bezpośrednio do domu.

Strażnik kontroli paszportowej sprawdził, czy nazwisko Barneya nie znajduje się na liście wyrotowców i poszukiwanych przestępców. Po chwili wstawił w paszport pieczętkę.

- Witamy w domu, panie Caine.

Obok zasadniczo wyglądającej celniczki stał szczupły mężczyzna o ciemnej cerze.



- George Santoro, Wydział Śledczy. Witam, poruczniku - przywitał go.

Barney uściskał mu dłoń.

- Coś do oclenia w tej torbie, poruczniku? - zapytała celniczka.

- Przybory toaletowe, koszule i brudna bielizna.

- Proszę otworzyć - powiedziała, po czym sama odsunęła suwak, pogrzebała przez chwilę wewnątrz i zamknęła z powrotem. Podał jej deklarację celną. Spojrzała na nią.

- Nic pan nie kupił w Niemczech?

- Nie. Żadnych zakupów. Brak diamentów, kokainy, trawki, haszyszu, futer, jabłek, kwiatów i owoców.

- Dziękuję - syknęła.

- Proszę bardzo, skarbie.

Zaczęli iść ruchomym chodnikiem, dodając własną prędkość do prędkości poruszającej się taśmy.

- Patrol pojawił się w domu sierżanta Yosuty o czwartej czternaście nad ranem. Zastaliśmy cholerny burdel; nawet ściany zostały pocięte. Żona Yosuty była nieprzytomna. Nieźle dostała. Małego przywiązali do łóżka. Pani Yosuta jest teraz w szpitalu. Być może będzie potrzebna operacja plastyczna. Ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

W głosie Santoro słyhać było hiszpański akcent.

- Co z Louisem? - zapytał Barney.

- Do domu wdarło się trzech zamaskowanych mężczyzn. Związali dzieciaka, chwycili Louisa i przystawili mu do głowy pistolet. Pytali o kopertę. Kiedy odmówił odpowiedzi, uderzyli jego żonę. I tak kilka razy. Mimo to Louis nic nie powiedział.

Zbliżali się do końca ruchomego chodnika.

- Zabrali go ze sobą - dodał Santoro.

Przy krawężniku czekał biało-niebieski radiowóz z Metro. Wsiedli do środka.

- Dokąd jedziemy? - warknął kierowca, otyły, czerwonołocy mężczyzna.

- Do Operacyjnego - odparł Barney.

Santoro wyjął z kieszeni kartkę i pokazał ją Barneyowi.

- Tu są wejścia i wyjścia sierżanta Yosuty w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Barney poczuł tępy ból nad oczami. Z bijącym sercem spojrzął na kartkę. Zobaczył coś, co spowodowało, że przez jego zmęczone ciało przetoczyła się fala ulgi.

Pierwszy wpis oznaczał objęcie służby o 9.15 rano. Następne zejście ze służby o 18.15 wieczorem. Niżej jednak znalazł wpis o wejściu o 20.45 i wyjściu o 21.05. Barney wiedział,

że życie Louisa zależało od tych dwudziestu minut między ostatnimi wpisami.

- Dobra robota, Santoro - powiedział oddając kartkę.

- Dziękuję, poruczniku. Zajmuję się tym od momentu kiedy otrzymaliśmy pana wiadomość. Powiadomiliśmy o zaginięciu Yosuty wszystkie posterunki. Włączył się w to komisarz Nolan i połowa palantów z Metro.

\*

Mary Corona, długoletnia sekretarka Nolana o zaniedbanym wyglądzie, powiedziała, że Nolan jest u komisarza i siedzi tam, odkąd dotarła wiadomość o porwaniu Yosuty.

Strach, zmęczenie i frustracja Barneya powoli zamieniały się w złość. Mimo to jego głos pozostał spokojny.

- Posłuchaj, Mary. Słuchaj uważnie. Chcę, żebyś otworzyła sejf. Chcę, żebyś otworzyła go natychmiast.

Sekretarka zdjęła okulary ze szklami o podwójnych ogniskowych i potrząsnęła głową, rozsiewając płatki łupieżu, które osiadły jej na ramionach i bluzce.

- Nie mogę otworzyć sejfu bez odpowiedniego upoważnienia - powiedziała.

Barney chwycił długopis i kartkę, napisał krótką notatkę, podpisał i podał jej. Przeczytała.

- No nie wiem, czy to wystarczy - stwierdziła.

Santoro zrobił krok do przodu i uśmiechnął się do zdenerwowanej kobiety.

- Jestem detektyw George Santoro z Metro. Prowadzę tę sprawę od trzeciej rano. Podpiszę to upoważnienie.

Barneyowi zaimponował dar przekonywania Santoro i sposób, w jaki nazwał jego notkę upoważnieniem.

Sekretarka spojrzała na przystojnego detektywa... Zaczynała się wahać.

- Musi pani otworzyć ten sejf. Życie sierżanta Yosuty spoczywa w pani rękach - dodał szybko.

- No dobrze - powiedziała przygryzając wargi.

Pochyliła się nad sejfem znajdującym się w pokoju operacyjnym. Przypatrywali się w milczeniu, jak uważnie przekręca gałkę zamka szyfrowego. Słyszeli ciche kliknięcia, kiedy ustawiała odpowiednią kombinację. Po każdym przekręceniu przerywała zerkając na kartkę z szyfrem.

- Niech się pani pośpieszy na miłość boską! - nie wytrzymał Barney.

- Spieszę się. Staram się być ostrożna - mruknęła. Spojrzała na małe cyferki i powoli przekręciła gałkę na numer 14. Zerknęła na karteczkę.

- Do diabła! - wykrzyknęła.

- Co się stało? - zapytał Barney.

- Powinam ustawić piętnastkę - wyjaśniła.

- No dobrze, Mary - westchnął Barney. - To moja wina. Zdenerwowałem cię. Zaczniij od początku i nie spiesz się.

Rozpoczęła od nowa. Przekręcała gałkę i sprawdzała cyfry z karteczką. Numer po numerze. W lewo i w prawo. Kliknięcia mechanizmu brzmiały jak złowrogie cykanie zegara odliczającego sekundy przed wystrzeleniem pocisków.

Zakończyła na numerze 32. Liczba ta wywołała u Barneya wspomnienia. To ten numer obstawiała Lisa podczas gry w ruletkę tamtej nocy w Baden-Baden.

Na górnej wardze sekretarki pojawiły się kropelki potu. Chwyła prawą ręką za klamkę, westchnęła głęboko i nacisnęła. Klamka opadła i drzwiczki otworzyły się.

Barney odepchnął ją, przyklęknął i zaczął szukać wśród stert dokumentów, banknotów, torebek z dowodami rzeczowymi, segregatorów i wycofanych czeków. Grzebał w tej zawartości, rozpaczliwie szukając szarej koperty. Zgarnął zawartość drugiej półki na podłogę, następnie schylił się i zajrzał na najniższą półkę. Przesunął stertę segregatorów i zobaczył szarą kopertę opartą o tylną ściankę sejf.

Chwył ją, wyprostował się i rozerwał. Wyjął osiem kartek formuły i sprawdził je dokładnie, aczkolwiek szybko.

- Skopiuj każdą kartkę trzy razy - polecił Mary.

Skinęła głową, wzięła kartki i odeszła bez słowa. Ta niemłoda sekretarka przełamała swoją zwykłą biurokratyczną rutynę. Wzięła czynny udział w tej grze życia i śmierci.

Poszli za nią do centrum łączności. Wkładała każdą kartkę do kopiarki, robiąc trzy odbitki. Powtórzyła ten proces osiem razy. Barney zebrał wszystkie strony i rozdzielił na trzy komplety.

- Daj mi trzy szare koperty i znaczki za dziesięć dolarów.

- Tak jest, poruczniku - odparła.

Santoro spojrział na dokumenty w ręku Barneya.

- Co to jest, do diabła?

- Polisa ubezpieczeniowa na życie sierżanta Yosuty.

Mary Corona wróciła z kopertami i znaczkami.

Barney podszedł do stalowego biurka i usiadł. Wyjął z portfela kawałek papieru i dokładnie przepisał znajdujący się tam adres na jedną z kopert. Następnie przykleił znaczki i podał kopertę Santoro.

- Pilnuj tego.

Potem umieścił komplety kartek w pozostałych dwóch kopertach. Jedną z nich złożył i schował do kieszeni, a drugą podał sekretarce Nolana.

- Odlóż ją z powrotem do sejfu, a następnie zadzwoń do Tidal Oil i poproś sekretarkę Adama Steiffela. Powiedz jej, że Barney Caine jest w drodze, żeby porozmawiać z jej szefem w sprawie oficjalnej - przerwał na chwilę. - Każ jej, żeby poinformowała Steiffela, że mam dla niego specjalne pozdrowienia od doktora Esaua.

- Od kogo? - zapytała ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- E-S-A-U-A - przeliterował.

Wielki cyfrowy zegar na budynku zajmowanym przez Bank of America wskazywał 16.52. Barney nie mógł uwierzyć, że jedzie samochodem przez Wilshire Boulevard. Dziewięciogodzinny skok w czasie i zmęczenie podróży wywoływało u niego dziwne uczucie euforii, które klóciło się z rzeczywistością.

Zaparkowali w czerwonej strefie przed górującą, szklaną wieżą z napisem TIDAL OIL.

Wysiedli z samochodu i Barney wskazał Santoro stojącą na rogu skrzynkę pocztową.

- Wrzuć tam kopertę i czekaj, dopóki nie zejść - zastanowił się przez chwilę. - Daj mi swój rewolwer.

Santoro przez moment popatrzył na Barneya, po czym skinął głową.

Barney wetknął Smith and Wesson za pasek. Poczekał, aż Santoro wrzuci kopertę do skrzynki, następnie wszedł do wysokiego na pięć pięter atrium z szumiącym wodospadem i żywymi palmami.

Miło wyglądająca sekretarka Steiffela uśmiechnęła się do niego.

- Może pan wejść, panie Caine.

Nacisnęła ukryty pod blatem biurka guzik otwierający drzwi do gabinetu Steiffela.

Pokój tonął w znajomym półmroku. Za okrągłym stołem siedział w grobowej ciszy Steiffel. Błękitne światło, wpadające przez przyciemnione okna, nadawało jego twarzy kamienny wygląd. Patrzył na Barneya oskarżycielskim wzrokiem. W zębach żuł cygaro. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Następnie odchylił się w wysokim, obitym skórą fotelu i odgarnął śnieżnobiałą grzywę włosów. Poruszył ustami i poprzez ciemny pokój popłynął ponury, dudniący głos.

- Co mogę dla ciebie zrobić, synu?

Barney wy dostał z kieszeni kopertę, wyjął z niej osiem odbitych stron, podszedł do stołu i rzucił je na blat.

Steiffel popatrzył przez chwilę na Barneya, po czym podniósł kartki. Dokładnie obejrzał każdą stronę, po czym ułożył je w równą kupkę. Strzepnął z cygara popiół.

- Jeszcze raz powtarzam, co mogę dla ciebie zrobić?

- Niech pan uwolni Louisa Yosutę i dojdziemy do porozumienia - odparł Barney lodowatym, chociaż spokojnym tonem.

Starzec pokręcił głową.

- Nigdy nie słyszałem o tym panu.

- Wiem - odparł Barney. - Ale mimo to proszę zadzwonić.

Steiffel usiadł wygodniej i zaciągnął się cygarem.

- Jaką mam gwarancję, że zwróci mi pan kopie formuły? - zapytał.

- Moje słowo, nic więcej.

- To niezbyt wiele, synu - odparł starzec z uśmiechem.

Barney poczuł pulsowanie w skroniach, a jego twarz stężała.

- Proszę posłuchać uważnie, panie Steiffel. Gównu mnie obchodzi pańska cholerna formuła. Może pan dość ludzi do woli. - Barney wciągnął powietrze i głęboko odetchnął. - Proszę zadzwonić. Natychmiast.

- A jeśli nie? - zapytał starzec. Obrócił się z fotelem i wyjrzał przez olbrzymie okno. - Mam siedemdziesiąt osiem lat i jestem świadom swojej śmiertelności. W moim wieku kula jest nawet lepsza od niewydolności wątroby, nerki lub raka. Nie boję się śmierci.

Barney czuł na brzuchu chłodną stal trzydziestki ósemki. Zastanawiał się, czy nie sprawdzić słów Steiffela. Ale nawet gdyby zmusiły go okoliczności, nie mógłby użyć broni. Byłoby to morderstwo pierwszego stopnia. Rewolwer miał mu tylko dodać odwagi.

- W porządku - westchnął. - Nie ma Louisa, nie ma formuły.

Stary przemysłowiec wpatrywał się w niego przez kilka chwil.

- Naprawdę oddałbyś formułę? - zapytał.

- Nie interesuje mnie zbawienie amerykańskiej ekonomii. Płacę tylko własne rachunki. Nie stoję na czele żadnych imperiów. Jestem gliną.

Steiffel odgarnął swoją imponującą grzywę srebrnych włosów i wydał wargi.

- Masz jakiś dowód, który wskazuje na moje powiązanie z zaginięciem policjanta nazwiskiem Louis Yosuta?

- Nie.

Starzec pokiwał głową i spojrzał na Barneya.

- Proszę zdjąć marynarkę i rozpiąć koszulę.

- Nie mam żadnych mikrofonów.

- Chcesz ubić interes?

Barney wstał i zdjął marynarkę. Rzucił ją Steiffelowi, który chwycił ją zręcznym ruchem i sprawdził kieszenie i podszewkę. Zwrócił ją Barneyowi, który zdążył już rozpiąć koszulę, odsłaniając kolbę rewolweru. Starzec zobaczył broń, ale zignorował ją.

- Teraz wyróć kieszenie i podwiń nogawki.

Barney zastosował się do tych instrukcji.

Steiffel obszukał go dokładnie, po czym w jego ptasich oczach pojawił się wyraz ulgi.

- Sądzę, że możemy przejść do rzeczy - powiedział.

Zaczekał, aż Barney zapnie koszulę i włoży marynarkę.

- Proszę za mną.

Podszedł do ściany w miejscu, gdzie wisiała tabliczka z napisem: „Kiedy przemawiają pieniądze, ludzie słuchają”. Nacisnął guzik i część ściany odsunęła się.

- Proszę przodem - powiedział uprzejmie.

Cały pokój wyłożony był blachą miedzianą. Ściany, sufit, podłoga, wszędzie matowa, czerwona miedź. Stało tu kilka mebli z drzewa tekowego, ale brak było okien. Steiffel przycisnął guzik z tej strony drzwi i ściana zasunęła się, zamykając ich w metalicznej komnacie.

Barney czuł się, jakby wszedł do grobowca jakiegoś starożytnego faraona.

- Ten pokój może cię zaskoczyć - wyjaśnił starzec - ale prawdę mówiąc, to dość stary pomysł. Po raz pierwszy zobaczyłem miedziany pokój na spotkaniu z Howardem Hughesem w 1940 roku. W tym mieście. W jego biurze. Pan Hughes wyprzedził nas wszystkich. - Steiffel zamilkł na chwilę. - Miedź uniemożliwia podsłuch za pomocą jakichkolwiek elektronicznych urządzeń akustycznych dalekiego zasięgu. Jest absolutnie skuteczna wobec większości skomplikowanych urządzeń podsłuchowych.

Podszedł do biurka i usiadł.

- Wywarłeś na mnie wrażenie, Caine. Niezły z ciebie kowboj. CIA straciła świetnego człowieka, kiedy zrezygnowałeś.

To mówiąc podniósł słuchawkę i nacisnął kilka klawiszy w aparacie telefonicznym.

- Przejaśnia się. Możecie przekazać prognozę pogody. I jeszcze... - chciał dokończyć, ale Barney mu przerwał.

- Niech pan im powie, że Louis ma tu do mnie zadzwonić z gabinetu Johna Nolana.

Steiffel przekazał żądanie Barneya, tylko że tym razem określił Louisa mianem „meteorologa”.

- Zadowolony? - zapytał, odkładając słuchawkę.

- Zadowolony będę po rozmowie z nim - odparł. - A teraz chciałbym poznać odpowiedzi na kilka pytań.

Steiffel ponownie zapalił cygaro, wypuścił z ust kłąb dymu i wzruszył ramionami.

- Nigdzie nie pójdziesz z moimi odpowiedziami. Wiesz o tym. Jesteśmy sami w miedzianej komnacie i nikt nie będzie mógł niczego potwierdzić. Nawet mojej rozmowy telefonicznej. Twój partner został porwany przez nieznaną sprawców i przez nich uwolniony. Jego zniknięcie prawdopodobnie nie ma żadnego związku ze sprawą Neeleya. Rozumiesz, do czego zmierzam, synu?

- Jak najbardziej - zgodził się Barney. - Więc dlaczego mam nie otrzymać kilku odpowiedzi?

Steiffel przygładził włosy, położył cygaro w popielniczce i spojrzał na Barneya, rozważając zasadność jego prośby. W świetle odbijającym się od miedzianych ścian ich twarze nabrały odcienia purpury.

- W porządku - westchnął. - Zdaje się, że masz prawo do odpowiedzi na swoje pytania.

Wstał i przeszedł się po pokoju.

- W ciągu ostatnich lat zadaliśmy o zapewnienie egzystencji pozostałych przy życiu uczonych pracujących nad programem „Genesis”. Robiliśmy to z dobroci serca. Przecież kontrolowaliśmy ropę, poczynając od jej złóż, aż do stacji benzynowych. Poza tym produkcja paliwa syntetycznego była ekonomiczną niemożliwością. Wobec tego pozwoliliśmy śpiącemu psu leżeć. Ale kiedy szwajcarski przemysłowiec skontaktował się z Obermannem, wszystko się zmieniło.

- Jak się o tym dowiedzieliście? - przerwał Barney.

- Obermann grzecznie powiedział o tym Diestelowi. Zaniepokoił się tym.

- Dlaczego? - zapytał Barney. - Dlaczego Ameryka nie miałaby się stać samowystarczalna pod względem paliwa syntetycznego?

Starzec spojrzał na niego z wyrazem totalnego zdziwienia.

- Czy naprawdę oczekujesz, że dzięki masowej produkcji paliwa syntetycznego przemysł o wartości trzystu miliardów dolarów przestanie korzystać z przynoszących dochód niedoborów ropy?

Steiffel wrócił na fotel za biurkiem.

- Formuła znajdowała się w naszym posiadaniu od zakończenia wojny. Wywiad brytyjski przekazał ją naszym naukowcom na początku 1946. Sprowadziliśmy nawet kilku niemieckich naukowców, żeby wybudować eksperymentalne zakłady hydrogenacji.

Przekonaliśmy się, że proces jest ekonomicznie nieopłacalny. Zamknęliśmy te zakłady w 1956. Ale - tu na chwilę przerwał - to było dwadzieścia dwa lata temu. Wszystko się zmienia. Od 1973 cena ropy wzrosła drastycznie, sprawiając, że produkcja paliwa syntetycznego stała się możliwa. Formuła „Genesis” czyni to możliwym. Wobec tego nie mogliśmy pozwolić, aby wpadła w nieodpowiednie ręce.

- Tu pojawia się Tom Neeley - powiedział Barney.

- Zgadza się. Neeley spełniał wszystkie nasze wymagania. W młodości miał związek z „Genesis” oraz znał Paula Obermanna.

- Skąd to wiedzieliście?

- Tom był moim kurierem - wyjaśnił Steiffel. - A kiedy ktoś dla mnie pracuje, jego życie staje się otwartą księgą. Mieliśmy jego akta wojskowe. Znaliśmy wagę jego ostatniego zadania przetransportowania akt „Genesis” do Hamburga i fakt jego spotkania z Obermannem był nam znany.

- A w jaki sposób udało mu się wpaść po trzydziestu trzech latach na ślad „Genesis”?  
Stary przemysłowiec spojrział na Barneya przez chmurę dymu z cygara.

- Wpaść? - Steiffel pokręcił głową. - On nie wpadł na to. Kazaliśmy Obermannowi napisać do niego list, w którym wyjaśniał znaczenie „Genesis” i zapraszał Neeleya do Berlina, aby zbadać możliwości reaktywowania zespołu „Genesis”.

- I Tom dał się nabrać.

- Oczywiście. Ludzka chciwość jest, jaka jest. Wtedy właśnie narodził się plan wyeliminowania uczonych.

Barney czuł, jak łagodny głos, zmęczenie i klaustrofobiczny pokój zaczynają działać na niego w hipnotyczny sposób.

- Dziewczyna, Lisa Spangler, została wprowadzona w celu zdobycia zaufania Neeleya, jako kurier dostarczający mu kokainę - kontynuował Steiffel.

- To wy umieściliście w domu Toma ślady prowadzące do Niemiec?

- Oczywiście. Chcieliśmy, żeby ktoś podążył śladem „Genesis”.

- Skąd wiedzieliście, że to będę ja?

- Nie wiedzieliśmy. Ale było jasne, że zabójstwo żyjącego ponad stan i podejrzanego o nielegalną działalność byłego szefa policji przyciągnie czołowego detektywa.

Steiffel odwrócił się i płomiennym wzrokiem spojrział na Barneya.

- Dopóki działał jako narzędzie eliminacji pozostałych przy życiu naukowców „Genesis”, nie miało znaczenia, kto to jest.

- Dlaczego konieczne było ich zabicie? - naciskał Barney.



- Szwajcarskie konsorcjum dysponowało środkami do wykorzystania formuły i rozpoczęcia masowej produkcji paliwa syntetycznego. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Ale nie mogliśmy też działać wprost. Potrzebowaliśmy zasłony.

- A cóż mogłoby być lepszą zasłoną dla zabicia obywateli niemieckich niż ich związek z amerykańskim gliniarzem idącym tropem amerykańskiej zbrodni? - uzupełnił Barney.

Starzec uśmiechnął się.

- Tak. Wykorzystywaliśmy cię od samego początku.

Wymowa tych słów uderzyła w Barneya z ogłuszającą siłą

Zamilkł na chwilę, przypominając sobie przeszłe zdarzenia. Steiffel przygryzał i żuł wilgotną końcówkę cygara. Rozwianie złudzeń Barneya zdawało się sprawiać mu przyjemność.

- Nie bierz sobie tego do serca, chłopcze - pocieszył go Steiffel. - Działałeś na obcym gruncie. Byłeś pionkiem. Żołnierzkiem przesuwany ręką mistrza.

Barney poczuł wzbierającą w gardle falę gorąca.

- Prawie podejrzewałem coś takiego po spotkaniu z Diestelem. Był zbyt otwarty. Ukrył to za nazistowską filozofią, ale przedobrzył. Nabrałem pewności po tym, jak Siebold zawiózł mnie do Reimecka. Po prostu nie chciałem wierzyć, że ktoś manipuluje nimi wszystkimi. Po śmierci Clementsa powinienem był wiedzieć, że to pan tym kierował.

- Naprawdę żałowałem tego kroku, ale - tu starzec wzruszył ramionami - Arthur stał się zbyt uzależniony od kokainy. Mimo to muszę przyznać, że śmierć Yussufa Kaladiego sprawiła mi pewną satysfakcję.

- Tak - skinął głową Barney. - To był znakomity pomysł.

- Co? - zapytał Steiffel.

- Te pieniądze z czasów konfederacji.

- Niestety, nie mogę sobie przypisać autorstwa. Było to dziełem jednego z moich wspólników.

- Niech mi pan powie - powiedział Barney - skoro potrzebowaliście mnie, to dlaczego do mnie strzelano?

- Incydent w Malibu to przypadek. Nie przypuszczaliśmy, że zareagujesz tak szybko. Strzały w berlińskim zoo były wymierzone tuż obok ciebie. Miały za zadanie uprawdopodobnić wszystko. Potrzebowaliśmy cię całego i zdrowego, abys podążał swoim tropem.

Barney skinął głową i zapalił cygaretkę. Zaciągnął się, wypuścił z ust dym w miedziany sufit, przeszedł się po pokoju i odwrócił do Steiffela.

- A jak ma się do tego Tedesco?

- Wynajęliśmy go do zatrudnienia zabójców z OWP. Tedesco powiedział im o „Genesis”. Ich zainteresowanie niedopuszczeniem do produkcji paliwa syntetycznego jest oczywiste. Zaangażowanie muzułmańskich terrorystów zapewniło dodatkową zasłonę.

- Ale dziewczyna została podstawiona wcześniej.

- Tak. Przewoziła kokainę. Neeley ufał jej całkowicie.

Barney wciągnął w płuca gryzący dym cygaretki i westchnął.

- Chryste, gdyby nie kokaina, nic by się nie stało.

Starzec wstał odgarniając włosy.

- Ależ coś by się stało. Może nie tak doskonale, tak dobrze ukryte, ale podjęlibyśmy jakieś działania. To nie kokaina była punktem wyjścia. To kontakt Szwajcara z Obermannem.

- Skąd wiedzieliście, że otrzymam zgodę na wyjazd do Niemiec?

- To proste. Natychmiast po twojej pierwszej wizycie u mnie zadzwoniłem do pewnej osoby we władzach miasta.

Barney spojrział na wysokiego, delikatnie wyglądającego starego mężczyznę, rozważając całą wagę jego słów.

- Coś jeszcze, synu?

- A Diestel?

- Był naszym człowiekiem w Berlinie. Zajmował wysokie stanowisko w jednej z niemieckich firm, z którą prowadzimy interesy. Trzymał w garści Bractwo. Okazał się bardzo użyteczny.

- Waszą jedyną pomyłką był doktor Esau - stwierdził Barney.

- Niezupełnie pomyłką. Nie można kontrolować wszystkiego. Nie ma doskonałych planów. Znasz trochę fizykę?

- Nie. Nigdy jej nie studiowałem.

- Szkoda. Powinieneś poczytać Heisenberga. Zasada nieoznaczoności. Swobodne cząsteczki w zamkniętym pojemniku, zmieniające swój charakter i kierunek ruchu w sposób zupełnie przypadkowy. Tak jak kontakt Szwajcara z Obermannem. Jak Neeley. Jak „Genesis”. Jak kokaina i Lisa Spangler. Jak rak, który wzbudził w doktorze Esau pragnienie nieśmiertelności. Jak ty i ja w tym pokoju. Naprawdę powinieneś poczytać Heisenberga.

Rozległ się ostry dzwonek telefonu, wzmocniony przez miedziane ściany i sufit. Steiffel wskazał swoje krzesło. Barney obszedł biurko i podniósł słuchawkę.

- Halo?

- To ja, Barney. Nic mi nie jest.

Słyszac glos Louisa, Barney poczul fale ulgi.

- Gdzie jesteś? - zapytal.

- W biurze Nolana.

- Daj go.

Nastapila chwila ciszy, po ktorej rozlegl sie burkliwy glos Nolana.

- Do diabla, Caine! Gdzie ty sie, do kurwy nedzy, podziewasz? Powiedzialem ci, zebyś...

Barney polozyl sluchawke na wideelki.

- Dobrze. Chodzmy stad.

Steiffel wcisnal czerwony guzik i ponownie otworzyl sie fragment sciany. Weszli do gabinetu i drzwi zamknely sie za nimi.

Starzec podszedl do olbrzymiego okna, a Barney usiadl w fotelu naprzeciw okraglego biurka.

- Nie zalamuj sie, synu - powiedzial Steiffel. - Będziemy produkowac paliwo syntetyczne. I to w duzych ilosciach. Juz jesteśmy właścicielami wiekszości zloz węgla w naszym kraju. Wiemy, co nadchodzi. Mamy formule. Mamy katalizator manganowy i posiadamy technologie. Ale musimy byc pewni zysku. W 1995 roku kraj padnie przed OPEC na kolana. Wtedy rzad zwróci sie do nas. I w tej desperackiej sytuacji zagwarantuje nam zyski z produkcji paliwa syntetycznego.

- Niezle.

- Interes - odparl Steiffel. - Po prostu interes.

Odszedl od okna i zblizyl sie do Barneya.

- Jesteśmy jak giganci nucacy masom kotysanke.

Usiadl na sofie naprzeciw Barneya i spojrzal na niego.

- Nie powinienes myslac o nas jako o zlých, chciwych ludziach trzymajacych w garści klucze do tajnych kont w bankach szwajcarskich. Wręcz przeciwnie. Jesteśmy mala rodziną zwyklych biznesmenów, poszukujacych jedynie łagodnych sposobów osiagania zysku. Poza tym dbamy o to, zeby hojnie wspomagać wiekszość obywateli.

- Czy teraz rozlegna sie dzwieki hymnu narodowego?

Steiffel usmiechnal sie.

- Rozumiem twój gniew i dlatego wybaczam ci. Jesteś staromodny. W pewnym sensie stanowisz uosobienie amerykanskiego mitu twardego czlowieka. Szanuje to. Sam pochodze od takich ludzi. Ale czy ci sie to podoba, czy nie, swiat sie zmienil. Jesteś policjantem. Nie mozesz zrozumiec problemów globalnej ekonomiki.

- Nie, ale rozumiem morderstwo.

- Tylko w wąskim, zawodowym zakresie. Dla ciebie zabity jest ofiarą. Dla rodziny to ogromna strata. Ale dla grabarza jest tylko towarem. Źródłem zysku. Życie i śmierć to tylko przedłużenie cyklu ekonomicznego.

- Co daje wam moralne prawo do zabijania - zareplikował Barney.

Steiffel napił się wody.

- Nie można równać tej sprawy z morderstwem. Kilkoro chciwców. Paru naukowców, którzy sami dopuszczali się zbrodni, których nie da się opisać, w imię swojej nauki. To nie morderstwo. Ich śmierć była po prostu ekonomicznym pragmatyzmem.

- Nie widział pan ciał Neeleyów, prawda? - zapytał Barney.

- Oplakuję Neeleyów, tak samo jak oplakuję mojego dobrego przyjaciela Clementsa.

- Co się stanie, kiedy z ludzi nie da się już wycisnąć żadnego zysku? Kiedy cały ten cholerny świat znajdzie się na kolanach?

Starzec spojrział na sufit, a potem na Barneya.

- Wówczas kartel wypełni swój historyczny obowiązek. Spuścimy psy wojny. Kiedyś nadchodzi taki czas, kiedy wojna jest zarówno ekonomicznie, jak i ekologicznie niezbędna dla ostatecznego przetrwania gatunku. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na miasto. - A czy teraz możemy przejść do interesów?

Barney zbliżył się do starca.

- Tak. Możemy przejść do interesów.

- Powiesz mi, gdzie jest kopia? - zapytał Steiffel.

Barney przytaknął.

- I dasz mi gwarancję, że nie ma innych?

- Tylko jedna. Ja ją mam. Możesz to nazwać moim zabezpieczeniem.

Starzec uśmiechnął się.

- Więc zatrzymasz ją dla siebie.

- Aż do śmierci, która, jak mam nadzieję, nastąpi po 1995 roku, kiedy planujecie rozpoczęcie produkcji paliwa syntetycznego.

- Nie zwrócisz się przeciw nam? - zapytał Steiffel odwracając się od okna.

- Ja? Przeciw grupie biznesmenów?

- W porządku. Możesz zatrzymać sobie to zabezpieczenie. A teraz gdzie jest ta druga kopia?

Barney wskazał na ulicę.

- Widzi pan tego faceta przy skrzynce na listy?

Oczy Steiffela zwięzły się.

- Tak. Dlaczego?

- To gliniarz. Detektyw z Metro. Pół godziny temu wrzucił formułę do tej skrzynki.

Płomienne, błękitne oczy Steiffela zaszyły mgłą.

- Nie rozumiem.

- Za chwilę pan zrozumie. Przesyłka jest w drodze do Instytutu Technologii w Hajfie.

Policzki Steiffela stały się purpurowe.

- Wiem, że jesteście potężni. Ale czy jesteście wystarczająco potężni, żeby powstrzymać amerykańską pocztę? - Zapytał Barney.

Oczy Steiffela rozszerzyły się, usta zaczęły mu drżeć, a jego głos stał się trzęsący.

- Izrael... Dlaczego Izrael? - wykrztusił to słowo, jakby słyszał je po raz pierwszy w życiu.

- Formuła powędrowała do Izraela, ponieważ oni nie mają powiązań z wielką naftą. Zbieg okoliczności. Czysty przypadek. Heisenberg, te swobodne cząsteczki - mogą zawsze cię zabić.

Starzec odwrócił się i podszedł do biurka.

- Nie mam już na nic wpływu. Stworzyłeś sytuację, w której straciłeś moją opiekę. Jesteś cholernym głupcem, panie Caine. Maniakiem o samobójczych skłonnościach. Zawiodłeś mnie. Sądziłem, że dysponujesz większą inteligencją!

- To pan zrobił błąd - odparł Barney. - Może pan znaleźć się w kłopotach, panie Steiffel.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Caine! - krzyknął starzec.

Barney spojrzał jeszcze na niego. Jego twarz straciła wszelki kolor, a usta stały się sine. Głos był spięty, ale opanowany.

- Wysłanie formuły do Izraela jest bezsensowne. Nie mają węgla. Nie mają żadnych minerałów. Żadnych funduszy, wszystko, co mają, to pomarańcze.

- Ale mają też naukę - odparł Barney. - I mają koneksje. A wie pan, jak to jest. „Kiedy przemawiają pieniądze, ludzie milczą”.

\*

Adam Steiffel popatrzył przez ponury półmrok swojego gabinetu na zamknięte drzwi. Następnie wstał z wysiłkiem i powoli podszedł do okna. Spojrzał na stojącego na rogu detektywa, który opierał się o czerwono-biało-niebieską skrzynkę na listy.

## 59.

Barney spotkał się z Louisem przy szpitalu Dobrego Samarytanina. Dyżurna pielęgniarka poinformowała ich, że żona Louisa śpi, ale czuje się dobrze. Podziękowali jej i poszli do pobliskiej kawiarenki.

- Więc od strony prawnej jest czysty - westchnął Louis.

- Nie mam nic, z czym mógłbym pójść do prokuratora okręgowego. Ale dni Steiffela są policzone.

- Przecież powiedziałeś, że jest czysty.

- Wobec prawa. Ale nie wobec współników. Stracił kontrolę nad formułą, a oni nie pozwalają na błędy.

- Przynajmniej mordercy Neeleya zapłacili - powiedział Louis. - Z wyjątkiem Tedesco.

- Tedesco będzie działał, dopóki znajdą się ludzie, którzy zechcą mu płacić - odparł Barney i napił się kawy. - A co z tobą? - zapytał. - Możesz zidentyfikować porywaczy?

Louis pokręcił głową.

- Byli zamaskowani. Mówili po arabsku. Cały czas miałem zawiązane oczy. Trzymali mnie gdzieś przy autostradzie. Słyszałem jadące samochody. Wypchnęli mnie z zawiązanymi oczami przy Ventura i Coldwater.

- W jakim języku przesłuchiwali cię?

- Po angielsku. Ciągłe pytania o kopertę. Kiedy nic nie powiedziałem, zaczęli bić moją żonę. Raz za razem.

- Jak mogłeś patrzeć, jak ją biją, i nic nie powiedzieć? - zapytał Barney, spoglądając w jego owalne czarne oczy.

- Trudno to wyjaśnić komuś, kto nie jest Japończykiem - odparł Louis. - Postępujemy według kodeksu przekazywanego z pokolenia na pokolenie od setek lat. Nic nie powiedziałem, ponieważ sądziłem, że mogłoby cię to narazić na niebezpieczeństwo. To był mój obowiązek i moja żona zrozumiała.

Barney niedostrzegalnie skinął głową. Louis zapłacił rachunek.

- Chodź, zawiozę cię do domu - powiedział.

\*

Louis prowadził nie oznakowany wóz Metro. Jechali na zachód Wilshire Boulevard, prosto w ognisty, szkarłatny zachód słońca.

Barneyowi zdawało się, jakby słońce wykrwawiało się nad miastem na śmierć. Czuł, jak mimo woli zamykają mu się oczy i musiał co pewien czas mrugać, żeby trzymać je otwarte.

Spojrzał na zegarek. Wskazywał 2.34 w nocy.

Opuścił szybę i twarz owiało kojące, pustynne powietrze. Pochylił się i włączył radio. Zabrzmiął głos Donny Summer w refrenie „Last Dance”.

Zatrzymali się na światłach przy La Brea.

- Czy sądzisz, że będą cię ścigać? - zapytał Louis zapalając papierosa.

Barney pokręcił głową.

- Nie. To nie mafia. Nie praktykują zemsty. Działają tylko z konieczności.

- A kto decyduje, co jest zemstą, a co koniecznością? - zapytał Louis.

- Niewielka grupa biznesmenów.

Światła zmieniły się. Przecięli La Brea i minęli park, gdzie w czarnych kałużach smoły stały gigantyczne repliki prehistorycznych potworów.

Jechali przez chwilę w milczeniu słuchając Donny Summer. Tuż przed końcem piosenki Louis spojrzał na Barneya.

- A co z tą dziewczyną z Niemiec?

I w tym momencie, w krwistoczerwonym świetle i kojącym powietrzu na Wilshire Boulevard Lisa wróciła do niego. Jego serce i umysł tęskniły za jej jasnymi, niebieskimi oczami, długimi blond włosami, jej miękkimi ustami i brzmieniem jej głosu, kiedy mówiła: „potrzebuję cię”.

Ale Lisa była tylko wspomnieniem, które przekształciło się w mit. Stanowiła część czegoś odległego. Czegoś, co zdarzyło się w Niemczech, dawno temu.

KONIEC